

Twórca bestsellerowych thrillerów:
Oficera i szpiega oraz **Konklawe**

ROBERT HARRIS

DRUGI SEN



ALBATROS

ROBERT HARRIS UDOWADNIA, ŻE JEST PISARZEM ABSOLUTNIE
WSZECHSTRONNYM.

DO GATUNKU POWIEŚCI, W KTÓRYCH JEST MISTRZEM, WŁAŚNIE DOŁĄCZYŁ
THRILLER POSTAPOKALIPTYCZNY.

**Świat kojarzący się klimatem z *Imieniem róży* i *Opowieścią podręcznej*.
Sceneria, która mogłaby pochodzić z późnego średniowiecza... gdyby nie to, że
czasem można znaleźć w ziemi plastikowe przedmioty.**

Młody ksiądz Christopher Fairfax przybywa do położonej na odludziu wioski, by odprawić pogrzeb tamtejszego proboszcza. Nie jest witany z otwartymi ramionami i budzą się w nim podejrzenia, że stary proboszcz nie zmarł śmiercią naturalną, a jego zgon mógł mieć coś wspólnego z księgą, która zaginęła, i znajdowanymi w pobliżu kości. Im głębiej Fairfax wchodzi w życie odizolowanej od świata wspólnoty, tym bardziej zaczyna się chwiać jego wiara w obowiązującą wiedzę o historii świata. Wiedzę, której strzeże Kościół, gotowy zrobić wszystko, by prawda nie wyszła na jaw. Jak to Kościół.

ROBERT
HARRIS

DRUGI SEN

Z angielskiego przełożył
Andrzej Szulc

ALBATROS

Wydanie elektroniczne

ROBERT HARRIS

Brytyjski pisarz i dziennikarz; pracował m.in. dla BBC i współpracował jako komentator polityczny z „The Observer”. Autor kilku książek popularnonaukowych, ale przede wszystkim dwunastu przetłumaczonych na czterdzieści języków powieści: thrillerów – **Vaterland**, **Enigma**, **Archangielsk**, **Autor widmo**, **Indeks strachu**, **Konklawe**, **Monachium**, **Drugi sen** (pierwsze cztery zostały sfilmowane) – a także powieści historycznych z elementami sensacji – **Pompeje**, **Oficer i szpieg** oraz „Trylogia rzymska”, w której ukazały się **Cycero**, **Spisek** i **Dyktator**.

ROBERT-HARRIS.COM

Tego autora

ARCHANGIELSK
ENIGMA
INDEKS STRACHU
POMPEJE
AUTOR WIDMO
OFICER I SZPIEG
KONKLAWIE
MONACHIUM
VATERLAND
DRUGI SEN

Trylogia rzymska

CYCERO
SPISEK
DYKTATOR

Tytuł oryginału:
THE SECOND SLEEP

Copyright © Canal K Limited 2019
All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o. 2020

Polish translation copyright © Andrzej Szulc 2020

Redakcja: Joanna Kumaszevska

Zdjęcia na okładce: © Darrell Gulin/The Image Bank/Getty Images (*jeździec i pies*), © A-Digit/DigitalVision Vectors/Getty Images (*trawy*), © Mint Images/Getty Images (*pejzaż*)

Projekt graficzny okładki oryginalnej: Glenn O'Neill

Opracowanie graficzne okładki polskiej: Kasia Mészka

ISBN 978-83-8125-984-2

Wydawca

WYDAWNICTWO ALBATROS SP. Z O.O.

Hłonda 2a/25, 02-972 Warszawa

www.wydawnictwoalbatros.com

Facebook.com/WydawnictwoAlbatros | Instagram.com/wydawnictwoalbatros



Niniejszy produkt jest objęty ochroną prawa autorskiego. Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku osobę, która wykupiła prawo dostępu. Wydawca informuje, że publiczne udostępnianie osobom trzecim, nieokreślonym adresatom lub w jakikolwiek inny sposób upowszechnianie, kopiowanie oraz przetwarzanie w technikach cyfrowych lub podobnych – jest nielegalne i podlega właściwym sankcjom.

Przygotowanie wydania elektronicznego: Michał Nakoneczny, hachi.media

SPIS TREŚCI

- Rozdział pierwszy. Ukryta dolina
- Rozdział drugi. Ojciec Fairfax poznaje ojca Thomasa Lacy'ego
- Rozdział trzeci. Fairfax idzie wcześniej spać i dokonuje niepokojącego odkrycia
- Rozdział czwarty. Środa, 10 kwietnia: zaskakujący incydent na pogrzebie
- Rozdział piąty. W którym plany Fairfaxa biorą w łeb
- Rozdział szósty. Z przeszłości wyłania się czyjaś dłoń
- Rozdział siódmy. Czwartek, 11 kwietnia: Piggeries
- Rozdział ósmy. Księżki ujawniają swój sekret
- Rozdział dziewiąty. Lady Durston
- Rozdział dziesiąty. Kolekcja pułkownika Durstona
- Rozdział jedenasty. Kolacja we troje
- Rozdział dwunasty. Czarci Tron
- Rozdział trzynasty. Piątek 12 kwietnia: Fairfax wraca do Axford
- Rozdział czternasty. Herezja antycznego świata
- Rozdział piętnasty. Kapitan Hancock poznaje tajemnicę
- Rozdział szesnasty. Zawarcie znajomości z doktorem Shadwellem
- Rozdział siedemnasty. Powrót do Czarciego Tronu
- Rozdział osiemnasty. W którym pan Shadwell opowiada o Apokalipsie
- Rozdział dziewiętnasty. Dwa sny w Przędzalni Wełny Addicott
- Rozdział dwudziesty. Sobota, 13 kwietnia: organizowana jest ekspedycja
- Rozdział dwudziesty pierwszy. Tajemnica plebanii Addicott
- Rozdział dwudziesty drugi. Pan Quycke wyjaśnia zagadkę
- Rozdział dwudziesty trzeci. W którym zaczyna się kopanie
- Rozdział dwudziesty czwarty. Kapitan Hancock odkrywa prawdę
- Rozdział dwudziesty piąty. Niedziela, 14 kwietnia: ojciec Fairfax i lady Durston spędzają noc na Czarcim Tronie
- Rozdział dwudziesty szósty. Komora grzebalna
- Rozdział dwudziesty siódmy. W którym poszukiwania dobiegają końca
- Przypisy

Samowi

Aż do końca epoki wczesnonowożytnej nocny sen mieszkańców Europy Zachodniej przebiegał na ogół w dwóch fazach... Początkową fazę nazywano zwykle „pierwszym snem”. Następną – „drugim” albo „porannym”. Obie trwały mniej więcej tyle samo: ludzie budzili się jakiś czas po północy, a potem znów zasypiali.

A. Roger Ekirch, *At Day's Close: A History of Nighttime*

W obrębie miasta czy też w ogrodach lub na polach niepodobna było wbić łopaty głębiej niż na kilka stóp, żeby nie trafić na olbrzymiego żołnierza lub innego obywatela Imperium, który przeleżał tutaj w cichym i niewadzącym nikomu śnie przez okres piętnastu stuleci. Znajdowano go zwykle w owalnym wyżłobieniu wapiennego gruntu jak kurczę w skorupce; spoczywał na boku z kolanami podciągniętymi do góry, czasem z resztkami dzidy wspartej o ramię, a fibulą czy broszą z brązu na piersiach lub czole; u kolan stała urna, dzban przy gardzieli, a amfora przy ustach... Żyli oni tak dawno, czasy ich tak różniły się od obecnych, ich nadzieje i motywy postępowania tak były dalekie od naszych, że między nimi a żywymi zdawała się rozciągać zbyt wielka przepaść, aby nawet duch mógł ją przeskoczyć.

Thomas Hardy, *Burmistrz Casterbridge*, tłumaczyła Ewa Kołaczkowska

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Ukryta dolina

Późnym popołudniem we wtorek dziewiątego dnia kwietnia Roku Pana Naszego Zmartwychwstałego 1468 pewien samotny wędrowiec przemierzał konno dzikie wrzosowiska starodawnego regionu południowo-zachodniej Anglii, który od saksońskich czasów nosi nazwę Wessex. Jeśli na twarzy owego młodego człowieka malował się niepokój, nie powinno nas to dziwić. Od ponad godziny nie napotkał na drodze żywej duszy. Zaczynało się ściemniać i gdyby ujęto go po zmierzchu poza domem, mógł wylądować na całą noc w areszcie.

Zatrzymał się wcześniej, by spytać o drogę, w targowym mieście Axford, gdzie grupka niezbyt przyjaźnie nastawionych jegomościów popijała przed gospodą z namalowanym na szyldzie łabędziem. Wykpiwając między sobą obcy akcent przybysza i przedrzeźniając jego wyrafinowaną wymowę, odpowiedzieli, że jeśli chce dotrzeć do celu, musi jechać prosto w stronę zachodzącego słońca. Teraz jednak zaczął podejrzewać, że mógł stać się kolejną ofiarą miejscowej krotochwili, bo kiedy minął wysokie ściany miejskiego więzienia, przy których gnili w klatkach trzech powieszonych złoczyńcy, następnie zaś przejechał przez rzekę i znalazł się na otwartym terenie, niebo na zachodzie zasnuły ciężkie chmury, zasłaniając słońce. Strzelista wieża kościoła w Axford, którą miał za plecami, dawno temu skryła się za horyzontem. Wiodąca w dół droga przed nim wiła się między bezludnymi zalesionymi stokami i dzikimi wrzosowiskami z żółtymi łąkami kolcolistów i w końcu ginęła w mroku.

W pewnym momencie zrobiło się bardzo cicho, co w tej części kraju często sygnalizowało zmianę pogody. Wszystkie ptaki, nawet wielkie czerwone kanie, których skrzeczenie ścigało go od wielu mil, nagle umilkły. Owionął go chłodny całun unoszącej się z wrzosowiska szarej wilgotnej mgły i po raz pierwszy, odkąd wczesnym rankiem wyruszył w podróż, poczuł, że powinien pomodlić się głośno o opiekę do swojego świętego patrona, który prznosił małego Chrystusa na plecach przez rzekę.

Po jakimś czasie droga zaczęła bieć wzdłuż zalesionego zbocza. Wznosząc się, jednocześnie się zwężała, aż w końcu przestała się różnić od leśnego duktu. Po zrytej koleinami brązowej ziemi, pokrytej kamieniami, jasnoniebieskim łupkiem i żółtym żwirem, płynęły strugi deszczówki. Ze stromych ścian wąwozu bił zapach dzikich ziół – miodunki, melisy i czosnaczku – a gałęzie drzew wisiały tak nisko, że kiedy jeździec pochylał się i odsuwał je ramieniem, na głowę i rękaw spadały mu kaskady zimnej wody. W pewnym momencie coś zaskrzeczało i błysnęło szkarłatem w półmroku, a wędrowcowi

serce podeszło do gardła. Już po chwili zdał sobie jednak sprawę, że to zwykła papużka aleksandretta, i zamknął z ulgą oczy.

Otworzywszy je, zobaczył przed sobą brązowy kształt, który wziął z początku za powalone drzewo. Kiedy otarł rękawem twarz i pochylił się w siodle, dostrzegł jednak, że to postać w opończy z mnisim kapturem, popychająca przed sobą wózek. Ścisnął kolanami boki klaczy, żeby przyspieszyła kroku.

– Bóg z tobą! – zawołał do dziwnej zjawy. – Jestem nietutejszy.

Osobnik udał, że go nie słyszy, i zaczął pchać wózek z jeszcze większą zawziętością. Jeździec musiał go ponownie wyprzedzić. Tym razem ustawił klacz bokiem, blokując wąski trakt. Zauważył, że na wózku są bele wełny. Poluzował przy szyi tasiemki peleryny.

– Nie mam złych zamiarów. Zwę się Christopher Fairfax. – Zsunął w dół mokry materiał i uniósł brodę, by pokazać białą koloratkę na szyi. – Jestem sługą Bożym.

W strugach deszczu zobaczył zwróconą ku sobie pociągłą twarz mężczyzny. Kaptur powoli i niechętnie zjechał w dół, odsłaniając całkowicie łysą głowę. Na czubku lśniącej czaszki, po której spływała woda, widniało sierpowate znamię krwawej barwy.

– Dojadę tędy do Addicott St George?

Mężczyzna podrapał się w znamię i zmrużył oczy, jakby odpowiedź na to pytanie wymagała wielkiego umysłowego wysiłku.

– Mówicie o Adcut? – zapytał w końcu.

– Dobrze, niech będzie Adcut – odparł ociekający wodą, tracący cierpliwość Fairfax.

– Nie. Pół mili wcześniej minęliście rozwidlenie. Powinniście byli skręcić w drugą drogę. – Mężczyzna przyjrzał mu się od stóp do głów z niespieszną chłopską chytrością, jakby oceniał zwierzę na targu. – Młodziście jak na sługę Bożego.

– A mimo to chyba dość dojrzały, by nim zostać! – Fairfax uśmiechnął się z przymusem i skłonił głowę. – Z Bogiem!

Ściągnął cugle, obrócił swoją starą siwą klacz i poprowadził ją ostrożnie w dół rozmytym traktem aż do rozwidlenia dróg. Jeśli ktoś o nim nie wiedział, trudno je było zauważyć. A zatem ci łajdacy w Axford naprawdę chcieli, by zabłądził – czego nigdy nie ośmieliliby się zrobić, gdyby wiedzieli, że jest duchownym. Powinien poinformować o tym miejscowych szeryfów. Tak, w drodze powrotnej nie omieszka tego zrobić. Niechaj ci głupi wiejscy nicponie zostaną ukarani z całą surowością prawa – więzieniem, grzywną, zakuciem na cały dzień w dyby, tak by obrzucano ich kamieniami i gnojem...

Drugi trakt był jeszcze bardziej stromy. Rosnące po obu stronach starodawne drzewa nachylały się ku sobie kilka jardów nad jego głową, jakby się naradzały. Splątane gałęzie zasłaniały wszelkie światło. Mogło się zdawać, że w tym mokrym tunelu noc już dawno zapadła. Klacz potknęła się i nie chciała iść dalej. Fairfax objął ją za szyję.

– No dalej, May! – szeptał jej do ucha, ale zwierzę było uparte, z wiekiem coraz bardziej narowiste, podobne raczej do muła, i w końcu musiał zsiąść z siodła i poprowadzić je za uzdę.

Idąc pieszo, czuł się bardziej zagrożony. W sakiewce miał dwadzieścia funtów na różne wydatki, wyliczone przez diakona co do pensa poprzedniego wieczoru, a wielu wędrowcom zdarzało się zginąć za połowę tej sumy. Ślizgając się w błocie, ciągnął klacz za uzdę. Jego biskupowi naprawdę udał się ten żart, myślał z goryczą. Może i rzadko się uśmiechał, ale to wcale nie znaczyło, że nie miał specyficznego poczucia humoru. Żeby wysłać człowieka w takiej misji, trzydzieści mil, w najdalszy zakątek diecezji, na dychawicznej starej kobyle...

Wyobraził sobie swoich braci, którzy zbierają się w kapitularku na wczesnej wieczerzy, siadają w długich ławach przed wielkim paleniskiem; biskupa, który pochyla siwą głowę, by zmówić pacierz, jego oświetloną płomieniem twarz o szarawym odcieniu, błysk złośliwej radości w małych ciemnych oczkach.

„Na koniec pomódlmy się za naszego brata w Chrystusie, Christophera Fairfaxa, który dziś wieczorem trzodzi się w służbie naszej świętej Matki Kościoła... w odległej krainie!”

Jakiś przeklęty płynący w pobliżu strumyk zdawał się gulgotać ze śmiechu.

Ale w momencie, gdy Fairfax zaczynał tracić ostatnią nadzieję, u wylotu zarośniętego traktu zajaśniało niewyraźne światło; przez jakiś czas brnął jeszcze w błocie i w końcu zobaczył w ostatnim blasku dnia, że stoi na szczycie wzgórza. Po prawej teren opadał stromo w dół. Na ogrodzonych kamiennymi murkami niewielkich tarasach pasły się krowy, owce i kozy. Rozpadające się drewniane szopy przybrały po zimie ołowiany kolor. Mniej więcej milę dalej przez płynącą doliną rzekę przerzucono most. Stojący obok kamienny kościół z kwadratową dzwonnica otaczała mała osada składająca się w większości z krytych strzechą chat. Tu i tam z kominów unosiły się pióropusze białoszarego dymu, który zlewał się z ciemniejszym niebem. Chmury nad otaczającymi dolinę wzgórzami sunęły nisko i szybko niczym sztormowe fale. Przestało padać. W nozdrza wpadł mu zapach płonących szczap. Wyobraził sobie ciepły jasny ogień, gorącą strawę, towarzystwo innych ludzi. Rześkie wilgotne powietrze podniosło go na duchu. Nawet klaczy humor polepszył się na tyle, że pozwoliła mu się dosiąść.

Było prawie ciemno, gdy wjechał kłusem do wioski. Podkute kopyta May zadudniły na spinającym brzegi rzeki kamiennym moście i rozchlapały błoto w wąskiej uliczce. Z wysokiego siodła mógł zajrzeć do stojących po obu stronach bielonych chat. Przed niektórymi były ogródki ogrodzone białymi płotami, ale większość stała tuż przy drodze. W kilku oknach paliły się świece; w jednym dostrzegł blady owal twarzy, która zaraz zniknęła za zasłoną. Przy cmentarnej bramie przystanął i rozejrzał się. Brukowana alejka prowadziła przez cmentarz do drzwi kościoła, który, jak się domyślał, musiał stać w tym miejscu od tysiąca, a może nawet półtora tysiąca lat. Na zatkniętym na szczycie wieży maszcie wisiała spuszczone do połowy mokra flaga Anglii z czerwonym krzyżem świętego Jerzego na białym tle.

Po drugiej stronie cmentarza, za murem, stał rozpadający się piętrowy budynek kryty słomianą strzechą. Przyjrząwszy mu się uważniej, Fairfax dostrzegł w jego progu ubraną

na czarno szczupłą kobietę, która obserwowała go, trzymając w ręce latarnię. Przez dłuższą chwilę mierzyli się wzrokiem nad omszałymi nagrobkami. A potem kobieta uniosła latarnię i poruszyła nią w jedną i drugą stronę. Fairfax podniósł rękę, spiął klacz i ruszył wokół cmentarza do czekającej na niego postaci.

ROZDZIAŁ DRUGI

Ojciec Fairfax poznaje ojca Thomasa Lacy'ego

Zabrała go od razu na górę, żeby zobaczył ojca Lacy'ego. Fairfax zdążył tylko postawić w sieni swoją torbę, zdjąć ociekającą wodą pelerynę i ściągnąć zabłocone buty, i już szedł za nią po wąskich drewnianych schodach na piętro, zeszywniały, z nogami wykrzywionymi w pałąk po długich godzinach spędzonych w siodle.

Obracając się przez ramię, poinformowała go, że nazywa się Agnes Budd, jest tu, na plebanii, gospodynią i czekała na niego przez cały dzień. W jej głosie, pozornie pełnym szacunku, usłyszał ton przygany.

Musiał pochylić głowę, by wejść do alkierza. W środku było zimno i unosił się zapach chlorku wapnia. Na dworze zapadł już siny zmierzch; na podłodze pod oprawionymi w ołów szybkami szeroko otwartego okna były kałuże deszczówki. Czarne wieko trumny oparto o komodę; sama trumna leżała na ciężkim drewnianym łóżku. Na szafkach nocnych po obu jego stronach paliły się świece. Na jednej z szafek były poza tym okulary i książka, jakby zmarły dopiero co przestał czytać. Płomyki świec migotały w przeciągu.

Fairfax ostrożnie podszedł do trumny i spojrział na zwłoki. Były długie i chude, złożone w trocinach i zawinięte ciasno w biały płócienny całun, niczym mająca się wykluć poczwarka. Twarz zakrywała biała koronkowa chustka. Zerknął na gospodynię i kiedy skinęła głową, ujął palcami górne rogi chustki i unióś ją.

W swoim krótkim życiu widział już wiele zwłok. W tamtych czasach trudno było się na nie w Anglii nie natknąć. Wisiały zawieszono w żelaznych klatkach jak ci skazańcy w Axford, żeby odstraszać przestępców. Pojawiały się z dnia na dzień w bramach domostw albo na połaciach jałowej ziemi i leżały tam, dopóki ktoś nie zapłacił czyszcicielowi latryn za ich usunięcie. W czasie niedawnej epidemii tyfusu udzielał ostatniego namaszczenia dzieciom zaraz po tym, jak zamknął oczy ich dziadkom. Ale nigdy nie oglądał zwłok w takim stanie. Nos był złamany, oczodoły – strzaskane. Przez czoło biegła głęboka rana. Prawe ucho było okaleczone, jakby ktoś je nadgryzł. Choć rany próbowano zamaskować sproszkowanym białym ołowiem, przeświecały zielonkawo przez puder. Efekt był groteskowy. Lacy, co nietypowe dla duchownego, nie miał brody, lecz siwy kilkudniowy zarost.

Pochylając się, by dotknąć jego głowy w akcie błogosławieństwa, Fairfax poczuł stęchły odór rozkładu i szybko się cofnął. Stary ksiądz powinien już dawno leżeć w grobie.

– Od jak dawna nie żyje?

– Od tygodnia, ojczy. Ostatnie dni były ciepłe.

– O której godzinie jest pogrzeb?

– O jedenastej, ojczec.

– Obawiam się, że nie powinniśmy zwlekać ani chwili dłużej. – Fairfax położył z powrotem chustkę na pogruchotanej twarzy, cofnął się o krok i przeżegnał. – Pokój niech będzie z tobą. Niechaj posłuszny sługa Pana spoczywa w ramionach Chrystusa. Amen.

– Amen – zawtórowała gospodyni.

– Zamknijmy trumnę, pani Budd.

Unieśli oboje ciężkie wieko i zakryli nim skrzynię. Porządna prosta stolarka, pomyślał Fairfax – pomalowany na czarno zacny angielski dąb, zamontowane po bokach mosiężne uchwyty, ściśle dopasowane wieko, żeby zabić odór. Agnes Budd wyciągnęła zza paska ścierkę i przetrła je do czysta. Wpatrywali się przez chwilę w trumnę, a potem gospodyni zauważyła kałużę pod oknem i mruczając coś pod nosem, wytarła ją i wyżeła ścierkę na zewnątrz.

– Lepiej chyba zostawić okno otwarte – powiedział, kiedy sięgnęła, by je zamknąć. Na podeście wyciągnął własną chusteczkę i udał, że wydmuchuje nos. Wciąż miał w nozdrzach ten zapach. – Te obrażenia na jego twarzy... Biedaczysko. W jaki sposób je odniósł?

– Poranił się, spadając, ojczec.

– Musiał spaść z wielkiej wysokości.

– Mówią, że to było jakieś trzydzieści jardów.

– Kto mówi?

– Ci, którzy go znaleźli, proszę księdza. Kapitan Hancock, pan Keefer, nasz zakrystianin, i kowal, pan Gann.

– O jakiej to było porze dnia?

– Ojciec Lacy wyszedł z plebanii we wtorek po południu w solidnych butach i z rydłem w ręce. I już tu nie wrócił. Zorganizowano poszukiwania i w środę wieczorem przywieziono jego zwłoki do domu.

– Dużo chodził po okolicy?

– Tak, proszę księdza. Większość miejsc odwiedzał pieszo. Rzadko jeździł konno. Kilka lat temu oddał nawet swojego wierzchowca.

Zaprowadziła go na dół, do bawialni, której nie był w stanie ogrzać tłący się na palenisku wątył ogieniek. Na stole było tylko jedno nakrycie.

– Będzie chciał ksiądz zjeść kolację?

Godzinę wcześniej konał z głodu, lecz teraz na myśl o jedzeniu żołądek podchodził mu do gardła.

– Tak, poproszę. Ale najpierw muszę się zająć swoim koniem.

Ruszył do wyjścia kamiennym korytarzem. Zastanawiał się już, jak najszybciej się stąd wynieść. Próbował sobie przypomnieć nazwę gospody, przy której zatrzymał się w Axford.

Chyba Pod Łabędziem. Skoro pogrzeb miał się odbyć o jedenastej, będzie mógł wyjechać z wioski o pierwszej i spokojnie zdążyć do gospody na kolację.

We frontowych drzwiach był zamontowany potężny, lśniący nowością zamek. Fairfax otworzył je i wyszedł do małego ogródka. W szklistym wilgotnym powietrzu unosiły się zapachy mokrych traw i drzewnego dymu. May zniknęła. Zostawił ją przy słupku furtki. Czyżby niestaranie przywiązał wodze? Rozejrzał się. W wiosce nie paliły się żadne światła. W uszach dzwoniła mu głęboka wiejska cisza.

– Niech ksiądz się nie martwi. – Słyszając za sobą głos gospodyni, o mało nie podskoczył. – Rose odprowadziła konia do stajni.

– To bardzo miło z jej strony. Proszę jej podziękować w moim imieniu.

Z powodów, których nie potrafił dokładnie określić, czuł się dziwnie poirytowany. Wziął do ręki swoją torbę i podążył w ślad za kobietą z powrotem do bawialni.

– No cóż, pani Budd – starał się, by w jego głosie zabrzmiał rzeczowy ton – chciałbym, jeśli można, poznać odpowiedzi na kilka pytań. – Postawił torbę na stole, przez chwilę w niej grzebał, po czym wyjął piórniki i kilka arkuszy papieru. – Ale wszystko po kolei... – dodał z uśmiechem, żeby się odprężyła. – Jest w tym domu inkaust?

– A cóż to za pytanie?

Agnes Budd była cała w nerwach. Zastanawiał się, ile może mieć lat. Chyba koło pięćdziesiątki. Miała ziemistą, płaską twarz, siwe włosy i zaczerwienione, pewnie od płaczu, oczy. Jak bardzo postarza nas zgryzota, pomyślał z nagłym żalem, jak bardzo jesteśmy podatni na zranienie, biedne śmiertelne istoty starające się nadrabiać miną.

– W ramach moich obowiązków – zaczął – mam wygłosić mowę na pogrzebie ojca Lacy’ego, co nigdy nie jest łatwe, nawet jeśli się zna zmarłego, a może przysporzyć prawdziwych problemów, kiedy się go nigdy nie spotkało. – Starał się zasugerować, że to dla niego nie pierwszorzędna, choć w rzeczywistości nigdy jeszcze nie odprawił pogrzebu i nie wygłosił na nim mowy. – Muszę ustalić kilka prostych faktów. A zatem... inkaust? Podejrzewam, że w domu księdza musi być inkaust?

– Oczywiście, że jest, ojczu. Mamy bardzo dużo inkaustu – odparła urażona kobieta i wyszła, zapewne by mu go przynieść.

Fairfax usiadł, złapał za krawędzie stołu i rozejrzał się po izbie. Nad kominkiem wisiał prosty drewniany krzyż. W świetle świec ściany nabrały pomarańczowobrazowego koloru i wyraźnie się pochylały, a sufit ugiął się pośrodku. Mimo to izba sprawiała wrażenie solidnej i bardzo starej, jakby przetrwała długie wieki i nic nie mogło jej ruszyć. Wyobraził sobie pokolenia księży, którzy siedzieli w tym co on miejscu – dziesiątki, jeśli nie setki duchownych, pełniących skromnie służbę Bożą w tej odległej, zapomnianej dolinie. Myśl o takim niedocenionym oddaniu natchnęła go pokorą i kiedy Agnes Budd wróciła, próbował ją w jakimś stopniu okazać, wysuwając krzesło, by mogła usiąść naprzeciwko niego, i przemawiając do niej uprzejmym tonem.

– Wybacz pani... powinienem to wiedzieć... Od jak dawna ojciec Lacy był tu księdzem?

– W styczniu minęły trzydzieści dwa lata.

– Trzydzieści dwa lata? To prawie jedna trzecia stulecia... całe życie! – Fairfax rzadko kiedy słyszał o tak długim probostwie. Umoczył pióro w kałamarzu i zanotował to. – Miał jakąś rodzinę?

– Brata, który zmarł przed wielu laty.

– A pani? Jak długo pełniła pani u niego służbę?

– Od dwudziestu lat.

– Razem z mężem?

– Nie, proszę księdza, jestem od dawna wdową, ale mam siostrzenicę, Rose.

– To ona właśnie zajęła się moim koniem?

– Mieszka na plebanii razem z nami... to znaczy teraz ze mną.

– I co z wami będzie teraz, kiedy ojciec Lacy nie żyje?

Ku jego przerażeniu w oczach stanęły jej łzy.

– Nie mam pojęcia. To stało się tak nagle, że w ogóle o tym nie myślałam. Może nowy proboszcz będzie chciał nas zatrzymać? – Spojrzała na niego z nadzieją. – Czy to ksiądz obejmie teraz tę parafię?

– Ja? – O mało nie parsknął śmiechem, tak absurdalna wydała mu się myśl, że dałby się tutaj żywcem pochować. Uświadomiwszy sobie, jak niegrzecznie by to zabrzmiało, zdołał się jednak powstrzymać. – Nie, pani Budd. Jestem najniższym ze sług biskupa. Mam swoje obowiązki w katedrze. Powierzono mi wyłącznie misję odprawienia pogrzebu. Ale powiadomię diecezję o zaistniałej sytuacji. – Zanotował to, odchylił się w krzesło i ssąc końcówkę pióra, uważnie przyglądał się kobiecie. – Czy obowiązków duszpasterskich nie mógłby przejąć jakiś miejscowy kapłan?

To samo pytanie zadał poprzedniego dnia biskupowi Pole'owi, kiedy usłyszał o powierzonym mu zadaniu – sformułował je oczywiście bardziej dyplomatycznym językiem, bo biskup nie przywykł, by kwestionowano jego polecenia. Ale Pole zacisnął tylko usta w wąską kreskę, przerzucił kilka papierów i odburknął, że Lacy był dziwakiem niezbyt lubianym przez okolicznych duchownych. „Znałem go, kiedy był młody – dodał. – Studiowaliśmy razem w seminarium. Potem nasze drogi się rozeszły. – Nagle spojrzał Fairfaxowi prosto w oczy. – To dla ciebie duża szansa, Christopherze. Misja jest prosta, ale wymaga pewnej dyskrecji. Powinieneś to załatwić w jeden dzień. Polegam na tobie”.

Agnes Budd wbiła wzrok we własne dłonie.

– Ojciec Lacy nie utrzymywał bliskich stosunków z plebanami z sąsiednich dolin.

– A to dlaczego?

– Chadzał własnymi ścieżkami.

Fairfax zmarszczył czoło i pochylił się lekko do przodu, jakby nie pojmował do końca jej słów.

– Przepraszam, nie bardzo rozumiem. „Chadzał własnymi ścieżkami”? Jest chyba tylko jedna ścieżka, ta prawdziwa. Cała reszta to herezja.

Nadal nie chciała spojrzeć mu w oczy.

– Nie potrafię odpowiedzieć na to pytanie, ojcze. To nie na moją głowę.

– A jak wyglądały jego stosunki z mieszkańcami wsi? – zapytał. – Był lubiany przez swoich parafian?

– Oczywiście. Przez większość.

– Ale nie przez wszystkich?

Tym razem nie doczekał się odpowiedzi. Odłożył pióro i pomasaował oczy. Nagle poczuł się zmęczony. No cóż, słusznie został ukarany za pychę, w jaką wbiło go wyróżnienie przez biskupa: spędził osiem godzin w siodle, by pogrzebać jakiegoś zapomnianego księdza, możliwe, że heretyka, nielubianego przez znaczną część parafian. Nie musiał przynajmniej pisać długiej mowy.

– Wystarczy chyba – rzucił z powątpiewaniem – że powiem kilka ogólników: że spędził godnie życie w Bożej służbie i tak dalej. Ile dokładnie miał lat?

– Był stary, proszę księdza, ale wciąż całkiem żywotny. Miał pięćdziesiąt sześć lat.

Fairfax szybko policzył w pamięci. Jeśli Lacy spędził tutaj trzydzieści dwa lata, musiał objąć parafię, kiedy miał dwadzieścia cztery – dokładnie tyle samo co on.

– A zatem Addicott było jego jedyną parafią? – zapytał.

– Tak, proszę księdza.

Próbował postawić się na miejscu starego plebana. Posłany w tak ustronne, zapomniane przez wszystkich miejsce, z pewnością by zwariował. Być może to właśnie przytrafiło się z biegiem lat Lacy'emu. Podczas gdy Pole awansował na biskupa, Lacy'ego pozostawiono, by tu marniał. Idealista zmienił się pod wpływem samotności w mizantropa.

– Jedna trzecia stulecia! Musiało mu się tu podobać – mruknął.

– O tak, uwielbiał to miejsce. Nigdy by stąd nie odszedł. – Gospodyni wstała. – Musisz być głodny, ojcze. Przygotowałam ci coś do jedzenia.

ROZDZIAŁ TRZECI

Fairfax idzie wcześniej spać i dokonuje niepokojącego odkrycia

Pani Budd zaserwowała mu prostą wieczerzę składającą się z potrawki z króliczych i baranich serc i dzbanka mocnego piwa, które, jak powiedziała, warzył sam ojciec Lacy. Chciał, by mu towarzyszyła, ale wymówiła się, twierdząc, że musi przygotować poczęstunek na stypę. Po jej siostrzenicy, Rose, nie było ani śladu.

Z początku Fairfax dziobał niechętnie jedzenie, ale z każdym kęsem wracał mu apetyt i w końcu zjadł całkiem sporo potrawki. Skończywszy, otarł usta chusteczką. To, czego doświadczamy, ma zawsze jakiś cel, znany tylko Bogu. Musiał jak najlepiej wykorzystać sytuację, w jakiej się znalazł. Tego właśnie oczekiwał biskup, a Fairfax będzie miał przynajmniej co opowiadać przy wieczerzy w refektarzu.

Dorzucił kolejne małe polano do ognia, żeby ogrzać trochę pomieszczenie, po czym wrócił do stołu, odsunął na bok talerz i wyjął z torby Biblię i modlitewnik. Następnie zapalił fajkę i odchylił się na krześle. Po raz pierwszy zwrócił uwagę na kałamarz, a właściwie słoiczek z inkaustem. Wziął go do ręki i podniósł do świecy. Dziwnego kształtu, długi na trzy cale i na jeden cal szeroki, zrobiony był z grubego przejrzystego szkła; miał karbowane boki oraz wypukłe dno, żeby można było wygodnie nabierać inkaustu. Fairfax nigdy w życiu nie widział czegoś takiego. Kałamarz był z pewnością bardzo stary. Zastanawiał się, jak pleban wszedł w jego posiadanie.

Odstawił go na stół i zaczął pisać.

Ciszę zakłócało tylko tykanie stojącego w korytarzu zegara. Wkrótce pochłonęło go obmyślanie mowy. Przed swoim wniebowstąpieniem Chrystus nakazał apostołom pozostać w mieście i czekać na nadejście Pana. Czyż nie tak właśnie postępował Lacy? Pokornie pełniąc swoją służbę tam, gdzie go posłano, czekając, aż ukaże mu się Bóg we własnej postaci? Fairfax mógł jakoś rozwinąć tę myśl.

Agnes Budd pojawiła się ponownie mniej więcej po godzinie, żeby uprzątnąć stół. Wróciwszy z kuchni, oświadczyła, że idzie spać.

– Posłałam księdzu łóżko w gabinecie ojca Lacy’ego – dodała, po czym obeszła pokój, gasząc świece gasidłem.

Fairfax zastanawiał się, która może być godzina. Dziewiąta? Zwykle szedł o tej porze wraz z innymi do kaplicy Najświętszej Panienki na kompletę. Ale choć było dla niego nieco za wcześnie na spoczynek, nie skarżył się. Mógł dokończyć mowę rano. Poza tym wyjechał z Exeter tuż po świcie i kości bolały go ze zmęczenia. Schował swoje rzeczy do torby i postukał główką fajki o brzeg kominka.

Gabinet był mniejszy i bardziej zagracony od bawialni. Gospodyni weszła tam z dwiema świecami i zostawiła mu jedną na biurku. Wytapiany w domowych warunkach łój syczał i skwierczał. W żółtawym blasku płomyka Fairfax zobaczył tapczan z cienką poduszką i pikowaną kołdrą, którą gospodyni uszyła pewnie księdzu w trakcie długich zimowych wieczorów. Wydawało mu się, że dalej w półmroku stoją regały zastawione książkami, papierami i bibelotami. Zasłony w oknach były już zasunięte.

– Mam nadzieję, że będzie tu księdzu wygodnie. Na górze są tylko dwie izby. Jedną zajmujemy Rose i ja, w drugiej leży ojciec Lacy. Jeśli ksiądz chce, możemy przestawić trumnę na podłogę.

– Nie, nie – odparł szybko. – Ta izba jak najbardziej mi odpowiada. Spędzę tu tylko jedną noc. – Siadł na tapczanie. Był twardy i w ogóle się nie ugiął. Fairfax uśmiechnął się. – Po takim dniu mógłbym zasnąć na stojąco. Bóg z tobą, pani Budd.

– I z tobą, ojciec.

Słyszał, jak zamyka frontowe drzwi, a potem wchodzi na górę po skrzypiących schodach. Przeszła dokładnie nad jego głową. Zmówił pacierz (*Oddaję się w Twoje ręce, Boże...*) i położył się spać. Minutę później usiadł z powrotem. Po wypiciu co najmniej kwarty mocnego księżowskiego piwa cisnął go pęcherz i musiał się natychmiast załatwić. Sięgnął pod tapczan w poszukiwaniu nocnika, ale znalazł tam tylko pajęczyny.

Ze świecą w ręce wyszedł na korytarz, zabrał stojące przy frontowych drzwiach buty i nie włożywszy ich, przeszedł przez bawialnię. W kuchni unosił się ciepły zapach pieczystego. Na półmiskach z poczęstunkiem, który gospodyni przygotowała na stypę, leżały muślinowe chusty. Fairfax usiadł na krześle przy tylnych drzwiach i wzuł buty.

Na zewnątrz panowały kompletne ciemności i cisza. Przyzwyczajony do wybijającego godziny dzwonu i świateł katedralnego miasta, do nocnych modlitw i szurania butów, do burd, które wszczynali na nabrzeżach ścigani przez szeryfów marynarze, poczuł, że kręci mu się niemal w głowie od takiej pustki – zupełnie jakby stanął na skraju wieczności.

A ziemia była niekształtna i próżna, i ciemność była nad przepaścią¹.

W tych warunkach nie było mowy, by sam znalazł wygodkę. Zrobił kilka niepewnych kroków, postawił świecznik na mokrej trawie, uniósł sutannę, ściągnął kalesony, rozstawił szeroko nogi i wysikał się tam, gdzie stał. Odgłos bijącej w ziemię mocnej strugi moczu słychać było chyba po drugiej stronie doliny, nie tylko na piętrze, gdzie, jak sobie wyobrażał, Agnes i Rose kulily się ze strachu. I tym razem mógł tylko postarać się nie wybuchnąć śmiechem.

Strząsnął ostatnie krople, doprowadził do porządku odzienie, podniósł z ziemi świecę i wrócił do drzwi. Deski, z których je zrobiono, wydawały się tak samo stare jak dom, ale założony w nich zamek był, podobnie jak ten we frontowych drzwiach, nowy. Jak wielu ludzi z miasta, Fairfax hołdował romantycznemu przekonaniu, że mieszkańcy wsi nigdy nie zamykają drzwi. Jak widać, nie dotyczyło to Addicott St George.

Wrócił do gabinetu, zdjął sutannę, położył się na tapczanie i natychmiast zasnął.

Jakiś czas później coś go obudziło. W pokoju było tak ciemno, że nie miało znaczenia, czy ma otwarte, czy zamknięte oczy. Wrażenie było przerażające, zupełnie jakby oślepl albo został żywcem zakopany. Uznał, że skoro wypaliła się świeca, musiało już upłynąć parę godzin i jak zwykle po pierwszym śnie zbudził go wewnętrzny zegar.

Wydawało mu się, że słyszy głos mężczyzny mamrocącego coś, czego nie był w stanie zrozumieć. Natężył słuch. Na chwilę zapadła cisza, potem głos odezwał się ponownie. Fairfax oparł się na łokciu. Usłyszał kolejny głos. Rozmawiali ze sobą dwaj mężczyźni – w potoczystym miejscowym dialekcie, niskim, niewyraźnym, śpiewnym, przypominającym brzęczenie pszczół. Stali tuż za jego oknem.

Wstał z tapczanu i przez chwilę próbował określić swoją pozycję. Dał krok do przodu i walnął kolanem o kant biurka. Stłumił cisnące mu się na usta przekleństwo, pomasował kolano, po czym zaczął obmacywać przed sobą ściany. W końcu natrafił na tkaninę. Wbił w nią palce, znalazł miejsce, gdzie rozdzielały się zasłony, przesunął dłońmi po zimnych romboidalnych szybkach, wymacał klamkę, otworzył okno i wystawił na zewnątrz głowę.

Rozmawiający ze sobą mężczyźni odeszli dalej. Trochę niżej, po prawej stronie, w mroku poruszały się dwa światelka. Domyślił się, że patrzy na alejkę, która biegła z plebanii do kościoła. Za dwoma latarniami widać było inne, nieruchome albo powoli się przemieszczające. Gdzieś daleko zaszczekał pies. Słysząc było turkot kół wózka.

Nad jego głową zatrzeszczały deski podłogi.

Zamknął okno i obmacując ściany, dotarł do drzwi. Agnes zeszła ze schodów w tym samym momencie, kiedy je otworzył. Trzymała w ręce świecę, włosy miała w papilotach. Na nocną koszulę zarzuciła płaszcz i na widok księdza szczelniej się nim otuliła.

– Och, ojciec Fairfax... ale mnie ojciec nastraszył!

– Która jest godzina, pani Budd? Co to za dziwne spacery po wiosce?

Gospodyni podniosła świecę do cyferblatu stojącego zegara.

– Druga w nocy, proszę księdza, tak jak zwykle.

– W Exeter między pierwszym i drugim snem nie wychodzimy z domostw. Tymczasem tutaj ludzie włóczą się po ulicach. A co z zakazem wychodzenia z domów? Czy ci ludzie nie boją się chłosty?

– Nikt tutaj nie przejmuje się zbyt zakazami.

Agnes Budd ani razu na niego nie spojrziała i zdał sobie sprawę, że ma na sobie tylko koszulę i kalessony.

– Przepraszam za niestosowne odzienie – powiedział, wycofując się do gabinetu – ale całe to włóczenie się po nocy... To dla mnie nowy zwyczaj. Czy mógłbym dostać nową świecę? Albo dwie, jeśli to możliwe?

– Niech ksiądz tu zaczeka, zaraz przyniosę. – Nadal odwracając głowę, przeszła obok niego do kuchni.

Fairfax odszukał w ciemności sutannę, włożył ją i zapiął drżącymi palcami kilka guzików.

– Oto świece dla księdza – powiedziała Agnes Budd, stawiając je w progu gabinetu.

Wziął obie, zamknął drzwi i postawił jedną na biurku. Zamiast oddać się jak zwykle nocnym medytacjom, postanowił poszukać pośród rzeczy księdza czegoś, co pomogłoby mu napisać mowę pogrzebową. A najlepiej poznać się charakter człowieka po książkach, które czyta. Zaczął sprawdzać zawartość półek.

Ojciec Lacy miał co najmniej sto książek, niektóre bardzo stare. Szczególnie dużo było tych, których uczeni autorzy poświęcili życie studiowaniu Apokalipsy. Fairfax przesuwając palcem po tytułach – *Upadek człowieka, Wielki potop Noego, Zniszczenie Sodomy i Gomory, Gniew Boży na Babilon, Dziesięć plag egipskich, Szarańcza z otchłani, Jezioro ognia...* Jakim musiał być ponurym człowiekiem, pomyślał. Nic dziwnego, że okoliczni kapłani starali się go unikać.

Wyjął tom zatytułowany *Siedem czasz gniewu Bożego: Studia nad rozdziałem 16 Objawienia świętego Jana*, otworzył go i jego wzrok padł na znany ustęp:

I zgromadził ich na miejsce, które zowią po żydowsku Armageddon.

Tedy wylał siódmy Anioł czaszę swoją na powietrze; i wyszedł głos wielki z kościoła niebieskiego od stolicy, mówiący: Stało się.

I stały się głosy i gromy, i błyskawice; i stało się wielkie trzęsienie ziemi, jakiego nigdy nie było, jako są ludzie na ziemi, trzęsienia ziemi tak wielkiego.

I stało się ono miasto wielkie na trzy części rozerwane, i miasta narodów upadły².

Zamknął książkę i odstawił ją na półkę. Kolekcja takich dzieł pasowałaby bardziej do biblioteki biskupa; ich obecność w zabitej deskami wiosce wydała mu się co najmniej dziwna.

Ponownie wziął do ręki świecę i podszedł do drugiego regału, gdzie jego wzrok przyciągnęła natychmiast półka wypełniona niewielkimi tomikami oprawnymi w jasnobrązową skórę. Zbliżył płomień świecy do ich grzbietów opatrzonych wspólnym tytułem: *Protokoły i dokumenty Towarzystwa Antykwarycznego* – i w tym momencie całkowicie wybudził się ze snu, bo choć w czasie procesów, jakie wytoczono Towarzystwu, był jeszcze chłopcem, natychmiast rozpoznał tę nazwę. Organizację uznano za nielegalną, jej kierownictwo aresztowano, a wszystkie publikacje skonfiskowano i publicznie spalono. Samo słowo „antykwariusz” stało się odtąd zakazane. Pamiętał, jak księża z seminarium palili książki w samym centrum Exeter. Działo się to w środku zimy i mieszkańcy miasta podziwiali zarówno wysokość płomieni, jak i religijną żarliwość tych, którzy je podsycali. A mimo to, jak widać, dokumenty towarzystwa ocalały – i to akurat w miejscu tak mało znaczącym jak Addicott St George!

Przez dłuższą chwilę Fairfax wpatrywał się z konsternacją w książki na półce. Dziewiętnaście tomów z małą luką w miejscu, gdzie został wyjęty dwudziesty. Jakie to miało znaczenie dla jego misji? Lacy był heretykiem; Fairfax nie miał co do tego żadnej

wątpliwości. Czy wiedząc o tym, mógł go pogrzebać w poświęconej ziemi? Czy nie bacząc na stan zwłok, nie powinien odłożyć pogrzebu na później i spróbować skonsultować się z biskupem?

Rozważył starannie wszystkie za i przeciw. Był człowiekiem praktycznym. Nie podzielał fanatyzmu swoich młodszych kolegów z potarganymi brodami i dzikim wzrokiem, którzy potrafili wytropić bluźnierstwo tak samo łatwo, jak świniom udaje się wywęszyć trufle. Poinstruowano go, by załatwił sprawę szybko i taktownie. Dlatego też lepiej było postępować zgodnie z planem i udawać, że o niczym nie wie. Nikt nie zdoła udowodnić, że było inaczej, a jeśli okaże się to konieczne, może zawsze wypowiedzieć się później przed Bogiem i biskupem.

Rozstrzygnąwszy tak oto tę kwestię, kontynuował inspekcję gabinetu. Dwie kolejne półki poświęcone były tej samej perwersji. Zauważył monografie na temat miejsc pochówku, artefaktów, inskrypcji i pomników. Zdumiewało go, że stary ksiądz trzymał to wszystko na widoku. Tak jakby ta dolina, z jej wyjątkowym położeniem i lekceważeniem nocnych zakazów, leżała gdzieś poza czasem i obowiązującym prawem. Był tam również gruby tom na temat angielskich ruin, zatytułowany *Antiquis Anglia*, autorstwa doktora Nicholasa Shadwella, prezesa Towarzystwa Antykwarycznego. Przesuwając szybko świecę wzdłuż tytułów, walczył z pokusą, by im się dokładniej przyjrzeć. W końcu podszedł do stojącej w kącie serwantki.

Sięgała mu do piersi i miała z przodu oszklone drzwiczki – zorientował się, że musiało to być bardzo stare szkło, bo mimo pęknięcia w górnym prawym rogu było całkowicie przejrzyste i gładkie, pozbawione skaz, których nie udało się teraz wyeliminować w procesie produkcji. Półki w środku również sporządzono z najwyższej jakości szkła i gdy zbliżył do nich płomień świecy, zgromadzone tam przedmioty wydawały się unosić jakimś cudem w powietrzu. Posiadanie tego wszystkiego było zabronione i niezgodne z prawem. Były tam monety i plastikowe banknoty z ery elżbietańskiej, klucze, złote pierścienie, pióra, wyroby ze szkła, upamiętniająca królewski ślub tabliczka, wąskie metalowe zbiorniczki, wiązka plastikowych słomek, plastikowy kocyk z wyblakłymi obrazkami bocianów trzymających w dziobach kosze z niemowlętami, białe plastikowe sztucce, najprzeróżniejszych kształtów i rozmiarów plastikowe butelki, idealnie do siebie dopasowane plastikowe dziecinne klocki w jaskrawych żółtych i czerwonych barwach, szpula plastikowej zielonkawej rybackiej żyłki, plastikowa lalka cielistego koloru z wydłubanymi oczami, a na najwyższej półce coś, co stanowiło najwyraźniej ozdobę kolekcji: jedno z urządzeń, którymi starożytni komunikowali się ze sobą.

Fairfax widział wcześniej ich fragmenty, ale nigdy nie trafił na tak doskonale zachowany egzemplarz. Coś go do niego ciągnęło i tym razem nie zdołał się powstrzymać: otworzył drzwiczki serwantki i wyjął urządzenie. Było cieńsze od jego małego palca, mniejsze od jego dłoni, czarne, gładkie i błyszczące, zrobione z plastiku i szkła. Kiedy wziął je do ręki, wydało się całkiem ciężkie, przyjemnie rzeczywiste. Zastanawiał się, do kogo

kiedyś należało i jak stary ksiądz wszedł w jego posiadanie. Jakie obrazy mogło kiedyś pokazywać? Jakie wydobywały się z niego dźwięki? Wcisnął przycisk z przodu, jakby urządzenie mogło cudownym sposobem się włączyć, ale szklista powierzchnia była nadal czarna i martwa i zobaczył w niej tylko odbicie własnej twarzy, upiorne w blasku świecy. Obrócił urządzenie i spojrział na słynny symbol pychy i świętokradczej natury starożytnych – nadgryzione jabłko.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Środa, 10 kwietnia: zaskakujący incydent na pogrzebie

Zgasił świece, położył się na łóżku i podciągnął pikowaną kołdrę pod samą brodę. W ciemności łatwiej było mu wyprzeć z pamięci dowody herezji starego księdza. A poza tym był tak zmęczony, że choć bulwersowało go wiele spraw, już wkrótce poczuł, że twardy tapczan zapada się w otchłań, i jego oddech stał się głęboki i regularny.

Tym razem przyśniło mu się więcej rzeczy niż w pierwszej fazie snu, choć później nie pamiętał niczego poza ostatnią wizją, powtarzającym się koszmarem, który zaczął go dręczyć krótko po tym, jak jego rodzice i siostra zmarli na angielskie poty i zamieszkał u starego wuja. W tym śnie szedł bosy przez dziwną okolicę, szukając jakiejś konkretnej ulicy, pewnego domu, pewnych znanych mu drzwi. I dopiero gdy po kilku godzinach go odnajdywał – nędzny, obskurny budynek w ubogiej dzielnicy – wyłamywał zamek i potykał się na progu, widział przed sobą znów swoją rodzinę. W milczeniu wyciągali do niego ręce i w tym momencie zawsze się budził.

Zamrugnął powiekami. Pokój wypełniało szare światło świtu. Czując nagły niepokój, obrócił głowę i spojrzał na stojącą w półmroku szklaną serwantkę z unoszącymi się w niej przedmiotami. Przypomniał sobie swoje nocne odkrycia.

Odrzucił kołdrę, ukląkł przy tapczanie i złożył dłonie do modlitwy; ścisnął je tak mocno, aż pobielaly mu kłykcie. *Drogi Ojcze, dziękuję, że pozwoliłeś mi oglądać kolejny dzień. Daj mi siłę, błagam, bym mógł się oprzeć pokusom, i pobożność, bym mógł głosić Twoją chwałę dzisiaj i po kres moich dni. Amen.*

Starając się nie patrzeć na półki z książkami i serwantkę, wstał, rozsunął zasłony i otworzył małe okno. Powietrze było zimne, wilgotne, nieruchome; nic nie zakłócało ciszy. Przy końcu alejki widział kościół z wiszącą mokrą flagą, a dalej wioskę, zielone, upstrzone białymi kropkami owiec zbocza doliny i nisko wiszące burzowe chmury.

Na stoliku przy parapecie stały zostawiony dla niego dzbanek z wodą, a także miednica, małe lustro, ręcznik i kostka staroświeckiego, śmierdzącego potażem czarnego mydła. Nie mógł się zmusić, by go użyć – jego chemiczny zapach, którego nie sposób było się potem pozbyć przez cały dzień, za bardzo przypominał mu chłodne poranki w seminarium, kiedy drząc z zimna, stał w samej bieliźnie w kolejce do pompy.

Spryskał twarz chłodną wodą, przeczesał mokrymi palcami brodę i włosy i przejrzał się w lusterku. Wzorem innych księży zapuścił jakiś czas temu brodę, która podobnie jak jego włosy była ciemna i gęsta. Zgodnie z panującą modą przycinał ją starannie w kwadrat, mimo to najwyraźniej nie dodawała mu powagi i autorytetu. Jego twarz, po zimie

spędzonej w większości we wnętrzu katedry, była zbyt blada. W oczach było za dużo młodzieńczej gorliwości. Przeglądając się w lusterku, spróbował zmarszczyć czoło, ale uznał, że wygląda wtedy po prostu śmiesznie.

Zegar w korytarzu pokazywał dopiero siódmą. Z kuchni dochodził szczepek garnków.

– Dzień dobry! – zawołał i wszedł do bawialni, gdzie czekał już nakryty dla niego do śniadania stół. Przez okno widać było polną drogę, będącą jednocześnie główną ulicą wioski. Jakaś kobieta dźwigała ostrożnie na głowie ciężki dzban, który napełniła przy gminnej studni. Mężczyzna w fartuchu prowadził muła. Przywitali się ze sobą i razem ruszyli dalej. Fairfax patrzył za nimi, aż zniknęli z pola widzenia.

Usłyszał za sobą jakiś hałas i odwracając się, zobaczył młodą kobietę stawiającą talerz na stole. Nie usłyszał, jak wchodziła. Nie wiadomo czemu, wyobrażał sobie siostrzenicę pani Budd jako prostą wiejską dziewczuchę. Ujrzał tymczasem szczupłą dziewczynę, z bladą owalną twarzą, dużymi błękitnymi oczami i gęstymi czarnymi włosami, związanymi niebieską wstążką, co podkreślało jej delikatną szyję. Czarna, z racji żałoby, suknia dodatkowo podkreślała jej urodę.

– Dzień dobry. To ty pewnie jesteś Rose. Cóż za piękny widok w ten ponury dzień! – odezwał się pogodnym tonem po chwili zakłopotania, ale chyba za długo się w nią wpatrywał, bo odwróciła się i uciekła bez słowa.

Kiedy stało się jasne, że dziewczyna nie wróci, usiadł przy stole i spojrzał z żalem na zimną baraninę i ser na talerzu. Na tym polegała jego tragedia: był obdarzony gorącym temperamentem, dla którego nie znajdował ujścia. W rezultacie nie miał żadnego doświadczenia z kobietami i nie wiedział, jak z nimi postępować. W katedrze obracał się wyłącznie w męskim towarzystwie; pierwszym nałożonym na kler wymogiem było życie w czystości. Nie mógł zaprzeczyć przed samym sobą, że doskwiera mu celibat, ale starał się go przestrzegać i nigdy nie przyszło mu do głowy, by go kwestionować. A przecież powiadano, że w Anglii przed Apokalipsą większość duchownych była żonata, a w ostatnich poprzedzających ją dekadach kobietom zezwolono nawet na udzielanie świętej komunii! Z pewnością była to jedna z owych bluźnierczych praktyk, które sprowadziły na świat gniew Boży.

Drzwi ponownie się otworzyły. Fairfax obrócił się z nadzieją, że zatrze pierwsze złe wrażenie, ale to była Agnes z dzbankiem herbaty.

– Dzień dobry, ojcze.

– Dzień dobry, pani Budd.

– Napije się ksiądz herbaty? Ojciec Lacy lubił kornwalijską, ale mamy również herbatę z Highlands, jeśli ksiądz woli.

– Może być kornwalijska. – Patrzył, jak kobieta ostrożnie nalewa ją do czarki, w jednej ręce dzierżąc ucho dzbanka, a drugą przytrzymując pokrywkę. – Obawiam się, że wystraszyłem pani siostrzenicę.

– Och, niech się ksiądz nią nie przejmuje. Jest nieśmiała jak sarna.

– Tak czy owak, chciałbym z nią chwilę porozmawiać – dodał. – Na temat jej niefortunnie odmienionej sytuacji.

– Niestety, raczej się to księdzu nie uda.

– A to dlaczego?

– Rose nie mówi.

– Jak to? W ogóle?

– Po prostu taka się urodziła.

Fairfax zdał sobie jeszcze mocniej sprawę z własnej niezręczności.

– Przykro mi to słyszeć – mruknął.

– Wola boska, proszę księdza.

– Ile ona ma lat?

– Osiemnaście.

Po wyjściu Agnes wziął w dłonie czarkę z herbatą i próbował sobie wyobrazić, co stanie się z biedną dziewczyną, kiedy każą jej się stąd wynieść. Czy wróci do swojej rodziny? Czy ją w ogóle przyjmą, zważywszy, że jest niema i mimo niewątpliwej urody trudno ją będzie wydać za mąż? Może powinien jednak zapytać biskupa, czy jest jakaś szansa, by objął tutejsze probostwo. Wyobraził sobie, jak mieszkają razem na plebanii. Traktując dziewczynę łagodnie, mógł zdobyć jej zaufanie. W długie zimowe wieczory nauczyłby ją nawet przewycięzać tę przykrą przypadłość. I walcząc codziennie z pokusą, zbliżyłby się jeszcze bardziej do Boga. Czy życie tutaj byłoby naprawdę takie złe?

Dopijając herbatę, Fairfax był już niemal przekonany, że w jego życiu mógłby się dokonać ten nieprawdopodobny – zaiste autodestrukcyjny – zwrot. Zdał sobie sprawę, że śniadanie zaczyna mu nawet smakować.

* * *

Zabrał z gabinetu swoją torbę, zamknął za sobą dokładnie drzwi i wrócił do bawialni, by skończyć pisać mowę. Po tym, co odkrył między swoim pierwszym i drugim snem, stało się to jeszcze trudniejsze i przez następne dwie godziny starał się pogodzić naukę Kościoła z tym, co wiedział teraz o ojcu Lacym. Chuchał w dłonie, by je ogrzać. Po raz kolejny zapalił fajkę. Co jakiś czas odrywał się od pisania i wyglądał przez okno. Nie robiło się wcale jaśniej. Wprost przeciwnie, wydawało mu się, że się ściemnia. W końcu zaczęło padać – i nie była to mglista mżawka jak poprzedniego dnia, ale prawdziwa ulewa. Woda bębniła o dach i spływała kaskadami z rynien.

Przez cały ranek Agnes Budd nosiła potrawy do kościoła. W końcu przysła do księdza ze świecą. Z oddali dobiegł nagle głuchy łoskot, który przetoczył się przez całą dolinę. Fairfax podniósł wzrok.

– To piorun? – spytał.

– Nie ma pioruna bez błyskawicy, proszę księdza. Wysadzają skały w kamieniołomie.

– Nawet przy takiej pogodzie?

Nie odpowiedziała. Jej uwagę zwróciło coś, co zobaczyła za oknem. Z kościoła wyszło przez boczne drzwi pięciu zakapturzonych mężczyzn, chylących głowy przed deszczem. Czterech stąpało niezręcznie w ciemnych niedzielnych strojach, piąty miał na sobie czerwoną komżę zakrystiana. Przeszli szybko przez ulicę, zmierzając w stronę plebanii.

– Już po niego idą – odezwała się cicho gospodyni. – Zaraz się zaczniesz.

Podeszła do frontowych drzwi, by wpuścić mężczyzn. Fairfax usłyszał ich głosy – przyciszone i pełne szacunku – i tupanie butami w kamienną podłogę, by strząsnąć z nich błoto. Na schodach zadudniły kroki. Pani Budd pojawiła się znów w progu wraz z odzianą na czerwono postacią. Fairfax wstał.

– To George Keefer, ojciec. Nasz zakrystian – powiedziała, odsuwając się, by Keefer mógł wejść do środka.

Widząc łysą głowę i znamię w kształcie sierpu, Fairfax natychmiast go rozpoznał. Zakrystian wyciągnął do niego rękę.

– A więc znalazł nas ojciec – mruknął.

– Najwyraźniej. – Fairfax uścisnął jego wilgotną tłustą dłoń.

Agnes Budd spojrzała na nich zaskoczona.

– Znać się?

– Spotkaliśmy się wczoraj na drodze – wyjaśnił Fairfax.

– Przeprowadziłbym tu księdza osobiście, ale musiałem zawieźć wełnę do przędzalni jeszcze przed zapadnięciem zmroku – wyjaśnił zakrystian. Z góry dobiegło ich stukanie młotków. Keefer zerknął w stronę sufitu. – Kazałem zabić wieko trumny. Ojciec Lacy leżał tu przez cały tydzień. Ci, którzy chcieli mu złożyć uszanowanie, zdążyli już to zrobić. Żle zrobiłem, Agnes?

– To ty jesteś tu zakrystianem, George – odparła chłodno.

Łysina Keefera sprawiała, że trudno było odgadnąć jego wiek. Na pewno był młodszy, niż na to wyglądał. Mógł mieć ze dwadzieścia pięć lat. Tak czy owak, księdzu nie podobało się jego nastawienie i miał ochotę zmyć mu głowę za obcesowe zachowanie poprzedniego dnia, zwłaszcza że Keefer był zakrystianem, a on wyświęconym kapłanem. Musiał zdawać sobie sprawę, że Fairfax jedzie do wioski, by pogrzebać ojca Lacy'ego. Stłumiony stukot młotków przypomniał księdzu jednak, że jego urażona godność nie jest w tej chwili najważniejsza. Miał na głowie ważniejsze rzeczy.

– Cóż, sądzę, że powinniśmy zacząć nabożeństwo, panie Keefer – powiedział, zaglądając do swoich notatek. – Jeśli chodzi o hymny, wybrałem *Zrodzon z Ojcowskiego łona* i *Warownym grodem jest nasz Bóg*. Chyba że ojciec Lacy miał swoją ulubioną pieśń.

Keefer wzruszył ramionami.

– Nie wiem, czy jakąś miał.

– W takim razie sprawa jest postanowiona. Co do czytania, wybrałem fragment Pierwszego Listu do Koryntian: *Nie wszyscyć zaśniemy, ale wszyscy przemienieni będziemy*³.

Jest tradycyjny i pasuje do okazji.

– Jak ksiądz sobie życzy.

– Kto go przeczyta?

Keefer podrapał się po głowie.

– Na nabożeństwie będzie pewnie lady Durston. Durstonowie tradycyjnie siadają w pierwszej ławce. Znała proboszcza tak jak wszyscy.

– Dobrze, więc poproś lady Durston. Czy ktoś jeszcze będzie chciał coś powiedzieć?

– Nie jesteśmy ludźmi, którzy by się wyrywali do głosu.

Ich rozmowę przerwało powolne żałobne bicie dzwonu. Jeśli istniał w chrześcijaństwie dźwięk bardziej posępny od podzwonnego, Fairfax miał nadzieję, że nie będzie mu dane go usłyszeć. Między poszczególnymi stłumionymi uderzeniami zalegała trwająca dłuższą chwilę cisza, a potem dzwon wzywający umarłych odzywał się ponownie – uporczywy, nieunikniony, nieubłagany.

– Którą mamy godzinę, pani Budd? – zapytał Fairfax.

Zerknęła przez ramię w stronę korytarza.

– Za kwadrans jedenasta, ojciec.

– Czas zaczynać. Zostawcie mnie, proszę.

Kiedy wyszli z bawialni, Fairfax otworzył swoją torbę i wyjął z niej szaty liturgiczne. Naciągnął przez głowę białą albę i wygładził ją aż do kostek. Na ramiona narzucił zielono-złoty ornat. Rozwinął stułę, ucałował ją i zawiesił sobie na szyi. Wyświęcono go zaledwie parę miesięcy wcześniej, w dniu świętego Michała Archanioła, i starał się za wszelką cenę powściągnąć zdenerwowanie. Jeśli nie potrafi odprawić prostego nabożeństwa w tej zabitej deskami wiosce, jaka czeka go przyszłość w kapłaństwie? Wziął swój modlitewnik, Biblię i notatki i wyszedł na korytarz.

Żałobnicy starali się znieść po wąskich schodach trumnę, którą musieli opuścić niemal pionowo w dół. Obijała się o ściany i balustradę i wyglądało na to, że jej wieko lada chwila się otworzy i stary ksiądz wypadnie w tumanie trocin na schody. Agnes Budd stała trochę dalej w głębi korytarza, zasłaniając usta dłonią. Za nią była Rose. Obie włożyły czarne czepki.

Fairfax precyzyjnie się obok próbującego nadzorować całą operację Keefera, wspiął się do połowy schodów i złapał za skraj trumny.

– Z której strony jest głowa? – zapytał. – Głowa musi wyjść pierwsza.

Kiedy trumnę udało się ustabilizować – dwaj stojący na najniższym schodku mężczyźni trzymali ją z tyłu, dwaj inni z przodu – puścił ją i otworzył drzwi.

Pomodliwszy się do Boga, by natchnął go Duch Święty – w tym momencie bowiem w ogóle nie odczuwał Jego obecności – wyszedł prosto w strugi ulewy. Na trzy cztery żałobnicy podnieśli trumnę na ramiona i ruszyli chwiejnym krokiem w ślad za Fairfaxem. Za nimi szedł Keefer, dalej Rose i jej ciotka, która zamknęła za sobą drzwi, i cały ten niewielki kondukt kroczył powoli ogrodową alejką, omijając błoto i kałuże i zmierzając

w stronę cmentarnej bramy. Fairfax zobaczył dwa konie uwiązane do wbitych w mur haków; w pobliżu stała dwukółka z kucykiem i zaprzężony w muły kryty furgon. Dzwon bił dalej. Szaty Fairfaxesa łopotały niczym żagiel na wietrze. Miał wrażenie, że porwał go prąd i rozpaczliwie stara się dopłynąć z powrotem do brzegu.

Przeszli pod bramą między ociekającymi wodą kamieniami, minęli świeżo wykopany grób i w końcu stanęli pod chroniącym ich przed deszczem portykiem. Mężczyźni poprawili trumnę na ramionach i przez otwarte drzwi zeszli po zapadniętym po stuleciach używania stopniu do środka małego kościoła. Fairfaxesa powitały chłód i szarawy półmrok, zakłócana z rzadka czymś kaszlem cisza, mnogość świec palących się na obrzeżach jego pola widzenia i różne słabe zapachy – wosku, kadzidła, mokrych ubrań i potu. Ruszył w stronę ołtarza i otworzył modlitewnik. Wierni wstali.

Kilka stuleci wcześniej, w ramach walki ze scjentyzmem, Kościół wyrzekł się heretyckich zmodernizowanych tekstów z epoki przed Apokalipsą i powrócił w liturgii do języka Biblii Króla Jakuba. Jej dwanaście tysięcy słów stało się podstawą Uwierzytelnionego Słownika Narodowego – i choć do użycia weszło tymczasem sporo innych wyrazów, w szkołach uczono wyłącznie biblijnego leksykonu. To był język angielski, jakim Bóg chciał, by mówiono – bogaty, majestatyczny, pozbawiony wszelkich określeń, które nasuwałyby myśl o nauce – i to on właśnie zabrzmiał owego ranka w St George, dokładnie tak jak to się działo w dawnych czasach przed Upadkiem.

I rzekł jej Jezus: Jam jest zmartwychwstanie i żywot; kto w mię wierzy, choćby też umarł, żyć będzie⁴.

Fairfax miał silny, dobrze ustawiony głos. Był świadom, że ludzie mierzyli go wzrokiem, gdy przechodził. W słabym świetle trudno było odczytać mały druk, ale nie miało to znaczenia. Życie ludzkie było krótkie, pogrzeby – częste. Znał słowa liturgii na pamięć.

Albowiem niceśmy nie przynieśli na ten świat, bez pochyby że też wynieść nic nie możemy⁵. Pan dał, Pan też wziął, niech będzie imię Pańskie błogosławione⁶.

Stanął przy ołtarzu i odwrócił się. Nawa była wąska, w niszach wzdłuż ścian stały figury świętych – było ich zaskakująco dużo jak na tak mały kościół. Wotywnie świece pod rzeźbionymi w drewnie posągami migotały w półmroku niczym gwiazdy. Żałobnicy zatrzymali się przy stojących przed ołtarzem kozłach, złożyli na nich ostrożnie trumnę i skłonili się. Keefer, który wraz z Agnes Budd i Rose zajął miejsce w drugiej ławce, nachylił się z szacunkiem do siedzącej przed nim kobiety i szepnął jej coś do ucha, a ta pokiwała głową i zaczęła kartkować swoją Biblię.

Fairfax uniósł ręce.

– Módlmy się.

Wierni uklękli.

– *Panie! tyś bywał ucieczką naszą od narodu do narodu. Pierwej niżli góry stanęły i niżliś wykształtował ziemię, i okrąg świata, oto zaraz od wieku aż na wieki tyś jest Bogiem. Ty*

znowu człowieka w proch obracasz, a mówisz: Nawróćcie się synowie ludzcy. Albowiem tysiąc lat przed oczyma twymi są jako dzień wczorajszy, który przeminął, i jako straż nocna⁷.

Pod koniec modlitwy, ku zaskoczeniu Fairfaxa, to Rose wstała z miejsca i minąwszy go, podeszła do organów. Gdzieś za nim zaskrzypiały i zaklekotały niewidoczne miechy. Dziewczyna zagrała pierwsze nuty z delikatnością i precyzją, po czym przerwała. Zaszeleściły kartki śpiewników i pod sklepienia popłynęła starodawna pieśń.

*Zrodzon z Ojcowskiego łona
Nim początek wziął swój świat,
On jest alfa i omega,
On jest źródłem, kresem on...*

Śpiewając, Fairfax wodził wzrokiem po zgromadzeniu. Mimo paskudnej pogody w kościele stawilo się, by oddać cześć zmarłemu, ponad stu ludzi – chudych, steranych życiem, ogorzałych od słońca i deszczu wieśniaków w nędznym odzieniu i ze szpetnymi skazami świadczącymi o trudnych porodach, ciężkiej pracy i lichej diecie. Mimo to ich głosy brzmiały melodyjnie i równo. Deszcz bębnił po dachu świątyni.

Pod koniec hymnu Fairfax skinął głową siedzącej w pierwszym rzędzie kobiecie, domyślając się, że to jest lady Durston, a ona wstała z ławki, trzymając w ręce Biblię. Jako jedyna wydawała się tutaj osobą z innych sfer. Poznał to od razu po tym, jak się nosiła i w co była ubrana: szyty na miarę żakiet oraz ciemnozieloną aksamitną spódnicę do kostek, obie rzeczy nieco znoszone i spłowiałe, ale bez wątplenia drogie i w swoim czasie modne. Rudokasztanowe włosy skryła pod aksamitnym czepkiem tego samego koloru. Stała śmiało na ambonie, przez chwilę się koncentrowała i zaczęła czytać:

– Oto ja tajemnicę wam powiadam; nie wszyscy zaśniemy, ale wszyscy przemienieni będziemy, bardzo prędko w okamgnieniu, na trąbę ostateczną. Albowiem zatrąbi, a umarli wzbudzeni będą nieskazitelni, a my będziemy przemienieni⁸.

Odczytała fragment bezbłędnie, czystym przyjemnym głosem, i wróciła na swoje miejsce. Siedzący obok niej mężczyzna – zapewne mąż – poklepał ją z aprobatą po dłoni w rękawiczce. Fairfax wszedł po kilku schodkach na ambonę i położył notatki na pulpicie.

– Zebraliśmy się tu dziś, moi drodzy, żeby pożegnać ojca Thomasa Jamesa Lacy’ego, którego zły los zabrał w wieku pięćdziesięciu sześciu wiosen...

– Zły los?! – powtórzył głośno i drwiąco ktoś z tyłu.

Fairfax przerwał i podniósł wzrok, by zobaczyć, kto mu przeszkadza. Ludzie poruszyli się w ławkach i zaczęli oglądać się za siebie. Rozległy się pomruki irytacji. Kilka osób kazało mężczyźnie zamilknąć.

– Żegnamy ojca Lacy’ego, którego zły los zabrał w wieku... – spróbował ponownie Fairfax.

– Nazywanie tego „złym losem” to łgarstwo! Koniec kropka! – Sądząc po akcencie, mężczyzna był osobą wykształconą. Mówił donośnym, choć nieco piskliwym, znamionującym podeszły wiek głosem. – Nie, nie zmilczę! – zwrócił się gniewnie do kogoś w pobliżu. – To wy wszyscy powinniście umilknąć i otworzyć oczy na prawdę!

Ludzie zaczęli mówić jeden przez drugiego. Fairfax poczuł, jak krew dudni mu w uszach.

– Drodzy moi, proszę, uszanujcie powagę tej chwili – zaczął, ale jego głos utonął w zgiełku.

Mężczyzna siedzący obok lady Durston rzucił nagle na ławkę śpiewnik i zerwał się z miejsca. Jego ogorzała, czerwona jak cegła twarz i nieproporcjonalne w stosunku do reszty ciała muskularne ramiona i kark przywodziły Fairfaxowi na myśl Minotaura. Kiedy ruszył środkiem nawy w stronę wejścia, w kościele zapadła cisza. Dotarłszy do mężczyzny zakłócającego spójność, nachylił się i powiedział mu coś dobitnie i cicho. Jego barczyste plecy zasłaniały Fairfaxowi widok. Usłyszał szuranie czyichś stóp. Po chwili dwie postaci przeszły przez pogrążoną w mroku tylną część kościoła. Drzwi otworzyły się i zamknęły. Towarzysz lady Durston popatrzył w ślad za nimi ze skrzyżowanymi na piersi rękami, a potem opuścił je, odwrócił się i pomaszerował z powrotem środkiem nawy. Wziął do ręki śpiewnik, usiadł i dał znak księdzu, by mówił dalej.

Fairfax kontynuował przemowę:

– Jego śmierć przypomina nam, że Pan może w każdej chwili wezwać nas na swój sąd. *Nauczże nas obliczać dni naszych, abysmy przywiedli serce do mądrości*⁹.

Mówił o świętości Bożej posługi, o tym, ile warta jest długa i cicha służba w jednym miejscu, o pasterzu i jego owczarni, rozprawiał o różnych innych cnotach, a kiedy mowa dobiegła końca, zdał sobie sprawę, że zacisnął palce na pulpicie tak mocno, że upodobniły się do pazurów gryfa. Zszedł z ambony i zaintonował kolejny hymn. Wydawało mu się, że ludzie śpiewają ze szczególną determinacją, jakby chcieli dać wyraz dezaprobacie wobec intruza. Kiedy umilkli, trumna znalazła się z powrotem na ramionach grabarzy i Fairfax wyprowadził kondukt z kościoła. Poszukał wzrokiem mężczyzny, który zakłócił nabożeństwo, ale na dziedzińcu zobaczył tylko kościelnego i jego syna.

Deszcz nadal padał, nieubłagany i lodowaty jak śmierć. Jego krople rozpryskiwały się na kartkach modlitewnika. Wokół otwartego grobu rozłożono deski, spod których, gdy na nich stanął, wypłynęło błoto. Na dnie dołu gromadziła się woda spływająca ze stosu wykopanej ziemi i Fairfax, obawiając się, że jeśli będą dłużej zwlekać, trumna uniesie się na niej jak łódka, zdecydował, że zacznie odmawiać modlitwy, nim do miejsca pochówku dotrą ostatni żałobnicy.

– *Człowiek, narodzony z niewiasty, dni krótkich jest, i pełen kłopotów; Wyrasta jako kwiat, i bywa podcięty, a ucieka jako cień, i nie ostoi się*¹⁰.

Pomocnicy grabarza postawili trumnę na dwóch taśmach, przesunęli ją powoli tak, że zawisła nad otwartym grobem, i luzując taśmy, zaczęli opuszczać ją w dół. W pewnym

momencie, kiedy była mniej więcej w połowie drogi, jeden z nich poluzował mokrą taśmę zbyt szybko, ta wyślizgnęła mu się z dłoni i trumna przechyliła się i wylądowała z pluskiem na dnie dołu. Gdyby to nie on był odpowiedzialny za ceremonię, Fairfax musiałby chyba przyznać, że cała scena nie była pozbawiona pewnego upiornego humoru.

Żałobnicy przedefilowali przed grobem, każdy z garścią ziemi, którą ciskał w dół. Lady Durston przystanęła tam najdłużej. Zdjęła zieloną rękawiczkę z cielejącej skóry, nie zważając na brud, nabrała w dłoń kredowej ziemi i patrzyła, jak sypie się pomiędzy jej smukłych palców na wieko trumny. Przez chwilę stała jeszcze pogrążona w zadumie, a potem uniosła skraj spódnicy i zrobiła krok do tyłu.

– Jako że wszechmogący Bóg w swoim wielkim miłosierdziu powołał do siebie duszę naszego zmarłego brata, powierzamy niniejszym jego ciało ziemi. Z prochu powstałeś, w proch się obrócisz; z pewną nadzieją na zmartwychwstanie do życia wiecznego, przez Chrystusa Pana Naszego...

Fairfax odmówił czym prędzej Modlitwę Pańską oraz kolektę. W chwili gdy zaintonował błogosławieństwo, większość ludzi, nie zważając na pozory przyzwoitości, zdążyła się już schronić pod dachem. Kiedy tylko zamknął modlitewnik, kościelny i jego syn zaczęli zasypywać łopatami grób; robili to tak szybko, że w niecały kwadrans ziemskie szczątki ojca Lacy'ego zniknęły, dołączając do milionów innych kości, które spoczywały w starożytnej ziemi Wessex od tysiąca lub więcej lat i póki żył, wzywały go do siebie tak uporczywie.

ROZDZIAŁ PIĄTY

W którym plany Fairfaxes biorą w łeb

Stypa odbyła się w krytym strzechą piętrowym budynku, który należał do parafii i stał po przeciwnej stronie cmentarza niż plebania. Kościelna gospoda, jak ją nazywano, miała podobnie jak dom księdza wiele setek lat i przechylała się na bok – jej zapadająca się od południowej strony ściana, która stanowiła mozaikę starożytnego żółtego kamienia, bladego cementu i współczesnej cegły, była podparta drewnianymi szkarpami, a cały budynek oplatały ciemnozielone jęzory bluszczu. A mimo to on również wydawał się solidny, jakby w końcu dobrze się tu usadowił i miał zamiar przetrwać jeszcze wiele stuleci.

W otwartym palenisku płonęły wielkie drewniane szczapy. Obok stał żelazny rożen, dość duży, by w świąteczny dzień upiec na nim całą świnię. W sali było duszno i głośno. Żałobnicy tłoczyli się wokół ognia, by się osuszyć. Wielu paliło gliniane fajki. Unoszący się z nich dym mieszał się z parą z mokrych ubrań. Agnes i Rose krzątały się nad ustawionym na kozłach stołem, odsłaniając półmiski z jedzeniem. Pod blatem bawiły się dzieci. Kolejka składająca się w większości z mężczyzn i kilku kobiet stała z cynowymi kubkami, czekając na piwo i cydr rozlewane z beczek.

Fairfax obserwował to wszystko z progu drzwi. Wypatrywał Keefera. Przed wyjazdem musiał załatwić pewne formalności – wypełnić odpowiednie rubryki w księgach i złożyć podpis przy świadku – a to wymagało obecności zakrystiana. Potem mógł ruszać w drogę. Pogoda była fatalna, ale nie przejmował się tym specjalnie: był młody i sprawny i nie bał się, że przemoknie. Bardziej niż kiedykolwiek chciał dotrzeć do Axford jeszcze przed zmierzchem.

Nie widząc Keefera, wszedł do środka i dopiero teraz dostrzeżono jego obecność. Rozmowy przycichły, jakby ludzie zawstydzili się swej beztroski. Twarze oblekły się powagą, głowy pochyliły w powitaniu.

– Ojciec.

– Ojciec.

– To było piękne nabożeństwo, ojciec.

– *Jakie jest jabłko złote z wyrzeźbieniem srebrnym, takie jest słowo do rzeczy powiedziane*¹¹.

– Dziękuję. Bóg zapłać. – Starał się pozdrowić wszystkich jednym uprzejmym skinieniem głowy. – Mój ksiądz biskup chciał, bym przekazał wam wyrazy współczucia

z powodu straty tak długo sprawującego posługę plebana. Niechaj odpoczywa w pokoju, na który sobie zasłużył.

– Amen.

– Święte słowa.

Fairfax przeżegnał się.

– Mówiliśmy właśnie o tym jegomościu, który odzywał się podczas kazania.

– A, o nim... – Fairfax odwrócił się do mówiącego, starszego mężczyzny z białymi bujnymi wąsami. – Co to za jeden?

– Nikt tego nie wie.

– Nie był stąd.

– Ktokolwiek to był, już się ulotnił.

– Właściwie było ich dwóch.

– Tak czy owak, kapitan Hancock szybko sobie z nimi poradził.

Fairfax żałował, że nie przyjrzał się intruzowi.

– Co miał na myśli, mówiąc, że śmierć ojca Lacy'ego nie była dziełem przypadku? – zapytał.

– Och, na pewno to, że porwały go diabły – odparł pogodnym tonem starszy mężczyzna.

– Diabły?

– Diabły, które grasują na Czarcim Tronie.

– A cóż to takiego ten Czarcia Tron?

– To nazwa wzgórze, z którego spadł. Odludnego, straszego miejsca.

– Niech ksiądz go nie słucha – wtrąciła jedna z kobiet. – To bezczelny stary głupiec.

– Nie jestem bezczelny! Diabły istnieją i herezją jest sądzić inaczej. Prawda, ojcze?

– W świecie istnieje zło, nie ma co do tego wątpliwości, niezależnie od tego, jaką przybiera formę. – Fairfax zapragnął nagle wycofać się z tej dyskusji. – Nie będę wam dłużej przeszkadzał. Szukam pana Keefera.

W odpowiedzi wzruszyli ramionami i pokręcili głowami. Po pogrzebie nikt nie widział zakrystiana. Fairfax podszedł do Agnes Budd, która kroić placzek.

– Przygotowała pani wspaniałą poczęstunek. Stosownie do okazji.

– Nałożyć księdzu kawałek placka?

– Nie, dziękuję. Muszę ruszać w drogę. Pięknie zagrałaś ten hymn, Rose. – Dziewczyna spłonęła się i spuściła oczy. – Gdzie jest Keefer? – zapytał, zwracając się ponownie do jej ciotki.

– Poszedł do kościoła, ojcze, po księgi.

– Ach! – zakrzyknęła z ulgą. – Więc dlatego go tu nie ma! W takim razie, czekając na niego, chętnie skosztuję pani placka, żeby wzmocnić się przed podróżą.

– Powie ksiądz kilka słów, żeby pobłogosławić ten posiłek?

– Z przyjemnością. – Fairfax postukał nożem w szklany dzbanek i gwar ucichł. – Pobłogosław, Panie – zaczął, pochylając głowę – te dary, które z twej dobroci spożywać

mamy, i spraw, byśmy zawsze pamiętali o potrzebach i pragnieniach innych. Amen.

– Amen.

Na sali znów zrobiło się gwarno. Fairfax wziął swój talerz i wbił widelec w placek. Był głodny; stale głodny, a mimo to wciąż chudy jak paździerz. Jego ciało postanowiło widać zrekompensować sobie wszystkie te lata, które spędził o głodzie i chłodzie w seminarium. A placek był rzeczywiście dobry, z dziczyzną i jajami na twardo; Fairfax popił go kubkiem piwa, który przyniosła mu Rose.

Widząc, że ksiądz stoi, jedząc i pijąc, miejscowi zebrali się na odwagę i zaczęli podchodzić, żeby podziękować mu za nabożeństwo – z początku pojedynczo, bardzo nieśmiało, ale po jakimś czasie otoczył go mały tłumek. Agnes Budd po kolei ich przedstawiała: George Revel i George Rogan, farmerzy; John Gann, kowal, jeden z niosących trumnę; Alison Kern i jej siostra Mercy, strażniczki światła przed posągiem Najświętszej Pani; Jacob Rota, czyszciciel latryn; Jack Singer, pasterz z twarzą ogorzałą od długiego przebywania na świeżym powietrzu, oraz jego przyjaciel Frank Waterbury, szczurołap wypasający kościelne owce; John Lusty, Paul Fisher i Paul Fuente, tkacze.

Fairfax nie zdołał zapamiętać wszystkich nazwisk i tego, kto się czym zajmuje, ale było jasne, że stary ksiądz odegrał jakąś rolę w życiu wszystkich tych ludzi: chrzcząc ich, ucząc w wiejskiej szkółce, udzielając ślubu, składając do grobu ich rodziców, rodzeństwo, a nawet – co zdarzało się, niestety, dość często – dzieci; i powoli, w miarę jak go wspominali, ojciec Lacy stawał się w jego oczach żywą, obdarzoną wyraźnymi cechami osobą. Fairfax żałował, że nie miał możliwości ich wysłuchać przed napisaniem mowy pogrzebowej.

– Ksiądz kochał tę dolinę... znał jej każdy cal...

– Był z niego nie lada piechur...

– Wszędzie chodził na piechotę...

– Nie pamiętam, żebym kiedykolwiek widział go na koniu...

– I to go w końcu zgubiło. – Po tej ostatniej uwadze, wygłoszonej przez kowala Ganna, wszyscy pokiwali ze smutkiem głowami.

– Był bardzo wykształconym dżentelmenem...

– Nigdy nie wychodził bez rydla i małej torby, do której wkładał swoje znaleziska...

– Najbardziej kochał malców w szkole...

– Pamiętacie, jak byliśmy mali i dawał nam szylinga, kiedy przynosiliśmy mu jakiś skarb?

– Pół korony, jeśli to było coś wyjątkowego...

Fairfaxes nagle to zainteresowało.

– O jakich skarbach mówicie?

– Och, to mogło być cokolwiek z dawnych czasów: monety z wizerunkiem starego króla Karola. Butelki. Kawałki szkła. Głównie śmieci.

– Pamiętacie tę starą lalkę, którą znalazłem na łące Tremble'ów? Był nią zachwycony! Dał mi za nią całego funta.

– Komuś, kto go nie znał, ksiądz mógłby się pewnie wydać nieco dziwny...

– Ostatnio coraz bardziej...

– Nie wszyscy go za to lubili...

– W jakim sensie? – dopytywał się Fairfax.

– Ludzie zawsze powtarzają różne plotki... zwłaszcza w takiej zapadłej dziurze jak ta.

– Co o nim mówiono?

Otaczający Fairfaksa miejscowi zawahali się, wymienili między sobą spojrzenia.

– Ja tak nie myślę, ale zdaniem niektórych bardziej ceniał sobie własne idee niż to, co czytamy w Piśmie.

– To prawda... jego kazania były szczególnego rodzaju...

Rota, czyszciciel latryn, który miał fatalnego zeza widlastego, skrzyżował ręce na piersi.

– Słyszałem, że biskup przysłał tu raz w przebraniu księdza, żeby sprawdził, czy to, czego naucza ojciec Lacy, nie ociera się o herezję – powiedział konspiracyjnym tonem.

– Też to słyszałem.

Fairfax popatrzył na jednego i drugiego wieśniaka. Nigdy nie słyszał od biskupa o tego rodzaju dochodzeniu. Kiedy się nad tym zastanawiał, ktoś inny – chyba kowal Gann – zaczął go namawiać, żeby spróbował jego tytoniu. Fairfax grzecznie odmówił, ale kowal nie dawał za wygraną.

– Sam go uprawiam. Po tej stronie Axford nie wypali ojciec nic lepszego.

Ksiądz niechętnie wziął do ręki brudną fajkę z długim cybuchem i wytarł ustnik. Tytoń był mocny – zdecydowanie za mocny; zapiekło go od niego w ustach, a z oczu pociekły łzy. Kaszląc niczym młokos, który po raz pierwszy spróbował tytoniu, odwrócił głowę i na oślep oddał fajkę.

– Nie próbujesz nam chyba otruć księdza swoim paskudnym ziele, Johnie Gann – rozległ się nagle czyjś tubalny, nieznoszący sprzeciwu głos.

Wywarło to natychmiastowy efekt. Wieśniacy zerknęli jeden na drugiego i – niczym za dotknięciem różdżki Aarona, pomyślał Fairfax – bez jednego słowa odwrócili się i zrejterowali.

– Mam nadzieję, że nie zanudzili ojca swoimi miejscowymi bajdami. – To był ten mężczyzna, który wstał w kościele z ławki, by uciszyć intruza. Teraz, podchodząc bliżej, wyciągnął do Fairfaksa mocną kwadratową dłoń. – John Hancock. A to – dodał z miną kolekcjonera prezentującego ozdobę swoich zbiorów – jest Sarah, lady Durston z Durston Court.

– Nie rozumiem, dlaczego przedstawiając mnie, musi za każdym razem wymieniać nazwę mojego domu. – Lady Durston uśmiechnęła się do Fairfaksa i podała mu dłoń w rękawiczce. – Czasami myślę, że to go we mnie najbardziej pociąga.

– Dobrze wiesz, że to nieprawda! – Hancock robił wrażenie poirytowanego, jakby była to kontynuacja jakiejś ich wcześniejszej sprzeczki. – Nie mam pojęcia, po co mówisz takie rzeczy.

Sarah Durston zignorowała go, w dalszym ciągu wpatrując się w Fairfaxa. Oczy miała w niezwykle zielonkawobłękitnym odcieniu, rysy wyraziste, z silną szczęką i wystającymi kośćmi policzkowymi, cerę bladą i piegowatą, harmonizującą z rudymi włosami. Mogła mieć koło trzydziestki; zakładał, że jest zamężna, choć najwyraźniej nie z tym mężczyzną. Pod rękawiczką wyczuł ślubną obrączkę.

– Jak to miło, że przyjechał ksiądz aż z Exeter do naszego kościółka.

– Będę długo pamiętał tę wizytę. I dziękuję pani za czytanie na mszy.

– Świetnie jej poszło – wtrącił się Hancock. – Mówiłem to jej, prawda, Sarah?

– Długo zostanie ksiądz w tej dolinie? – spytała lady Durston.

– Niestety, już dziś muszę wyjechać.

– Wielka szkoda, bo trudno u nas o kogoś wykształconego.

– Och, nie aż tak bardzo trudno! – rzucił Hancock. Błyskając złotym zębem, roześmiał się, żeby dać do zrozumienia, że żartuje, ale nie było mu wcale do śmiechu. – Jeśli ma pan zamiar jechać, proszę wyruszyć już teraz. O tej porze roku przejezdna jest tylko jedna droga, dość zdradliwa podczas ulewy.

– To na pewno rozsądna rada – przyznał Fairfax. – I dziękuję panu za uciszenie tego hałaśliwego jegomościa w kościele. Najwyraźniej nie zna go nikt w wiosce.

– Nigdy w życiu go wcześniej nie widziałem. I z pewnością już nie zobaczę.

– A to dlaczego?

– Bo powiedziałem, że jeśli nie będzie trzymał języka za zębami, to mu je wybiję.

Sarah Durston zerknęła na księdza i przewróciła kpiąco oczami.

– Wybaczcie państwo, ale muszę wypełnić rubryki w kościelnym rejestrze, a potem od razu wyjeżdżam – powiedział Fairfax. – Lady Durston. – Skłonił przed nią głowę. – Kapitanie Hancock.

Wyszedł na deszcz i unosząc w jednej ręce sutannę, a drugą próbując osłonić głowę, pobiegł przez cmentarz do kościoła. Z odległego kamieniołomu dobiegł kolejny odgłos wybuchu, od którego zadrzało powietrze. Dotarwszy do portyku, Fairfax nacisnął ciężką klamkę w nabijanych ćwiekami dębowych drzwiach. Zgrzyt zamka odbił się echem w pustej nawie.

– Panie Keefer! – zawołał głośno, idąc w stronę ołtarza i wypatrując zakrystiana. – Panie Keefer!

Opiekujący się parafią święci patrzyli na niego ze swoich nisz i ołtarzyków. Ich twarze zdawały się zmieniać w świetle wotywnych świec. Niektórych rozpoznawał – przede wszystkim świętego Jerzego, patrona Anglii, z włócznią wbitą w brzuch stojącego na tylnych łapach smoka; świętego Antoniego z jego świniami, uzdrowiciela zwierząt; świętą Annę, patronkę rodzących matek, wskazującą na dziecko w swoim łonie – ale inni byli mu

zupełnie nieznani, zapomniane figury, wszystkie męskie, które może miały niegdyś jakieś lokalne znaczenie, ale których kult mógłby dziś zostać uznany za bałwochwalstwo. Biskup dostałby apopleksji, gdyby je zobaczył.

Doszedł do barierki przed ołtarzem. Niewielkie drzwi po lewej stronie były uchylone. Usłyszał trzask i zaraz potem jęk.

– Panie Keefer?

Ostrożnie ruszył do przodu, pchnął drzwi i pokonując schodek, zszedł do małej niskiej zakrystii. Keefer klęczał odwrócony do niego plecami, mamrocząc coś pod nosem. Z początku Fairfax pomyślał, że się modli albo odprawia jakiś rodzaj lamentacji, ale potem zobaczył, że zakrystian opróżnia drewnianą szafę. Wszędzie dokoła leżały porozrzucane modlitewniki, lichtarze, kielichy, butelki z mszalnym winem, opłatki, szaty liturgiczne i zakurzone papiery.

– Panie Keefer? Co tu się dzieje?

Zakrystian obejrzał się spanikowany przez ramię. Ulotniła się gdzieś cała jego wcześniejsza dezynwoltura.

– Rejestr zniknął.

– Co takiego?

– Powinien tu być – odparł bezradnym tonem. – Trzymałem go zawsze pod kluczem razem z innymi.

– Może schowano go gdzieś indziej w kościele?

– Ale wszędzie już szukałem.

Ku swojemu zaskoczeniu Fairfax zobaczył, że zakrystian ma łzy w oczach.

– Niech pan z tego powodu nie płacze, panie Keefer. Na pewno go znajdziemy. Kto jeszcze miał klucz?

– Tylko pleban.

– W takim razie musiał przenieść rejestr gdzie indziej... może na plebanię.

– Ale zaginął nie tylko aktualny rejestr... zniknęły wszystkie cztery księgi.

– Cztery?

– Starsze pochodziły sprzed ponad tysiąca lat! „To bardzo stare księgi, o wielkiej wartości”, powtarzał. Mam straszne przeczucie, że zostaliśmy obrabowani, ojczu.

– To niemożliwe. Czy to miejsce wygląda, jakby ktoś się włamał?

– Z tego, co widzę, nie.

– W takim razie księgi prawie na pewno zabrał stąd ojciec Lacy. Niech pan posprząta ten bałagan, a ja pójdę do pani Budd i poproszę ją o klucz na plebanię.

Fairfax wyszedł z kościoła na ulewę. Tym razem nie starał się osłaniać głowy i nie uniósł sutanny, by jej nie ubłocić. Minął świeżo zasypyany grób Lacy’ego i pomaszerował do kościelnej gospody. Ktoś zaczął grać na skrzypcach żalobną pieśń i jej tęskna melodia w połączeniu z widokiem nagrobków i zasnutego deszczowymi chmurami nieba

wzbudziła w nim melancholię. Wszedł do środka i ignorując zaciekawione spojrzenia, skinął głową na panią Budd.

– Czy ojciec Lacy zabrał kościelne księgi na plebanie?

– Nie, proszę księdza. Ich miejsce było zawsze w kościele.

– Musiał jednak gdzieś je zabrać, bo tam ich nie ma. Może mi pani dać klucz do plebanii?

– Nie, to niemożliwe. To wielkie stare księgi. Zauważyłabym, gdyby przyniósł je do domu.

– Gdziekolwiek są, trzeba je odnaleźć, i to szybko. – Fairfax zauważył, że lady Durston i John Hancock bacznie ich obserwują. – Są tam ważne zapisy prawne. Muszę sam ich poszukać. Najbardziej prawdopodobnym miejscem jest jego gabinet. Proszę dać mi klucz.

– Pójdę z księdzem.

– Jest pani potrzebna tutaj.

– Nie, powinnam pójść z księdzem. Rose da sobie radę.

Fairfax podniósł ręce w geście zniecierpliwienia. Miał się za człowieka ugodowego, ale zaczynał już tracić cierpliwość.

– Jak pani chce.

Keefe czekał na nich na ganku i razem, idąc i biegnąc na zmianę, wrócili na plebanie. Agnes Budd wyjęła spod stanika nowy żelazny klucz, przekręciła go w zamku i wpuściła ich do środka.

Dom, w którym panowała cisza podkreślana powolnym tykaniem zegara, wydawał się w dziwny sposób opustoszały, jakby fizyczne usunięcie stąd zwłok starego księdza zerwało wszelkie więzi łączące go ze światem żywych i pozbawiło racji istnienia.

– Proszę sprawdzić pomieszczenia na piętrze – zwrócił się Fairfax do gospodyni. – Pan niech przeszuka bawialnię, panie Keefe, ja zajmę się gabinetem.

Wszedłszy tam, zamknął za sobą drzwi, oparł się o nie plecami i rozejrzał. Tyle tu było książek, że wydawało się całkiem prawdopodobne, iż kościelne rejestry – które z tego, co wiedział, nie różniły się rozmiarami od ksiąg kupieckich – schowano gdzieś na półkach. Ich staranne sprawdzenie nic jednak nie dało. W następnej kolejności zajął się biurkiem. Niezamknięte na klucz szuflady były wypełnione najróżniejszymi przedmiotami; w jednej znalazł pióra, scyzoryk, sznurek, szpilki, papier do pisania, szkło powiększające, wosk do pieczęci oraz składany kieszonkowy teleskop, w drugiej – skamieliny, kawałki krzemienia, fragmenty metalu i szkła, kapsle do butelek i plastikowe słomki. Kolejne błyskotki, pomyślał z niesmakiem, niczym w gnieździe kawki. Nie było tam miejsca na wielkie księgi; jedyne, co znalazł, to związany czarną wstążką plik starych kazań Lacy'ego na pożółkłym papierze. Zajrzał pod tapczan, pod serwantkę i mały stolik. Obmacał nawet na czworakach deski podłogi, żeby sprawdzić, czy żadna nie jest obluzowana i nie kryje się po nią tajny schowek. Bez skutku.

Przykucnąwszy na piętach, zastanawiał się, co robić dalej. Kiedy wróci do katedry i przyzna, że jego pierwsze zadanie w roli wyświęconego księdza nie zostało wypełnione do końca, z pewnością nie przysporzy mu to chwały. To oznaczało, że powinien tu zostać i rozwiązać problem. Z drugiej strony, poinstruowano go, że ma załatwić wszystko w jeden dzień. I trudno go winić za to, że zaginęły księgi – był to raczej kolejny przykład nieprawidłowości, na które składały się heretyckie teksty, obsesja na punkcie starożytnych przedmiotów, dziwaczne kazania i nieznani święci. To wszystko miało miejsce jeszcze przed przyjazdem Fairfaxa i ewentualne dochodzenie w tej sprawie zdecydowanie przekraczało jego kompetencje. Powinien trzymać się pierwotnego planu i wyjechać.

Wrócił na korytarz, gdzie stali już z pustymi rękami Agnes Budd i Keefer.

– Nie znaleźliście ksiąg?

Pokręcili głowami.

– To tajemnicza sprawa i do tego bardzo poważna. Będę musiał poinformować o niej biskupa i na pewno tak tego nie zostawi. Zapewnię go naturalnie, że żadne z was nie ponosi za to winy – uspokoił oboje Fairfax, widząc lęk na ich twarzach. – Szukajcie oczywiście dalej, ale nie zarywajcie przez to nocy. Wkrótce nastaną tu nowy ksiądz i nowy początek i jestem pewien, że Bóg będzie nadal otaczał miłością swoich wiernych synów i córki w tej pięknej dolinie. – Złożył dłonie w stosownie, jak mu się zdawało, pobożnym geście, a potem je zatarł. – A teraz, pani Budd, muszę spakować swoje rzeczy. Byłbym wdzięczny, gdyby posłała pani Rose po moją klacz.

Gospodyni skłoniła głowę.

– Oczywiście, ojcze.

– Znakomicie. Dziękuję wam za wszystko, co zrobiliście. Mam nadzieję, że któregoś dnia spotkamy się ponownie w przyjemniejszych okolicznościach. – Ucisnął obojgu dłonie i ich pobłogosławił.

Kiedy zamknęły się za nimi drzwi, wszedł do bawialni i zaczął się rozbierać. Jego wierzchnie szaty ociekały wodą, ale sutanna była dość sucha. Złożył albę, ornat i stulę i schował je do torby razem z Biblią, modlitewnikiem, fajką i piórem. Kiedy skończył wiązać pod szyją pelerynę, usłyszał stukot kopyt na sąsiadującej z plebanią drodze.

Stojąc w korytarzu z dłońią na klamce, rozejrzał się po raz ostatni i wyszedł na zewnątrz.

Rose czekała przy bramie, trzymając klacz za uzdę. Stała niczym trzymający wartę żołnierz. Deszcz zmoczył jej czarną suknię do tego stopnia, że materiał przywarł do szczupłego ciała niczym druga skóra. Kosmyki czarnych włosów przykleiły się do twarzy. Odgarnęła je wolną ręką i po raz pierwszy, odkąd się do niej odezwał, spojrzała mu prosto w oczy.

– Dziękuję ci, moje dziecko. – Wziął od niej uzdę i ucisnął jej dłoń, a potem wiedziony nagłym impulsem, który później wywoływał u niego rumieniec wstydu i któremu nigdy by nie uległ, gdyby nie był przekonany, że więcej jej nie zobaczy, podniósł zimne palce

dziewczyny do ust i je pocałował. – Niech Bóg cię błogosławi, Rose – powiedział, po czym wsiadł na konia i nie oglądając się za siebie, odjechał drogą.

Mijając kościelną gospodę, usłyszał wyraźnie dźwięki skrzypiec. To, co wcześniej brzmiało jak żałobna pieśń, zmieniło się w żwawy taniec i uświadomił sobie, że dzień pogrzebu stał się świętem dla całej wioski. Sądząc po docierających do niego odgłosach, stypa powinna potrwać aż do północy. Gdy dotarł do końca głównej ulicy, nadal słyszał wygrywaną na skrzypcach melodię i dopiero kiedy trakt zaczął się piąć, zagłuszył ją szum i szelest deszczu.

Droga stawała się coraz bardziej stroma i stopniowo zmieniała się w potok. W dół spływały strugi rwącej brązowożółtej wody. May szła stępa bardzo powoli. Dotarcie do miejsca, gdzie trakt skręcał w stronę grzbietu wzgórz, zajęło mu dobre pół godziny. Dopiero kiedy pokonał zakręt, nad drzewami po prawej stronie zobaczył pionowe brązowe urwisko. Strome zbocze zsunęło się, porywając głazy i drzewa. Wszystko runęło w dół, jakby wysypało się z sakwy olbrzyma – wąski wał błota, skał, korzeni i połamanych konarów leżał w poprzek drogi, całkowicie ją blokując.

Fairfax podjechał tam i stanął. Przeszkoda wznosiła się na wysokość co najmniej trzech jardów. Zsiadł z konia i zapadając się po kostki w mokrym błocie, zaczął wspinać się po osuwisku. Chwytając za wystające gałęzie i podciągając się, zdołał dotrzeć na górę i stanął tam niczym generał obserwujący pole bitwy, podpierając się pod boki i mrużąc oczy przed deszczem. Wał ziemi nie był zbyt rozległy, miał nie więcej niż dziesięć stóp szerokości; dalej – co tym bardziej pogłębiało frustrację księdza – droga wydawała się przejezdna. Powoli zdał sobie sprawę ze swojego położenia. Nie zdoła po prostu tędy przejechać. Zrezygnowany, spuścił głowę.

Podróż powrotna do wioski była tak samo męcząca jak podjazd pod górę, lecz bardziej przykra, bo wiedział, co go czeka. Uwiązał klacz przy cmentarnym murze, zarzucił torbę na ramię i powłókł się do kościelnej gospody. Powitały go znaczące spojrzenia. Ludzie wiedzieli, co się dzieje z drogą przy takiej pogodzie. Przyniesiono mu krzesło i posadzono go przy ogniu, żeby się osuszył. Ktoś wsunął mu do ręki kubek z piwem. Skrzypek zagrał kolejną wesołą melodię, pieśń z dawnych czasów. Ludzie zaczęli tańczyć. Fairfax poszukał wzrokiem Sarah Durston i Johna Hancocka, ale oboje chyba już wyszli. Rose unikała jego wzroku. O Boże, przemknęło mu przez głowę, o Boże...

Wypił kubek do dna i dał się namówić na następny. Jacy oni wszyscy byli przyjaźnie nastawieni! Zjadł kolejną porcję placka. W którymś momencie Mercy Kern poprosiła go do tańca. Mimo owłosionej myszki na podbródku była dość ładna. Odmówienie jej byłoby grubiaństwem.

*Pijmy za zdrowie króla, pijmy za wieczny pokój,
Żeby ustały spory, byśmy się bogacili.
Pijmy, póki serce w piersi się kołacze,*

Bo po śmierci z nami nie wypije nikt.

Pamiętał niezbyt wyraźnie ludzi, którzy stali w kręgu, klaszcząc i przytupując w coraz szybszym rytmie piosenki, podczas gdy on wycinał hołubce ze swoją partnerką.

*A kto z nami nie wypije,
Razem z truposzami, razem z truposzami,
Razem z truposzami niechaj w dole śpi.*

Ściany gospody jakby się rozstały i zaczęły wirować coraz szybciej i szybciej. Później niewiele już pamiętał.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Z przeszłości wyłania się czyjaś dłoń

Trzasnęła zapalka i w ciemności zabłysł niebieski płomień, tak jasny, że Fairfax odruchowo zmrużył oczy. Palce trzęsły mu się, gdy przytknął zapalkę do knota. Żółty płomyk świecy zamigotał i urósł. Z mroku wyłonił się nieznany mu pokój. Poczł zapach chlorku wapnia i zdał sobie sprawę, że jest w alkierzu starego księdza... że leży w jego łóżku, zupełnie nagi. Zapalka sparzyła go w palce. Upuścił ją i opadł z powrotem na poduszkę.

O Boże... o Boże...

Z trudem usiadł i natychmiast poczuł w brzuchu złowrogie skurcze, jakby połknął wijącego się węża albo grubego czarnego chrabąszcza z trzepoczącymi skrzydłami. Podbiegł do okna i w ostatnim momencie udało mu się je otworzyć i zwymiotować do ogródka. W ustach miał żółć i kawałki nieprzetrawionego placka z dziczyzną. Kaszląc i plując, oparł rozpalony policzek o chłodne szkło.

Deszcz przestał w końcu padać. Fairfax czuł zapach głogu, pietruszki, mokrej trawy. Nad kościołem wisiał księżyc w drugiej kwadrze, oświetlając kwadratową wieżę. W wiosce poruszały się światła. Słyszał turkot kół wózka. To musiała być ta dziwna pora przechadzki, między pierwszym i drugim snem.

Po ustaniu torsji cofnął się ostrożnie w głąb sypialni. Teraz, kiedy już opróżnił żołądek, poczuł się zaskakująco trzeźwy, dręczyły go tylko straszliwe pragnienie i pulsujący ból między oczami. Przesunął dłońmi po ciele. Nie znalazł żadnych sińców ani skaleczeń. Jak tutaj trafił? Choć bardzo się starał, nie potrafił sobie przypomnieć, jak wrócił ze stypy. I gdzie było jego ubranie? W spóźnionym odruchu wstydu ściągnął z łóżka prześcieradło, owinął się nim, wziął do ręki świecę i przeszukał izbę. Niewiele w niej odkrył. Małą szafę. Proste drewniane krzesło. Komodę, na której stały miska, dzbanek i lustro. Jego torba stała przy drzwiach i wciąż była w niej sakiewka. Nie było jednak śladu po sutannie i bieliźnie. Upokorzenie Fairfaxes sięgnęło szczytu.

Podniósł dzbanek do ust, pociągnął kilka łyków, a potem pochylił się nad miednicą i wylał resztę wody na głowę.

Po chwili położył się z powrotem na łóżku i wbił wzrok w belki sufitu. Podejrzewał, że upili go umyślnie, żeby zrobić z niego głupca, ale mógł za to winić tylko siebie. Drogi Ojczy, wybac mi hańbę, którą okryłem Twój święty urząd...

Przez kilka minut leżał bez ruchu, zastanawiając się, jak umknąć z Addicott St George. Po odzyskaniu ubrania mógłby spróbować wydostać się stąd na piechotę: wspiąć się na

ślizgłe osuwisko i dojść do Axford; mogło mu to zająć od czterech do pięciu godzin. Ale jak dostać się z Axford do katedry? I jak to będzie wyglądało, gdy wróci bez konia? Może uda mu się przeprowadzić klacz przez las? Było to mało prawdopodobne. W końcu obrócił się na bok w nadziei, że zdoła zasnąć, i nagle zobaczył tuż przed sobą okulary należące do ojca Lacy'ego. Leżały na oprawnym w jasnobrązową skórę tomiku i miały w sobie coś, co przypominało mu stalowe karcące spojrzenie biskupa. Przełożył je ostrożnie na bok, wziął do ręki książkę i przysunął ją do oczu. *Protokoły i dokumenty Towarzystwa Antykwarycznego, tom XX* – ten, którego brakowało na półce na dole.

Niepewnie powąchał skórzaną okładkę i przesunął palcami po jej popękanej powierzchni. Miał oto popełnić kolejny grzech, grzech, który pociągnie za sobą następny – jabłko węża. *Nie będziecie jedli z niego, ani się go dotykać będziecie, byście snac nie pomarli*¹². Ale był człowiekiem dociekliwym i młodzieńcza ciekawość wzięła w końcu górę nad tym, co mu od lat wpajano. Usiadł na łóżku, poprawił poduszkę i zaczął przeglądać książkę.

Z początku był rozczarowany. Zdał sobie wkrótce sprawę, że tom zawiera po prostu protokoły zebrania towarzystwa z okresu czterech lat, zszyte razem w formie książkowej, z luźną oprawą. Papier był nędznej jakości, druk drobny i nierówny niczym rząd zepsutych zębów. Wyglądało to na amatorską robotę. Członkowie zbierali się co kwartał w londyńskiej tawernie Pod Koroną i Podwiązką i ich spotkania toczyły się według utartego schematu. Najpierw omawiali sprawy towarzystwa: korespondencję, zatwierdzenie protokołu, przyjęcie nowych członków, nabycie przedmiotów oferowanych na sprzedaż, wystawy eksponatów należących do towarzystwa, to, jakie projekty archeologiczne powinny zostać sfinansowane, a jakie odłożone. Następnie wysłuchiwali referatu przygotowanego przez jednego z członków. Stale powtarzały się te same nazwiska: pan Shadwell (prezes), pan Quycke (sekretarz), kapitan Stewart (skarbnik), pan Shirley, pułkownik Denny, pan Howe, pan Berkeley, pan Fauquier... Razem około pięćdziesięciu mężczyzn. W referatach mówiono o wykopaliskach prowadzonych w miejscach pochówku, ruinach domów i fabryk i o wielkiej prostej drodze na północ od Londynu, mającej prawie sto stóp szerokości; katalogowano znaleziska (fragmenty skonstruowanych z metalu maszyn podróżnych, z których obecnie pozostały tylko rdzawe plamy w ziemi, urządzenia łącznościowe, sprzęty domowe, publiczne posągi i pomniki); i snuto różne teorie („Jak starożytni tworzyli muzykę?”, „Co zostało utracone w Chmurze?”, „Inskrypcje nagrobne z późnej epoki preapokaliptycznej”, „Wielki Exodus z Londynu”).

Duża część tych rzeczy była dla niego zbyt skomplikowana, by coś zrozumiał, więc przerzucał szybko kartki do chwili, gdy mniej więcej w jednej trzeciej książki trafił na wystające z niej pasiaste piórko kuropatwy, które sfrunęło mu na pierś. Oznaczone tą zakładką zebranie odbyło się pod koniec wiosny przed trzynastu laty. Po zatwierdzeniu protokołu, załatwieniu spraw bieżących i korespondencji czwartym punktem porządku dnia było sprawozdanie prezesa.

Fairfax obrócił się na bok i przysunął tekst bliżej świecy.

Pan Shadwell poprosił, by pozwolono mu zapoznać towarzystwo z nadzwyczajnym odkryciem, którego dokonano ostatnio w trakcie wykopalisk prowadzonych na terenie masowego grobu w Winchester.

Wykopano tam plastikową skrzynię zawierającą listy zaadresowane do profesora Geoffreya Chandlera, członka Trinity College w Cambridge. Wskutek zawilgocenia większość materiałów uległa, niestety, zniszczeniu albo stała się nieczytelna. Tylko jeden z listów, schowany we własnym plastikowym futerale, zachował się prawie w nietkniętym stanie. Pan Shadwell skopiował go i zaproponował, że przeczyta go na głos. Propozycja została przyjęta jednogłośnie.

Imperial College, Londyn, 22 marca 2022

Drogi kolego,

proszę wybaczyć bezosobową formę, w jakiej się do Pana zwracam. Wysyłam taki sam pilny list do wielu ważnych osobistości – w większości należących do społeczności akademickiej, ale odgrywających również wiodącą rolę w przemyśle, medycynie, rolnictwie i sztuce – których pracę cenię i z którymi mam nadzieję nawiązać bardziej osobisty kontakt. Z przyczyn, które wkrótce staną się jasne, proszę, by zachował Pan w tajemnicy to, o czym tutaj piszę.

Trzy miesiące temu wraz z grupą kolegów o podobnych zapatrywaniach założyłem grupę roboczą, której zadaniem jest ustalenie, jakie należy podjąć nadzwyczajne środki, by przygotować się na systemowy upadek cywilizacji technicznej. Jeśli nie podziela Pan tej troski, a zwłaszcza jeśli uważa Pan takie obawy za alarmistyczny bełkot, proszę, niech Pan od razu zniszczy ten list!

Rozważyliśmy z grubsza sześć możliwych katastroficznych scenariuszy, które mogą w fundamentalny sposób zagrozić naszemu opartemu na zaawansowanej nauce poziomowi życia:

- 1. Zmiany klimatyczne.*
- 2. Wymiana uderzeń nuklearnych.*
- 3. Erupcja superwulkanu prowadząca do gwałtownej zmiany klimatu.*
- 4. Zderzenie z asteroidą powodujące przyspieszenie zmian klimatycznych.*
- 5. Generalne załamanie się technologii komputerowej w wyniku cyberwojny, zastosowania niekontrolowanego wirusa lub wskutek aktywności Słońca.*
- 6. Wybuch odpornej na antybiotyki pandemii.*

Naszym zamiarem nie jest proponowanie środków zaradczych, mających na celu uniknięcie tych potencjalnych katastrof – co w przypadku zagrożeń opisanych

w punktach 3. i 4. jest i tak niemożliwe – ale zaplanowanie strategii na dni, miesiące i lata, które nastąpią po takiej klęsce, strategii, która doprowadziłaby do jak najszybszego przywrócenia cywilizacji technicznej.

Uważamy, że nasze społeczeństwo osiągnęło poziom zaawansowania, który czyni je wyjątkowo podatnym na totalny upadek. Zagrożenie to wzrosło w znacznym stopniu po roku 2000, wraz z przeniesieniem znacznej części aktywności ekonomicznej i społecznej do cyberprzestrzeni, lecz mimo to nie doszło do opracowania żadnych odpowiednich planów awaryjnych na szczeblu rządowym.

Sama tylko przedłużająca się przerwa w działaniu sieci komputerowych może w ciągu dwudziestu czterech godzin doprowadzić – zwłaszcza na terenach miejskich – do niedoborów żywności i paliwa, do dramatycznego ograniczenia zasobów pieniężnych (wskutek niemożności korzystania z bankomatów, kart kredytowych i bankowości internetowej), a także do katastrofy łącznościowej i informacyjnej, załamania się transportu, masowego wykupywania dóbr, zbiorowego exodusu i niepokoju społecznych. Poważne konsekwencje, i to w ciągu zaledwie kilku godzin, będzie miało zakłócenie dostaw żywności, które odbywają się w rytmie ciągłym na podstawie informacji dostarczanych przez sieci komputerowe. Przed trzydziestu laty przeciętne brytyjskie gospodarstwo domowe miało zapasy jedzenia na osiem dni; obecnie starczą one co najwyżej na dwa. Nie będzie przesadą stwierdzenie, że mieszkańców Londynu, w dowolnym momencie, dzieli tylko sześć posiłków od klęski głodu.

Obawiamy się, że skutki kryzysu będą się rozszerzały w postępie geometrycznym, z szybkością, która może udaremnić każdą oficjalną kontrakcję. Niezbędni pracownicy mogą opuścić swoje stanowiska bądź też nie być w stanie do nich dotrzeć. Może dojść do nieodwracalnej utraty danych. Kluczowe sektory i technologie mogą zostać zniszczone w tak dużym stopniu, że wszelkie szanse na znalezienie dróg powrotu do status quo ante będą się błyskawicznie zmniejszały do zera.

Osobiście zwracałem się do wielu osób na wysokich szczeblach władzy i realnie rzecz biorąc, nie doczekałem się żadnej reakcji. Zarówno w rządzie, jak i w parlamencie wiedza na temat zagrożeń, na które narażone są nowe technologie, jest koszmarnie niska. Zamiast siedzieć z założonymi rękami, zdecydowaliśmy zatem wziąć sprawy we własne ręce i spróbować znaleźć praktyczne rozwiązania, by chronić nasz osiągnięty obecnie wysoki poziom życia.

Wszystkie cywilizacje uważają się za niezniszczalne; historia uczy, że tak nie jest.

Jeśli chce Pan włączyć się w nasze działania, proszę jak najszybciej skontaktować się ze mną listownie (adres podany wyżej). Ze względów bezpieczeństwa cała korespondencja powinna odbywać się w formie papierowej, nie elektronicznej.

Przypominam jeszcze raz o konieczności zachowania najściślejszej dyskrecji; nie chcemy zwracać na siebie uwagi mediów i doprowadzić do wybuchu powszechnej

paniki.

Szczerze oddany
Peter Morgenstern

Pan Shadwell stwierdził, że od chwili odkrycia tego dokumentu starał się dowiedzieć czegoś więcej o grupie Morgensterna, jak dotąd bez większego sukcesu. Nie sposób było powiedzieć, czy grupa spotykała się dalej i czy podjęła jakieś konkretne działania. Sam Morgenstern był najwyraźniej ważną osobistością w późnej epoce preapokaliptycznej, ponieważ jego nazwisko widnieje na liście laureatów Nagrody Nobla, która trafiła do rąk prywatnego kolekcjonera. (Pan Shadwell wyjaśnił, że była to nagroda, którą przez ponad sto lat przyznawano corocznie luminarzom literatury i nauki). Morgenstern otrzymał rzeczoną nagrodę w dziedzinie fizyki. Z tego, co udało się ustalić panu Shadwellowi, nie ocalała jednak żadna jego opublikowana praca.

Pan Shadwell uważa, że powinien kontynuować swoje badania, i dlatego poprosił o przyznanie mu sumy stu funtów na pokrycie dalszych wydatków. Po dyskusji suma ta została zaaprobowana i polecono skarbnikowi przygotować niezbędne fundusze.

Po wyczerpaniu porządku dnia zebranie towarzystwa zakończyło się o godzinie wpół do dziewiątej.

Fairfax powoli położył otwartą książkę na piersi. Jej język wydał mu się trudny, słowa były mało zrozumiałe. Po raz pierwszy zetknął się z dziwnymi, raptownymi, zakazanymi rytmemi preapokaliptycznej mowy. Mimo to czuł, że udało mu się zgłębić treść listu na tyle, by zrozumieć sedno sprawy. Kręciło mu się trochę w głowie – jakby solidna drewniana rama łóżka, na którym leżał, rozleciała się w czasie lektury i spadał gdzieś w otchłań.

Odkąd zaczął rozumieć to, co wbijano mu w szkole do głowy – od chwili, gdy nauczył się czytać – zaakceptował bez reszty nauczanie Kościoła: że w pewnej zamierzchłej epoce Szatan objął władzę nad światem; że Bóg ukarał starożytnych za to, że postawili na piedestale naukę, i tak jak to przepowiedziano w Objawieniu świętego Jana, zesłał na nich czterech straszliwych jeźdźców Apokalipsy – Zarazę, Wojnę, Głód i Śmierć; i że dzięki odrodzeniu Prawdziwej Wiary żyli teraz w epoce Zmartwychwstałego Chrystusa, w której przywrócony został na świecie porządek. Nigdy nie przyszło mu do głowy, że było sześć różnych możliwych scenariuszy, które doprowadziły do Apokalipsy, a tym bardziej, że istnieli ludzie do tego stopnia zaślepieni, by marzyć o powrocie do tego samego systemu, który sprowadził na nich gniew Boży. Trzymał w rękach świadectwo śmiertelnego grzechu, przed którym Kościół starał się ustrzec swoich wyznawców; to, co mogło się wydawać nieszkodliwymi studiami nad przeszłością, było w rzeczywistości zamaskowaną formą scjentyzmu, mającą na celu jej przywrócenie. Ta książka była heretycka, co do tego nie miał wątpliwości. Zasługiwała na to, by ją spalić.

Mimo to, choć wielu rzeczy w liście Morgensterna nie rozumiał, coś go w nim głęboko poruszyło. Czym były owe „cyberprzestrzeń”, „bankomaty” i „antybiotyki”? Wziął z powrotem książkę do ręki i niczym ujęty przez Gileadczyków Efraimita starający się wymówić słowo „szibbolet”, przeczytał list uważnie po raz drugi, wysilając umysł przy trudnych słowach. A potem zaczął przeglądać następne strony, szukając dalszych informacji o Morgensternie.

Nie znalazł żadnych. Nie pojawił się już również pan Shadwell. Przeprosił listownie za nieobecność na dwóch kolejnych zebraniach towarzystwa, poświęconych monografii na temat niszczących konstrukcji betonowych oraz tunelowi odkopanemu pod Tamizą w Blackwall. Więcej zebrań się nie odbyło. Był to ostatni tom z serii i jak przypuszczał Fairfax, wkrótce potem towarzystwo musiało zostać zakazane.

Shadwell? Powtarzał w myślach to nazwisko. Zastanawiał się, co się z nim stało. Jeśli jeszcze żył, musiał być w podeszłym wieku – już trzynaście lat temu nie był chyba młodzieniaszkiem. I nagle Fairfaxowi przyszło do głowy, że to Shadwell był tym starszym mężczyzną, który awanturował się w kościele. Nie miało to oczywiście żadnego sensu. Trudno było sobie wyobrazić, że były prezes Towarzystwa Antykwarycznego wciąż żyje, a tym bardziej, że dotarł do Addicott St George pośrodku ulewy. Fairfax zanadto popuszczał wodze wyobraźni. Ta myśl nie dawała mu jednak spokoju.

Wsadził piórko kuropatwy tam, gdzie tkwiło wcześniej, zamknął książkę i odłożył ją na nocną szafkę. A potem położył na niej okulary księdza Lacy’ego, dokładnie w tym samym miejscu, gdzie leżały wcześniej, jakby chciał w ten sposób ukryć fakt, że je w ogóle ruszał, po czym zdmuchnął świecę. Tym razem sen nie przyszedł tak szybko. Fairfax miał wrażenie, jakby z zamierzchłej przeszłości wyłoniła się czyjaś dłoń i przesunęła palcami po jego twarzy. Żałował, że nie może zapomnieć tego, co przeczytał, ale wiedza odmienia wszystko i zdawał sobie sprawę, że mu się to nie uda.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Czwartek, 11 kwietnia: Piggeries

Tuż przed świtem w końcu zasnął i wkrótce potem zbudziło go pukanie do drzwi – niezbyt głośne, ale uporczywe i coraz pilniejsze. Zaczął się nowy dzień i po raz pierwszy, odkąd Fairfax tu przybył, wydawało mu się, że za oprawnymi w ołów szybkami okna widzi blade słoneczne światło.

– Ojczy? – usłyszał przez zamknięte drzwi.

– Tak, pani Budd? Dzień dobry. Wszystko w porządku?

– Jest ksiądz pilnie potrzebny. Może ksiądz do nas zejść?

Ściągnął kołdrę i spojrzał na swoje nagie ciało.

– Chętnie bym to zrobił. Obawiam się jednak...

– Pobrudził ksiądz ubranie, kiedy się wywrócił. Zabrałam je do prania. Może ksiądz włożyć rzeczy ojca Lacy’ego.

Wywrócił się? I ona go rozebrała? O Boże, o Boże...

– Dziękuję. Zaraz zejdem na dół.

– Niech ksiądz się pospieszy, jeśli łaska.

W komodzie znalazł starannie uprasowaną bieliznę i staroświeckie długie czarne wełniane skarpety. Świadomość, że będzie nosił ubranie starego księdza, była jeszcze gorsza od spania w jego łóżku. Gdy dotknął bielizny, dostał gęsiej skórki. Zacisnął jednak zęby i ją włożył. W szafie była prosta czarna sutanna, pachnąca kamforą i postrzępiona na dole i na mankietach. Całkiem dobrze pasowała. Niechaj będzie moją włosiennicą, pomyślał. Moją pokutą. Przypomnieniem tego, że zgrzeszyłem.

Wyszedł z alkierza, zarzucił sobie na szyję biały bawełniany plastron ojca Lacy’ego i zawiązał go, idąc na dół po schodach.

W korytarzu czekały na niego Agnes i Rose, ta druga w długim brązowym płaszczu wyglądającym, jakby należał kiedyś do ojca Lacy’ego. Między nimi stał chudy młody mężczyzna z gołą głową, mnąc w dłoniach filcową czapkę. Miał na sobie stary czarny surdut ze zgrzebnej wełny i związane sznurkiem spodnie. Na jego twarzy malował się wyraz takiej rozpaczki, że Fairfax instynktownie ścisnął mu ramię.

– Co się stało, mój dobry człowieku?

Mężczyzna wbił w niego w milczeniu zaczerwienione oczy.

– Jego żona urodziła dziecko, które nie dożyje chyba ranka – powiedziała Agnes. – Biedactwo musi zostać ochrzczone.

– Ależ oczywiście. Przepraszam na chwilę. – Fairfax pobiegł z powrotem na górę i zabrał z torby modlitewnik. Przy frontowych drzwiach włożył buty, a Agnes przyklekła, by zawiązać mu sznurowadła. Młody człowiek czekał już na drodze.

– Nazywa się John Revel – szepnęła. – To już drugie dziecko, które tracą. Mieszkają w Piggeries. Rose przyprowadzi księdza z powrotem.

Fairfax pospieszył alejką do furtki, którą otworzyła przed nim Rose, i ruszyli w ślad za krocącym szybko mężczyzną. Dziewczyna szła kilka kroków przed Fairfaxem. Po ulewie do wioski wracało normalne życie. Jakaś kobieta wieszała pranie w ogródku. Inna niosła środkiem ulicy dwie konwie z mlekiem, uginając się po ich ciężarem. Kiedy Revel je mijali, obie przystanęły. Domyślają się chyba, co oznacza widok świeżo upieczonego ojca prowadzącego księdza do swojego domu, pomyślał Fairfax.

Środkowy łuk mostu był prawie całkiem zanurzony w spienionej żółtawobrazowej wodzie, która piętrzyła się na zaporze z połamanych gałęzi, zaledwie stopę pod balustradą. Wodny pył zmoczył ich twarze. Sto jardów za rzeką Revel skręcił nagle w wąską alejkę, która też zmieniła się w rwący potok, wskutek czego musieli wspiąć się na trawiaste zbocze i kuśtykać po nim, ześlizgując się co jakiś czas aż po kostki w wodę.

Za niskim żywopłotem z niewidocznych kominów unosiło się ku niebu sześć wąskich kolumn dymu. Revel otworzył drewnianą furtkę i weszli na podwórko. Podbiegły do nich kurczaki; licząc na garść ziarna, kołysały się na boki niczym klerycy w podciągniętych do góry nocnych koszulach, podczas gdy świny – od których zapewne wzięło nazwę to miejsce – wszystkie szare od zaschniętego błota, węszyły przy kupie gnoju. Podwórko z trzech stron okolone było czymś, co Fairfax wziął z początku za zrujnowane chlewy. Po chwili jednak zobaczył wybiegające z nich dzieci i zdał sobie sprawę, że to ludzkie siedziby – wałące się chałupki z małymi okienkami i niskimi drzwiami. Przez jedno z nich weszli do środka za Revelem.

W półmroku Fairfax zobaczył usłane słomą i trocinami klepisko. Najwyraźniej na noc zaganiano do domu również zwierzęta, by zapewnić im bezpieczeństwo i żeby było cieplej. Po drabinie wchodziło się na stryszek. W małym okolonym cegłami palenisku przy ścianie syczały mokre szczapy. Siedząca na zydlu stara kobieta ssała fajkę z krótkim cybuchem. W nozdrza bił ludzki i zwierzęcy smród: odór moczu, gówna, gotowanego jedzenia, drzewnego i tytoniowego dymu, amoniaku. Dzieci tłoczyły się w drzwiach, zasłaniając światło dnia.

Kiedy oczy Fairfaksa przywykły do ciemności, zobaczył w rogu siennik ze stertą gałganów. Revel uklęknął przy nim.

– Przyszedł ksiądz, Hannah – powiedział cicho.

Gałgany poruszyły się i wyłoniła się spomiędzy nich wychudła blada twarz.

– Ojciec Lacy?

– Nie, jestem ojciec Fairfax – odparł ksiądz i podszedł z wyciągniętymi rękami do siennika. Rose stała z tyłu, bacznie go obserwując. – Mogę zobaczyć?

Revel delikatnie odsunął prześcieradło. Kobieta trzymała przy piersi niemowlę. Było zupełnie sine, podobnie jak żyły na jej nagich, nabrzmiałych od mleka piersiach. Nie miała siły unieść dziecka. Revel wziął je i podał Fairfaxowi. Było zimne i lekkie jak martwy ptak. Fairfax rozejrzał się zdesperowany. Kiedy napotkał wzrok Rose, natychmiast odwróciła oczy. Powinien natychmiast to przerwać. Prawdziwy ksiądz powinien wyjaśnić tajemnicę Bożej woli i nie oferować fałszywej pociechy. Wiedział o tym, lecz nie miał odwagi tego zrobić.

– Na litość boską, chyba nie umarła? Niech ksiądz mi powie – szepnęła Hannah.

– Nie, nie. Zdążyliśmy na czas. – Fairfax ułożył zwłoki w zagięciu lewej ręki i próbował otworzyć modlitewnik. – Czy ktoś mógłby mi zaświecić? I podać kubek wody? Dzieci, może podejdziecie i staniecie tu razem z nami?

Czwórka młodych zebrała się wokół niego. Stara kobieta wstała z trudem z zydła, podała mu drewniany kubek i przytrzymała świecę nad jego ramieniem. Poczł jej nieświeży świszczący oddech.

– Jakie nadaliście jej imię?

Revel spojrzał na żonę.

– Judith Elizabeth – powiedziała, a on pokiwał głową.

Fairfax polał odrobiną wody pomarszczoną twarzą.

– Judith Elizabeth, ja ciebie chrzczę w imię Ojca i Syna i Ducha Świętego, amen.

– Amen.

– Ukłęknijmy razem. – Fairfax zbliżył modlitewnik do świecy, mimo że dobrze znał słowa tej modlitwy. – *Miłosierny Boże i Ojcze, składamy Ci chwałę i dzięki, żeś przyjął Judith Elizabeth za swoje własne dziecię, odrodził je Duchem Twym Świętym i przyłączył do Twego świętego Kościoła. Spraw też, o Panie, aby dziecię to, uczestnicząc w śmierci Syna Twego, mogło również uczestniczyć w Jego zmartwychwstaniu i aby w końcu wraz z całym Twym świętym Kościołem otrzymało w niebie przyobiecane dziedzictwo, przez Jezusa Chrystusa, Pana Naszego. Amen*¹³.

– Ona nie żyje, prawda? – zapytało po dłuższej chwili jedno z dzieci.

– Teraz już chyba tak, niech Bóg ma w opiece jej duszę. – Fairfax oddał niemowlę w ramiona matki. – Ale zdążyliśmy na czas.

* * *

Stał z opuszczonymi rękami pośrodku podwórka, z twarzą zwróconą do nieba, wdychając otaczające go zapachy. Najuboższe dzielnice Exeter zawsze budziły w nim grozę, ale cicha, ukryta wiejska nędza wydała się jeszcze gorsza. Nic dziwnego, że w stuleciach, które nastąpiły po Upadku, ludzie zwrócili się z powrotem do Boga; chcieli wierzyć, że istnieje gdzieś życie lepsze niż to doczesne, podczas gdy starożytni, ze wszystkimi swoimi wygodami, mogli egzystować bez wiary. Po chwili uznał jednak, że nie

do końca odpowiada to prawdzie. Przypomniawszy sobie dziwaczne, prawie niezrozumiałe fragmenty listu Morgensterna. *Uważamy, że nasze społeczeństwo osiągnęło poziom zaawansowania, który czyni je wyjątkowo podatnym na totalny upadek... Kluczowe sektory i technologie mogą zostać zniszczone w tak dużym stopniu, że wszelkie szanse na znalezienie dróg powrotu do status quo ante będą się błyskawicznie zmniejszały do zera...* O tak, starożytni mieli w sobie dość wiary, pomyślał. Ich bogiem była nauka. I ten bóg ich opuścił.

Wiadomość, że pojawił się w Piggeries, rozeszła się lotem ptaka. Ludzie gapili się na Fairfaksa przez otwarte drzwi. Rozpoznał kilka twarzy ze stypy. Chude bosc dzieciaki, z których największy sięgał mu ledwie do piersi, zataczały wokół niego kręgi, krzycząc i wymachując rękami. Trzymając w podniesionych dłoniach drewniane krzyże, unosiły je i opuszczały. Po chwili zastanowiło go to, co robią.

- W co się bawicie?
- W latające maszyny!
- Skąd wiecie o latających maszynach?
- Pleban nam powiedział.
- Mogę zobaczyć?

Wystrugana z jednego kawałka drewna zabawka miała skrzydła odchylone do tyłu jak u jaskółki i ogon podniesiony jak u sroki. Wyżłobione po obu stronach małe otwory przedstawiały chyba okna. Dzieci wyobrażały sobie, że fruują nad zalanymi polami uprawnymi, przebijają się przez chmury. Nigdy wcześniej nie widział takiej zabawy. Kiedy obracał w dłoniach wystruganą z drewna latającą maszynę, Rose pociągnęła go za rękaw i wskazała głową jasnowłosą dziewczynkę, jeszcze prawie dziecko, z brzuchem świadczącym o zaawansowanej ciąży. Dziewczynka dygnęła przed nim.

- Przepraszam, ojcze.
- O co chodzi, dziecko?
- Moja mama chciałaby przystąpić do komunii, ojcze. Dawno już nie przyjęła najświętszego sakramentu i bardzo go jej brakuje.
- Nie może przyjść do kościoła?
- Nie jest w stanie wstać z łóżka. Od dziesięciu lat jest wdową.
- Niestety, nie wziąłem ze sobą opłatków ani wina...

Rose ponownie dotknęła jego ramienia. Rozpięła swój obszerny brązowy płaszcz i wyjęła z wewnętrznej kieszeni związaną sznurkiem czarną bawełnianą torebkę. Rozwiązała sznurek i pokazała mu zawartość: komunijne opłatki i zakorkowany słoiczek z winem. Zaskoczony i nieco zawstydzony, wziął je od niej.

- Dziękuję, Rose – powiedział, po czym zwrócił się do dziewczynki: – Jak masz na imię, dziecko?
- Alice, ojcze.
- Dobrze, Alice. Prowadź nas do matki.

Idąc za dziewczynką przez podwórko, Fairfax przypomniał sobie o swoim powołaniu: *Nawiedzać sieroty i wdowy w ucisku ich i zachować samego siebie niepokalanym od świata*¹⁴. Widział teraz, że labirynt lepierek jest rozleglejszy, niż mu się z początku wydawało. Z jednego podwórka przechodziło się na następne. Liczba unoszących się nad strzechami kolumn dymu sugerowała, że osada jest przynajmniej tak duża jak sama wioska. Cienkie ściany ulepione były z bielonej wapnem i zmieszanej ze słomą i żwirem gliny – tworzywa, z którego wzniesiono ostatnio tak wiele ludzkich siedzib. Mijając męzczyznę strugającego nożem kijek, poczuł się przez chwilę nieswojo, ale potem uświadomił sobie, że prócz modlitewnika i sutanny starego księdza niewiele ma rzeczy, z których można go okraść.

Przy drzwiach warczał i szarpał się na łańcuchu chudy parchaty pies. Alice, ignorując go, weszła do lepiarki, a Fairfax i Rose podążyli za nią, schylając głowy pod niskim nadprożem. Izba wyglądała dokładnie tak samo jak poprzednia: ciemna, ze słomą na klepisku. Przy wystygłym czarnym palenisku leżała maciora, liżąc swoje młode. Drabina prowadziła na stryszek.

– Matka leży na górze, Alice?

– Tak, ojciec.

– Jak się nazywa?

– Matilda Shorcum, ojciec.

– Kto się nią opiekuje?

– Ja, ojciec.

– Sama?

– Tak, ojciec.

– Nie ma innej rodziny?

– Wszystkich moich braci powołali do wojska, ojciec. Walczą z Północnym Kalifatem.

Fairfax pokiwał z uznaniem głową.

– Na pewno dzielni z nich chłopcy. – Ta wojna toczyła się przez całe jego życie i jak powiadano, również we wcześniejszych stuleciach, bezustanna, ale dziwnie odległa, z długimi okresami zastoju, kończącymi się za każdym razem krwawymi doniesieniami o jakichś nowych potwornych zbrodniach, które budziły powszechne oburzenie, i walki zaczynały się od nowa. W większości brały w nich udział wyłącznie załogi garnizonów pełniące monotonną służbę na wrzosowiskach Yorkshire, ale regularne ataki odwetowe, które miały trzymać w szachu enklawę islamistów, zawsze wiązały się z ryzykiem wzięcia do niewoli i ścięcia. Każdy taki przypadek rząd skwapliwie nagłaśniał. – Za nich też będę się modlił – dodał Fairfax.

Wsadziwszy modlitewnik pod pachę, postawił stopę na pierwszym rozchybotanym szczeblu drabiny i wlaźł przez klapę na stryszek. Rose wspięła się tam za nim. Jedyne światło wpadało przez brudny pęknięty świetlik. W rogu, przy prostym drewnianym stole, było legowisko, na którym leżała przypominająca szkielet kobieta. Miała zabandażowane

dłonie i stopy i głowę obwiązaną czymś, co wyglądało jak poplamiony obrus. W jej nienaturalnie dużych, ciemnych oczach tliła się inteligencja. Rose uklękła przy legowisku i pogładziła ją po twarzy. Fairfax starał się nie zwracać uwagi na smród.

– Pani Shorcum, jestem Christopher Fairfax.

Kobieta obróciła lekko głowę.

– Miło, że ksiądz przyszedł.

– Nie mógłbym zrobić inaczej. Kiedy przystąpiła pani po raz ostatni do komunii świętej?

– Będzie ze dwa tygodnie. – Mówiła bardzo cicho. Musiał się nachylić, by ją usłyszeć. – Tuż przed tym, jak zamordowano plebana.

Posłał jej krzepiący uśmiech.

– Pleban nie został zamordowany, pani Shorcum. To był nieszczęśliwy wypadek, zaręczam pani.

– Nie, ojcze, to diabły zabiły go w lesie. Ostrzegałam go, żeby tam nigdy nie chodził! Mówiłam mu! – Kobieta była coraz bardziej poruszona. – Widziałam je, kiedy byłam dziewczynką – dodała, próbując się unieść.

– Cokolwiek się zdarzyło, wieczne odpoczywanie racz mu dać, Panie. Niech się pani nie denerwuje. – Nie był pewien, czego się od niego oczekuje, postawił więc opłatki i wino na stole i otworzył modlitewnik. – Czy jesteś gotowa na przyjęcie ciała pańskiego? – zapytał i znalazł w modlitewniku odpowiedni ustęp. – Módlmy się. *Wszchemogący i wiekuisty Boże, Stworzycielu wszystkich ludzi, który karzesz i naprawiasz wszystkich tych, których miłujesz, błagamy Cię, zmiłuj się nad tą oto służebnicą Twoją, którąś tak ciężko nawiedził, daj jej, o Panie, cierpliwość w jej chorobie i jeśli taka jest Twoja święta wola, przywróć jej zdrowie*¹⁵.

Była zbyt chora, żeby przełknąć opłatek. Fairfax umoczył palec w winie i zwilżył jej popękane wargi. Kiedy ceremonia dobiegła końca, Matilda Shorcum położyła obandażowaną rękę na jego dłoni i zamknęła oczy.

* * *

Przez pozostałą część ranka chodzili od lepianki do lepianki, robiąc to, co należało do obowiązków zmarłego księdza i czego zaniechano przez cały tydzień po jego śmierci: odwiedzali chorych i pogrążonych w żałobie. Rose świetnie wiedziała, gdzie go zaprowadzić; przemierzała szybko podwórka, skręcała w wąskie alejki, unosząc suszące się na sznurach pranie, by mógł przejść.

Zapamiętał szereg brudnych legowisk, zawodzące dzieci z zaropiałymi oczami, półmrok, smród, błoto i słomę, a także łażące po klepisku psy, koty, świnię i kury. Udzielał sakramentów, wysłuchiwał wypowiedzianych szeptem spowiedzi, pocieszał w nieszczęściu, nie odmawiał, gdy częstowano go wodą, herbatą, chlebem, nie dlatego, że był głodny – Bóg wiedział, że krzywił się w duchu przy każdym kęsie i łyku – ale by nikogo nie urazić. Przez cały czas zdawał sobie sprawę, że Rose go obserwuje, i wiedział, że robi to wszystko nie

z poczucia obowiązku, lecz by zasłużyć na jej aprobatę. Chciał, żeby widziała, że jest szczerym sługą Bożym, a nie jakimś fanatycznym młodemu zelotą, który potępiałby ją za to, że wychodzi sama z domu, lub nieprzystępnym teologiem z katedry, wzdragającym się przed jakimkolwiek kontaktem z biedotą. To było absurdalne, ale nie mógł na to nic poradzić: w tym momencie bardziej zależało mu na opinii tej zwykłej wiejskiej dziewczyny niż na tym, co sobie o nim pomyśli jego wszechwładny biskup.

Kiedy zużyli wszystkie opłatki i w słoiku nie zostało ani trochę wina, wrócili zalaną wodą ścieżką do głównej ulicy i przeszli przez most. Rose szła teraz obok niego, a nie kilka jardów przed nim, i uznał to za oznakę szacunku.

– Dziękuję ci, Rose, za pomoc – powiedział, gdy dotarli do kościoła. – Dziś rano poczułem się bliżej Boga, niż to się działo od wielu miesięcy. – Nie zareagowała, więc mówił dalej: – Poczułem również duchową więź z ojcem Lacym... wyczułem coś z jego ducha w tych ubogich domostwach. Widzę teraz, że był dobrym księdzem, prawdziwym świętym, wbrew temu, co mówią o nim niektórzy ludzie w wiosce.

Dziewczyna zerknęła na niego i ściągnęła wargi, jakby nie do końca się z nim zgadzała. Ale z pewnością tylko mu się tak zdawało.

Przy plebanii dała mu znak, żeby zamiast wchodzić przez frontowe drzwi, obszedł z nią budynek. Przez drewnianą bramę w szarym kamiennym murze wchodziło się na mały dziedziniec przy stajni. Były tam ogród warzywny, sad, kurnik, wychodek – wszystko to, czego nie dostrzegł w nocy, utrzymane w jak najlepszym porządku. Na niewielkim wybiegu za ogrodzeniem z belek pasła się, gryząc bujną trawę, karmelowego koloru krowa. Powietrze było czyste po deszczu. W oddali widać było wyraźnie w jaskrawym słońcu wzgórze i lasy.

Drzwi do stajni podzielone były na górną i dolną część. Górna była otwarta i May wyglądała przez nią na zewnątrz. Kiedy się zbliżyli, obróciła łeb w ich stronę. Rose przytuliła swój blady policzek do jej szarych nozdrzy i wydając kojące odgłosy – był to pierwszy dźwięk, jaki Fairfax usłyszał z jej ust – podrapała klacz za uchem. Następnie otworzyła dolną część drzwi, przeszła obok May, wyniosła ze stajni siodło Fairfaksa, oparła je o ścianę i zniknęła z powrotem w środku.

Popatrzył na wzgórze. Miała oczywiście rację: powinien wykorzystać nagłą zmianę pogody i jak najszybciej stąd wyjechać. Mimo to było mu przykro, że nie chce go już tu dłużej widzieć. Słyszał szelest przesuwanej słomy. Rose długo się nie pojawiała, więc wszedł do stajni. Dziewczyna uprzątnęła właśnie miejsce przy samym końcu boksu, odstawiła miotłę i zaczęła wyjmować z muru luźne cegły i ustawiać je w rzędzie obok siebie. Na koniec wsadziła rękę w otwór i jeden po drugim wyciągnęła pokaźne prostokątne przedmioty zawinięte w kilkusetletnią czarną plastikową folię.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Księgi ujawniają swój sekret

Rose szła przodem, sprawdzając, czy nikogo nie ma, i przystawiając ucho najpierw do drzwi z tyłu plebanii, potem do drzwi kuchni i na koniec tych do gabinetu. Zapakowane w folię księgi były ciężkie niczym płyty nagrobne. Niósł je, przyciskając do piersi, i z ulgą odłożył na biurko. Już teraz czuł się nieswojo, jakby brał udział w jakimś spisku. Mimo to pamiętał, by zamknąć za sobą cicho drzwi i nie podnosić głosu.

– Rozumiem, że to są kościelne księgi?

Rose, patrząc mu prosto w oczy, pokiwała głową.

– Dlaczego były w stajni? To ty je ukryłaś?

Pokręciła energicznie głową.

– A zatem pleban?

Z wahaniem nią pokiwała.

– Z twoją pomocą?

Teraz pokręciła głową.

– Ale podpatrzyłaś, jak to robi?

Kiwnięcie.

– Wiedział, że go obserwujesz?

Rose zmrużyła lekko oczy, przygryzła wargę i z zawstydzonym wyrazem twarzy pokręciła głową.

– Więc widziałaś, jak niesie je z kościoła, ale on nie zdawał sobie z tego sprawy? Kiedy to było? Jak długo przed jego śmiercią?

Podniosła palec.

– Tydzień przed jego śmiercią?

Wpatrywała się w niego, w ogóle nie reagując.

– Dzień?

Pokiwała głową.

– W dniu jego śmierci?

Po raz kolejny kiwnęła głową.

– Wygląda mi to na bardzo podejrzany zbieg okoliczności! – Fairfax przecesał dłonią włosy i pogładził brodę, zastanawiając się, co to może oznaczać. – Dlaczego zrobił coś takiego? – Rose nie zareagowała, więc sformułował pytanie inaczej: – Miał jakieś powody do obaw?

Wzruszyła ramionami i ponownie pokręciła głową.

– Zastanów się dobrze, Rose. – Pokiwał palcem. – To bardzo ważne. Czy ojciec Lacy wydawał się czymś zaniepokojony?

Dziewczyna zmarszczyła brwi, po czym złączyła ze sobą kciuk i palec wskazujący i obróciła je zgodnie z ruchem wskazówek zegara. Musiała to powtórzyć jeszcze dwa razy, zanim zrozumiała.

– Zmienił zamki w drzwiach?

Pokiwała głową.

– Zauważyłaś w wiosce jakichś obcych?

Ponownie podniosła palec.

– Jednego? Mężczyznę? Kiedy?

Wskazała ręką księgi.

– Tego samego dnia, kiedy ukrył księgi?

Kiwnęła głową.

Zanim zdążył jej zadać kolejne pytanie, rozległo się głośnie pukanie do frontowych drzwi.

– Spodziewacie się gości?

Pokręciła głową i zerknęła w stronę sufitu. Po schodach szła w dół jej ciotka.

– Uważam, że nie powinniśmy o tym mówić pani Budd... przynajmniej na razie – powiedział. – Nie warto jej przysparzać dodatkowych zmartwień.

Dziewczyna pokiwała z wigorem głową.

– W porządku, Rose. Dobrze postąpiłaś, mówiąc mi o tym – dodał, po czym otworzył drzwi gabinetu i wypuścił ją na korytarz.

Agnes Budd, wycierając ręce o fartuch, zeszła właśnie na parter. Widząc siostrzenicę, zmierzyła ich oboje najpierw zaskoczonym, a potem podejrzliwym spojrzeniem. Ale pukanie do frontowych drzwi rozległo się ponownie i musiała do nich podejść.

W progu zobaczyli masywną postać Johna Hancocka. Kapitan zdjął z głowy pognieciony, przypominający piróg mały kapelusz z zatkniętym za wstążkę jaskrawozielonym papuzim piórkiem i złożył stosowny ukłon.

– Dzień dobry, Agnes. Ksiądz w domu? – Wyprostował się i wyciągnął szyję. – Ano tak! Widzę go! – mruknął i bez słowa zaproszenia wcisnął się do środka. Miał na sobie ciężki brązowy surdut, a na stopach zabłocone stare wysokie buty. W prawej ręce trzymał szpicrutę. – Dzień dobry, ojcze! Słyszałem, że musiał ojciec zawrócić wczoraj wieczorem.

– W rzeczy samej, kapitanie Hancock. Droga była zupełnie nieprzejezdna. Powinienem wziąć sobie do serca pańskie ostrzeżenie i wyruszyć wcześniej.

– To nie ma teraz znaczenia. Mam dla księdza dobrą wiadomość. Moi ludzie uprzątnęli osuwisko, więc może ksiądz jechać, kiedy tylko sobie życzy.

– Szybko się uwinęliście.

– Już o świcie wysłałem tam tuzin moich najsilniejszych robotników. Jeśli ksiądz chce, możemy tam pojechać razem.

– Dziękuję, ale nie musi się pan fatygować.

– To żadna fatyga. I tak tamtędy wracam. Tak naprawdę miło mi będzie księdzu towarzyszyć. Gdybyśmy zboczyli trochę z drogi, mógłbym pokazać księdzu moją przędzalnię.

– Jest pan właścicielem przędzalni? Myślałem, że służy pan w wojsku.

– Służyłem w młodości, ale teraz jestem właścicielem przędzalni. Zatrudniam pięćdziesięciu ludzi i produkuję najlepsze sukno w całym hrabstwie. Proszę nas odwiedzić, ojciec... nalegam.

– To kusząca propozycja, kapitanie, ale przed wyjazdem mam jeszcze do załatwienia kilka spraw.

– Kilka spraw? – Coś w słowach księdza rozśmieszyło chyba kapitana Hancocka. – A cóż to mogą być za sprawy?

– Sprawy kościelne.

– Aha. Sprawy kościelne? Tak się rzeczy mają? – Hancock uderzył się szpicrutą po bucie i rozejrzał na boki, jakby miał nadzieję odkryć, jakie to przeszkody uniemożliwiają księdzu szybki wyjazd, i natychmiast się z nimi uporać. Na Fairfaxie nie zrobiło to jednak większego wrażenia i kapitan dał w końcu za wygraną. – Cóż, w takim razie muszę chyba pozwolić księdzu załatwić to po swojemu. Ale tym razem nie wyruszałbym tak późno... jeśli chce ksiądz dotrzeć do Axford przed zmierzchem. Szeryfowie pilnie tego przestrzegają. Żegnam panie. Żegnam księdza. – Hancock dotknął szpicrutą skroni, skinął głową, włożył z powrotem kapelusz i odmaszerował alejką.

Fairfax patrzył w ślad za nim.

– Wygląda, jakby się gdzieś bardzo spieszył – mruknął.

– John Hancock w pośpiechu się urodził i w pośpiechu umrze – odparła Agnes Budd, zamykając drzwi. – No cóż, moje dziecko – zwróciła się do siostrzenicy. – Nie wiem, gdzie byłaś przez cały ranek, ale jest robota do zrobienia... Na początek trzeba przynieść całą zastawę z kościelnej gospody i ją pozmywać. A ksiądz chce pewnie dostać coś do jedzenia. Ojciec Fairfax?

– To miło z pani strony, pani Budd, ale obawiam się, że muszę zastosować się do rady kapitana Hancocka i wkrótce wyjechać. Wcześniej jednak chciałbym popracować chwilę w gabinecie.

* * *

Siedząc sam przy biurku za zamkniętymi drzwiami, wziął do ręki leżący na samej górze pakunek i uważnie mu się przyjrzał. Uświadomił sobie, że księgę włożono w duży czarny plastikowy worek i kilkakrotnie owinięto, by ją dodatkowo zabezpieczyć. Wyciągając ją z folii, tym razem zrobił to bez wahania. Wprost przeciwnie, był coraz bardziej zaintrygowany i chciał dowiedzieć się czegoś więcej. Księga miała grubą skórzaną okładkę

i zaśnieźdźiały mosiężny zamek w kształcie koniczyny. Dawno temu musiała dostać się do niej woda i kiedy ją otworzył, w nozdrza wpadł mu ostry odór – pleśni, kurzu i czegoś, co przypominało kadzidło. Litery wyblakły do jasnego brązu, niewiele ciemniejszego od pożółkłego pergaminu, na którym je spisano. Fairfax zapalił świecę, by je lepiej widzieć. W samych zapiskach pełno było przecinających się kresek, trudnych do odcyfrowania. W niektórych miejscach litery były prawie niewidoczne. Ale udało mu się je jakoś odczytać.

*Maius IV sepultus MDXCVII antequam nascantur morientium filius Francis Tunstall,
Agricola, et uxorem Jane
VIII Iulii MDXCIX, et accepit Thomam Ann Shaxton Turberville de hac parochia
Ianuarii Robynns Nicolaus IV baptizatus MDCIV Aliciam filiam Rogeri Halys, Agricola,
et uxorem Margaritam, natus December XXXI MDCIII*

Kościół przywrócił do łask łacinę, widząc w niej kolejny bastion przeciwko scjentyzmowi, i w rezultacie w seminarium wbijano mu do głowy słówka i deklinacje. Zorientowawszy się, na czym polega skrócony styl, odkrył, że idzie mu całkiem nieźle.

*Pochowany 4 maja 1597 roku martwy noworodek, syn Francisa Tunstalla, farmera,
i jego żony Jane
Poślubieni 8 lipca 1599 Thomas Turberville i Ann Shaxton z tej parafii
Ochrzczona 4 stycznia 1604, urodzona 31 grudnia 1603, Alice, córka Nicholasa
Robynnsa, farmera, i jego żony Margaret*

Wszystkie zapisy datowano zgodnie z kalendarzem obowiązującym przed Apokalipsą, co oznaczało, że pochodzą sprzed ponad tysiąca lat. Z wyjątkiem przerwy w latach czterdziestych siedemnastego wieku księga prowadzona była w sposób ciągły, wieloma charakterami pisma, aż do początków dziewiętnastego wieku.

Odłożył ją i wyjął z folii następną. Była podobna do pierwszej, ale nie miała zamka. Inkaust był czarny, o wiele wyraźniejszy.

*Pochowani 4 października 1803 William George Perry, syn George'a, kowala z Addicott
St George, i Caroline, lat 14, zmarli w wyniku utonięcia, opłata podwójna*

Przewracając ciężkie stronicę, śledził życie parafii. Stale powtarzały się te same nazwiska. Ochrzczony–poślubiony–pochowany. Ochrzczony–poślubiony–pochowany. Miarowy rytm przypominał mu ludzików, których w dzieciństwie wprawiał w ruch, przerzucając szybko karteczki z ich rysunkami. Krótkie słowa nie mówiły nic o tym, kim byli ci ludzie, co myśleli, co czuli, jak wyglądali.

Czytając dalej, zdał sobie sprawę, jak mało wie i w ogóle jak mało zastanawiał się dotąd nad przeszłością. Nie był to temat, do którego zgłębiania zachęcałby Kościół lub państwo. Interesowanie się tym, co było, nim nastąpiła obecna epoka, uważano za najkrótszą drogę do piekła, nawet jeśli nie ocierało się o herezję scjentyzmu. Poza tym czegoż takiego miały się dowiedzieć? Historia była mozaiką białych plam. Zasoby wielkich bibliotek uniwersyteckich i archiwów publicznych w większości pogniły albo posłużyły za opał w Mrocznym Wieku. Korespondencja i wspomnienia całych pokoleń zniknęły w tajemniczym obiekcie, który antykwariusze nazywali Chmurą. Nieliczne ocalałe zapisy można było znaleźć głównie w zwyczajnych wiejskich kościołach – wzniesionych z kamienia budynkach, które przetrwały nawet wówczas, gdy otaczające je nowsze gmachy obróciły się w ruinę. Lacy miał rację, mówiąc Keeferowi, że „to bardzo stare księgi, o wielkiej wartości”.

Fairfax rozpakował dwa pozostałe tomy i zaczął przeglądać ten, który wydawał się starszy. Rejestr zaczynał się w roku 1927 i prowadzony był konsekwentnie aż do 2025. Ostatnie wpisy pochodziły z września i października tamtego roku i dotyczyły jedynie pogrzebów – łącznie dwudziestu, w większości dzieci: zdumiewająca liczba, pomyślał, jak na tak małą społeczność. Potem były puste strony i w końcu, po ponad stu latach pojawiał się wpis, datowany już według nowego kalendarza: dokonany drżącą ręką, węglem, koślawymi dużymi literami, typowymi dla wczesnego postapokaliptycznego pisma.

OCHRZCZONY 8 MARCA ARD 795, JOHN, SYN PETERA KERNA, GROTNIKA, I HELEN,
JEGO ŻONY, Z ADCUT, W TEJ PARAFII

Po Apokalipsie kalendarz zaczęto liczyć na nowo od roku 666: tę liczbę przypisano Bestii, której pojawienie się w Objawieniu świętego Jana przepowiadało zagładę świata pod Armagedonem. *Kto ma rozum, niech zrachuje liczbę onej bestyi; albowiem jest liczba człowieka. A ta jest liczba jej, sześćset sześćdziesiąt i sześć*¹⁶. A zatem jeśli wpisu dokonano w ARD 795 – Anno Resurrexit Domini, Roku Pana Naszego Zmartwychwstałego 795 – oznaczało to, że wydarzenia w parafii Addicott St George zaczęto ponownie zapisywać przed 673 laty, 129 lat po tym, jak cywilizacja pogrążyła się w chaosie.

Następne adnotacje były bardzo rzadkie – czasami jedna w ciągu roku, czasami żadnej – na początku niewyraźnie, węglowym sztyftem, potem czymś, co było chyba gęsim piórem maczanym w domowej roboty inkauscie: mieszaninie kopcica i kleju, domyślał się Fairfax, albo barwników roślinnych. Przypominały te, które widział w pierwszym tomie. Dopiero pod sam koniec pleban z St George zaczął używać nowoczesnego pióra ze stalówką i żelazowo-galusowego inkaustu. Stało się to w połowie ubiegłego stulecia.

Najnowszy rejestr obejmował lata od ARD 1411 do chwili obecnej. Pismo pierwszych dwóch plebanów, którzy go prowadzili, było nieporadne i chwilami nieczytelne. Potem pałeczkę przejął ojciec Lacy; jego charakter pisma – drobny i elegancki – świadczył

o inteligentnym i metodycznym umyśle. Fairfax rozpoznał kilka nazwisk z wczorajszego pogrzebu: Fisher, Singer, Gann, Fuente... Ostatni zapis dotyczył ślubu sprzed trzech tygodni, który zawarli między sobą George Shorcum z Vine Cottage i Mary Creech z Piggeries. Dotarłszy do niego, zaczął się cofać, próbując znaleźć w rubrykach jakąkolwiek wskazówkę, która wyjaśniłaby, dlaczego Lacy postanowił na wszelki wypadek ukryć kościelne księgi. Ale w kolumnach nazwisk i dat nie znalazł nic podejrzanego i po kilku kolejnych minutach bezowocnych poszukiwań odchylił się zrezygnowany na krzesło zmarłego księdza.

W katedrze byli uczeni w piśmie o wiele mądrzejsi od niego, którzy strawili całe życie na odnajdywaniu w Biblii ukrytych znaczeń. Jeśli w tych adnotacjach kryła się jakaś tajemnica, to oni właśnie powinni ją odkryć. Najroztropniej będzie zabrać do Exeter wszystkie cztery tomy i przedstawić całą sytuację biskupowi. A jeszcze lepiej będzie udawać, że w ogóle do nich nie zaglądał.

Zaczął wsuwać z powrotem księgi do ich plastikowych worków. Ale kiedy wziął do rąk rejestr obejmujący dwudziesty i dwudziesty pierwszy wiek starożytnych, coś go nagle tknęło. Stojący w korytarzu zegar nie przestawał tykać; za oprawnymi w ołów szybkami zalegała martwa cisza. Zerknął na serwantkę i jego wzrok pobiegł ku urządzeniu łącznościowemu z jego nieodgadnioną martwą lustrzaną szybką. Stary ksiądz miał obsesję nie na punkcie teraźniejszości, lecz okresu przed Apokalipsą. Fairfaxa olśniło, że koncentrując się na najnowszych wpisach, szukał być może nie tam, gdzie trzeba.

Położył księgę na biurku i ponownie ją otworzył. Wrócił do ostatnich adnotacji przed Apokalipsą i zaczął się cofać: cofać od straszliwych wieści o pogrzebach jesienią 2025 roku ku licznym tamtego lata – w ostatnim okresie normalności – wpisom o chrztach i małżeństwach. Zastanawiał się, kto mógł być ich autorem. Charakter pisma miał w sobie coś kobiecego: w tamtym krótkim okresie, zanim gniew Pana obrócił się na ziemię, do posługi zostały dopuszczone kobiety. Być może wioska miała wtedy plebankę? Wyobraził sobie parafian zajmujących się swoimi sprawami, czekających na dziecko, szykujących się do ślubu – niemających pojęcia, co ich czeka.

Jego palec wędrował w górę, cofając się w czasie, do wiosny tamtego roku, do spokojnej zimy i jesieni 2024... Odwrócił jedną i drugą stronicę i nic nie rzuciło mu się w oczy, dopóki nie dotarł do lipca 2022 roku. W tym momencie po raz drugi miał dziwne wrażenie, że ktoś przesunął palcami po jego twarzy, bo właśnie wtedy w kościele w St George zawarty został święty związek małżeński pomiędzy panem Anwarem Singhem, *programistą komputerowym* z Clerkenwell w Londynie, i panną Julią Morgenstern, *projektantką sieci* – czym według niego powinien się zajmować raczej pająk, a nie istota ludzka. Miejsce zamieszkania panny młodej zapisano jako *Durston Court Lodge*, a zawód ojca po prostu jako „profesor uniwersytetu”.

Przez kilka minut siedział bez ruchu, nie wiedząc, co począć. W końcu wyjął z jednej z szuflad biurka arkusz papieru i umoczył pióro w kałamarzu.

*Plebania Addicott St George
Czwartek, 11 kwietnia ARD 1468*

*Umiłowany księżu biskupie,
przesyłając Jego Eminencji Boże pozdrowienie, pragnę poinformować, że w dniu
wczorajszym spełniłem powierzone mi zadanie i odprawiłem pogrzeb wielbnego ojca
Thomasa Lacy'ego. Nieszczęśliwym zrzędzeniem losu burza, która rozpętała się po
południu, zablokowała jedyną drogę z wioski i zmuszony byłem odłożyć powrót do
domu na później.*

*Dziś rano wezwano mnie, bym udzielił chrztu konającemu niemowlęciu i ocalił jego
nieśmiertelną duszę. Odwiedziłem poza tym wielu chorych i starałem się sprawować
obowiązki duszpasterskie, których brak boleśnie odczuwa się tutaj po śmierci
wielbnego Thomasa Lacy'ego. Odkryłem, że parafia pilnie potrzebuje
chrześcijańskiego wsparcia. Dlatego przed powrotem do katedry zamierzam
w niedzielę udzielić komunii świętej wszystkim potrzebującym.*

Ufając, że ta decyzja spotka się z aprobatą Jego Eminencji,

*pozostaję Jego pokornym sługą
Christopher Fairfax*

Przeczytał uważnie cały list. Na wypadek gdyby wpadł w niepowołane ręce, celowo wyrażał się w nim bardzo oględnie. Zastanawiał się, jaka będzie reakcja biskupa. Nigdy nie można było tego przewidzieć. Biskup mógł podrzeć list na strzępy i cisnąć nimi w dziekana ze słowami „Czy żaden z twoich księży nie potrafi wypełnić prostego polecenia?”. Równie dobrze jednak mógł położyć go na biurku i pobłogosławić znakiem krzyża: „Ten młody człowiek ma w sobie zadatki na prawdziwego księdza”. Tak czy inaczej, Fairfax wiedział, że nie wolno mu bez wyjaśnienia przedłużać swojej nieobecności o kolejne dwa dni. Był świadom, że tego rodzaju niesubordynacja mogłaby pociągnąć za sobą poważne konsekwencje. Na samą myśl o nich ścisnęło go w brzuchu. Ale jakąż opowieść będzie mógł przedstawić po powrocie biskupowi!

Złożył list trzy razy, by mógł zmieścić się w dłoni, po czym napisał na odwrocie *Jego Eminencja Biskup Pole, Katedra w Exeter*. Włożył pałeczkę laku w płomień świecy, obrócił ją kilka razy, gdy się topiła, i zapieczętował list, najpierw jednym, a potem dwoma dodatkowymi czerwonymi kleksami. Miał nadzieję, że dzięki temu będzie sprawiał wrażenie odpowiednio oficjalnego i poufnego.

Uchylił lekko drzwi. Gospodyni krzątała się w kuchni. Krzyżowało mu to nieco szyki: nie mógł odnieść teraz niepostrzeżenie ksiąg do stajni, a zostawianie ich na widoku nie wydawało mu się roztropne. Rozejrzał się po gabinecie i w końcu schował je pod tapczanem.

– Mogę panią o coś prosić, pani Budd? – zapytał nonszalanckim tonem.

Trzymając w ręce talerz i ściereczkę, Agnes Budd wpatrywała się w kuchenną szafkę, najwyraźniej pogrążona w zadumie.

– O co chodzi, ojczy?

– Chciałbym zostać tu trochę dłużej, jeśli moja obecność nie będzie dla pani zbyt dużym obciążeniem.

– O ile dłużej? – zapytała, odwracając się.

– Trzy noce.

Spodziewał się, że chętnie się zgodzi; czyż nie wyraziła wcześniej nadziei, że Fairfax obejmie probostwo? Tymczasem odkrył z zaskoczeniem, że patrzy na niego z jeszcze większą podejrzliwością niż wcześniej.

– Najpierw z jednej nocy zrobili się dwie, a teraz chce ksiądz tu zostać aż na pięć nocy?

– Wygląda na to, że po raz kolejny straciłem poczucie czasu. – Wymówka zabrzmiała słabo, nawet w jego własnych uszach, i bez wątpienia nie przekonała kobiety, która przyglądała mu się ze skrzyżowanymi na piersiach ramionami.

– Ale czas już jechać do Axford, ojczy.

– Nie chodzi tylko o poczucie czasu. Od dawna nie odprawiono tu nabożeństwa. Uznałem, że moim obowiązkiem jest odprawić je w dzień święty.

Trudno było jej się z tym nie zgodzić.

– No tak, to prawda. Ludzie chętnie przyjmą komunię świętą.

– Dobrze, w takim razie sprawa jest postanowiona. Skoro tak, muszę wysłać list... jeśli to możliwe, już dzisiaj. Jak wyprawia się pocztę z wioski?

– Chłopak Johna Ganna z kuźni wiezie ją do Axford, a po południu zabiera ją stamtąd dyliżans.

– Znakomicie. – Fairfax cofnął się w głąb gabinetu, a potem zawrócił, jakby przyszła mu do głowy nowa myśl. – Jeszcze jedno. Chciałbym złożyć wizytę lady Durston. Jak trafić do jej domu? Nazywa się chyba Durston Court.

– Durston Court jest dobrą milę od wioski. Zaraz za kuźnią trzeba skrócić w prawo. – Na jej obliczu zamiast podejrzliwości pojawiła się nieklamana ciekawość. – Czy lady Durston się księdza spodziewa? Jeśli nie, może ojciec przejść na próżno kawał drogi.

– Nawet jeśli nie spodziewa się mnie akurat teraz, zostałem zaproszony. Lady Durston prosiła, bym ją odwiedził, gdybym przypadkiem został w parafii trochę dłużej. – Kolejne kłamstwo; tej nocy będzie musiał odmówić wiele zdrowasiek. – Poza tym nawet jeśli jej nie zastanę, to teraz, kiedy przestało padać, z radością rozprostuję kości. Jej mąż gdzieś wyjechał? Nie było go chyba w kościele.

– Nie, proszę księdza. Lady Durston jest wdową. Sir Henry zmarł przed pięciu laty. – Agnes Budd najwyraźniej chciała powiedzieć coś jeszcze, ale dłuższą chwilę trwało, nim zdobyła się na odwagę. – Wybacz ojczy, że to powiem, nie owijając w bawełnę, ale jeśli ma ojczy zamiar spędzić pod tym dachem trzy kolejne noce, lepiej, żeby ojczy uważał na Rose. To głupia dziewczyna i wydaje mi się, że wpadł jej ksiądz w oko. Może z tego

wyniknąć kłopot dla kogoś takiego jak ojciec, który przysiągł żyć w czystości, zwłaszcza jeśli lubi czasem napić się i potańczyć.

A więc to było przyczyną jej podejrzliwych spojrzeń! Poczul ulgę, że chodzi tylko o to, choć jednocześnie zaczerwienił się ze wstydu.

– Proszę nie mówić ani słowa więcej, pani Budd. To upomnienie tylko dobrze o pani świadczy. Szczerze boleję z powodu mojego wczorajszego zachowania. Bardzo mi przykro. To się już więcej nie zdarzy. Co do Rose, będę uważał, by w żadnym wypadku jej nie ośmielać.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Lady Durston

W umiarkowanie ufnym nastroju, któremu towarzyszyły jednak pewne nieokreślone obawy, kilka minut później Fairfax wyruszył z plebanii w stronę kuźni, mając zamiar dotrzeć stamtąd do Durston Court. Na głowie miał odnaleziony w szafie ojca Lacy'ego tradycyjny czarny kapelusz z szerokim rondem, lubiany przez starszych wiejskich księży i nazywany saturno. Cieszył się, że go włożył, bo choć niemodny, dobrze chronił przed słońcem w to ciepłe bezchmurne popołudnie. Zawieszona na kościelnej wieży flaga ze świętym Jerzym łopotała na wietrze, który jak oceniał po położeniu słońca, wiał z południa.

Przeszedł zaledwie pięćdziesiąt jardów w stronę rzeki, gdy doliną wstrząsnął kolejny wybuch. Wydawał się głośniejszy niż ten z poprzedniego dnia – bardziej złowieszczy, jakby wioska znalazła się pod ostrzałem wrogiej artylerii, która w nocy zajęła bliższe pozycje. Domyślał się, że huk eksplozji został wzmocniony przez wiatr. Gawrony poderwały się ze swoich gniazd na wysokich drzewach i rozprysnęły niczym czarne szrapnele nad cmentarzem.

Żadna z kobiet z rzędu stojących naprzeciwko kościoła chat nie zwróciła na to większej uwagi. Siedziały w promieniach słońca na przyzbach, kręcąc kołowrotkami, bez reszty tym zajęte. Ten sam sielski obrazek mógł dostrzec wzdłuż całej głównej ulicy – żadnych mężczyzn, wyłącznie kobiety ze stopami na pedałach, wysnuwające cienką białą nitkę z kłębow jasnoszarej wełny, małe dzieci bawiące się na poboczu drogi i w przydomowych ogródkach, kilkoro niemowląt leżących w kołyskach w cieniu jabłoni. Jedna z prządek skinęła mu grzecznie głową, a on odwzajemnił pozdrowienie. Mogła się nazywać Jane Tunstall, której martwego syna pochowano bez chrztu w 1597 roku, jej sąsiadką zaś mogła być Ann Shaxton, od niedawna w związku małżeńskim z Thomasem Turberville'em, lub Margaret Robynns ze śpiącą przy niej malutką córeczką Alice. Od tamtej epoki nad Anglią przetoczyło się ponad tysiąc lat, jedna cywilizacja upadła i narodziła się inna, ale życie w Addicott St George toczyło się jak gdyby nigdy nic.

W pyle wodnym pod mostem zabłysła tęcza. Migoczący łuk unosił się nad spienionym nurtem rzeki niczym pióra rajskiego ptaka i nagle, gdy Fairfax podszedł bliżej, zniknął mu z oczu. Zjawisko było tak uderzające, że kilka razy cofnął się i zbliżył, wyczarowując jaskrawe kolory i je wymazując, wyczarowując i wymazując, aż w końcu zdał sobie sprawę, że zwraca na siebie uwagę rozbawionych kobiet, i pospiesznie przeszedł na drugą

stronę. Minął alejkę prowadzącą do Piggeries i po kilku chwilach usłyszał odgłos kutego żelaza.

Kuźnia stała w pewnej odległości od drogi, przy skrzyżowaniu. Na dziedzińcu stał koń przywiązany do mającego mniej więcej dwanaście stóp wysokości słupa, na którym wisiała na łańcuchach wielka żółta plastikowa muszla świętego Jakuba, bardzo stara, poobijana i wielokrotnie naprawiana. Podwójne drzwi do kuźni były otwarte na oścież i w blasku bijącym z paleniska widać było przysadzistą sylwetkę Johna Ganna pracującego przy kowadle. W jednej odzianej w rękawicę dłoni trzymał młot, a w drugiej szczypcę, w których tkwił kawałek rozgrzanego do czerwoności spłaszczony metalu.

– Panie Gann! – zawołał Fairfax, wchodząc do gorącego wnętrza kuźni.

Kowal podniósł wzrok na dźwięk swojego nazwiska, osłonił oczy przed blaskiem dnia i zerknął w stronę Fairfaxesa. Kiedy tylko go rozpoznał, twarz rozjaśniła mu się w uśmiechu.

– Dzień dobry, ojcze! – Wrzucił metal do zbiornika z wodą, z którego uniósł się z sykiem obłok pary, i obchodząc kowadło, podszedł do księdza. Pod skórzanym fartuchem miał goły tors, ale włosy na jego czarnych ramionach i piersi były tak zmierzwiłone i mokre od potu, że Fairfax pomyślał w pierwszej chwili, że ma na sobie wełniany sweter. – To była upojna noc! Nigdy wcześniej nie widziałem tańczącego plebana! – Gann uśmiechnął się jeszcze szerzej, szczerząc wielkie końskie zęby, pobrązowiałe od jego silnego tytoniu. – Czym mogę księdzu służyć? Trzeba może podkuć konia przed wyjazdem?

– Interesują mnie inne świadczone przez pana usługi, panie Gann. Chciałbym wysłać list.

– Dokąd, jeśli wolno spytać?

– Do Exeter.

– Pozwoli ksiądz, że zerknę. – Gann ściągnął rękawicę, wytarł dłoń o bok fartucha, wziął od niego list i spojrział na adres. Nie starając się nawet ukryć podekscytowania, gwizdnął pod nosem. – Do jego eminencji biskupa? Coś się stało, ojcze?

– W żadnym wypadku. – Fairfax miał ochotę powiedzieć mu, żeby pilnował własnego nosa. – Muszę po prostu powiadomić go o swoich planach.

– To znaczy, że zostanie tu ksiądz na dłużej?

– Jeszcze chyba przez kilka dni.

– Więc podoba się u nas księdzu?

– Owszem, całkiem mi się podoba.

– Pozwoli ksiądz, że przepowiem mu przyszłość? Jeśli nie wyjedzie ksiądz stąd od razu, zostanie tu już na zawsze.

Przez chwilę Fairfax nie był pewien, czy się nie przesłyszał.

– Ależ to brzmi jak ponura przepowiednia! – wyjąkał w końcu.

– Bynajmniej. Tak to po prostu wygląda u nas w dolinie. Jeśli ktoś zostaje tu dłużej, to miejsce rzuca na niego urok i nie pozwala wyjechać. – Gann ponownie wyszczerzył

brązowe zęby w przyjaznym, a może szyderczym uśmiechu. – No dobrze. Poszukajmy chłopaka.

Fairfax wyszedł z kowalem na zewnątrz. Na dziedzińcu były dwa doły głębokie na osiem stóp, wypełnione prawie po same brzegi skrzyniami, w których znajdowały się różne narzędzia, końskie podkowy, gwoździe oraz kawałki złomu. Jeden był zasłonięty w połowie deskami; w tym drugim, odsłoniętym, siedział mniej więcej szesnastoletni młodzieniec.

– Jake, chodź no tutaj, mój chłopcze! – zawołał kowal.

Chłopak natychmiast wdrapał się po drabinie i stanął przed nim pokornie z czapką w dłoni.

– Weź ten tu list, daj go poczmistrzowi w gospodzie Pod Łabędziem i każ mu dopilnować, żeby zabrał go dyliżans pocztowy do Exeter – nakazał mu kowal, po czym zwrócił się do Fairfaxa. – Dyliżans odjeżdża dopiero o czwartej, więc jest jeszcze sporo czasu, jeśli chłopak się pospieszy. – Zamachnął się nogą, udając, że wymierza Jake’owi kopniaka. – No dalej, żwawo, bierz list od księdza i wskakuj na konia!

– Ile to kosztuje? – zapytał Fairfax.

– Pięć funtów za dyliżans pocztowy. Cztery za wynajęcie konia. I co łaska dla chłopaka.

– Wystarczy mu korona? – Gann nie odpowiedział, więc Fairfax rzucił: – Dziesięć szylingów? – Cisza. – Funt?

– Tak, funt chyba wystarczy. Podziękuj księdzu, Jake.

– Dziękuję, ojcie – burknął chłopak, dotykając dłonią grzywki.

Dziesięć funtów! To był rozbój w biały dzień. W rezultacie Fairfaxowi zostało tylko dziesięć na powrót do domu. Ale młody ksiądz był zbyt dumny, żeby się targować, wyliczył więc monety z sakiewki, a potem patrzył, jak Jake wskakuje lekko na siodło, rusza ze stukotem kopyt po bruku i znika za zakrętem. Gann schował swoją część zarobku do kieszeni fartucha i poklepał ją z uznaniem jak ktoś, kto zjadł właśnie dobry posiłek.

– Wypali ze mną ksiądz fajkę? Znajdę dla nas jakiś łagodniejszy tytoń.

– To kusząca propozycja, ale niestety, na mnie już czas.

Fairfax pożegnał go i podszedł do rozwidlenia dróg. Zmierzył wzrokiem prowadzący w prawo wąski trakt. Wiedział, że kowal go obserwuje. Miał nieprzyjemne poczucie, że dał się złapać w pułapkę. Niech się dzieje wola boska, pomyślał; wszystko ułożyło się w taki sposób, że nie miał teraz drogi odwrotu. *A ciasna jest brama i wąska droga, która prowadzi do żywota; a mało ich jest, którzy ją znajdują*¹⁷.

– Nie tędy, ojcie! Do plebanii trzeba zawrócić! – usłyszał za sobą głos kowala, ale udał, że nie słyszy, i ruszył pod górę wąskim traktem.

Zakwitły akurat tarniny i owionął go słodki zapach białych kwiatków. Na polach za żywopłotami leżało na boku na skoszonej darni kilkanaście owiec, karmiąc swoje młode. Urzeczony ich cichym beczaniem i śpiewem szybujących wysoko skowronków, Fairfax na krótką chwilę przystanął, a potem, przypomniawszy sobie przepowiednię Ganna, że jeśli

zatrzyma się na dłużej, nigdy nie opuści tej doliny, ruszył dalej różnym krokiem. Po kilku minutach łagodnej wspinaczki zobaczył po lewej stronie dwa duże kamienne słupy zwieńczone czymś, co musiało kiedyś być posągami heraldycznych zwierząt, ale z biegiem czasu zmieniło się w bezkształtną masę przypominającą wypalone świece.

Samej bramy nie było. Aleja nie różniła się wiele od traktu, którym tu doszedł. Wyboista i pokryta gładkimi jak lustra kałużami, w których odbijały się skrawki błękitnego nieba, ciągnęła się niczym lśniący archipeląg przez sto jardów, a potem znikła za dwoma starodawnymi cedrami. Po prawej stronie była gęstwina pokrzyw i ostów. Zakładał, że tam właśnie stała kiedyś stróżówka. Znalazł patyk i smagał nim wysokie zielsko, łamiąc łodygi i przydeptując je butami. Zgniecione liście wydzielały słodki gryzący odór. W pewnym momencie pokrzywa sparzyła go w dłoń i krzyknął z bólu. Na wiosnę parzyły najmocniej.

Odrzucił patyk i ssąc bąble na pulsującej dłoni, otoczony chmarami muszek i niebiesko-żółtych motyli, stanął pośrodku stworzonej przez siebie przesieki. Fundamenty stróżówki musiały kryć się pod grubą na kilka stóp warstwą ziemi. Oprócz kilku czerwonych cegieł i kawałków betonu nie było tu nic do zobaczenia. Powietrze było gorące, parne, nieruchome. Cokolwiek tu niegdyś stało, dawno rozsypało się w pył. Zdał sobie sprawę, jak niewiarygodnie odległa jest przeszłość, i zaczął go opuszczać wcześniejszy entuzjazm.

Cofnął się do alei i omijając kałuże, ruszył w stronę cedrów. Minąwszy je, zobaczył dwór i przystanął, by mu się lepiej przyjrzeć. Widok, który miał przed oczami, nie był czymś unikalnym: podobne nawiedzane przez duchy budowle widywało się w Anglii dość często, zwykle gdy przejeżdżało się znajdującymi się w ich pobliżu drogami – pozbawione dachów i okien, wypalone i już dawno temu ograbione ze wszystkiego, co mogło się przydać w domu i na opał. Kościół zachęcał do odwiedzania ich w niedzielne popołudnia; miało to przypominać wiernym, jak szybko przemija gloria tego świata w porównaniu z wiekuistym Bożym królestwem. Fairfax osobiście widział wspaniałe wybebeszone fasady Wilton i Longleat na wschodzie oraz Holcombe Rogus i Paignton na zachodzie i razem z innymi zwiedzającymi podziwiał cywilizację, która je zrodziła, a także pychę, która doprowadziła do ich upadku. Budynek Durston Court, stojący przed nim w odległości czterystu jardów w leśnej dolinie, nie był ani tak duży jak tamte zrujnowane pałace, ani całkowicie opuszczony, lecz wrażenie było podobne. W najbliższym skrzydle widział oszklone okna i dwuspadowy dach, który przynajmniej w tej części był nietknięty. Ale dalej wydawał się niebezpiecznie bliski zawalenia, a na samym końcu ocalał tylko wielki komin, wznoszący się niczym samotna wieża na wysokość trzech pięter. Fairfax zastanawiał się, czy czegoś źle nie zrozumiał. To miejsce mogło należeć do lady Durston, ale chyba tu nie mieszkała?

Schodząc w dół przez opuszczony park, minął popękane wielusetletnie dęby i zwęglony po uderzeniu pioruna buk. Kamienny most spinał brzegi zarośniętego wodnymi liliami zamulonego stawu, gdzie pośród trzcin gnił szkielet odwróconej do góry dnem łodzi. Potem aleja prowadziła między rosnącymi na łące rododendronami ku potężnym

frontowym drzwiom. Fairfax uderzył w nie pięścią, chwilę czekał, po czym walnął ponownie i zaczekał dłużej. Nie doczekawszy się odpowiedzi, ruszył po wyłożonym nierównymi kamiennymi płytami tarasie do węgła domu, a potem dalej, wzdłuż jego zachodniej ściany.

Okiennice na parterze były zamknięte; okna na wyższych piętrach tak zarosły bluszczem, że nie widział wnętrza ani jednego pokoju. Wiatr szeleścił w liściach bluszczu i szarpał gałęziami brzydkich drzew, które wyrosły tuż przy tarasie, a mimo to przez krótką chwilę Fairfax wyobrażał sobie, jak to mogło wyglądać przed Apokalipsą – płynąca z sali balowej muzyka, zawieszona w ogrodzie latarnie, pary spacerujące wzdłuż stawu, w którego tafli odbija się księżyc, latające maszyny czekające, by odwieźć do domu gości niezdających sobie sprawy z nadciągającej katastrofy.

Na tyłach dworu były brukowany dziedziniec i stajnie, zachowane w znacznie lepszym stanie niż sam dom. Na sznurach suszyła się kobieca bielizna. W rogu było wejście do ogrodu. I tam w końcu kogoś dostrzegł – wycinającą sierpem chwasty postać w słomkowym kapeluszu i koszuli z krótkimi rękawami.

– Dzień dobry! – zawołał, ruszając w jej stronę po bruku.

Ale ogrodnik był zbyt zajęty, by go usłyszeć, i dopiero kiedy Fairfax wszedł do ogrodu i znalazł się w odległości zaledwie kilku kroków od niego, obrócił się przerażony i zamachnął sierpem. Ostrze zatrzymało się kilka cali od szyi księdza. Fairfax rozpoznał Sarah Durston w tym samym momencie, kiedy ona rozpoznała jego.

– Ksiądz Fairfax! – zawołała, opuszczając sierp.

– Lady Durston. – Przypomniał sobie, że powinien uchylić kapelusza. – Najmocniej przepraszam, że panią przestraszyłem.

Miała na sobie białą męską koszulę z zakasnymi rękawami i połami wsuniętymi w ciężkie brązowe bryczesy, których nogawki wcisnęła w stare czarne buty do konnej jazdy. Jej policzki były zaczerwienione z wysiłku, a twarz, przedramiona i rozpięta pod szyją koszula mokre od potu. Wygląda jak Ceres, bogini płodności, pomyślał Fairfax, który miał słabość do poetyckich porównań.

– A pan musi mi wybaczyć, że się przestraszyłam, ale żyjemy tu na odludziu i mamy baczenie na obcych – odparła, zdejmując z głowy kapelusza. Wilgotne rude włosy miała związane z tyłu; ucisk runda sprawił, że przylepiły się jej do czoła i boków głowy. Zaczęła się wachlować kapeluszem. – Cóż za niespodzianka, panie Fairfax. Myślałam, że zdążył już ksiądz od nas wyjechać i znów obraca się w uczonych sferach w Exeter.

– Drogę zatarasowała błotna lawina.

Lady Durston przestała się wachlować i uważnie mu się przyjrzała.

– Jeszcze jej nie uprzątnięto?

– Teraz już chyba tak.

– A mimo to ksiądz nie wyjechał. Co księdza tutaj sprowadza?

– Jest pewna sprawa, którą chciałbym z panią omówić, jeśli nie sprawi to większego kłopotu.

– Sprawa, która dotyczy...?

– Pani rodowej siedziby.

Lady Durston uniosła brwi.

– Dlaczego interesuje się pan moim domem?

– To ma związek ze śmiercią ojca Lacy’ego.

Mierzyła go jeszcze przez chwilę wzrokiem. Może mu się zdawało, ale wyczuł w niej pewną niechęć, jakby nie chciała kontynuować tej rozmowy. Powachlowała się trochę dłużej kapeluszem.

– Przysięgam, że jestem dziś tak samo spieczona słońcem, jak wczoraj byłam zmoczona przez deszcz. Jaką dziwną mamy ostatnio pogodę. Sądzi ksiądz, że tak było zawsze? Nie bardzo pojmuję – dodała, wkładając z powrotem kapelusz – co może wiązać Durston Court z biednym ojcem Lacy, ale chętnie się dowiem. Powinniśmy wejść do domu i się czegoś napić.

Brzmiało to bardziej jak rozkaz niż zaproszenie. Kobieta oparła sierp o ramię i wyprowadziła Fairfaxa z ogrodu. Przed sobą mieli tylną ścianę domu. Zamiast jednak przeciąć brukowany dziedziniec, skręciła w bok, w stronę stajni, postawiła sierp przy najbliższych drzwiach i dała księdzu znak, żeby wszedł do środka.

Po raz drugi, odkąd wszedł na teren posiadłości, zaskoczyło go to, co tam zobaczył. Stajnia była dość duża, by mogło się tu kiedyś pomieścić pół tuzina koni, ale ścianki działowe, żłoby i wieszaki na uprzęż usunięto, a wewnątrz przerobiono na coś w rodzaju bawialni, wstawiając tu meble zabrane z obracającej się w ruinę rezydencji. Na podłodze leżał duży wyblakły perski dywan o skomplikowanym wzorze, a na nim stały dwa pozłacane stare fotele wyściełane wytartym żółtym jedwabiem, pasująca do nich obiciem dwuosobowa sofa oraz niski i dość brzydki stolik ze szklanym blatem, na którym stał wazon z żonkilami. Na trzech ścianach wisiały gobeliny, czwarta, bielona, była pokryta prawie w całości obrazami przedstawiającymi elegancko ubrane damy, wąsatych żołnierzy w czerwonych mundurach oraz otoczony parkiem Durston Court z dziećmi i psami myśliwskimi na pierwszym planie. Wnętrze skąpane było w złocistym blasku słońca, którego promienie wpadały z góry przez zakurzony świetlik.

Fairfax zdjął z głowy kapelusz i rozejrzał się. Miał uczucie, jakby przeniesiono go do jakiejś innej, bardziej wyrafinowanej, epoki, zupełnie niepodobnej do niczego, co dotąd widział, nawet w biskupim pałacu.

– Cóż za niezwykle pomieszczenie!

– Po śmierci męża uznałam, że dla wdowy to bardziej odpowiednie miejsce od tego wielkiego sypiącego się w gruzy grobowca, który służył nam kiedyś za dom. – Lady Durston siadła na jednym z foteli, zdjęła opaskę przytrzymującą z tyłu jej włosy,

potrząsnęła głową i rude loki opadły na ramiona. – Niech ksiądz siada. Czego się ksiądz napije? Lemoniady, herbaty? Może piwa?

Przeszło mu przez głowę, że to aluzja do jego zachowania poprzedniego wieczoru, ale uświadomił sobie, że lady Durston na szczęście wyszła, nim poproszono go do tańca.

– Jeśli można, to lemoniady – odparł, przycupnąwszy na skraju sofy.

Lady Durston wzięła do ręki mały srebrny dzwoneczek i zadzwoniła. W progu prawie natychmiast pojawiła się młoda kobieta w czarnej sukni.

– Przynies nam lemoniady, Abigail.

Po wyjściu pokojówki lady Durston zaczęła zdejmować jeździeckie buty; kilka razy kopnęła każdym z nich w piętę drugiego, a potem skrzyżowała nogi i ściągnęła ze stóp skórzane cholewki. Ustawiła starannie buty przy fotelu i pomasowała palce stóp, odziane, co odkrył z lekką fascynacją, w nieco przybrudzone białe jedwabne pończochy. Zerknęła na niego i szybko odwrócił wzrok.

– Moje maniery pozostawiają z pewnością wiele do życzenia – powiedziała. – Mieszkamy tu tylko we czwórkę, same kobiety, i odwykliśmy od wytwornego towarzystwa... w gruncie rzeczy od jakiegokolwiek towarzystwa.

– Same kobiety? – zapytał zszokowany. – Czy to bezpieczne?

– O tak, całkiem bezpieczne. Abigail pełni funkcję pokojówki, Jenny gotuje, Mary pomaga mi w ogrodzie. Mam stary muskiet męża. Jeśli jest do zrobienia coś, co może wykonać tylko mężczyzna, zatrudniamy jakiegoś. Mieszkańcy wioski nie wchodzi nam w paradę. Podejrzewam, że biorą nas za czarownice.

– Nie może być!

– Żartuję, panie Fairfax. W przyszłości powinnam chyba zadzwonić dzwoneczkiem, żeby ostrzec księdza, że nie mówię serio.

Na szczęście nie musiał na to odpowiadać, bo do bawialni weszła Abigail z tacą. Lady Durston przesunęła wazon na bok, żeby zrobić dla niej miejsce. Po wyjściu pokojówki naląła dwie szklanki lemoniady z dziwnego metalowego dzbanka z pokrywką i długim zakrzywionym dzióbkiem.

– Słodzi ksiądz miodem? Uprawiamy własne cytryny pod szkłem zabranym z rezydencji. Mamy również trzy ule. Produkty, których nie zużywamy same, wozimy do Axford i sprzedajemy. – Dodała mu do szklanki trochę miodu i zamieszała łyżeczką. – Jak ksiądz widzi, jesteśmy tutaj całkiem samowystarczalne... regularna mała kolonia Amazonek.

Podąła mu szklanekę, uniosła własną i wypila duszkiem lemoniadę. Fairfax poszedł za jej przykładem.

– No dobrze – powiedziała, wycierając usta wierzchem dłoni w sposób, o którym w Exeter powiedziano by pewnie, że nie przystoi damie. – Co to za historia z moim domem?

Fairfax odstawił szklanę na stolik. Teraz, kiedy doszło już do tej rozmowy, nie bardzo wiedział, jak ją poprowadzić. Z dala od gabinetu Lacy'ego cała sprawa wydała mu się naciągana i nieco ryzykowna. Nic, czego się w życiu nauczył, nie przygotowało go do tej wymiany zdań. Mimo to wziął głęboki oddech i zaczął:

– Dziś rano przejrzałem kościelne księgi – oznajmił. – W jednej z nich, bardzo starej, jest adnotacja dotycząca ślubu, do którego doszło przed ośmiuset laty... wedle mojej rachuby trzydzieści pokoleń temu, jeśli można sobie w ogóle wyobrazić taki szmat czasu. Tak czy inaczej, zapisano tam, że panna młoda mieszka w Durston Court Lodge.

– Więc była z rodu Durstonów? – zapytała po chwili lady Durston.

– Nie, jej nazwisko brzmiało Morgenstern, moja pani.

– Naprawdę? – Zmierzyła go chłodnym spojrzeniem, ale w jej oczach dostrzegł pewien niepokój. – Byłam przekonana, że mieszkali tu wyłącznie Durstonowie. – Obróciła się w fotelu i wskazała głową wiszące na ścianie portrety. – Ten dwór zbudowała rodzina mojego męża... tak bardzo się nim szczyił, że choć dom nadawał się najwyżej na chlew dla świń, za żadne skarby nie chciał się z niego wyprowadzić.

– Rejestr kościelny nie pozostawia co do tego cienia wątpliwości.

Lady Durston wzruszyła lekko ramionami.

– Może jej ojciec był tu dozorcą.

– Napisano, że był „profesorem”.

– Co konkretnie stanowiło przedmiot jego zainteresowań?

– Rozumiem, że to była fizyka... studiowanie zjawisk naturalnych.

– Jest ksiądz tego pewien? – Wzięła do ręki dzbanek z lemoniadą, jakby chciała ukryć zmieszanie, i zaproponowała, że mu doleje. Fairfax podniósł rękę w odmownym geście. – Według mnie to są jakieś niestworzone historie – podjęła, dolewając tylko sobie. – Dlaczego córka profesora fizyki, a razem z nią pewnie sam profesor mieliby mieszkać w tak ustronnym miejscu?

– To samo sobie pomyślałem. Możliwe, że nie mieszkali tu przez cały czas. Ludzie mieli wtedy mechaniczne środki transportu, o wiele szybsze niż to, czym teraz dysponujemy. Potrafili nawet latać. Być może mógł tutaj dotrzeć z Londynu w niecały dzień. W takim wypadku mógł pracować w mieście, a tutaj odpoczywać.

– W niecały dzień! Trudno to sobie wyobrazić! Cóż, w takim razie nie możemy wykluczyć do końca takiej możliwości. Ale co to ma wspólnego z ojcem Lacyem?

– Odkryłem, że na plebanii jest mnóstwo ksiązek poświęconych studiom nad przeszłością. A także pochodzących z niej przedmiotów.

– Ksiądz Lacy nie krył swoich zainteresowań. I co z tego?

– Po pierwsze, te teksty są bez wątpienia heretyckie... choć o tym akurat rozstrzygnie mój ksiądz biskup.

– Co to za książki?

Fairfax zawahał się, po czym rozpiął kołnierz sutanny i wyjął niewielki tomik, który zabrał z sypialni starego księdza.

– Mam na myśli zwłaszcza jedną, którą studiował chyba tuż przed śmiercią. – Otworzył tomik w zaznaczonym miejscu. – Jest tu wydrukowany list tego samego profesora Morgensterna. Tak mi się w każdym razie wydaje, bo nie mogło być wiele innych osób o tak dziwnym nazwisku.

– Ach! Teraz naprawdę się w to wciągnęłam. Mogę to zobaczyć? – Kiedy sięgnęła ręką po książkę, Fairfax lekko się cofnął. Co on tak naprawdę wiedział o tej kobiecie? Że ma ładną buzię, zrujnowany dom i niekonwencjonalny styl bycia. Lady Durston nie cofnęła ręki. – Księżę Fairfax! Niech pan ma trochę więcej wiary w moją dyskrecję. Powinnam się poczuć urażona.

– Oczywiście. Proszę wybaczyć. – Fairfax dał jej książkę. – Ale byłbym naprawdę wdzięczny, gdyby nikomu pani o tym nie mówiła. Jestem w niezręcznej sytuacji. Powinienem udawać przed biskupem, że w ogóle tego nie czytałem. – Choć zupełnie inną kwestią jest, czy mi uwierzy, pomyślał, przypominając sobie spojrzenie stalowych oczu biskupa Pole'a.

Obserwował ją bacznie, gdy czytała list – ze zmarszczonym w skupieniu czołem i poruszającymi się ustami, kiedy próbowała odczytać nieznaną słowa. Mimo wszystkich dręczących go obaw czuł ulgę, mogąc podzielić się z kimś swoim odkryciem. Tego rodzaju informacje trudno było zachować tylko dla siebie. Skończywszy czytać, lady Durston wypuściła z ust powietrze i z satysfakcją zobaczył, że apel Morgensterna wywarł na niej co najmniej tak samo mocne wrażenie jak na nim.

– To z pewnością najbardziej niezwykła historia, jaką w życiu czytałam – przyznała w końcu.

Fairfax pokiwał skwapliwie głową.

– Ja też jestem nią głęboko poruszony! Od chwili, gdy przeczytałem ten list, minęło już dwanaście godzin i wciąż nie mogę o nim zapomnieć. To wszystko wydaje się tak fantastyczne, że pytam sam siebie, czy to może być autentyczny dokument.

– Jak ktoś mógłby to sobie wszystko wymyślić? Żaden poeta nie ma aż tak bujnej wyobraźni. I po co miałyby to robić?

– W celach wywrotowych. Bo ten list podważa autorytet Kościoła i sprowadza otoczone tajemnicą dzieła wszechmogącego Boga do różnych spekulacji: sześciu możliwych form katastrofy i tak dalej, i tak dalej. To stawia ludzi w centrum wszechświata i sugeruje, że śmiertelnicy mogą udaremnić swymi działaniami to, co ma się stać z Jego woli. Nie ma tu mowy o niczym, o czym naucza Kościół. Gdzie jest Bestia Apokalipsy z siedmioma głowami i dziesięcioma rogami? Gdzie są Babilon i jezioro ognia? Ten list jest heretycki, a nawet diabelski. Za samo jego posiadanie można się narazić na surową karę.

Lady Durston wpatrywała się nieruchomym wzrokiem przed siebie.

– Niech ksiądz wyobrazi sobie, że żyje w tamtych czasach – powiedziała. – Wie, że staczamy się w otchłań, a mimo to nie możemy nic zrobić, by się ratować.

– Może coś jednak robili.

– Ale zbyt późno, żeby to coś dało. Ich świat bezpowrotnie przeminął. – Lady Durston odwróciła stronicę. – Napisał ten list w marcu ich dwa tysiące dwudziestego drugiego roku. Kiedy wyszła za mąż jego córka?

– Latem tego samego roku.

– A kiedy nastąpiła katastrofa?

– Trzy lata później, w roku dwa tysiące dwudziestym piątym.

– O jakiej porze roku? W lecie? W zimie?

– Nie wiemy dokładnie, w jakim miesiącu. Pismo mówi tylko: *A to jest liczba jej, sześćset sześćdziesiąt i sześć*. Chociaż... – dodał niepewnie – być może mógłbym to określić dokładniej.

– Więc niech ksiądz to zrobi.

– Nie, wolałbym nie.

– Dlaczego?

– Bo zbyt dokładne badanie tych spraw jest sprzeczne z nauczaniem Kościoła. – Mimo to nie mógł się oprzeć. – No dobrze, skoro pani tak nalega. Sądząc po liczbie pogrzebów w tej wiosce jesienią tamtego roku... do katastrofy doszło najprawdopodobniej późnym latem, tuż przed żniwami. Ludzie zaczęli umierać w wielkiej liczbie, tak jak to przepowiedziano w Księdze Objawienia. Wkrótce potem zapisy się kończą. Cokolwiek się zdarzyło, było nagłe i objęło wszystkich.

Lady Durston obracała tam i z powrotem kartki książki.

– Ciekawe, co się stało z doktorem Shadwellem – mruknęła.

– Biorąc pod uwagę, jak poważnych dopuścił się herezji, można śmiało uznać, że już nie żyje. Choć przyszła mi do głowy pewna myśl...

Przerwał. Za dużo mówił.

– Jaka myśl? – chciała wiedzieć lady Durston.

– To bez wątpienia mało prawdopodobne... – podjął niechętnie – ale pomyślałem sobie, że to on właśnie przeszkadzał mi podczas nabożeństwa.

– Możliwe. – Odchyliła się do tyłu w fotelu i przez minutę wpatrywała się w otwarte drzwi. – Czy mogę liczyć na pańską dyskrecję, panie Fairfax?

– Chyba tak – odparł cokolwiek urażony. – Skoro ja najwyraźniej liczę na nią z pani strony.

– W takim razie będzie nas wiązała wspólna tajemnica. – Lady Durston zadzwoniła na pokojówkę, a ta pojawiła się tak szybko, że Fairfax nie miał wątpliwości, że podsłuchiwała pod drzwiami. – Przynies mi moje buty i latarnię, Abigail.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Kolekcja pułkownika Durstona

Wnętrze rezydencji było kompletnie zdewastowane – ciemne, wilgotne, pełne walających się wszędzie porzuconych rzeczy. Półmrok rozjaśniało eteryczne zielonkawe światło sączące się przez okiennice i pędy bluszczu. Tam gdzie deszczówka lała się przez sufit, deski parkietu dawno się rozpadły, wypełniając dom ciężkim zapachem zgnilizny i pleśni.

Fairfax wszedł razem z lady Durston tylnym wejściem i mijając pomieszczenia, w których kiedyś musiały się mieścić biura posiadłości, podążał za nią do sal recepcyjnych od frontu. Kiedy przechodziła od jednej odsłoniętej belki stropowej do drugiej, jej biała koszula co chwila wyłaniała się przed nim z ciemności. Kołyszące się światło latarni wydobywało z mroku najróżniejsze przedmioty: wiszące w korytarzu jelenie poroże, opartą o drzwi plastikową różową lalkę bez rąk i włosów. W jadalni przy okrytym pokrowcem długim stole stały dwa tuziny okrytych pokrowcami wysokich krzeseł: sprawiało to wrażenie uczty duchów. W reprezentacyjnym holu wejściowym, przy zardzewiałym gongu u stóp schodów, wyrosły chwasty. Po miejscach, z których zabrano obrazy, zostały na ścianach jaśniejsze prostokąty. Wszędzie unosił się odór rozkładu.

Lady Durston otworzyła jedno z wielkich kasetonowych drzwi naprzeciwko schodów. W końcu długiej sali przez popękane okiennice przebijało się zielonkawożółte światło. Próbowała je otworzyć, ale nie dała rady.

– Mógłby pan być tak uprzejmy, panie Fairfax... – w jej głosie zabrzmiał ślad irytacji, jakby prośenie go o cokolwiek urągało jej godności – i mi pomóc?

Podniosła latarnię. Okiennice były dwa razy wyższe od niego, zabezpieczone długą mosiężną dźwignią, którą musiał kilkakrotnie uderzyć od dołu otwartą dłonią, nim udało się ją podnieść. Kiedy odsuwał panele, ich zawiasy głośno zaskrzypiały. Przez zarośniętą brudem wysoką szybę widać było podjazd i staw, wciąż skąpane w słońcu i zastygłe w bezruchu niczym na obrazie. Obrócił się na pięcie. W tej sali musiała się kiedyś mieścić biblioteka, ale pozostało z niej tylko parę podartych tomów. W którymś momencie przez komin wdarły się tu najwyraźniej ptaki. Parkiet był usłany gałązkami i piórami. Długie rzędy pustych półek i pokryty kopciem kominek upstrzone były skamieniałymi odchodami.

– Z biblioteki już dawno nic nie pozostało – powiedziała lady Durston. – Mój teść powtarzał, że w długie zimowe wieczory nic nie pali się lepiej od dobrej książki.

Fairfax spojrzał na pobrudzone przez ptaki półki. Biorąc pod uwagę jego akademicką pozycję, Morgenstern musiał być chyba autorem jakiejś książki. Jeśli tak, zapewne

sprezentował mieszkającej w rezydencji rodzinie jej egzemplarz, nawet jeśli ze swoimi myśliwskimi psami i przyjęciami nie byli w stanie jej zrozumieć. Byłby to uprzejmy gest ze strony najemcy. Ale w którąś mroźną noc ta książka też pewnie poszła z dymem. Ile tomów wykorzystano na opał – nie tylko w Addicott, ale też w całej Anglii? Miliony. Setki milionów. Ile utracono wiedzy?

Pośrodku sali stał duży okryty pokrowcem mebel. Lady Durston ściągnęła materiał szybkim ruchem dłoni, odsłaniając biblioteczny stół z popękany czerwonym skórzany blatem. Wysunęła środkową szufladę, wyciągnęła z niej klucz i zaprowadziła Fairfaxa w róg sali, do małych dyskretnych drzwi oklejonych taką samą jak ściany spłowiałą, łuszczącą się szkarłatną tapetą. Nie miały klamki, tylko małą dziurkę od klucza. Otworzyła je i podała mu latarnię. Fairfax spojrzał na nią, nie wiedząc, czego od niego oczekuje.

– Proszę powiedzieć, co pan myśli.

W małej i dusznej klitce z trudem mieściła się jedna osoba. Domyślał się, że to coś w rodzaju kantorka, w którym rodzina przechowywała swoje dokumenty. W przyćmionym świetle, wpadającym przez zakratowane okrągłe okienko, widać było sięgające od podłogi do sufitu półki, lecz zamiast dokumentów leżały na nich wyroby ze szkła: kolby, zlewki, rurki, spirale, lejki i pręty – setki przedmiotów, z których większość była uszkodzona, ale wszystkie wydawały się bardzo delikatne, z gatunku szkła, jakiego nigdy jeszcze nie widział. Wziął do ręki największy przedmiot, cylinder o wysokości może jednej stopy i średnicy trzech cali, pęknięty na górze, lecz z nienaruszoną podstawą. Niczego tak precyzyjnego i subtelnego nie potrafiono by teraz wytworzyć. Zbliżył do niego latarnię. Na całej wysokości wygrawerowano na nim czerwoną podziałkę i jakieś znaki. Kiedy stał w tym miejscu kurz, zobaczył, że są to litery „ml” i „cl”, a także liczby: 10, 50, 100.

– Niech pan zajrzy do komody po lewej stronie! – zawołała z biblioteki lady Durston.

Fairfax podkasał sutannę, postawił latarnię na podłodze, ukląkł przy niej i otworzył drzwiczki. Na kawałku materiału leżał zardzewiały przedmiot długości jego przedramienia – ciężki, z wystającą z jednej strony krótką rurką. Ktoś próbował go wyczyścić. W niektórych miejscach spod rdzy wyzierał lśniący metal. Ale całości nie udało się wypolerować i ruchome niegdyś części skorodowały, łącząc się w jedną masę.

– Widzi to pan?

– Tak.

– I co?

– To chyba jakiś rodzaj broni.

– To samo mówił mój mąż. Znalazł na naszej ziemi kilka takich rzeczy. Ta jest najlepiej zachowana.

Zważył przedmiot w dłoniach. Był zupełnie niepodobny do będących na wyposażeniu wojska długich muszkietów, ale Fairfax w gruncie rzeczy nie znał się na broni. Jako ksiądz był zwolniony ze służby. Podniósł go do ramienia i czując przy policzku chropowatą chłodną powierzchnię, popatrzył wzdłuż lufy. Wyczuwał w tym bezużytecznym

zardzewiałym przedmiocie coś złowrogiego i w końcu schował go z powrotem do komody. Wyprostował się, otrzepał sutannę i wrócił do biblioteki.

Sarah Durston opierała się o stół.

– Zastanawiające, prawda? – rzuciła.

– Zastanawiające to za mało powiedziane! Nigdy nie widziałem czegoś takiego. Te szklane przedmioty najwyraźniej nie były do użytku domowego. I nie do dekoracji, choć niektóre odznaczają się szczególnym pięknem.

– Od lat głowiłam się, czemu mogły służyć. Ale teraz chyba już wiem. Coś takiego mogło chyba należeć do profesora fizyki?

Zdał sobie sprawę, że Sarah Durston ma rację.

– Morgenstern przywiózł to pewnie z Londynu – powiedział.

– W jakim celu?

– Tego nie wiem.

Zerknął z powrotem w stronę kantorka. Stanął mu przed oczami obraz alchemika – czarnoksiężnika pochylonego nad butlami pełnymi bulgoczących płynów i trujących wyziewów – choć biorąc pod uwagę chłodną inteligencję widoczną w liście Morgensterna, wydawało się mało prawdopodobne, by był kimś takim.

– Jak długo to wszystko tu leży? – zapytał.

– Od pięciu lat. Zgromadził to mój mąż.

– Wszystko?

– Tak jest.

– Po co?

– Zadawałam mu to pytanie ze sto razy, ale nigdy nie potrafił udzielić przekonującej odpowiedzi. Przypuszczam, że miał nadzieję odkryć znaczenie tych przedmiotów i dzięki temu trafić na ślad większego skarbu.

– Zgromadzenie takiej kolekcji musiało mu zająć lata.

– O tak... – Westchnęła. – Długie lata. – Znów zmierzyła księdza bacznym spojrzeniem. – Może słyszał pan już coś o sir Henrym Durstonie, panie Fairfax?

– Nic.

– Nie wpadły panu do ucha jakieś wiejskie plotki? Ludzie uwielbiają obgadywać innych.

– Nic z tych rzeczy.

– W takim razie powinnam panu coś o nim powiedzieć. – Lady Durston wyjrzała przez okno. – Był ode mnie starszy. Służył jako pułkownik w Pułku Wessex i został ranny w ostatniej wojnie z Francuzami. Od tego zaczęły się nasze nieszczęścia. Wrócił z wojny fatalnie poharatany. Dom był w niewiele lepszym stanie niż teraz. Dochody od naszych dzierżawców nie starczały nawet na pokrycie długów, a co dopiero na jakieś większe naprawy. Powinniśmy sprzedać posiadłość i wynieść się stąd w diabły. Ale Durstonowie siedzieli tu od tysiąca lat i są uparci jak osły... a właściwie powinnam powiedzieć „byli”, bo sir Henry był ostatnim z rodu, trzydziestym piątym baronetem. – Odwróciła się i spojrzała

na Fairfaxes. – Dlatego wszystkie nadzieje na podniesienie się z upadku pokładał w tym, co być może leży tutaj w ziemi.

– Mówi pani o zakopanym skarbie?

– Dostrzegam pańskie zdumienie i proszę mi wierzyć, ja też je podzielałam. Ale jego fantazje nie były całkiem bezpodstawne. Rodzinna fama głosiła, że na terenie posiadłości ukryto przedmioty o wielkiej wartości. Słońce, śnieg czy ślota, stale wędrował po okolicy jak ktoś, kto zgubił coś wartościowego i szuka miejsca, gdzie to się stało. Ale udało mu się odnaleźć tylko to szkło i broń. A także te same co wszędzie śmiecie z przeszłości... plastiki i takie tam... chłam zupełnie bez wartości. Szkło też niewiele dla niego znaczyło, bo nigdy nie słyszał o Morgensternie.

– Mimo to je zatrzymał?

– Spędzał z nim długie godziny, czyszcząc i układając w różnych konfiguracjach, jakby tkwił w nich klucz do czegoś innego. Fakt, że broń leżała w pobliżu szkła, miał według niego duże znaczenie... być może ten większy skarb musiał być strzeżony. Ale bez względu na te wszystkie spekulacje, szkło pozostało po prostu starym szkłem. Wiedział, że jego posiadanie jest sprzeczne z prawem, ale nie mógł się z nim rozstać. Po jego śmierci ja też nie chcę się go pozbyć, bo to właściwie jedyna rzecz, jaka mi po nim została.

– Jak długo prowadził te poszukiwania?

– Codziennie przez dwa lata.

– Dlaczego przestał?

– Popęłił samobójstwo, skacząc do stawu.

– Och, lady Durston... przykro mi to słyszeć!

Machnęła lekceważąco ręką.

– Opowiadam panu o tym wszystkim w konfidencji. Ludziom powiedziano, że to był nieszczęśliwy wypadek, żeby ojciec Lacy mógł go pochować w poświęconej ziemi. Ale teraz, kiedy pokazał mi pan tę niewielką książeczkę, wydaje mi się, że sir Henry trafił być może na coś wartościowego. Mam taką nadzieję, bo często traciłam do niego cierpliwość i zarzucałam mu, że trwoni czas i siły na mrzonki. Niestety, popsuło to nieco nasze stosunki.

– Nawet jeśli nie jest to dużo warte w sensie monetarnym, ma na pewno wartość historyczną.

Fairfax mógł sobie wyobrazić rosnącą desperację pułkownika, kiedy raz za razem wykopywał z ziemi nie złoto lub klejnoty, lecz wyroby ze szkła. Ranny żołnierz, młoda żona, obracający się w ruinę dom – było w tym coś tragicznego niczym w scenie odgrywanej w teatrze! Nagle przyszła mu do głowy pewna myśl.

– Czy ojciec Lacy wiedział o kolekcji pułkownika? – zapytał.

– Nie za życia mojego męża. Henry zawsze traktował plebana z dużą nieufnością... uważał, że nie trzyma języka za zębami.

– A potem?

Spojrzała mu prosto w oczy.

– I tu dochodzimy do sedna sprawy, panie Fairfax. Prawda jest taka, że ojciec Lacy odwiedził mnie przed dwoma tygodniami i zapytał, czy ktoś nie wymienił kiedyś przy mnie nazwiska Morgenstern w powiązaniu z moim domem. Nazwisko jest dość rzadkie, więc na pewno bym go nie zapomniała. Odparłam zgodnie z prawdą, że nie. I to było wszystko. Ksiądz Lacy nie powiedział nic więcej, nie wspomniał o żadnej księżce ani o kościelnym rejestrze.

– Ale pokazała mu pani te szklane wyroby?

– Tak. Pomyślałam, że mogę ufać słudze Bożemu.

– I jaka była jego reakcja?

– Udawał, że zbytnio go to nie interesuje, poznałam jednak po tym, jak drżały mu ręce, że obudziła się w nim jego pasja. Chciał wiedzieć, gdzie mój mąż znalazł te przedmioty. W jednym czy w wielu miejscach?

– I co mu pani odpowiedziała?

– Zgodnie z prawdą: że wszystkie pochodzą z jednego miejsca.

– Rozumiem, że z ruin stróżówki?

– Nie.

– W takim razie skąd?

– Z miejsca na samym skraju naszej posiadłości, wysoko w lesie. Nazywają je Czarcim Tronem.

Fairfax przypomniał sobie, jak lady Durston stała długo przed grobem ojca Lacy'ego, a potem zdjęła rękawiczkę i sypnęła garść ziemi na wieko trumny. Wiedział już, dlaczego była taka zamyślona.

– To właśnie przy Czarcim Tronie ojciec Lacy spadł i się zabił – zauważył.

Lady Durston pokiwała głową.

– Nie widziałam powodu, żeby mu nie mówić. To były wyłącznie potłuczone szkło i kilka sztuk zardzewiałej broni, które stały się dla mnie tylko źródłem zgrzyoty. Niech je sobie obejrzy, myślałam. Dlaczego miałabym to przed nim ukrywać?

– A potem, kiedy odnaleziono jego ciało... nie mówiła pani nikomu, po co tam poszedł? Mam na myśli szeryfów albo sędziego.

– Zastanawiałam się nad tym. – Po raz pierwszy nie była już taka pewna siebie. – Ale ujawnienie jednej części tej historii musiałoby doprowadzić do ujawnienia wszystkiego... do przyznania się, że jestem właścicielką zakazanej kolekcji. – Ton jej głosu zmienił się i wyciągnęła do księdza ręce, jakby błagała go, by ją zrozumiał. – Z trudem wiążemy tu koniec z końcem, panie Fairfax, a w Axford i gdzie indziej jest wiele osób, które chętnie wykurzyłyby mnie z tego domu. Poza tym myślałam, że jego śmierć to nieszczęśliwy wypadek.

– Dalej pani tak uważa?

Nie odpowiedziała.

Fairfax wpatrywał się w nią jeszcze przez chwilę, a potem zaczął chodzić po bibliotece. Wyobrażał sobie najróżniejsze rzeczy. Nie mógł po prostu ustać w miejscu. W końcu zatrzymał się przed nią.

– Muszę szczerze powiedzieć, że moim zdaniem popełniła pani błąd – powiedział.

– Dlaczego?

– Nie mogła pani tego wiedzieć, ale zaraz po wizycie u pani i zobaczeniu tego wszystkiego ojciec Lacy zmienił zamki w plebanii i ukrył księgi kościelne. W dniu, kiedy zmarł, widziano w wiosce obcego.

– Nic o tym nie wiedziałam.

– Wierzę pani. Ale co to wszystko znaczy? Ojciec Lacy musiał się czegoś bać... jak się okazuje, całkiem słusznie. Czy ktoś poza mną wie o wizycie, jaką pani złożył?

– Nie.

– A kapitan Hancock?

– Z całą pewnością nie.

– A pani służące? Czy mogły zobaczyć, jak tu przychodzi i odchodzi?

– Nawet jeśli to widziały, nic o tym nie mówiły. Pana pytania mnie przerażają, panie Fairfax.

– Proszę mi wierzyć, że to ostatnia rzecz, jakiej bym sobie życzył. Ale niech pani pamięta, co mu się przydarzyło. Przyszedł tu na tydzień przed swoją śmiercią... Kiedy dokładnie?

Lady Durston przez chwilę się zastanawiała.

– To było w niedzielę. Gdy wychodziłam rano z kościoła po nabożeństwie, zapytał, czy może mnie odwiedzić.

– A więc to było... kiedy...? Dwudziestego czwartego marca? A zginął dziewięć dni później, we wtorek, drugiego kwietnia. Niech pani tylko pomyśli: przez trzydzieści lat przemierzał bezpiecznie wzdłuż i wszerz tę dolinę, a dziewięć dni po złożeniu pani wizyty spadł i skręcił sobie kark. Biskup uzna to za bardzo podejrzany zbieg okoliczności.

Spojrzała na niego przerażona.

– Chyba mu pan o tym nie powie?

– Nie mam wyboru. Muszę zdać mu raport z tego, co tu odkryłem.

– W takim razie jestem zgubiona.

– Och, proszę nie przesadzać, nic się pani nie stanie!

– Wprost przeciwnie! Księża i szeryfowie tylko czyhają, by przejąć ten dom. Nasze życie tutaj będzie skończone.

– Nie chce mi się w to wierzyć. Gdyby te przedmioty były drogocenne albo gdyby któreś zostały sprzedane... wtedy niewykluczone. Ale żaden sędzia nie skáže kobiety, zwłaszcza kogoś o takiej pozycji jak pani, za przechowywanie w domu potłuczonego szkła.

– Jak mało pan wie o świecie i o niebezpieczeństwach, na jakie narażona jest samotna kobieta, niemająca męża, który by jej bronił! – Lady Durston skrzyżowała ręce na piersi

i wbiła wzrok w podłogę. Minutę trwało, zanim się ponownie odezwała. – Cóż, skoro pan musi zdać ten swój raport, niech go pan zdaje... ale niech pan nie wymienia przynajmniej mojego nazwiska.

– Jak miałbym tego nie zrobić? W tej sprawie kluczowe są dowody na obecność Morgensterna w tej dolinie przed wieloma stuleciami i to, jak zostały odkryte. Pani rozmowa z ojcem Lacym ma olbrzymie znaczenie.

– Czy nie moglibyśmy zbadać tej sprawy sami i nie angażować na razie Kościoła?

Bezczelność tej propozycji go zaskoczyła.

– Lady Durston, trudno mi raczej ukrywać przed księdzem biskupem okoliczności śmierci mojego brata w kapłaństwie – oświadczył chłodno. Zdawał sobie sprawę, że może jej się wydać nadętym, a nawet okrutnym bufonem, ale cóż naprawdę innego mógł powiedzieć? – W ogóle nie biorę tego pod uwagę.

– Och, ojciec Fairfax. – W jej oczach zobaczył zimną pogardę. – Naprawdę jest ojciec tak bardzo pozbawiony chrześcijańskiego miłosierdzia?

To, że w tym momencie ich rozmowa została przerwana, Fairfax musiał później uznać za szczęśliwe zrządzenie losu. Gdyby do tego nie doszło, z pewnością wcisnąłby na głowę kapelusz i poprosił, by gospodyni odprowadziła go do drzwi. Ale zastanawiając się, jakiej ma udzielić ciętej odpowiedzi, zerknął machinalnie przez ramię i zobaczył za oknem biblioteki znajomą już postać na zaprzężonej w kucyka dwukółce, która podjeżdżała aleją do domu.

– Kapitan Hancock – wyjąkał zaskoczony. – I to już drugi raz tego dnia!

– Co takiego? – Lady Durston obróciła się, spojrzała tam gdzie on i nagle jęknęła. – Wprosił się na kolację... na śmierć o tym zapomniałam. – Patrzyli oboje, jak Hancock mija fronton domu i znika za rododendronami, kierując się w stronę stajni. Mogło się zdawać, że w ogóle nie doszło między nimi do sporu. – Musi pan zostać na kolacji, panie Fairfax – powiedziała.

– Wolalbym nie – mruknął sztywno.

– Ale ja bardzo nalegam – odparła i ku jego zdziwieniu wzięła go za rękę. – Poczytam sobie za wielki zaszczyt, jeśli zgodzi się pan, byśmy zasiedli do stołu we troje, a nie we dwoje, ale błagam, niech pan nie wspomina kapitanowi Hancockowi o niczym, o czym była tutaj mowa.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Kolacja we troje

Fairfax w dalszym ciągu protestował, twierdząc, że musi wracać na plebanię, że nie ma zamiaru brać udziału w prywatnym spotkaniu – co w gruncie rzeczy było prawdą – ale lady Durston nie chciała o tym słyszeć. Nie życzyła sobie tylko, by widziano, jak wychodzą razem z tyłu domu, dlatego zgodnie z jej sugestią podeszli do frontowych drzwi. Ich zamek, ciężkie zasuwki i wielka okrągła klamka były wielkie jak w katedrze. Kiedy je otworzyła, do środka wpadły oplatające framugę pędy bluszczu, jakby dom nie chciał wypuścić tych rzadkich gości. Zamknawszy drzwi za sobą, lady Durston wsunęła klucz do kieszeni i razem obeszlą rezydencję, kierując się w stronę stajni.

Kiedy dotarli na dziedziniec, Hancock zdążył już wysiąść z dwukółki i odwrócony do nich plecami, stał w progu stajennej bawialni. W ręce trzymał zwrócone w dół kwiaty jakarandy, którymi uderzał się po bucie, nieświadom tego, że gubią płatki.

– Kapitanie Hancock! – zawołała Sarah Durston i w tym momencie obrócił się z szerokim uśmiechem, który zastygł mu na ustach, gdy zobaczył Fairfaxa. – Pokazywałam właśnie księdzu posiadłość. Zje z nami skromną kolację. Mam nadzieję, że nie ma pan nic przeciwko temu.

Było coś heroicznego w tym, jak Hancock starał się ukryć swoje rozczarowanie.

– W żadnym wypadku. To wspaniały pomysł. – Przypomniał sobie o kwiatkach, spojrzał na nie zakłopotany i wcisnął jej do ręki. – Nie warto było ich zrywać. Lepiej od razu je wyrzucić.

– Nigdy nie przyszłoby mi to na myśl. – Lady Durston powąchała kwiaty. – Jakie to dziwne, że coś tak pięknego tak słabo pachnie. Zaraz wstawię je do wazonu. Proszę do środka, panowie. Muszę się przebrać z mojego ogrodowego stroju. Czekaając, poczęstujcie się naszym ginem. Każę wam podać dzbanek.

Powiedziawszy to, wyszła, zostawiając ich siedzących krzywo na dwóch połączonych fotelach. W ograniczonej przestrzeni ich kolana niemal się stykały. Przez jakiś czas obaj milczeli.

– Mogę zapytać, która jest godzina, kapitanie Hancock? – odezwał się w końcu Fairfax.

Hancock sięgnął do wewnętrznej kieszeni i wyciągnął zegarek.

– Kilka minut po piątej, ojczy. Godzina, na którą to ja byłem zaproszony. – Włożył z powrotem zegarek do kieszeni i wbił wzrok w Fairfaxa. – Rozumiem, że załatwił ksiądz swoje „kościelne sprawy”... a może mu w tym przeszkodziłem?

– Nie, załatwiłem wszystko, co trzeba było załatwić. Odprawię jeszcze nabożeństwo w niedzielę i zaraz potem wrócę do Exeter.

– A zatem skoro nie były to kościelne sprawy, czy mogę spytać, co sprowadziło pana do tego domu? – W pytaniu wyczuwało się skrywaną agresję.

– Może pan pytać, lecz ja nie czuję się w obowiązku odpowiadać. Ale skoro to dla pana takie ważne, zaniósłem po prostu panu Gannowi list do wysłania do Exeter, a potem pomyślałem sobie, że przejdę się dalej drogą. Zobaczyłem słupy bramy i wszedłem do środka. – Wszystko to było zgodne z prawdą, choć nie do końca, ale usatysfakcjonowało chyba Hancocka, bo odchrząknął i uniósł głowę. Cóż to za straszny gbur, pomyślał Fairfax i po raz pierwszy ucieszył się, że zostaje na kolacji, choćby po to, by go zirytować.

Abigail weszła do bawialni z dwoma dzbankami i trzema szklankami. Gdy postawiła je na stole, Hancock odesłał ją i uparł się, że sam naleje: dwa duże kubki ginu rozcieńczone tylko nieznacznie wodą. Pchnął jeden z nich w stronę Fairfaxesa.

– Wypijmy za pańską podróż powrotną do Exeter. Niechaj będzie bezpieczna i szybka.

– Bezpieczna i szybka. – Fairfax upił łyk kwaśnej oleistej cieczy i skrzywił się.

Hancock wypił duszkiem swoją porcję i nalał sobie kolejną.

– Dlaczego kobietom zawsze zabiera to tyle czasu? – mruknął, wpatrując się w otwarte drzwi.

– Rozumiem, że nie jest pan żonaty, kapitanie?

– Nigdy nie miałem na to czasu. Najpierw służba wojskowa, potem interesy. Dom prowadzi za mnie siostra. Oczywiście księdza te problemy nie dotyczą.

– Niestety, nie.

– Rzeczywiście niestety! Choć w mojej opinii mężczyzna powinien się żenić, dopiero kiedy dojdzie do pewnego etapu w swoim życiu. W momencie, kiedy staje się to koniecznością. Pleban... Panie, świeć nad jego duszą... miałby mniej czasu na te swoje makabryczne zainteresowania, zbieranie kości i czego tam jeszcze, gdyby w łóżku czekała na niego chętna żonka. Choć powiadają – dodał, mrugając do Fairfaxesa – że Agnes była w tym całkiem niezła.

– Kapitanie Hancock!

– Przepraszam, młody człowieku. Widzę, że to cię zszokowało. Przepraszam. Cofam to, co powiedziałem.

Fairfax odstawił szklankę, skrzyżował ramiona na piersi i odwrócił wzrok, obiecując sobie, że do powrotu lady Durston nie zamieni już ani słowa z Hancockiem. Ale w miarę jak milczenie stawało się coraz dłuższe, zaczął się zastanawiać nad pewnymi aspektami życia na plebanii, które sam zaobserwował – przesadną żalobą gospodyni, ciasnotą, w jakiej mieszkała, dzieląc łóżko z siostrzenicą, niezadowolaniem na myśl o tym, że będzie musiała opuścić dom – i zorientował się, że w insynuacjach Hancocka może tkwić ziarno prawdy.

Mimo że nie miał dużego życiowego doświadczenia, Fairfax nie był świętoszkiem. Rozumiał, jak może dojść do takich sytuacji, i wolał ich nie osądzać. Sam też przez wiele godzin potajemnie rozmyślał o młodych kobietach z Exeter, czasami, niech mu Bóg wybaczy, robił to nawet w katedrze. Po dłuższej chwili ciekawość wzięła górę nad jego postanowieniem.

– Wiem od pani Budd, że uczestniczył pan w poszukiwaniach ojca Lacy’ego – powiedział, zwracając się nie bezpośrednio do Hancocka, ale w stronę otwartych drzwi.

– Nie tylko uczestniczyłem – odparł kapitan, który najwyraźniej chciał zatrzeć złe wrażenie; jego ton stał się bardziej przyjazny. – To ja je zorganizowałem i brali w nich udział w większości moi ludzie z przędzalni.

– Naprawdę? – Fairfax odwrócił się, poświęcając mu pełną uwagę.

– Zgadza się. Zakrystian Keefer... który pracuje u mnie, kiedy nie pełni służby Bożej... zjawił się u mnie w środę rano i powiedział, że pleban nie wrócił na noc do domu i Agnes szaleje z rozpaczy. Zatrzymałem połowę moich maszyn i poszliśmy go szukać.

– I jak długo trwało, zanim go znaleźliście?

– Cały dzień. Znieśliśmy go na dół dopiero o zmierzchu.

– Słyszałem, że zwłoki leżały gdzieś na odludziu.

– W rzeczy samej... w bardzo odludnym miejscu! W lesie mniej więcej dwie mile na północ stąd, blisko ruin wieży. Po zimowych deszczach grunt na wzgórzach jest bardzo rozmokły i zdradziecki. Jest tam wiele podziemnych źródeł. Ziemia musiała się osunąć pod jego stopami i spadł do wąwozu razem ze swoim małym rydlem.

– Mielście chyba szczęście, że udało się wam go znaleźć.

– Ano tak. Keefer orientował się z grubsza, dokąd ostatnio chadzał ksiądz Lacy, więc wiedzieliśmy, gdzie szukać. Inaczej trwałoby to pewnie dłużej.

Słyszając to, Fairfax wyprostował się w fotelu.

– Keefer wiedział, dokąd iść?

– W przybliżeniu. Większość ludzi nie chciała się tam zbliżyć z powodu miejscowego przesądu. Ale przynajmniej za jedno możemy dziękować losowi, Fairfax. – Hancock położył dłoń na kolanie księdza i pochylił się, jakby chciał mu powiedzieć coś w zaufaniu. – Moim zdaniem to musiała być szybka śmierć.

– Dlaczego?

– Bo zdążyły się do niego dobrać leśne zwierzęta. Nie zrobiłyby tego, gdyby jeszcze żył.

Dokładnie w tym momencie w progu stanęła lady Durston. Hancock posłał Fairfaxowi ostrzegawcze spojrzenie, cofnął rękę z jego kolana i przytknął na krótko palec do ust.

– Cóż za dobrana para! – Ich gospodyni wydawała się zaskoczona, a nawet lekko dotknięta. – Może woleliby panowie, żebym sobie poszła? Jeśli nie, kolacja podana – dodała, żartobliwie przy tym dygając.

* * *

Jadalnia znajdowała się w dalszej części stajni; kolejne drzwi prowadziły z niej do kuchni. Podobnie jak bawialnię, wyposażono ją w rzeczy zabrane z rezydencji: różowy dywan o romboidalnym, prawie zupełnie spłowiałym wzorze, stół na osiem osób z niepasującymi do siebie krzesłami oraz kredens, na którym stały dwa duże cynowe kandelabry. Lady Durston siadła u szczytu stołu, dwaj mężczyźni po jej prawej i lewej ręce. Między nimi stały w wazonie kwiaty przyniesione przez Hancocka. Gospodyni związała włosy i przebrała się w długą czarną spódnicę, jasnoniebieską bluzkę i brokatowy żakiet. Ubranie, podobnie jak to, które miała na sobie w kościele, było dobrej jakości, ale stare i pocerowane. Chociaż Fairfax nie od razu to zauważył, nie miała żadnej biżuterii. Z trudem wiążemy koniec z końcem, powiedziała wcześniej. Teraz poprosiła go, by zmówił pacierz.

Jedzenie – nawet jeśli proste – było całkiem smaczne: gorący rosół z lanymi kluskami, a na drugie pieczony gołąb na szpinaku z plasterkiem boczką na górze – każde danie serwowała z kuchni kucharka Jenny. Do picia podano czerwone wino z Devonu, choć Hancock pozostał przy ginie. Przyniósł dzbanek z bawialni i trzymał go blisko siebie przez całą kolację, często sobie dolewając. Był typem człowieka sukcesu, którego przedstawiciele Fairfax miał okazję nieraz spotkać pośród bogatych kupców w Exeter. Dominujący i nawet (ktoś mógłby przyznać) zabawni, gdy rozmowa toczyła się po ich myśli, popadali w chmurne i niecierpliwe milczenie, kiedy nie dotyczyła ich interesów. Dopóki więc rozprawiał o wyrobie sukna i o tym, jak mężczyzna pracujący przy jednej z jego maszyn może wyprodukować w ciągu dziesięciogodzinnego dnia pracy tyle samo tkaniny co pięćdziesięciu tkaczy tradycyjnymi metodami i jak wcześniej czy później ten sposób produkcji odmieni gospodarkę nie tylko tej doliny, ale też całego hrabstwa, mówił ze swadą, a Fairfax słuchał go z zainteresowaniem.

– Przez ile dni w tygodniu pracują po dziesięć godzin dziennie? – zapytał.

– Sześć. Siódmego dnia odpoczywać będziesz, mówi Biblia.

– Sześćdziesiąt godzin tygodniowo przy jednej maszynie to chyba bardzo długo. Pana ludzie się nie skarżą?

– Skarżą się bez ustanku. Płacę im jednak więcej, niż kiedykolwiek zdołaliby zarobić, przędąc we własnych domach.

– Ale nie pięćdziesiąt razy więcej – zauważyła lady Durston.

– Nie, lecz to ja muszę ponosić koszty zakupu maszyn i ich utrzymania. Ja biorę na siebie całe ryzyko, oni żadnego. – Hancock spojrzął na Fairfaksa. – Nasze krosna napędzane są wodą i często się psują, głównie dlatego, że nie możemy kontrolować siły jej przepływu. Na wiosnę i w zimie nurt jest zbyt szybki, w lecie za powolny. Natura to główna przeszkoda w naszym rozwoju.

– Jeśli o mnie chodzi, cieszę się, że natura trzyma na wodzy pańskie ambicje – powiedziała lady Durston. – Przykro byłoby patrzeć, jak zanikają nasze stare wiejskie zwyczaje.

– Zgadza się, moja droga Sarah... dlatego właśnie siedzimy i jemy w stajni, a twój prawdziwy dom sypie się w gruzy!

Lady Durston roześmiała się.

– Słyszysz pan, jak on ze mnie szydzi, panie Fairfax? Niechże mi pan przyjdzie z pomocą.

– Myślę, lady Durston, że nie potrzebuje pani pomocy ani ode mnie, ani od kogokolwiek innego.

– Ależ oczywiście, że potrzebuje, ojcze! – powiedział Hancock. – Potrzebuje pomocy już teraz. Jest po prostu zbyt dumna, by zdać sobie z tego sprawę. Niech pan posłucha: zatrudniam prawie połowę mężczyzn żyjących w tej dolinie. Ponieważ wytwarzają więcej, płacę im więcej. Mają więcej do wydania na targu w Axford, więc straganiarze i sklepikarze mogą zamawiać większą ilość towaru. Wszystkim coraz lepiej się powodzi. Któż mógłby mieć coś przeciwko temu?

– Nikt – odparł Fairfax. – Dopóki pogoń za pieniądzem nie stanie się celem samym w sobie. Wtedy miałbym wiele przeciwko temu. *Przypatrzcie się liliom polnym, jako rosną; nie pracują, ani przędą*¹⁸.

– W rzeczy samej, mój panie. Nie pracują, bo są kwiatami.

– Dostyc o interesach – ucięła stanowczym tonem lady Durston. – Niech pan nam coś o sobie opowie, panie Fairfax. Zawsze miał pan zamiar zostać księdzem?

Nagła zmiana tematu nieco go zaskoczyła.

– Zamiar? Nie... powiedziałbym raczej, że to stało się bez mojego udziału. Moi rodzice i siostra zmarli podczas zarazy, kiedy byłem mały, i musiałem zamieszkać u wuja w Weymouth. Był porządnym człowiekiem, ale już niemłodym i nie bardzo sobie radził z żywym dziesięciolatkiem, posłano mnie więc do katedralnej szkoły w Exeter. Stamtąd trafiłem do seminarium.

– Więc Kościół jest dla pana zarówno matką, jak i ojcem?

– Tak, i wszystkimi moimi pozostałymi krewnymi, bo wkrótce po wysłaniu mnie do szkoły zmarł również i wuj. – Fairfaxa dopadło nagle poczucie winy. Tego dnia nie zachowywał się raczej jak wierny syn Kościoła. – Od dzieciństwa moim powołaniem była służba Bogu i poczytuję to sobie za zaszczyt. – Znajoma formuła po raz pierwszy wydała mu się dziwnie pusta.

– Za dużo jest księży – oświadczył Hancock, dolewając sobie po raz kolejny ginu. – Tak uważam. Bez obrazy, Fairfax, ale za bardzo wtrącają się w sprawy, które ich nie dotyczą. Weźmy choćby moją przędzalnię. Przyjechali z Exeter, żeby sprawdzić, czy nie złamałem przypadkiem jakiegoś prawa i nie zainstalowałem maszyn, które są zakazane. Gdzie to jest zadekretowane w Biblii? Powinni ograniczać się do kwestii duchowych, a produkcję sukna pozostawić mnie.

– Zatem Kościół i państwo powinny zostać rozdzielone?

– Tak byłoby lepiej i dla państwa, i dla Kościoła.

– Znaleźlibyśmy się wtedy w miejscu, w którym Kościół zajmowałby się moralnością, nie mając realnej władzy, a państwo dysponowałoby władzą i za nic miałoby moralność. To właśnie doprowadziło starożytnych do katastrofy.

– Tak utrzymuje Kościół... i oczywiście w ich interesie jest opowiadanie nam takich historii. Ale skąd mamy wiedzieć, czy to prawda, skoro nie pozwalają nam badać przeszłości?

– Uważaj, co mówisz, John – ostrzegła kapitana lady Durston.

– Wyrażam po prostu swoją prywatną opinię. Pan Fairfax nie oskarży mnie chyba przed swoim biskupem o herezję.

Fairfax uśmiechnął się.

– Proszę się nie obawiać, kapitanie. Nawet w Kościele są ludzie o podobnych poglądach. Pamiętam dobrze diakona, który mówił z grubsza to samo.

– I co się z nim stało?

Fairfax przez chwilę się zastanawiał.

– Teraz, kiedy mnie pan zapytał, właściwie nie mam pojęcia. – I rzeczywiście nie wiedział. Dzień wcześniej młody człowiek jadł z nimi kolację w refektarzu, a nazajutrz jego miejsce zostało uprzątnięte, a rzeczy były spakowane i odesłane z dormitorium. Nikt o tym nic nie mówił. Aż do tej chwili Fairfax też nie pamiętał o tym epizodzie. To było trzy albo cztery lata temu. Nie mógł sobie nawet przypomnieć imienia diakona.

Przy stole zapadła cisza. Słońce zachodziło, zrobiło się chłodniej. Hancock dolał sobie po raz ostatni ginu. Lady Durston wstała, zamknęła drzwi stajni, po czym podeszła do kredensu i zaczęła zapalać świece. Fairfax podniósł wzrok i zerknął na świetlik. Wkrótce miał zapaść zmierzch. Poczł się nagle niezręcznie.

– Powinienem już wracać na plebanię – oznajmił.

– Tak prędko? – W głosie lady Durston zabrzmiało rozczarowanie. – To jeszcze nie koniec kolacji. Mamy na deser pieczone jabłka.

– Bardzo kusząca perspektywa, ale zaczyna się ściemniać. Muszę wrócić przed zmierzchem, bo pani Budd może się zacząć o mnie niepokoić.

– To długi spacer, a nie zna pan dobrze drogi.

– Na pewno jakoś sobie poradzę. – Fairfax złożył serwetkę, odłożył ją na stół i wstał. – Lady Durston, dziękuję za wspaniały posiłek i przemiłe towarzystwo.

– Podwiesz go na plebanię, John? – zwróciła się nagle do Hancocka. – Nie będziesz musiał nadkładać drogi.

Kapitan posłał jej niechętnie spojrzenie znad krawędzi szklanki.

– Nie widzę takiej potrzeby. Droga jest dość łatwa. – Spojrzał na Fairfaxa. – Pójdzie pan przez park, skręci w prawo, a potem na dole w lewo. Do zmierzchu została jeszcze przynajmniej godzina.

– Będę się czuć spokojniejsza, wiedząc, że pan Fairfax jest bezpieczny. Kto wie, jacy desperaci mogą czyhać na podróżnych z nadejściem nocy? Proszę, wyświadczyć mi tę

przysługę, odwieź go.

– Naprawdę, lady Durston, nie ma takiej potrzeby – zapewnił ją Fairfax.

– Niech pan tylko pomyśli, co się przytrafiło ojcu Lacy’emu...

Zniecierpliwiony Hancock walnął szklanką w stół.

– Lacy był starszym jegomościem, który łąził po zdradliwym, osuwającym się zboczu – powiedział. – Fairfax jest młody i droga jest bezpieczna. Naprawdę, Sarah – dodał nietypowym dla niego pokornym tonem. – Nie chcę jeszcze wyjeżdżać. Są pewne sprawy, o których chciałbym z tobą pomówić.

– Proszę cię, John.

Hancock zabębnił palcami po stole.

– Dobrze, Fairfax, skoro lady Durston tak się upiera, odwiozę pana, ale byłbym wdzięczny, gdyby pan, jeśli można, pozwolił mi zamienić z nią kilka słów na osobności. – Sięgnął do wewnętrznej kieszeni, wyciągnął z niej złożony arkusz papieru, sądząc po wyglądzie, jakiś dokument, i położył go na stole.

Fairfax spojrział na lady Durston, by załagodzić niezręczną sytuację. Posłała mu spojrzenie sugerujące, że ją w jakiś sposób zawiódł, lecz potem westchnęła zrezygnowana.

– Mógłby pan poczekać w drugim pokoju, kiedy wysłucham, co ma mi do powiedzenia kapitan Hancock?

– Oczywiście. Wybaczą państwo.

Wyszedł na dziedziniec przed stajnię i zamknął za sobą drzwi. Zastanawiał się, cóż to za sprawę trzeba było tak pilnie omówić. Służące – Abigail, Jenny i ta trzecia, o bardziej męskim wyglądzie, jak się domyślał, Mary – stały jedna przy drugiej, szepcząc między sobą. Sądząc po ubraniu i czepku na głowie, Mary właśnie skądś wróciła. Trzymała na smyczy dużego psa, który zawarczał na widok Fairfaksa. Musiała go ostro szarpnąć, żeby się na niego nie rzucił. Ksiądz skinął głową całej trójce i wszedł do bawialni.

Nie paliły się tam żadne świece. W półmroku Durstonowie zezowali na niego ze swoich portretów nienaturalnie dużymi, okrągłymi oczami. Jak bardzo wydawali się współcześni, przemknęło mu przez głowę. Ludzi ich pokroju można było teraz spotkać na każdej ulicy i w każdym domu w Anglii, narzekających na służbę i stan dróg. Ich stroje były bardziej wymyślne – wojskowe mundury miały teraz kolor oliwkowozielony, nie szkarłatny – ale poza tym ich świat nie różnił się zbytnio od jego świata. Mogło się zdawać, że długi proces odradzania się po Apokalipsie zatrzymał się w punkcie, do którego dawna cywilizacja doszła na dwa stulecia przed katastrofą. Dlaczego? Czy chodziło o to, że istniały pewne niezmiennie wzorce ludzkiego zachowania – potrzeba uprawiania ziemi, życia w osadach, wiary w Boga, rodzenia i kształcenia dzieci – lecz poza tymi elementarnymi rzeczami do powstania świata opisanego w liście Morgensterna potrzebny był olbrzymi skok i takiego skoku nigdy tu nie dokonano? Albo w którymś momencie w przeszłości próbowano go dokonać, lecz się nie powiódł lub został powstrzymany, a on nigdy o tym nie słyszał?

Stał tam w zapadającym zmroku dość długo, może nawet przez kwadrans, aż w końcu jego medytacje przerwał głos Hancocka, niecierpliwie wołającego go po nazwisku. Kiedy wyszedł na dziedziniec, kapitan siedział już w swojej dwukółce, pochylając się do przodu, trzymając luźno lejce i wpatrując się prosto przed siebie. Lady Durston stała w progu jadalni z szalem na ramionach. Fairfax wyczuł między nimi pewne napięcie. Najwyraźniej już się ze sobą pożegnali. Trzy służące gdzieś zniknęły. Fairfax podszedł do pani domu z wyciągniętą ręką.

– Kolejny raz dziękuję, droga lady Durston, za możliwość zwiedzenia posiadłości i za kolację. Mam nadzieję, że będziemy mieli okazję pożegnać się jeszcze raz po nabożeństwie w niedzielę.

– Możliwe, panie Fairfax, choć muszę przyznać, że czuję się bardzo zmęczona. – Rzeczywiście była dość blada. – Niech pan powie biskupowi to, co trzeba powiedzieć – dodała ciszej, biorąc jego dłoń w obie swoje. – Myślałam się, chcąc pana od tego odwieść. Jeżeli ojciec Lacy został zamordowany, zabójca nadal grasuje na wolności i cieszę się, że kapitan pana odwiezie.

– To nie mnie grozi niebezpieczeństwo, lecz pani, w tym odludnym miejscu.

– Potrafię się obronić. Niech pan nie myśli o mnie źle. – Jej palce zacisnęły się przez chwilę na jego dłoni, a potem puściła ją i cofnęła się o krok. – Dobrej nocy, panowie. Bezpiecznej drogi.

Fairfax wsiadł do dwukółki, która zakołysała się pod jego ciężarem. Hancock zwolnił hamulec, zacmokał językiem i potrząsnął lejcami. Kiedy zataczali szeroki łuk po brukowanym dziedzińcu, ksiądz uniósł rękę w geście pożegnania, ale lady Durston weszła już do środka.

Hancock nie odzywał się, a ksiądz nie miał ochoty rozpoczynać rozmowy. W milczeniu minęli staw i przejechali przez most. W ciemności rechotały żaby. Fairfax zerknął przez ramię na dom. Wydawał się ciemniejszy od otaczających go drzew, jakby jego mury wchłaniały światło. Spadziste dachy wznosiły się niczym piramidy na tle purpurowego nieba, a potem zniknęły za cedrami.

– Niech to szlag! – mruknął Hancock. Patrzył prosto przed siebie, usiłując ominąć wyboje. Ale choć powoził całkiem dobrze, nie udało się uniknąć ich wszystkich i kilka razy dwukółka podskoczyła tak gwałtownie, że Fairfax o mało z niej nie wypadł. – Ileż razy prosiłem, żeby pozwoliła mi naprawić tę drogę, ale ona zawsze odmawia!

Minęli ze stukotem kopyt bramę i zaczęli zjeżdżać w dół wąską drogą.

– Obawiam się, że nie będzie pan mi chciał wyjawić, jaki był prawdziwy powód pańskiej wizyty u lady Durston – odezwał się nagle przez zaciśnięte zęby Hancock.

– Znów do tego wracamy? Powiedziałem już, jak było.

– Owszem, ale nie to, co za tym stało. Nikt nie idzie tak daleko na piechotę bez określonego powodu. Odłożył pan swój powrót do Exeter, żeby się z nią spotkać.

– Wcale nie.

– Dobrze, niech pan kłamie dalej, mam to gdzieś. – Hancock zaciął batem konia i dwukółka potoczyła się szybciej. Fairfax musiał przytrzymać ręką kapelusz, żeby nie spadł mu z głowy. Zdał sobie sprawę, że Hancock jest lekko pijany. – Adoruję lady Durston od wielu lat – podjął kapitan. – Od wielu, wielu lat. Prawdę mówiąc, to zaczęło się jeszcze przed śmiercią jej męża, więc dobrze rozumiem, jaki wywiera wpływ na mężczyzn.

– Nic takiego w ogóle nie przyszło mi do głowy, kapitanie. Opowiada pan głupstwa.

Hancock po raz pierwszy oderwał wzrok od drogi i spojrzał na Fairfaxa.

– W takim razie po co pan tam polazł? I jeśli się nie mylę, był z nią razem w środku domu, bo przysięgłbym, że podjeżdżając, widziałem ją w oknie.

– Nie będę już odpowiadał na żadne pańskie pytania i byłbym wdzięczny, gdyby mnie pan tu wysadził. Wolę przejść resztę drogi na piechotę.

– Nie, nie, ja zawsze dotrzymuję słowa. Obiecałem, że odwiozę pana na plebanię, i tak też zrobię. Ona jest najwyraźniej przekonana, że na tych pustych spokojnych drogach na podróży czyha śmiertelne niebezpieczeństwo. – Hancock znowu zerknął na Fairfaxa. – I ponownie zastanawiam się dlaczego.

Dojechali do skrzyżowania. Kuźnia była zamknięta, ale na pięterku, gdzie prawdopodobnie mieszkał Gann, paliło się światło. W półmroku słabo połyskiwała wisząca na słupie żółta plastikowa muszla. Skręcili w stronę wioski.

Hancock zwolnił.

– Ale właściwie nie ma to żadnego znaczenia – odezwał się nagle lekkim tonem. – Co było, to było. Może mi pan złożyć gratulacje, Fairfax.

– Na jaką okoliczność?

– Kiedy zostaliśmy sami, zapytałem Sarah... to znaczy lady Durston... czy uczyni mi ten zaszczyt i zostanie moją żoną. A ona przyjęła oświadczenia.

Fairfax wbił w niego wzrok. Przez chwilę był tak zaskoczony, że nie wiedział, co powiedzieć.

– Cóż, w takim razie – wyjąkał – gratuluję panu oczywiście z całego serca.

– To nie pierwszy raz, kiedy jej się oświadczyłem.

– Nie?

– Och, nie łudzę się, że mnie kocha. Ale potrzebuje mężczyzny, który by ją chronił i pomógł odzyskać utracony majątek. Mam nadzieję, że być może z czasem coś do mnie poczuje.

– Powiedziała, czemu zmieniła zdanie? – Fairfax nie mógł się powstrzymać przed zadaniem tego pytania.

– Nie. Ale choć nie potrafię tego wytłumaczyć, mam dziwne wrażenie, że to z pana powodu.

– Skądże znowu!

– Wiążę to z panem. Dlatego interesuje mnie, co między wami zaszło. Ale skoro najwyraźniej nie ma pan zamiaru nic powiedzieć, muszę cieszyć się ze swojego szczęścia

i zapomnieć o całej reszcie.

* * *

We wsi nie było żywego ducha. Wszystko wyglądało tak samo jak wtedy, gdy Fairfax przybył do wioski – w tym momencie miał wrażenie, że było to naprawdę dawno temu – pusta błotnista droga, zasunięte zasłony, tu i tam zapalona latarnia, wszechobecna cisza. Hancock zajechał pod plebanię, zaciągnął hamulec, a potem sięgnął do wewnętrznej kieszeni i wyciągnął z niej ten sam złożony arkusz papieru, który wyjął pod koniec kolacji.

– To nasze podanie o udzielenie ślubu, podpisane przez nas oboje dziś wieczorem. Zanim dojdzie do ceremonii, zapowiedzi muszą być, zdaje się, odczytane w kościele.

– To prawda... przez kolejne trzy niedziele.

Jakie to typowe dla człowieka interesu, pomyślał z goryczą Fairfax: sporządzić umowę na piśmie i podsunąć ją do podpisu, zanim druga strona zdąży zmienić zdanie!

– Pomyślałem sobie, że mógłby pan odczytać pierwsze zapowiedzi z ambony w tę niedzielę... zanim jeszcze pan wyjedzie.

– Tak, to będzie dla mnie zaszczyt. Jeszcze raz gratuluję.

– Dobranoc, ojcze.

– Dobranoc, kapitanie Hancock.

Nie uścisnęli sobie dłoni. Fairfax wysiadł z dwukółki. Hancock zwolnił hamulec, potrząsnął lejcami i odjechał alejką biegnącą przy plebanii, zostawiając na poboczu księdza, który trzymając w ręce arkusz papieru, patrzył za nim, aż powóz zniknął mu z oczu.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Czarci Tron

Kiedy tylko przekroczył próg, z kuchni wybiegła Agnes Budd, a zaraz za nią depcząca jej po piętach Rose.

– Ojczy Fairfax! Bogu niech będą dzięki!

Starał się za wszelką cenę pokazać, jak bardzo mu jest przykro: uśmiechając się, zdejmując z głowy kapelusz i rozkładając bezradnie ręce.

– Przepraszam, że wróciłem tak późno, pani Budd... dobry wieczór, Rose... Lady Durston nalegała, żebym został na kolacji.

– O mało się nie pochorowałam ze zmartwienia, ojczy. Dziewięć dni temu dokładnie o tej samej porze przyniesiono tu zwłoki ojca Lacy’ego.

– Naprawdę? – Fairfax opuścił głowę. – Całkiem zapomniałem. Jak mogłem być taki bezmyślny? Bardzo przepraszam.

– Cóż, nic się księdzu nie stało, i to jest najważniejsze. – Irytacja w jej głosie ustąpiła miejsca uldze. – Więc nie chce ksiądz nic jeść?

– Bardzo dziękuję, ale nie. To był długi dzień. Proszę tylko o świecę i życzę wam obu dobrej nocy.

W sypialni starego księdza usiadł na skraju łóżka i zaczął zdejmować buty, ale potem dał sobie z tym spokój, położył się na sienniku i zamknął oczy. Nie mógł przestać myśleć o losie, który lady Durston właśnie sobie zgotowała – przejmował się tym bardziej, niż mógł się spodziewać i był skłonny przyznać. Dręczyła go myśl, że w jakimś sensie to on jest temu winien – że gdyby nie zapoznał jej z listem Morgensterna i z tym, co z niego wynikało, opierałaby się nadal umizgom Hancocka. Teraz jednak uznała, że bardziej niż kiedykolwiek wcześniej potrzebuje kogoś, kto by ją chronił. Przypomniawszy sobie, jak uściśnęła jego dłoń, gdy się żegnali. *Niech pan nie myśli o mnie źle.* W tamtej chwili nie przywiązywał do tego większego znaczenia, sądząc, że lady Durston chodzi o ich sprzeczkę w bibliotece, lecz teraz doszedł do wniosku, że chciała przygotować go na wiadomość, którą Hancock z taką satysfakcją mu przekazał.

Dumał nad tym przez dłuższy czas, aż w końcu wydarzenia dnia zaczęły zacierać się w jego pamięci i zasnął, mając przed oczami obraz jej białej koszuli, za którą podążał mrocznymi korytarzami zrujnowanej rezydencji.

Kilka godzin później zbudził się nagle z pierwszego snu. Przez dłuższą chwilę leżał bez ruchu, nasłuchując odgłosów krzątania, ale ani pani Budd, ani Rose chyba się nie obudziły. Usiadł na łóżku, ściągnął do końca buty, a potem wziął do ręki świecę, podszedł

do drzwi i cicho je otworzył. Z drugiej sypialni nie dobiegały żadne dźwięki. Zszedł na palcach po schodach i wślizgnął się do gabinetu. Księgi były nadal tam, gdzie je schował, pod tapczanem. Wyciągnął rejestr obejmujący stulecie przed Apokalipsą, rozpakował go z plastikowej folii, położył na biurku i otworzył na stronie, na której widniał wpis dotyczący małżeństwa panny Julii Morgenstern.

Według Sarah Durston nikt nie wiedział o wizycie złożonej jej przez starego księdza. Gdyby wyciąć i zniszczyć tę kartkę, przestałby istnieć jedyny fizyczny ślad łączący Durston Court z ojcem Lacyem. Mógłby oczywiście poinformować biskupa o swoich innych podejrzeniach. Okoliczności dotyczące śmierci księdza nadal można by zbadać. Ale Sarah Durston nie byłaby w to zamieszana i mogłaby, gdyby chciała, wycofać się z obietnicy danej Hancockowi.

Poszukał w szufladzie scyzoryka ojca Lacy'ego, otworzył go i przesunął kciukiem po ostrzu. Zgodnie z tym, czego mógł się spodziewać po tak zapalonym kolekcjonerze, było ostre jak brzytwa. Przystawił je do górnego skraju stronicy, tuż przy zszyciu. Nacisnął mocniej. Pierwsze włókna grubego papieru zaczęły się oddzielać. Nagle przerwał i odłożył scyzoryk na bok. Nie mógł tego zrobić. Byłoby to grzechem przeciwko historii. Siła tego przekonania wstrząsnęła nim. Tak jak inni zarażają się angielskimi potami, tak ja zaraziłem się herezją antykwarianizmu, pomyślał. Pochylił głowę i pomodlił się, prosząc Boga, by go oświecił.

Zamknął scyzoryk i schował go do szuflady obok pliku kazań obwiązanych czarną wstążką. Zciekawiony, wyjął je, rozwiązał kokardkę i zaczął przeglądać – było ich co najmniej dwa tuziny, na szorstkim żółtawym papierze w formacie quarto. Atrament wyblakł i trudno było odczytać notatki pełne skreśleń i dodanych fragmentów. W niektórych miejscach silnie przyciśnięta stalówka rozerwała papier. Strzałki wskazywały kolejne fragmenty tekstu. Zapisane drobnym pismem zdania skręcały przy skraju kartki.

Odwracając strony, próbował coś odczytać. *Przełoż w one dni szukać będą ludzie śmierci, ale jej nie znajdą; i będą chcieli umrzeć, ale śmierć od nich uciecze*¹⁹. Rozpoznał werset z Objawienia świętego Jana. Przeglądając dalej kazania, zorientował się, że właściwie wszystkie nawiązują do tej księgi. Odniósł wrażenie, że z biegiem lat były stale przerabiane i wygłaszane zapewne więcej niż przy jednej okazji. Co takiego powiedział na stypie jeden z żałobników? *Jego kazania były szczególnego rodzaju...*

Związał z powrotem wstążką kartki, schował je do szuflady, po czym podszedł do półki z zakazanymi książkami. Przez chwilę przebiegał wzrokiem tytuły na grzbietach i w końcu jego spojrzenie padło na *Antiquis Anglia* doktora Nicholasa Shadwella.

Zabrał z półki ciężki tom, położył go na biurku i otworzył na stronie tytułowej.

Dr Nicholas Shadwell, TA
Antiquis Anglia

*Opisanie rozmaitych ocalałych budynków
z późnej epoki preapokaliptycznej
Mapy i ilustracje
Oliver Quayce, TA
Wydanie pierwsze
Towarzystwo Antykwaryczne
Londyn MCDXLIX*

Na frontyście była rycina przedstawiająca wielką wklęsłą konstrukcję, z drzewami i ludźmi, którzy pozwalali ocenić jej wysokość, oraz podpisem *Wielki Komin, Gainsborough, Lincolnshire*.

Fairfax zaczął czytać *Przedmowę Shadwella*.

Od najmłodszych lat fascynowały mnie pamiątki starożytności, a ponieważ odziedziczyłem po przodkach pewien skromny majątek i nie wiązały mnie nigdy uroki życia rodzinnego, mogłem oddać się mej pasji w stopniu, jakim nie mógłby się, być może, poszczycić żaden inny Anglik. Z satysfakcją przyznaję, że nie wiodłem życia w całkowitej samotności. W moich podróżach, a przemierzyłem w ich trakcie wszcz i wzdłuż cały kraj, towarzyszył mi sekretarz, wielmożny pan Oliver Quayce, którego talenty rysownika można podziwiać na tych stronach.

Nie staram się tu przedstawić listy wszystkich mających ponad osiemset lat budynków i pomników w Anglii, bo jest to zadanie niewykonalne. Obiektów, które przetrwały z epoki preapokaliptycznej, jest zbyt wiele, by dało się je policzyć. Są to przede wszystkim nasze kościoły i katedry, które – wzniesione z kamienia – okazały się trwalsze od konstrukcji zbudowanych wiele pokoleń później. To samo można powiedzieć o pewnych domach i gmachach publicznych z wieku osiemnastego i dziewiętnastego wedle kalendarza starożytnych – które mają teraz około tysiąca lat. Są też obiekty pochodzące ze znacznie wcześniejszego okresu, takie jak wielki dzielący Anglię i Szkocję rzymski mur, który choć pochodzi sprzed dwóch tysięcy siedmiuset lat, na pewnym odcinku służy ponownie jako bariera przed broniącymi zaciekle swej suwerenności ludami z północy. Kamień – a w każdym razie pewne jego rodzaje, takie jak granit, wapień i marmur – opiera się działaniu czasu.

Inaczej przedstawia się sytuacja, jeśli chodzi o koniec dwudziestego i pierwszą ćwiartkę dwudziestego pierwszego wieku. Jest swoistym paradoksem, że po tym, co miało być szczytową i najbardziej zaawansowaną fazą naukowej technologii, nie zostało prawie nic poza plastikiem i okruchami szkła. Któż mógłby dziś uwierzyć, że w pewnym okresie w samym Londynie stało kilkanaście budynków, których wysokość przekraczała sześćset stóp, a jeden miał ich ponad tysiąc? Nic po nich nie pozostało.

Nie wiemy, w wyniku jakich procesów konstrukcje te uległy zniszczeniu tak szybko i tak całkowicie. Niektórzy badacze wysuwają hipotezę straszliwej wojny, w której użyto materiałów wybuchowych o niewyobrażalnej mocy. Mój kolega, pan Berkeley, uważa jednak, że mogło do tego dojść wskutek wzmocnienia przez starożytnych betonu stalowymi zbrojeniami: kiedy szkło, które w przeważającej mierze stanowiło elewację tych budynków, uległo zniszczeniu (musiały zostać opuszczone w pośpiechu przez swoich mieszkańców), do środka zaczęła się dostawać deszczówka. Roślinna wegetacja w lecie oraz spowodowane przez lód pęknięcia w zimie sprawiły, że do stalowych zbrojeń dostała się woda i zaczęły rdzewieć. Rdzewiejąca stal spowodowała dalsze pęknięcie betonu i budynki rozpadły się w gruzy. Ta teoria wydaje mi się najbardziej przekonująca. Pewne jest to, że po stu pięćdziesięciu latach, kiedy ludzie zaczęli ponownie zapisywać dzieje otaczającego ich świata, pozostały po nich zaledwie sterty gruzów, a i te dzisiaj w całości zniknęły. (Można tu mimochodem napomknąć, że żeglarze wracający z długich rejsów do Indii Zachodnich donoszą o istnieniu unoszącej się na morzu, szerokiej na wiele mil wyspy starożytnych plastikowych śmieci – można rzec: leja, który pochłonął całą cywilizację. Nie zdołały ich rozproszyć długie stulecia karaibskich burz).

To samo można powiedzieć prawie o każdej budowli z tamtego okresu – o kamienicach, domach, „centrach handlowych”, fabrykach, mostach, portach lotniczych... Kiedy przyglądamy się cichym wrzosowiskom i równinom, polom uprawnym i lasom Anglii, trudno sobie wyobrazić, że wszędzie tam wznosiły się setki tysięcy budynków. Zniknęły nie tylko one. Istnieją mapy pokazujące olbrzymi system szerokich dróg oraz grobli ze stalowymi szynami, po których jeździły lokomotywy, a które obecnie, wskutek działania bezlitosnych sił natury, obróciły się w perzynę i wszelkie ślady po nich skryły się pod warstwą korzeni i gleby.

Nie wszystko jednak uległo zniszczeniu. Niektóre budynki, wzniesione głównie z betonu, ale bez szkła, okazały się zbyt duże albo zbyt solidne, by zniknąć całkowicie z powierzchni ziemi, i to właśnie ich katalogowaniu poświęciłem znaczną część życia. O nich też opowiada ta książka. Są to w większości betonowe podpory i przyczółki mostów drogowych, a także różne kominy i wieże. Jaka była ich funkcja? Jakiego potężnego i skomplikowanego systemu częścią były dawno temu? Nie potrafimy odpowiedzieć na te pytania. Wznoszą się w wielu miejscach w całym kraju – samotne, melancholijne i nieme – grobowce i pomniki nagrobne cywilizacji o niewyobrażalnym poziomie zaawansowania, która przed prawie tysiącem lat tak nagle i w tak tajemniczy sposób upadła.

Tom miał prawie trzysta stron. Fairfax powoli je przerzucał. Książka była w zasadzie czymś w rodzaju albumu. Na każdej stronie była rycina przedstawiająca jakiś budynek, notka zawierająca detale archeologiczne i mapka pokazująca lokalizację. Niektóre

budowle były małe, jak na przykład Filary w Boxley: sześć betonowych okrągłych kolumn stojących w szczerym polu w Kent. Łuk w Huddersfield był delikatną, podobną do tęczy konstrukcją wznoszącą się pośrodku wrzosowiska. Wieża Wodna w South Wonston miała kształt wbitego w ziemię uchwytu na pochodnię. Były tam również obiekty niebędące w ogóle budynkami, jak na przykład Wąwóz Stokenchurch, rozległy, kręty, wykuty przez człowieka kanion w Chiltern Hills. Największe wrażenie robiła chyba Wieża Charwelton: wąska jak igła, wznosząca się na bezludnej równinie, bez żadnej drogi w zasięgu wzroku i widoczna, według Shadwella, z odległości całego dnia jazdy. Marginesy książki były pokryte trudnymi do odczytania drobnymi zapiskami ołówkiem. Ilustracje były bardzo precyzyjne. Fairfax przysunął książkę do świecy, by im się lepiej przyjrzeć.

Ile trzeba było sobie zadać trudu, żeby przemierzyć cały kraj i wszystko to opisać, pomyślał. Sama książka była swoistym pomnikiem. Często mijał podobne ruiny, choć były one na ogół mniejsze i nie tak kompletne: nieopisany w żaden sposób megalit stojący na poboczu drogi niedaleko Exeter; betonowa płyta, skryta pośród drzew w królewskich lasach wokół Yarcombe. Nigdy nie dociekał, skąd się wzięły. Stanowiły po prostu część angielskiego pejzażu. Widział, jak łatwo człowiek może popaść w obsesję, kiedy zacznie się zastanawiać nad ich znaczeniem. Tak naprawdę istniały dwie różne Anglie: ta współczesna i ta starożytna, ukryta i prawie zapomniana, którą większość ludzi mijała, w ogóle nie poświęcając jej uwagi.

Przekartkował indeks, by sprawdzić, czy na opisanie w albumie zasłużyły jakieś znane mu miejsca. Budowle uszeregowano alfabetycznie, region po regionie. Wessex był szczególnie dobrze reprezentowany. Przesuwając palcem po liście, znieruchomiał, dotarłszy do pozycji Czarci Tron, nieopodal Addicott St George.

Przez dłuższą chwilę wpatrywał się w drukowane litery, a potem znalazł odpowiednią stronę. Rycina pana Quycke'a przedstawiała otoczony drzewami betonowy cylinder, nie tak imponujący jak niektóre inne budowle, mimo to potężny.

Czarci Tron wznosi się na wysokość około siedemdziesięciu stóp i ma średnicę osiemnastu. Gdyby wyciąć drzewa, które wyrosły w ubiegłym stuleciu, z jego szczytu rozciągałby się wspaniały widok na wschód. Najbardziej prawdopodobną hipotezę, wedle której była to wieża obserwacyjna, podważa brak jakiegokolwiek wejścia, choć ślady rdzy widoczne w regularnych odstępach na północno-zachodniej elewacji mogą świadczyć, że w przeszłości przytwierdzona była do jego ściany metalowa drabina. Miejscowi nie potrafią powiedzieć, czy nazwa odnosi się do samej konstrukcji, czy też miejsca, gdzie została wzniesiona – zagłębienia terenu otoczonego stromymi wzgórzami, które przypominają do pewnego stopnia tron.

Po skopiowaniu mapy przedstawiającej drogę z wioski do Czarciemu Tronu Fairfax zdał sobie sprawę, że z piętra dochodzą jakieś odgłosy. Nie miał ochoty natknąć się na panią

Budd i wyjaśniać jej, co robi na dole. Poza tym w tym momencie mógł co najwyżej zbierać siły na następny dzień. Jednak wślizgnąwszy się z powrotem do łóżka, stwierdził, że znajduje się w tym frustrującym stanie umysłu, kiedy człowiek jest zbyt wyczerpany, by produktywnie myśleć, a jednocześnie zbyt pobudzony, by zasnąć, i w tej niby jawie, niby śnie spędził pozostałą część nocy, przewracając się z boku na bok w pościeli starego księdza, aż w końcu w wiosce zaczęły pisać koguty. Wkrótce potem, jakiś czas przed szóstą, niebo za oknem zaczęło szarzeć. Fairfax rozsunał zasłony i przez chwilę spoglądał na świat tak samo monochromatyczny jak ryciny pana Quycyke'a. Poza nim nikt jeszcze nie był na nogach.

Spryskał wodą twarz, by się nieco odświeżyć, po czym znalazł w komodzie stary szeroki skórzany pas i obwiązał nim biodra, by móc podciągnąć sutannę i mieć większą swobodę ruchów. Zniósł buty na dół, żeby nie robić hałasu, i w ostatniej chwili przypomniał sobie o składanym teleskopie w gabinecie. Napisał do Agnes liścik, w którym wyjaśnił, że wybiera się na długi spacer, nie będzie go przez kilka godzin i że pozwolił sobie wziąć trochę chleba i sera. Zawinął prowiant w ściereczkę, przytroczył tobolek do pasa, włożył buty, zabrał stojącą przy tylnych drzwiach hikorową laskę i wyszedł z domu przez frontowe drzwi.

Dzień był rześki, wioska zaczynała właśnie budzić się do życia. Mijając pasterza i mleczarkę, uklonił im się grzecznie, ale jednocześnie pochylił głowę, by nie wdawać się z nimi w pogawędkę. Przeciął rzekę i zostawił za sobą zabudowania. Nad polami Piggeries wisiał brązowy obłok dymu. Przy skrzyżowaniu dróg wielkie drewniane wrota kuźni były już otwarte, ale paleniska jeszcze nie rozpalono i odetchnął z ulgą, bo nie dostrzegł nigdzie Ganna i jego czeladnika.

Kiedy skręcił w trakt prowadzący do Durston Court, znad drzew wychynęło słońce. Dotarłszy do słupów z ich dziwnymi bezkształtnymi figurami, zwolnił kroku. Kusiło go, by złożyć wizytę Sarah Durston, lecz pora była zdecydowanie niestosowna i po wydarzeniach poprzedniego wieczoru nie bardzo wiedział, co mógłby jej powiedzieć. Ruszył dalej pod górę.

Trakt był coraz bardziej wąski i stromy, a żywopłoty coraz wyższe; potem ich miejsce zajęły drzewa i w końcu trakt zmienił się w biegnącą przez las ścieżkę. Odgłos płynącego w pobliżu strumienia przypomniał mu, jak bardzo jest spragniony. Potykając się, podszedł do brzegu, zanurzył obie dłonie w wodzie i napił się, po czym siadł na omszałym pniu zwalonego drzewa i zjadł chleb i ser. Wszędzie dokoła rosły dzikie kwiaty – zawilce, dzwonki i irysy – a w powietrzu fruwały chmary motyli: czerwonych admirałów, modraszaków i innych fioletowych i jasnożółtych, których nazw nie znał.

Widok tak bujnej dzikiej przyrody oraz uczucie sytości poprawiły mu nastrój (który wbrew temu, co mogły sugerować jego zdecydowane działania, nie był wcale najlepszy). Wedle jego mapy, ścieżka powinna biec prosto jeszcze przez pół mili, a potem skręcić na zachód i doprowadzić go do wieży. Mogło to tak wyglądać przed dwudziestu czy iluś laty,

kiedy Shadwell i Quycke odwiedzili tę okolicę, ale teraz było inaczej. Przyroda przejęła we władanie swoją schedę. Nie pozostało mu nic innego jak wspinać się dalej. Wcześniej czy później dotrze do grzbietu wzniesienia, a potem pójdzie dalej granią, tłumaczył sobie.

Ponownie ruszył w drogę. W ciszy słychać było skrzeczenie papużek i szmer wody, która tryskała tu i tam z rozmokłej ziemi. Przeskakując płytkie strumienie, zmoczył skraj sutanny, która stawała się coraz cięższa. Zaczął się pocić. Kiedy obejrzał się za siebie, ledwie dostrzegł wijącą się między drzewami ścieżkę. Człowiek mógł tutaj łatwo zabłądzić. Wyobraził sobie ojca Lacy'ego, który nie dalej jak tydzień temu maszerował tą samą drogą, wysoki i chudy, nieświadom czekającego go losu. W tym ustronnym miejscu nie był to zbyt miły obraz, więc Fairfax próbował o nim zapomnieć.

Trochę wyżej dotarł do polany, z której mógł w końcu zobaczyć otaczające go wzgórza. Na zboczu przy skraju lasu pasły się owce. Wyjął teleskop, rozłożył go i przyjrzał się linii drzew. Prawie natychmiast spostrzegł tam jakiś ruch: skrajem pastwiska szedł mężczyzna, prawdopodobnie pasterz. Fairfax poprawił nieco ostrość, przesunął teleskop kilka stopni w prawo i zobaczył za drzewami nieruchomą jasnoszarą plamę. Czy to była wieża? Opuścił teleskop, przetarł oko i spojrzał ponownie. Bez wątplenia jakaś budowla. Złożył teleskop i zaczął znów się wspinać, tym razem szybciej – chciał w końcu dotrzeć do celu.

Po jakimś czasie wyszedł spomiędzy drzew na niższą część zbocza, zadowolony, że jest znów na równiejszym terenie, gdzie grunt jest twardszy, a widoczność lepsza. Kiedy się zbliżał, owce uniosły łby znad trawy, ale dopiero gdy znalazł się tuż przy nich, rozpięchły się w panice, stukając kopytkami po skoszonej trawie. Dwa skowronki wzleciały w górę i zaświergotały głośno, wisząc w powietrzu.

Przystanął, by złapać oddech, obejrzał się przez ramię i wzdrygnął zaskoczony. Za sobą miał rozległą panoramę, która pojawiła się nagle niczym dziecko bawiące się w Babę-Jagę. Obejmowała wzgórza po drugiej stronie doliny, a za nimi rozległe wrzosowiska ciągnące się aż po horyzont. Pośrodku równiny była niewielka plama ludzkiej osady i kiedy wycelował w nią teleskop, zdołał zobaczyć nie większą od pinezki kościelną wieżę – prawdopodobnie w Axford.

Wspinając się dalej, poczuł się szczególnie odsłonięty – rozległy widok jakby go śledził. Za drzewami coraz lepiej było widać wieżę. Ale droga do niej była znów stroma i zdradliwa. Zbocze w kilku miejscach się osunęło, odsłaniając brązowe szramy gołej ziemi. Wyczuwał, że w każdej chwili grunt może się zapaść pod nim bez żadnego ostrzeżenia i zleci na łeb na szyję w lawinie torfu i kamieni.

Odetchnął z ulgą, dochodząc do linii drzew i wyczuwając pod stopami ich sękaty korzenie. Klucząc między wielkimi pniami, dotarł w końcu do polany. Wieża stała dokładnie pośrodku. Z bliska sprawiała przytłaczające wrażenie, niczym jeden z megalitów w Stonehenge – *samotne, melancholijne i nieme*, jak napisał Shadwell; pomnik pogańskiej cywilizacji, którego rola w starożytnych rytuałach ginęła w pomroce dziejów.

Do trzech czwartych wysokości wieżę oplatały różne gatunki winorośli i bluszczu – to wyjaśniało, dlaczego tak trudno było ją dostrzec z oddali.

Oslaniając oczy przed słońcem, Fairfax zadarł głowę, by zerknąć na jej szczyt. Obszedł ją dokoła, a potem dotknąwszy jej otwartymi dłońmi, poczuł emanującą z niej chłodną moc. Pokolenia zwiedzających próbowały wyryć na niej swoje inicjały, ale jakichkolwiek by użyli narzędzi, nie sprostały one zadaniu. Udało im się tylko lekko porysować beton; gdzieś tam widać było pojedynczą literę lub cyfrę. W kilku miejscach tuż przy ziemi zauważył czarne ślady. Przy ścianie najwyraźniej palono ogniska. Na wysokości mniej więcej jednego jarda widniał na wieży rząd małych otworów, bardzo starych i zniszczonych. Fairfax odsunął kilka pędów bluszczu, by im się lepiej przyjrzeć, i wsadził palec najpierw w jeden, a potem w drugi otwór. Przypomniał sobie zardzewiałą broń z kolekcji pułkownika i przyszło mu do głowy, że to dziury po pociskach. Ta myśl sprawiła, że się cofnął.

Jeszcze raz obszedł polanę. W lesie panowała cisza. Nie ćwierkał ani jeden ptak. Słyszał tylko szum wiatru w wierzchołkach drzew. Mając już pewną orientację w terenie, zobaczył, że wieża została zbudowana na płaskim gruncie, swego rodzaju naturalnej platformie o długości i szerokości mniej więcej dwustu jardów. Dalej teren ponownie wznosił się stromo, tworząc jakby boczne poręcze i oparcie tronu. Łatwo było zgadnąć, skąd miejsce wzięło swoją nazwę. Gdyby na wzgórzach nie rosły drzewa, ktoś mógłby sobie wyobrazić olbrzymiego ogra siedzącego w tej naturalnej niecce i wpatrującego się ponad doliną w odległe wrzosowiska.

Omiatając wzrokiem ścianę lasu, Fairfax zastanawiał się, w którym miejscu Lacy spadł ze zbocza. W końcu zaczął wspinać się bezpośrednio za wieżą. W kilku miejscach zbocze było tam zupełnie pionowe. Ziemia, zgodnie z tym, co mówił Hancock, rozmokła po zimowych deszczach. Słyszał plusk płynącej wody, ale jej nie widział. Przed każdym krokiem uważnie badał laską grunt. Z mokrej ziemi wyrastały wielkie egzotyczne paprocie, a z drzew dziwne grzyby, niektóre fioletowe, inne śmiertelnie białe. Połamane gałęzie pokrywał mech szmaragdowego koloru. Tu i tam widział osuwiska podobne do tego, które zablokowało drogę z wioski. Brak roślinności świadczył, że doszło do nich całkiem niedawno. W powietrzu unosił się silny zapach odkrytej ziemi, jaki czuć przy świeżo zaoranym polu albo przy wykopanym grobie.

Po jakimś czasie wbił laskę w ziemię, zastanawiając się, czy w ogóle iść dalej, i wtedy jego wzrok padł na coś białego. Pochylił się, by to zbadać, oczyścił z błota i krzyknął z przerażenia, uświadamiając sobie, że trzyma kciuk w oczodole ludzkiej czaszki. Cisnął ją na ziemię ze wstrętem i przez dłuższą chwilę stał, cały się trzęsąc. Dopiero kiedy zebrał się na odwagę i rozejrzał, dostrzegł wokół siebie inne ludzkie szczątki – kości rąk i nóg, żebra i kolejne czaszki. Później nie pamiętał już dobrze, ile ich było – chyba trzy albo cztery – ale to wystarczyło, by uświadomiwszy sobie, że stoi pośrodku cmentarzyska, odwrócił się

i ogarnięty paniką pobiegł w dół, potykając się, wywracając i wygrzebując z oblepiającej go ziemi, pragnąc jak najszybciej uciec z tego miejsca.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Piątek 12 kwietnia: Fairfax wraca do Axford

Była dziesiąta rano, kiedy Fairfax, zaledwie cztery godziny po wyjściu z wioski, dotarł z powrotem do jej obrzeży. Nigdy wcześniej nie cieszył go tak bardzo widok ponurej błotnistej ulicy i siedzących na przyzbach prządek. Schodząc ze wzgórz, miał czas doprowadzić się do porządku i nikt, kto widział go tego ranka krocącego z laską przez most, nie domyśliłby się, jaki ma mętlik w głowie. Tłumaczył sobie, że odkrycie ludzkich kości w Anglii nie jest niczym niezwykłym, że szkielety mogą przetrwać w ziemi nawet i tysiąc lat, że znajduje się je na polach podczas orki, a także w ogrodach i podczas kopania rowów – na ogół pojedyncze lub w małych rodzinnych grupach, ale i w masowych grobach, do których musiały trafić w chaosie bezpośrednio po Apokalipsie. Sam jednak nigdy wcześniej nie natknął się na zwłoki i to wszystko – czaszki, wieża, odludność tamtego miejsca oraz pamięć o śmierci Lacy’ego – budziło w nim grozę, której nie potrafił opanować. Był pewien, że do końca życia nie zapomni tego, co poczuł, dotykając kciukiem ostrej krawędzi oczodołu.

Podchodząc do plebanii, zobaczył uwięzianego przy ogrodzeniu konia. Osoba, która złożyła im wizytę, była właścicielem pięknej siwej klaczy. Fairfax tak bardzo nie chciał się teraz z nikim spotykać, że zastanawiał się, czy nie zawrócić i nie zaczekać w kościele, aż gość się wyniesie, ostatecznie jednak ciekawość i determinacja, by zachowywać pozorny spokój, kazały mu iść dalej. Nie zatrzymując się, wszedł przez furtkę i przez frontowe drzwi do domu.

W bawialni siedziała Sarah Durston, w spódnicy i żakiecie do konnej jazdy; obok niej leżała na podłodze skórzana sakwa. Na jego widok wstała.

– Lady Durston! – Była ostatnią osobą, którą spodziewał się zobaczyć.

– Panie Fairfax. – Podąła mu rękę. – Mam nadzieję, że wybaczy mi pan tę niezapowiedzianą wizytę. Agnes nie wiedziała, kiedy pan dokładnie wróci.

– Mam nadzieję, że nie kazałem pani za długo czekać.

– Mniej więcej godzinę. Ale nie szkodzi.

– Całą godzinę! Mogę przynajmniej zaproponować pani coś do picia?

– Agnes już to zrobiła, dziękuję. – Sarah położyła sakwę na stole. – Wybaczy pan, ale nie przyjechałam tu na herbatę, a czas nagli. – Otworzyła sakwę i podała mu arkusz papieru. – Jenny przyniosła to wczoraj z miasta, pokazała mi jednak dopiero dziś przy śniadaniu. Niech pan spojrzy tam na dole.

Była to ulotka, wydrukowana nieułożonymi równo w kaszcie małymi czcionkami, zawierająca ogłoszenia – o sprzedaży żywego inwentarza, maszyn rolniczych, nasion i tak dalej – oraz publiczne obwieszczenia: wędrowną trupą teatralną wystawiała mękę Pańską w budynku giełdy zbożowej, na błoniach odbywał się jarmark, a na godzinę pierwszą po południu zapowiedziano publiczną egzekucję. Powieszony miał zostać Jack Porlock, grabieżca grobów.

– Czy ta egzekucja ma jakiś związek ze śmiercią ojca Lacy’ego? – zapytał.

– Nie chodzi mi o egzekucję, ale o to. – Sarah pochyliła się ze zniecierpliwieniem i pokazała mu palcem kilka krzywych linijek, które najwyraźniej dodano w ostatniej chwili.

Dr Nicholas Shadwell, prześwietny uczony, ma zaszczyt zaprosić na swój publiczny wykład pod tytułem „Herezja antycznego świata”, który odbędzie się w piątek, 12 kwietnia o godzinie drugiej po południu. Wstęp: 10 szylingów, płatne przy wejściu albo u wielmożnego pana O. Quycke’a w gospodzie Pod Łabędziem.

– Takie ulotki rozdają w Axford w każdy czwartek po południu – wyjaśniła Sarah. – To dowód, że miał pan rację: to Shadwell pojawił się na pogrzebie ojca Lacy’ego. Nie tylko żyje, ale też przebywa w okolicy!

Fairfax przeczytał jeszcze raz notatkę.

– Zdumiewa mnie, że z taką bezczelnością ogłasza publiczny wykład – wyznał. – Dlaczego naraża się na takie ryzyko, nawet jeśli stara się skryć swą obsesję pod pozorami potępienia?

– Dla niego to ryzyko, ale dla nas sposobność. – Sarah sięgnęła ponownie do swojej sakwy i wyjęła z niej przedmiot owinięty szalem. Rozwinęła go i położyła na stole jeden ze szklanych przedmiotów z kolekcji pułkownika Durstona. Był to ten najbardziej misterny: długi na stopę cylinder, grubości męskiego ramienia, z jednej strony zwężony i mający w środku spiralną szklaną rurkę.

Fairfax posłał jej zaniepokojone spojrzenie.

– Czy roztropne jest wożenie tego ze sobą?

– Chciałam pokazać to Shadwellowi i zapytać go o opinię.

– A jeśli nas zatrzymają? Kapitan Hancock powiedział, że szeryfowie w Axford są bardzo surowi.

– To mało prawdopodobne... nigdy mi się jeszcze nie przytrafiło. Jaką zresztą mamy inną szansę dowiedzieć się, co to jest? Możemy z łatwością dojechać do Axford na drugą. – Fairfax zwrócił uwagę, że użyła liczby mnogiej. Ona zauważyła tymczasem jego minę. – Czy jest coś, o czym nie wiem?

– Odwiedziłem Czarci Tron.

– I co? Co w związku z tym?

– Odkryłem tam ludzkie szczątki: trzy albo cztery szkielety. Odsłonięte najprawdopodobniej przez ulewne deszcze.

– Można się było tego spodziewać. Tam gdzie leżą artefakty, są również i zwłoki. – Lady Durston wzruszyła ramionami i uśmiechnęła się do niego. – Och, ojciec Fairfax... czyżby ze wszystkich ludzi akurat ksiądz miał się bać kilku starych kości?

– Przyznaję, że wytrąciło mnie to nieco z równowagi.

– Mówi pan jak ci wieśniacy powtarzający „W tym miejscu roi się od diabłów!”. – Sarah zaczęła z powrotem owijać szalem cylinder. – Cóż, ja w każdym razie tam pojedę i spotkam się z nim. Nawet jeśli będę musiała zrobić to sama.

– Nie, nie, pojedę z panią – zapewnił ją szybko. Perspektywa spędzenia z nią popołudnia była kusząca bez względu na ryzyko. – Naturalnie, że pojedę.

Na piętrze przebrał się we własną sutannę, świeżo upraną przez panią Budd. Zmył błoto z dłoni i przejrzał się w lustrze. Zniknęło gdzieś blade oblicze księdza spędzającego długie godziny przy ołtarzu. Z twarzą zaróżowioną od wiosennego słońca wyglądał bardziej na farmera niż duchownego. Spróbował przeczesać mokrymi palcami włosy i brodę. Po krótkim wahaniu ponownie wsunął do kieszeni koszuli *Protokoły i dokumenty Towarzystwa Antykwarycznego*. Mogła nadarzyć się okazja porozmawiania na ich temat z Shadwellem.

Gospodyni czekała na niego w korytarzu, kiedy zbiegł po schodach.

– Jadę do Axford, pani Budd. Proszę nie wołać Rose... sam osiodłam klacz.

Wrócił do bawialni po Sarah Durston, ale już jej tam nie było. Zobaczył przez okno, że czeka na niego na drodze; siedziała w siodle z podniesioną głową, chcąc jak najprędzej wyruszyć na polowanie.

* * *

Ich wspólny przejazd przez wioskę wzbudził niemałe zainteresowanie. Wieśniacy śledzili ich wzrokiem. Dwie kobiety piorące coś w rzece przerwały swoje zajęcie i zaczęły szeptać między sobą. Kiedy mijali kuźnię, Gann podniósł wzrok znad kowadła i obejrzawszy się przez ramię, Fairfax zobaczył, że kowal wyszedł na drogę i ostentacyjnie się na nich gapił.

Widząc, co zwróciło uwagę księdza, lady Durston uśmiechnęła się i odchyliła do tyłu w siodle.

– Obawiam się, że psuję panu reputację, ojciec Fairfax. Przez wiele dni w wiosce nie będzie się mówić o niczym innym.

– Nie mogę w to uwierzyć.

– O, to pewne jak amen w pacierzu. Mówiłam już... uważają mnie za czarownicę.

– Powiedziała pani także, że to żart.

– Owszem, ale w każdym żarcie jest ziarno prawdy. To są przesądni ludzie. Myślą, że rzuciłam na pana zaklęcie.

– I na kapitana Hancocka? – nie mógł się powstrzymać, by nie zapytać.

– Na niego też.

Przez chwilę jechali dalej w milczeniu. Fairfax poczuł, że musi odnieść się do tego, co wydarzyło się wieczorem.

– Rozumiem, że powinienem złożyć pani gratulacje.

– Dziękuję. Pański ton zdradza dezaprobatę.

– Bynajmniej.

– *Nie sądzicie, abyście nie byli sądzeni*²⁰... Czyż nie tego właśnie naucza nas Pismo?

– Między innymi.

Uznała chyba jego odpowiedź za bardzo zabawną i powtórzyła ją pod nosem, solennym niskim pompatycznym tonem, który miał być chyba parodią tego, co usłyszała.

Droga wiodła z boczem doliny i po jakimś czasie dotarli do miejsca, w którym w srode po południu osunęła się ziemia, uniemożliwiając mu powrót do Exeter. Teraz trakt był przejezdny. Głazy i ziemię zwalono w dół po lewej stronie; osypujące się zbocze po prawej zabezpieczono palisadą.

– Fakt, że uprzętnął osuwisko na drodze do wioski, chyba dobrze świadczy o kapitanie Hancocku – odezwał się Fairfax.

– Nie zrobił tego wyłącznie z dobroci serca... potrzebuje tej drogi, żeby prowadzić swoje interesy. I chętnie wyręcza od czasu do czasu służby publiczne, żeby pokazać, ile od niego zależy. Podkreśla w ten sposób swoje znaczenie. W naszej małej społeczności jest kimś w rodzaju króla.

– Niech pani nie przesadza, lady Durston! – Fairfax zaczynał niemal współczuć Hancockowi. – Musi być coś, co trzeba mu zapisać na korzyść. Zgodziła się pani w końcu wyjść za niego za mąż.

– Owszem, mój panie, jest wiele takich rzeczy. Jest na swój sposób szarmancki. Jest odważny. I uważam go za człowieka honoru.

– No i kocha panią.

– Tak, co do tego nie ma żadnych wątpliwości – przyznała ze smutkiem. – Każda kobieta powinna się cieszyć z takiego męża.

Dotarli do szczytu wzniesienia. Obracając się w siodle, Fairfax zerknął na wioskę – przypominające grzyby brązowe strzechy, kwadratową kościelną wieżę z krążącymi wokół niej czarnymi bezgłośnymi kropkami gawronów, srebrzystą kreskę rzeki. Zastanawiał się, jak to mogło wyglądać w czasach Morgensterna. Być może różnica nie była aż tak wielka. Mógł sobie wyobrazić taką samą nieufność w stosunku do obcych, skłonność do obgadywania innych, takie same uprzedzenia, przesady i plotki. Oczywiście mieszkańcy nie byli wówczas tak odizolowani. Mogli łatwiej się ze sobą komunikować, i to na duże odległości, za pomocą dziwnych urządzeń z symbolem nadgryzionego jabłka. Ale czy mieli

sobie naprawdę coś mądrzejszego do powiedzenia, czy też ich miejscowe przywary szybciej się dzięki temu rozprzestrzeniały? Oderwał wzrok od wioski i próbował dojrzeć wieżę na szczycie przeciwnego zbocza, lecz gęsto rosnące drzewa albo dziwne ukształtowanie Czarciego Tronu nie pozwalały mu jej stąd zobaczyć.

Kiedy ruszyli w dół tunelem drzew, trakt okazał się zbyt wąski, by mogli jechać obok siebie. Fairfax puścił lady Durston przodem. Radziła sobie z prowadzeniem konia o wiele lepiej od niego. Jadąc z tyłu, podziwiał jej wyprostowane ramiona i plecy, sposób, w jaki kołysała się zgodnie z ruchami klaczy, jakby były ze sobą zrosnięte. Zakładał wcześniej, że Hancock starał się o nią głównie ze względu na jej posiadłość i pozycję społeczną – zasugerowała coś takiego, gdy spotkali się po raz pierwszy na stypie – teraz jednak widział, że urzekła go również jej waleczność. Dla mężczyzny takiego jak on kobieta taka jak ona stanowiła wyzwanie, któremu musiał stawić czoło.

– Chyba od najmłodszych lat jeździła pani konno – skomplementował ją, kiedy znaleźli się na równinie i mogli ponownie jechać obok siebie.

– Bynajmniej. Byliśmy zdecydowanie zbyt ubodzy, by trzymać konia. W siodle znalazłam się po raz pierwszy w wieku dwudziestu lat.

– A ja myślałam... – Nie bardzo wiedział, co ma powiedzieć.

– Że urodziłam się w bogatej rodzinie? Niestety, tak nie było. Mój ojciec był dyrektorem szkoły w Dorchester. Nie mam w żyłach ani jednej kropli błękitnej krwi.

– Pani rodzice nadal tam mieszkają?

– Nie, podobnie jak pan straciłam rodzinę podczas epidemii angielskich potów, ale byłam wtedy starsza... miałam osiemnaście lat... i dość ocytana, dlatego chrestna załatwiła mi posadę guwernantki w domu miejscowego wdowca. On akurat był bogaty, co według ludzi, którzy są okrutni, stanowiło główny powód, dla którego za niego wyszłam. Choć to kompletna nieprawda. A teraz chyba powiedziałam coś jeszcze bardziej oburzającego.

– Nie. – Fairfax usiłował ukryć zaskoczenie. – Dlaczego miałbym być oburzony?

– Dwa razy wyszła za starszego mężczyznę, dwa razy owdowiała... Wiem, jak niektórzy miałą jęzorami. A teraz szykuje się w dodatku trzecie wesele! Ale jeśli myślę, że uknułam to wszystko, żeby się wzbogacić, mogę powiedzieć, że niezbyt mi się udało. Moje pasierbice odziedziczyły dom swojego ojca i wyrzuciły mnie stamtąd z niczym. Wyjechałam do Axford, żeby uciec przed ich kalumniami, i w ten sposób poznałam sir Henry'ego, który się nade mną ulitował. Wkrótce jednak sam okazał się bankrutem. Tak wygląda w skrócie historia mojego życia... Może pan jej użyć jako przypowieści w swoim następnym kazaniu.

Mówiąc, co chwila oglądała się przez ramię, i kiedy umilkła, Fairfax też się odwrócił, żeby zobaczyć, co ją tak rozprasza. Pół mili za nimi jechał samotny jeździec.

– Coś jest nie w porządku? Poznaje go pani? – Zakładał, że to mężczyzna, choć równie dobrze mogła to być kobieta.

– Nie z tej odległości. Musiał wyjechać z naszej doliny... ta droga nie prowadzi nigdzie indziej.

– Śledzi nas?

– Zatrzymajmy się i zobaczmy, czy nas minie.

Sarah Durston ściągnęła wodze, Fairfax zrobił to samo i oboje obrócili się w siodłach. Tajemniczy jeździec również się zatrzymał. Przez minutę wszyscy stali w miejscu. Świadomość, że jakiś typ śledzi ich na tym odludziu, wzbudziła w nich niepokój.

– Powinniśmy chyba jechać dalej – odezwał się w końcu Fairfax.

– Nie, niech pan zaczeka... ruszył chyba z miejsca.

Jeździec zjechał między wrzosowiska, a potem zaczął się oddalać pod kątem prostym do drogi, z początku klusem, potem przyspieszając do galopu. Patrzyli, jak robi się coraz mniejszy i mniejszy, aż w końcu, za gęstwiną żółtych kolcolistów, gdzie teren opadał w dół, zarówno koń, jak i jeździec zniknęli im z oczu.

– Może bardziej obawiał się nas niż my jego – powiedział Fairfax.

– Być może – odparła, ale nie robiła wrażenia przekonanej.

Fairfax też musiał w duchu przyznać, że nie wydawało się to prawdopodobne. W milczeniu ruszyli dalej.

Po kolejnej godzinie szybkiej jazdy pod rozległym niebem pośród wrzosowisk pojawiły się pierwsze ślady cywilizacji – z początku winnice, potem małe gospodarstwa, działki, sady, gaje oliwne, ogrodzone kamiennymi murkami pola, stawy rybne, zagrody dla bydła, kurniki – dowód na to, że obecnie, kiedy Anglia pod rządami Króla i Kościoła została ponownie zjednoczona i spacyfikowana, ludzie uznali, że bezpiecznie jest zamieszkać poza ufortyfikowanymi murami miasta. Pierwszym budynkiem Axford, który zobaczyli, była licząca tysiąc pięćset lat kościelna wieża, smukła i blada, wyrastająca z ziemi niczym młode drzewko. A potem wjechali na niewielkie wzniesienie i ujrzeli u swoich stóp całe miasto.

Nad drogą przed nimi unosił się kurz. Odbywało się chyba jakieś zgromadzenie. Podjechawszy bliżej, poznali jego powód – na błoniach właśnie skończyła się zapowiadana egzekucja. Tłum usatysfakcjonowanych pogodnych ludzi – jak można było sądzić, gdy się z nimi zrównali, większość mieszkańców Axford, mężczyźni, kobiety i gromadki podnieconych dzieci – wracał ku bramom miasta, wskutek czego Fairfax i jego towarzyszka musieli zwolnić do prędkości pieszego. Ze strzępków rozmów dowiedział się, że skazaniec zupełnie nie przejmował się swoim losem, „tak jakby śmierć była dla niego czymś w rodzaju przejścia z jednej gospody do drugiej”. Jego brawurę przyjmowano z uznaniem. „Dał katu swój zegarek, żeby szybko go powiesił, i powiedział, żeby lepiej wziął go już teraz, bo za dziesięć minut niechybnie uznają to za zbrodnię”. Pośrodku błoni, dobrze widoczny z miejskiego więzienia, dyndał na szubienicy trup grabieżcy grobów, Jacka Porlocka. Pod jego miarowo kołyszącymi się stopami stał, skubiąc trawę, koń

zaprzęzony do wozu, który miał zabrać zwłoki, by powieszono je w klatce przy samym więzieniu.

Fairfax przeżegnał się i pomodlił za duszę zmarłego, a potem na wszelki wypadek za bezpieczeństwo swoje i lady Durston. Skoro pragnąc odstraszyć poszukiwaczy skarbów, uznano rabowanie grobów i plądrowanie starożytnych budowli za zbrodnie główne, czyż nie groził im podobny los? Zerknąwszy na Sarah Durston, zastanawiał się, czy to sobie uświadamia. Ale ona patrzyła prosto przed siebie i trudno było coś poznać po jej twarzy.

Wzdłuż zachodnich murów miasta płynęła rzeka, pełniąca na tym odcinku funkcję fosy. Niesieni tłumem, przejechali po moście zwodzonym i zaraz potem przez bramę i nagle znaleźli się w samym środku hałaśliwego targowiska odbywającego się pomiędzy budynkiem więzienia i siedzibą sądu, nad którym powiewały flagi z czerwonym krzyżem Anglii i żółtym smokiem Wessex. Lokalne wino sprzedawano po szylingu za kubek, a wszelkiego rodzaju zwierzęta – kurczaki, króliki, gołębie, prosiaki i jagnięta – wisiały martwe, oskórowane lub oskubane, bądź też siedziały żywe w klatkach, becząc i przeraźliwie kwicząc w oczekiwaniu na swój los, co potęgowało zgiełk.

Jakiś mężczyzna grał na dudach skoczną melodię; ubrana w marynarski strój dziewczyna miotała się w tańcu, jakby miała atak epilepsji. Stary siwy niedźwiedź z wyliniałym futrem siedział przykuty łańcuchem do słupa. Były tam także dyby i pręgierz. Na stopniach sądu rozmawiali ze sobą dwaj szeryfowie w czarnych mundurach i hełmach, z przytroczonymi do pasów pałkami i kajdankami i dwoma psami, które trzymali na krótkich łańcuchach. Fairfax zauważył, jak nie przerywając rozmowy, wodzą za nimi wzrokiem, najwyraźniej zadziwieni widokiem księdza jadącego z elegancko ubraną kobietą. Odetchnął z ulgą, dopiero kiedy minęli ostatnie stragany i wjechali na główną ulicę.

Rząd sklepów z drewnianymi chodnikami od frontu – artykuły pasmanteryjne i żelazne, rzeźnik, siodlarz i golibroda – kończył się przy rynku, gdzie stały naprzeciwko siebie giełda zbożowa i gospoda Pod Łabędziem. Pośrodku nieutwardzonego placu, wokół okrągłego kamiennego poidła, ustawiono ogrodzenie z poziomymi belek, do których ludzie mogli uwiązać konie, by załatwić to, co sprowadziło ich do miasta. Tutaj właśnie ksiądz Fairfax i lady Durston zsiadli z wierzchowców i zapłacili po szylingu stajennemu. Lady Durston odpięła od siodła sakwę i postawiła ją na ziemi. Fairfax zaproponował, że ją poniesie.

– Szeryfowie będą mniej skłonni przeszukiwać księdza – wyjaśnił.

– To ja podejmuję ryzyko i ja będę ponosiła ewentualne konsekwencje – odparła.

Stanęli w kolejce około dwudziestu osób pragnących wysłuchać wykładu. Tuż za drzwiami siedział przy małym biurku, zbierając pieniądze i wydając bilety, dobrze zbudowany, przystojny brunet. Widok księdza ewidentnie go zaskoczył, ale szybko się opanował. Fairfax domyślił się, że to Oliver Quycke, niegdyś sekretarz Towarzystwa Antykwarycznego i ilustrator *Antiquis Anglia*.

– Proszę usiąść, gdzie tylko ksiądz sobie życzy – powiedział miłym głosem wyedukowanego człowieka, chowając jednofuntową monetę Fairfaxa do skrzynki z pieniędzmi.

Przecięli hol wejściowy i weszli do dużej nowoczesnej sali ze sklepionym drewnianym stropem i wysokimi oknami. Ustawione na kamiennej podłodze ławki były już w większości zajęte. W drugim końcu, pod herbem miasta, stało podium, a na nim stół na kozłach. Po obu jego stronach paliły się latarnie i stały na nim przykryte zielonym suknem pękate przedmioty.

Fairfax i Sarah Durston usiedli pośrodku ławki, mniej więcej w połowie sali. Ludzie przesunęli się trochę, by zrobić im miejsce. Lady Durston wsunęła sakwę pod ławkę. Siedzieli tak blisko siebie, że Fairfax czuł przy nodze jej udo i wdychał zapach włosów i skóry, które skropiła wyciągiem z jaśminu i wodą różaną. Roztargniony, rozejrzał się dokoła. Sala pękała w szwach. Musiało się w niej zgromadzić ponad stu widzów i wyczuwał, że on i lady Durston są przedmiotem pewnego zainteresowania – młody nieznany ksiądz i otoczona atmosferą skandalu utytułowana wdowa z Durston Court.

Poczuł nagle, że jej ciało tężeje. Wzdłuż ściany przemieszczał się Hancock, szukając dla siebie miejsca. Zerknął w ich stronę i przez dłuższą chwilę mierzył oboje podejrzliwym wzrokiem. Gdy usiadł, zniknął im z oczu, a zaraz potem otworzyły się drzwi obok podium i wyszedł przez nie prześwietny uczony, doktor Nicholas Shadwell.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Herezja antycznego świata

To, że to właśnie Shadwell zakłócił nabożeństwo żałobne ojca Lacy'ego, stało się jasne, kiedy tylko otworzył usta. Jego głos, podobnie zresztą jak wygląd, był szczególny – piskliwy, staroświecki i manieryczny. Chudy i zdecydowanie niskiego wzrostu, Shadwell odziany był w ekscentryczny rodzaj surduta uszytego z wytartego czarnego aksamitu, z wystającą z rękawa poplamioną na czerwono chustką; pod spodem miał brokatową kamizelkę i ciemną koszulę z pasującą do niej kokardą, a na głowie czarną aksamitną czapkę, którą nasunął nisko na długie siwe włosy. Osobliwego obrazu dopełniały małe, zabarwione na niebiesko okulary. Wyglądał na sześćdziesiąt kilka lat. Przemawiał bez notatek, stojąc przy samym skraju podium, zaciskając palce na klapach surduta i podobnie jak ślepiec lub wizjoner kierując swoje uwagi ku jakiemuś nieokreślonemu punktowi nad głowami widzów.

– Mamy wielkie szczęście, moi rodacy i rodaczki, mogąc żyć w Erze Zmartwychwstałego Chrystusa – zaczął bez zbędnych wstępów – którego powrót na Ziemię przed ośmiuset laty przepowiedziano w Księdze Objawienia. Tym samym jednak żyjemy równocześnie w Erze Upadłego Człowieka, którego wygnanie ze stworzonego przezeń bluźnierczego Raju było sprawiedliwą Bożą karą za jego pychę.

– Amen! – krzyknęła jakaś kobieta na widowni.

– Zaiste, amen, moja pani – odpowiedział Shadwell i zaniósł się dość szpetnym kaszlem, bardzo podobnym do tego, który Fairfax nieraz słyszał w domach ludzi umierających. Uczony wyciągnął z rękawa chustkę, odwrócił się plecami do publiczności i pozostawał w tej pozycji tak długo, aż doszedł do siebie. – Amen! Jak bardzo zły musiał być ich świat, skoro trzeba było powalić jego wieże i iglice, by wymierzyć odpowiednią karę! Według starożytnych źródeł ludność Anglii w roku poprzedzającym Apokalipsę wynosiła około sześćdziesięciu milionów. A według spisu, którego przeprowadzenie zlecił ostatnio nasz najjaśniejszy król jegomość, obecnie liczba mieszkańców kraju nie przekracza sześciu milionów. Dodajmy, że zostało to policzone po długich latach stabilności i społecznego pokoju, w trakcie których ludność kraju systematycznie wzrastała. O ileż niższa musiała być w okresie, który nazywamy Mrocznym Wiekiem, kiedy klęski głodu, zarazy i wojny pustoszyły naszą wyspę i nikt nie miał chęci ani środków, by to opisać? Pamiętajmy też, że katastrofa, której bezpośredniej przyczyny nikomu nie udało się ustalić, nawiedziła nie tylko Anglię. Gdyby tak było, zostalibyśmy najechani i albo uratowani od zguby, albo zwasalizowani przez jakieś zagraniczne mocarstwo. Nie, panie i panowie. Wydaje się

jasne, że zabójczy cios został zadany w tym samym momencie całemu światu. Nasz rząd słusznie ma na oku porty i poddaje ścisłym restrykcjom tych, którzy podróżują za granicę. Ale z tego, co udało nam się ustalić, narody Francji i Sabaudii, Bawarii i Saksonii, Toskanii, Genui i Rusi, Afryki, Chin i Japonii, a także pięćdziesięciu niepodległych stanów Ameryki, które kiedyś tworzyły jedno państwo... wszystkie narody na świecie spotkała ta sama katastrofa. Zabójczy cios, czymkolwiek był i jakkolwiek przybrał formę, był wszechobejmujący, szybki i powszechny. Dlatego opowiadając o „herezji świata antycznego”, w żadnym razie nie czynię tego wiedziony podziwem, a tym bardziej chęcią, by go choćby w najmniejszym stopniu odtworzyć.

W tym momencie Shadwell spojrział prosto na Fairfaxa i wskazał go dłonią, wskutek czego ksiądz znalazł się w centrum zainteresowania całej sali.

– Jak naucza nas Kościół, każda próba odtworzenia antycznej cywilizacji jest śmiertelnym grzechem i obrazą wszechmogącego Boga, który słusznie obróci ponownie swój gniew przeciwko ziemi. – Shadwell skłonił głowę, po czym wbił wzrok w ten sam co poprzednio nieokreślony punkt. – Dlatego przez całe życie staram się odkryć, jakie błędy doprowadziły antyczny świat do zguby, i robię to wyłącznie po to, byśmy nigdy nie popełnili ich ponownie. Z powodu tej realizowanej przeze mnie, można rzec, szlachetnej misji wiele przecierpiałem. – Przycisnął rękę do piersi i zadrżał mu głos. – Moi wrogowie sączyli truciznę do uszu możliwych tego świata i zaznałem prześladowań i udręk, o jakich niewiele osób na tej wyspie ma w ogóle pojęcie...

– Ostrożnie! – syknął Quycke, zrobił to jednak tak głośno, że wszyscy go usłyszeli.

Stał tuż obok podium i obserwował widzów, którzy zaczynali się wiercić, znudzeni górnolotnym językiem prelegenta. Shadwell przerwał, spojrział na swojego asystenta i zamrugał, jakby przypomniał sobie nagle, gdzie się znajduje.

– A zatem... – zaczął ponownie z wahaniem. – A zatem zapytajmy, co było źródłem ich herezji?

– No właśnie, czemu nam pan tego nie powie? Za to panu zapłaciliśmy! – zawołał jakiś mężczyzna siedzący za Fairfaxem.

Kilku ludzi roześmiało się, inni zaczęli go uciszać.

– Tak, mój panie, to właśnie zamierzam zrobić – powiedział Shadwell. – Choć bez wątpienia uzna pan, że opisuję jakieś mityczne królestwo. Wiemy na podstawie rysunków oraz dużych fragmentów szkła i plastiku odkrytych na zachód od Hounslow i pokrywających się z owymi rysunkami, że starożytni potrafili latać, choć maszyny, których w tym celu używali, ze szczętem przepadły. Wiemy, że mieli metalowe powozy, które poruszały się same z niesamowitą szybkością na wyściełanych kołach, niezaprężnięte w żadne konie... choć te powozy także do cna przerdzewiały i prawie nic po nich nie pozostało. Wiemy, że w Londynie, który był ich Babilonem, mieli budynki, które sięgały chmur.

– Bzdura! – krzyknął ktoś.

– Nie, mój panie, to nie bzdura, ich istnienie zostało dobrze udokumentowane. Wiemy także, że prawie każdej osobie, w tym również dzieciom, wydawano urządzenia, które pozwalały im wzajemnie słyszeć się i widzieć bez względu na to, jak daleko na całym świecie mogli się znajdować; że te urządzenia były tak małe, że mieściły się w dłoni; że mieli dzięki nim dostęp do całej wiedzy, muzyki, poglądów i piśmiennictwa na całym świecie; i że w rezultacie zastąpiły one ludzką pamięć, rozumowanie, a nawet normalne stosunki międzyludzkie... stały się obeszczadniającą narkotyczną siłą, która zdaniem niektórych doprowadziła ich posiadaczy do szaleństwa, do tego stopnia, że wprowadzenie tych urządzeń stało się początkiem końca rozwiniętej cywilizacji.

Dla wielu widzów było to już zbyt wiele. Z widowni dobiegały okrzyki niedowierzania. Ludzie machali na prelegenta rękami, jakby oganiali się od uprzykrzonej muchy.

– Wszystko to prawda, szczerą prawdą – stwierdził chłodno Shadwell i poczekał, aż się uspokoją. – Pozwólcie, że podam wam dwa fakty, których nie da się podważyć. Po pierwsze, wiemy, że w porównaniu z nami starożytni byli olbrzymami, bo szkielety ludzi, którzy zmarli przed ośmiuset laty, wskazują, że byli od nas na ogół o stopę wyżsi. Po drugie, wiemy, że żyli o wiele dłużej od nas, ponieważ z inskrypcji na grobach wynika, że całkiem często dożywali dziewięćdziesiątki, a nawet setki, podczas gdy dzisiaj pięćdziesięcioletni mężczyzna jest starcem. Takie są fakty, panie i panowie, fakty potwierdzone przez kości i kamień.

Zgromadzeni ponownie umilkli: wzrost i długość życia były pojęciami zrozumiałymi dla każdego.

– Pytanie brzmi: jak dokonywali tych cudów? Cudu rozmowy z bliskimi, nawet gdy byli oddaleni od siebie o setki mil, i wykonywania pracy stu ludzi za jednym pociągnięciem dźwigni? Tamci ludzie mogli być od nas wyżsi i zdrowsi, ale podobnie jak my byli śmiertelni. Ich mózgi miały takie same rozmiary jak nasze... wątpię zatem, by byli od nas znacznie mądrzejsi. Jedli, pili, spali, rozmnażali się, mieli swoje marzenia. Najwyraźniej jednak byli w posiadaniu jakiegoś sekretu, który my utraciliśmy. W ten czy inny sposób, w chaosie nagłej katastrofy, kluczowa ożywiająca ich cywilizację iskra zgasła i nie udało się jej na nowo rozpalić. Chciałbym teraz zademonstrować to, co moim zdaniem było tą ożywczą iskrawą. Panie i panowie, czy mogę prosić tych, którzy siedzą przy oknach, żeby zamknęli okiennice? – Po wygłoszeniu tej prośby Shadwell ponownie zaniósł się kaszlem.

Ścisnięci pośrodku ławki Fairfax i Sarah Durston nie mogli ruszyć się z miejsca, kiedy sala stopniowo pogrążyła się w mroku. Popołudniowe światło gasło za kolejnymi zamykanymi okiennicami, a na widowni dał się słyszeć szmer oczekiwania. Ludzie, którzy zgromadzili się w siedzibie giełdy zbożowej, wydawali się gotowi opuścić otaczający ich doczesny świat i przenieść się w jakiś inny.

– Co on będzie robił? – szepnęła Sarah, nachylając się do Fairfaksa.

– Nie mam pojęcia.

– Sądząc po tym, jak się do tego zabiera, przywoła chyba duchy zmarłych.

Fairfax obrócił się lekko na ławce, ale było już zbyt ciemno, by rozróżnić poszczególne twarze.

– Zastanawiam się, co sobie pomyśli kapitan Hancock – powiedział. – To on był chyba tym śledzącym nas jeźdźcem.

– Jakże to ma znaczenie, co sobie pomyśli?

– Żadnego.

Mimo to ksiądz czuł się nieswojo. Towarzyszenie przyszłej żonie innego mężczyzny nie wydawało mu się do końca w porządku – podobnie zresztą jak obecność duchownego na tego rodzaju wykładzie, który mimo całego zarzekania się Shadwella ocierał się mocno o herezję.

Do byłego prezesa Towarzystwa Antykwarycznego dołączył na podium pan Quayce. Jedyne oświetlenie zapewniały teraz latarnie, które rzucały ruchome cienie na tylną ścianę. Światło dnia i uliczny gwar już tu nie dobiegały. Shadwell i Quayce ściągnęli razem sukno ze stołu i oczom zebranych ukazała się dziwna kolekcja przedmiotów – szklany klosz, podobne do pompy urządzenie z małym obracającym się kołem, dwa cylindry połączone korbą, wąska szklana rurka, różne puszkki i pudełka oraz wycięty z białego papieru szkielet. Quayce podniósł go i zawiesił na mosiężnym stojaku, a Shadwell zdjął surdut i podał go asystentowi.

– W świecie istnieje naturalna siła – zaczął – którą starożytni nauczyli się ujarzmić i którą można wytworzyć, korzystając z tej prostej aparatury. Urządzenia, które tu widzicie, zostały wykonane zgodnie ze specyfikacją zamieszczoną w posiadanej przeze mnie książce sprzed ponad tysiąca lat. – Shadwell otworzył jedno z pudełek. – Najpierw zamierzam umieścić ten kawałek bursztynu wewnątrz szklanego klosza – oznajmił, podnosząc bursztyn i pokazując go widzom siedzącym po prawej i lewej stronie.

W ciemności trudno było zobaczyć, co dokładnie robi, i potęgowało to wrażenie, że zaraz wydarzy się coś tajemniczego. Ludzie wstawali, by lepiej widzieć, i byli proszeni przez siedzących za nimi, by z powrotem usiedli. Z tego, co widział Fairfax, Shadwell przymocował chyba pompę do szczytu szklanego klosza. Słyszał było świst i trzeszczenie skórzanych miechów. Szumiało obracające się koło. Shadwell stanął przed szklanym kloszem, odpiął mankiety, podwinął rękawy i teatralnym gestem położył na nim ręce. W środku natychmiast pojawił się dziwny niebieski blask, niepodobny do niczego, co Fairfax kiedykolwiek widział – księżycowy, zimny i eteryczny, a mimo to dość jasny, by rozświetlić w mroku twarz Shadwella. Lady Durston złapała Fairfaxa za ramię. Z ust publiczności wydarł się zbiorowy okrzyk zaskoczenia.

– To jest to, co starożytni nazywali „elektrycznością”... od greckiego słowa *elektron* oznaczającego „bursztyn”. Ta właśnie siła wprawiała w ruch ich świat. Elektryczność była dla nich tak samo realna, jak dla nas realna jest moc Boga. Wyobraźcie sobie, jeśli macie ochotę, dom oświetlony tym zadziwiającym zjawiskiem... oświetloną nim ulicę, dzielnicę, całe miasto! – W niezmiernym blasku wymizerowana głowa Shadwella wydawała się

nienaturalnie wielka, jakby był przybyszem ze świata duchów. – Lecz to tylko jedno z wielu zastosowań elektryczności. Poza zapewnieniem oświetlenia ta naturalna siła mogła być również wykorzystywana jako źródło napędu.

Shadwell skinął na Quycke'a i ten zakręcił korbą, z początku powoli, a potem coraz szybciej, aż cylindry zaczęły się obracać z dużą prędkością. Maszyna emitowała dziwny trzask, a potem pojawiły się niebieskie iskry, przelatujące w wąskiej przestrzeni i wypełniające salę charakterystyczną wonią siarki. Któraś z kobiet krzyknęła przerażona.

– Strzeżcie się szatana! – zawołał jakiś mężczyzna i było rzeczywiście coś szatańskiego w uśmiechu Shadwella, który po raz kolejny położył dłonie na szkle.

Klosz rozjarzył się niczym niebieski księżyc, a potem – Fairfax przyznał później, że w tym momencie przeszedł go dreszcz przerażenia i poczuł, jak ciarki chodzą mu po grzbiecie – wiszący na stojaku papierowy szkielet zbudził się do życia i zaczął wymachiwać kończynami w makabrycznym tańcu. Gdzieś z tyłu rozległ się głośny łomot.

– Ona zemdlą! – krzyknął ktoś. Trzasnęły drzwi po tym, jak z sali uciekło kilka osób. Ale większość została na miejscach i z fascynacją obserwowała przeskakujące z trzaskiem iskry, rozjarzony klosz, wykrzywioną w uśmiechu twarz Shadwella i miotający się upiorny szkielet.

– Czy na widowni jest jakaś dama, która chciałaby na ochotnika doświadczyć ożywczej mocy elektryczności? – zapytał uczony. Nikt się nie zgłosił. – Proszę się nie bać! Zapewniam, że to całkowicie bezpieczne. Sam tego próbowałem i przekonałem się, że efekty są w najwyższym stopniu terapeutyczne. Pamiętajcie o niezwykłej długości życia starożytnych!

Mimo zachęty widzowie pozostali na swoich miejscach. Ku przerażeniu Fairfaxesa, Sarah Durston wstała nagle z ławki.

– Nie, lady Durston – zaczął prosić, łapiąc ją za spódnicę. – To nieroztropne.

Ale ona odwróciła się do niego plecami, ujęła spódnicę i mu się wyrwała. Siedzący obok wstali, by ją przepuścić. Przeciskając się obok nich, dotarła do przejścia i ruszyła w stronę podium. Shadwell klasnął z podziwem w ręce i większość widzów też zaczęła bić brawo. Kiedy podeszła bliżej, podał jej rękę i pomógł wejść na scenę.

– Czy mogę panią prosić, żeby stanęła pani dokładnie na tym kwadratowym dywaniku i przez chwilę się nie ruszała? A także by była pani tak dobra i zdjęła kapelusz, oddała go mojemu sekretarzowi i rozpuściła włosy?

Sarah zrobiła to, o co prosił, i potrząsnęła lokami w sposób, który poprzedniego dnia wywarł tak wielkie wrażenie na Fairfaxesie.

– A teraz, jeśli można, proszę podnieść ręce – instruował ją dalej Shadwell – tak by znalazły się na wysokości pani ramion, i obrócić się twarzą do zgromadzonych tu naszych przyjaciół.

Ponownie zrobiła to, o co ją poprosił, uśmiechnięta i całkowicie spokojna.

Quycke zaczął znów kręcić korbą. Po krótkiej chwili Shadwell wziął długą szklaną rurkę, która jarzyła się niczym różdżka, i delikatnie dotknął nią boku spódnicy lady Durston. Jej długie rude włosy natychmiast zeszytniały i stanęły dęba na głowie. W swoim jeździeckim żakiecie, z wyciągniętymi przed siebie rękoma i bladą twarzą otoczoną czymś, co przypominało płomienną aureolę, sprawiała upiorne i niesamowite wrażenie. Fairfax patrzył na nią jak zahipnotyzowany. Na sali rozległy się głośne westchnienia i brawa.

– A teraz – podjął Shadwell – kto z obecnych tutaj dzielnych dżentelmenów wejdzie na scenę, by dotrzymać towarzystwa tej odważnej damie?

Przez dłuższą chwilę nikt się nie odzywał. Fairfax wpatrywał się w Sarah Durston – połyskującą, jak mu się zdawało, niczym eteryczna zjawą, z unoszącymi się i opadającymi piersiami, jakby siła elektryczności wysysała z niej życie. I nagle jego prawa ręka, jakby obdarzona własną wolą, uniosła się w górę.

– Ja to zrobię – usłyszał ku swojemu zaskoczeniu własny głos.

– Brawo, mój panie!

Od razu tego pożałował, lecz w tym momencie podnosił się już z ławki, co spotkało się z pomrukiem zdziwienia jego najbliższych sąsiadów, a potem z powszechnym aplauzem, którym nagrodzono go za odwagę – tym bardziej, że był księdzem!

– Brawo, ojczy! – zawołał ktoś, kiedy Fairfax dotarł do przejścia i ruszył w stronę podium.

Quycke wyciągnął rękę, by pomóc mu wejść na górę. Shadwell, który zachęcał widzów do oklasków, uśmiechnął się do niego i uklonił, a potem podniósł ręce, prosząc o ciszę.

– Prowadziłem ten pokaz wiele razy, ale nigdy wcześniej z osobą duchowną! Czy może być w tym coś niestosownego, panie i panowie, jeśli poproszę tego najznamienitszego z obywateli, by złożył na ustach Elektryzującej Wenus skromny pocałunek? Czy mógłby pan stanąć twarzą do tej damy i ostrożnie zbliżyć swoje usta do jej ust?

Shadwell położył dłoń na plecach Fairfaksa i nie zważając na jego nieśmiałe protesty, łagodnie pchnął go do przodu.

Kątem oka ksiądz dostrzegł jakiegoś mężczyznę, bardzo możliwe, że Hancocka, który wstał i bacznie mu się przypatrywał. Sarah Durston, nie zmieniając swojej pozy, obróciła się do niego twarzą niczym mechaniczna lalka. Na twarzy miała nadal wyraz rozbawienia. Przechyliła kokieteryjnie głowę i wysunęła w jego stronę usta. Przestał się opierać. Czas jakby zwolnił bieg, gdy Fairfax się do niej przysuwał. Kilka stóp zmieniło się w kilka cali, a potem nic ich już nie dzieliło.

Kiedy ich wargi się zetknęły, rozległ się trzask i błysnęła niebieska iskra. Fairfax poczuł ostry ból, krzyknął i cofnął się o krok. Widzowie wstrzymali oddech. Ksiądz przyłożył dłoń do ust i wbił wzrok w lady Durston. Spektakl, jaki zaprezentowali, musiał być jednocześnie niepokojący i śmieszny. Ludzie zaczęli się śmiać, a on popatrzył na nich oszołomiony, co jeszcze bardziej ich rozśmieszyło.

Rozbawiona publiczność nie od razu zdała sobie sprawę, że doszło do kolejnego incydentu. Z tyłu sali otwarto z hukiem drzwi i słychać było szczekanie psów i krzyki mężczyzn. Quycke osłonił dłonią oczy, próbując spostrzec coś w ciemności, i krzyknął ostrzegawczo do Shadwella. Nad głowami ludzi Fairfax zobaczył przepychających się przez salę dwóch szeryfów, a za nimi umundurowanego urzędnika ze złotą odznaką na rękawie.

– To zgromadzenie jest nielegalne! – Mężczyzna z odznaką stanął pośrodku sali. – Otwierać okiennice. Mam nakaz aresztowania doktora Nicholasa Shadwella!

Ze zwinnością zadziwiającą u kogoś w tak podeszłym wieku i odznaczającego się tak słabym zdrowiem, Shadwell dał susa z podium i rzucił się ku najbliższym bocznym drzwiom. Niestety, zanim dotarł do wyjścia, pojawił się w nich kolejny szeryf z warczącym wściekłym psem i zablokował drogę. Shadwella pochwycono z przodu i z tyłu i skuto mu ręce na plecach.

– To jest sprzeczne z prawem! Nie ma potrzeby zachowywać się tak brutalnie! Ponoszą panowie osobistą odpowiedzialność za stan mojej aparatury! – protestował cały czas płaczliwym, piskliwym głosem, a potem jego i Quycke'a poprowadzono pod eskortą w stronę tylnych drzwi. Wychodząc, obrócił się i spojrzał z wyrzutem na Fairfaksa, jakby nie tylko Kościół jako instytucja, ale też ten konkretny młody ksiądz ponosił winę za to, jak go potraktowano.

Kiedy szeryfowie zabrali go z sali, otwarto ostatnie okiennice i iluzja starożytnej magii ulotniła się wraz ze światłem dnia. Na podium pozostało kilka stojących na stole nieruchomych fragmentów aparatury, a także zdumiony Christopher Fairfax i Sarah Durston z grzywą rudych włosów, które nieusztymnione już tajemniczą mocą elektryczności wróciły do normalnego kształtu.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Kapitan Hancock poznaje tajemnicę

Usta piekły Fairfaxa, jakby użądliła je osa. Przetarł je palcem wskazującym i z bliska mu się przyjrzał. Spodziewał się prawie, że będzie pokryty warstwą jakiejś opalizującej niebieskiej substancji. Ból nie był aż tak bardzo dotkliwy; pulsował w rytmie jego serca, które – gdy przystawił do niego dłoń – wydawało się powiększone, choć mógł bez przeszkód oddychać. Waliło podobnie jak wtedy, gdy coś go zaskoczyło albo cudem uniknął upadku. Co, na litość boską, mu się przytrafiło?

Nie zważając na panujący na sali rejwach, podszedł do stołu i zaczął badać uważnie aparaturę Shadwella. Podnosząc różne przedmioty i obracając na wszystkie strony szklane rurki i metalowe cylindry, starał się siłą samej dedukcji odkryć sekret tego, co tu się przed chwilą działo. Za pomocą tych dziwacznych obiektów udało się wytworzyć płomienną błękitną substancję, która według Shadwella napędzała świat starożytnych. Teraz, kiedy pokaz dobiegł końca, wszystko to wydawało się niemożliwe, ale przecież Fairfax nie tylko był świadkiem tego zjawiska, ale też go doświadczył, a nawet posmakował – twardego metalicznego zapachu elektryczności, za pośrednictwem miękkich warg Sarah Durston.

Gdzie ona była? Rozejrzał się i zobaczył, że stoi pośrodku zatłoczonej sali i wpatruje się w niego, przyciskając do piersi swoją sakwę. Zeskoczył z podium.

– Tak mi przykro, lady Durston... Obawiam się, że mózg zlasował mi się do tego stopnia, że całkiem zapomniałem o dobrych manierach. Nic się pani nie stało?

– Nie, czuję się zupełnie dobrze. Poczułam tylko dziwne, choć wcale nie przykre mrowienie w kończynach i włosach.

– Już minęło?

– Tak, całkowicie. Widzę, że pan bardziej ucierpiał.

– Łomocze mi serce. – Fairfax przecesał palcami włosy, co robił często, by ukryć ogarniające go zakłopotanie. – Niech mi pani wybaczy tę chwilę niezamierzonej intymności. Godząc się wejść na scenę, nie miałem pojęcia, czego się ode mnie oczekuje. Gdybym wiedział, na pewno nie zgodziłbym się wziąć w tym udziału.

– Mój drogi panie Fairfax, niech pan tego nie mówi! – Uśmiechnęła się do niego. – W żadnym wypadku tego nie żałuję! Choć wątpię, czy kapitan Hancock kiedykolwiek nam wybaczy.

Fairfax spojrział tam, gdzie jak mu się zdawało, widział po raz ostatni Hancocka. Ludzie krążyli po sali.

– Gdzie on jest? – spytał.

– Wyszedł stąd chyba zaraz po biednym doktorze Shadwellu. Teraz nikt nie opuści giełdy zbożowej, jeśli nie poda szeryfom swojego nazwiska i adresu i nie zezna, co dokładnie widział.

Na myśl o tym, że biskup Pole dowie się o jego obecności, a właściwie nie tylko obecności, lecz czynnym udziale w tym, co tu się działo, Fairfax wpadł w panikę.

– Powinniśmy szybko odnaleźć kapitana – wyjąkał.

– Po co?

Zamiast odpowiedzieć wziął ją pod ramię i zaczął przeciskać się przez tłum. Zauważył, że niektórzy cofają się przed nimi, jakby bali się zetknąć ze skażoną przez elektryczność parą. Inni zaczepiali go, mając nadzieję, że doda im otuchy. Sądząc z wyglądu, byli to szacowni obywatele – kupcy, właściciele ziemscy, ambitni przedsiębiorczy ludzie o dociekliwych umysłach, którzy żałowali teraz swojego głodu wiedzy. Przyszli tu z czystej ciekawości, żeby posłuchać, co ma do powiedzenia Shadwell. Czy zdaniem Fairfaxes zostaną skazani? Ukarani grzywną? Czy będą – to budziło w nich największe przerażenie – przesłuchiwanie na okoliczność herezji przez wysłanników biskupa z Exeter?

– Zachowajcie spokój – radził im, choć prawdę mówiąc, sam był kłębkim nerwów. – Nie ma się czego obawiać. Jeśli puścicie mnie przodem, postaram się wszystko załatwić.

– Żaden z nas nie zrobił nic złego...

– Przyszliśmy po prostu na publiczny wykład.

Fairfax kiwał uspokajająco głową.

– Jestem pewien, że kiedy tylko fakty zostaną wyjaśnione, sprawie nie nada się dalszego biegu.

– Wytłumaczy ksiądz to wszystko biskupowi?

– Pozwólcie nam przejść, to osobiście z nim porozmawiam.

– Jesteśmy pobożnymi chrześcijanami.

– Tak, tak, to widać.

Dotarli do czoła kolejki. Drzwi blokowało dwóch szeryfów. Młodszy z nich zapisywał nazwiska wszystkich wychodzących, siedząc przy biurku, przy którym wcześniej Quycke pobierał opłatę za wstęp. Starszy pilnował drzwi, trzymając na krótkim łańcuchu śliniącego się psa o złotych oczach.

– Nazwisko i adres! – warknął młodszy, zanurzając pióro w kałamarzu.

– Nazywam się Christopher Fairfax i jestem tymczasowym proboszczem parafii Addicott w St George, a to – dodał, mając świadomość, że przemawia podobnym tonem jak Hancock – jest lady Sarah Durston z Durston Court.

Młody szeryf skrupulatnie to wszystko odnotował, skrobiąc piórem po szorstkim papierze. Widać było, że nie zamierza okazywać, że robią na nim jakiegokolwiek wrażenie ich tytuły.

– Czy dziś po południu był ksiądz świadkiem czegoś, co można uznać za zbrodnię herezji?

– Nie.

– A pani?

– Nie. – Sarah Durston przełożyła sakwę z jednej do drugiej ręki i odsunęła z czoła kosmyk włosów.

Szeryf zmierzył ich surowym spojrzeniem i postukał się piórem po zębach, najwyraźniej upajając się swoją władzą.

– Ludzie mówią co innego.

– W takim razie uczestniczyli w innym wykładzie niż ten, którego my byliśmy świadkami – odparł Fairfax. – Czy za to właśnie został aresztowany doktor Shadwell... za herezję?

– Nie udzielamy takich informacji.

– Dokąd go zabrano?

– Jeszcze dziś po południu stanie przed obliczem sędziego i będzie oczekiwał w areszcie na proces, który odbędzie się przed biskupim sądem w Exeter.

– W takim razie muszę zdać natychmiast raport biskupowi Pole'owi.

Fairfax zrobił krok do przodu, ale musiał się cofnąć, bo pies zawarczał i obnażył kły.

– Chwileczkę, ojczu, nie tak szybko. Musimy sprawdzić, czy z miejsca przestępstwa nie usunięto jakichś dowodów. Co jaśnie pani ma w tej sakwie?

– Stłuczony wazon – odparła Sarah. – Przywiozłam go do miasta, sądząc, że uda się go naprawić.

– Proszę go pokazać.

Fairfax poczuł, że znowu zaczyna mu walić serce. Sarah oparła sakwę o kolano i zaczęła rozpinać paski. Dał jej ręką znak, by tego nie robiła.

– To obraza nie tylko wobec lady Durston, ale też wobec stanowiska, jakie zajmuję w kościelnej hierarchii. I wy macie czelność twierdzić, że badacie przestępstwo popełnione przeciwko Kościołowi? Biskup z pewnością się o tym dowie!

– To nie ma znaczenia – mruknęła Sarah. – Jeśli szeryf chce koniecznie zobaczyć ten wazon, mogę go pokazać.

– Daj spokój, Jack – odezwał się starszy szeryf z psem. – Nie mogę ręczyć za księdza, ale znałem zmarłego męża lady Durston, Panie, świeć nad jego duszą, i wiem, że wdowa po nim nigdy nie złamałaby prawa – dodał i dał im znak, że mogą wyjść.

– Jeszcze się spotkamy! – zawołał za nimi młody szeryf, starając się po raz ostatni pokazać, kto tu rządzi. – Możecie być tego pewni!

* * *

Wyszli na rynek tuż przed trzecią po południu. Kilku kupców w skórzanych fartuchach wyszło już na drewniane chodniki i zakładało okiennice na witryny sklepów, szykując się do ich zamknięcia. Poza tym w mieście panował spokój. Ludzie albo nie wiedzieli, co

wydarzyło się w budynku giełdy, albo nie chcieli mieć z tym nic wspólnego. U szczytu ulicy widać było za miejskimi murami zielone wzgórze, na którym pasły się biało-czarne krowy. Wiodła tamtędy płatna droga do Exeter i Fairfaxowi przyszło do głowy, że powinien natychmiast wyjechać z Axford, wrócić do katedry i wyznać wszystko biskupowi, zanim dotrze do niego raport o tym, co się wydarzyło. Obliznął wargi. Wciąż czuł na nich metaliczny posmak. Nie mogę wyjechać, pomyślał, rzucono na mnie urok.

– Gdzie możemy znaleźć kapitana Hancocka? – zapytał.

– Skąd to nagle pragnienie, by z nim porozmawiać?

– Ma chyba pewne wpływy w tym mieście? Jeśli ich użyje, moglibyśmy jednak rozmówić się z doktorem Shadwellem.

Sarah spojrzała na niego zaskoczona.

– Czy to rozropne?

– Nie, ale skoro zaszliśmy już tak daleko, szkoda byłoby nie spróbować jeszcze raz, bo jedno jest pewne: jeśli go skażą, nigdy więcej go nie zobaczymy.

– Dobrze. – Sarah pokiwała głową. – Podoba mi się pańskie zdecydowanie. Hancock wynajmuje prywatny pokój w gospodzie Pod Łabędziem i prowadzi stamtąd swoje interesy. Możemy tam o niego zapytać. – Kiedy przecinali rynek, wzięła go pod ramię. – Ale musimy być z nim ostrożni, Christopher... będzie chciał wiedzieć wszystko, a jest człowiekiem o porywczym temperamencie. Kiedy się przy czymś uprze, nic nie zdoła go powstrzymać.

Pod szyldem gospody stała, popijając i paląc długie gliniane fajki, ta sama grupka nicponi, którzy przed trzema dniami próbowali sprowadzić Fairfaxa na manowce. Widząc teraz, że jest księdzem i prowadzi pod rękę damę, ściągnęli szybko z głów czapki i wbili wzrok w ziemię. Pogardzał nimi.

W środku gwarnej zatłoczonej gospody uderzył ich w nozdrza odór męskiego potu, tytoniowego dymu, piwa i trocin. Fairfax zostawił Sarah i precisnął się do baru. Mężczyzna z tatuażami na ramionach – przedstawiającymi smoka z Wessex, krzyż świętego Jerzego, skrzydlatego anioła i czaszkę – zmieszał się nieco na widok sutanny.

– Dzień dobry, ojcie – powitał go, dotykając dłonią czoła. – Coś jest nie w porządku?

– Gdzie możemy znaleźć kapitana Hancocka?

– Tym korytarzem, ojcie, a potem schodami na górę. Pierwsze drzwi po lewej. Mam ojca zaprowadzić?

– Nie, sami go znajdziemy. – Fairfax dał znak Sarah.

Wyłożony cegłą korytarz śmierdział rozlanym piwem. Kręconymi stromymi schodami dotarli na obskurny podest. Fairfax zerknął na Sarah i zapukał do drzwi.

– Wejść!

Pokój był niewielki, z obitymi boazerią ścianami i wychodzącym na rynek oknem z osadzonymi w ołowiu szybkami. W palenisku płonął ogień, na stole paliły się świece. Na komodzie piętrzył się stos ksiąg rachunkowych, na fotelu leżały próbki niefarbowanego

sukna, na kołku na drzwiach wisiało ciężkie palto kapitana. Hancock siedział przy oknie, z wyciągniętymi przed sobą nogami i opuszczonym na pierś podbródkiem. Kiedy weszli, pozdrowił ich prawie niedostrzegalnym skinieniem.

– Kogóż my tu widzimy! Elektryzująca Wenus i jej Adonis!

– Przeprosiłem już lady Durston i chciałbym również przeprosić pana – powiedział Fairfax.

– Rzeczywiście bardzo ksiądz łaskawy! – prychnął Hancock.

– Nie miałem pojęcia, o co zostanę poproszony.

– Może i ksiądz nie miał pojęcia, ale zgodził się bez wahania.

– To moja wina, John – odezwała się Sarah. – Ojciec Fairfax chciał mnie tylko wesprzeć.

– A ty dałaś mu całusa! Co cię, do diabła, opętało, że zrobiłaś z siebie takie przedstawienie?

– W tamtym momencie wydawało mi się to zupełnie bez znaczenia. – Sarah wzruszyła ramionami. – Co się stało, to się nie odstanie. Ale jeśli to dla ciebie takie żenujące, mogę cię zwolnić z danego mi słowa.

Hancock wpatrywał się w nią, ruszając szczękami, jakby rozgniatał zębami niewidoczną chrząstkę.

– Nic nie mówię o zwolnieniu z danego słowa – wymamrotał w końcu. – Jak sama powiedziałaś, co się stało, to się nie odstanie, i lepiej o tym więcej nie mówmy.

Zapadło niezręczne milczenie.

– Mogę zadać ci pewne pytanie? – odezwała się po chwili Sarah Durston. – Czy byłeś tutaj przez cały dzień?

– Jak zwykle od ósmej rano. W piątki sprzedaję swoje sukno. Dlaczego pytasz? Nie podoba ci się, że załatwiam interesy w gospodzie?

– Skądże znowu! Rzecz w tym, że jakiś mężczyzna jechał za nami, kiedy wyruszyliśmy z Addicott. To było krótko przed południem.

– To na pewno nie byłem ja. – Spoglądając to na nią, to na Fairfaxa, Hancock uświadomił sobie, co kryło się za jej słowami. – Myśleliście, że śledziłem was w drodze do miasta? – zapytał, marszcząc czoło.

– Wydawało się to prawdopodobne, bo wszedł pan na wykład tuż za nami – odparł Fairfax.

– Poszedłem na wykład, bo interesuje mnie ta tematyka, a nie po to, żeby was ścigać! Nie jestem zazdrosnym głupcem, który nie spuszcza z oczu narzeczonej i nie pozwala jej spędzić popołudnia z duchownym! – Hancock odsunął do tyłu krzesło i wstał. – Teraz wy mnie posłuchajcie. Zastanawiałem się nad tym wszystkim. Dzieje się tu coś dziwnego. Rozpoznałem Shadwella, kiedy tylko go zobaczyłem. To on wykrzykiwał te rzeczy na pogrzebie Lacy’ego. Więc moim zdaniem pytanie brzmi, nie co ja, ale co wy tam robiliście? – Zabrał próbki sukna z fotela i wskazał go lady Durston. – Siadaj, Sarah.

Zawahała się, wciąż ściskając w rękach sakwę.

– Co tam masz? – zapytał. – Jaki ukrywacie przede mną sekret?

Zerknęła na Fairfaxa i kiedy ten pokiwał głową, położyła sakwę na stole i wyjęła z niej szklany cylinder.

Hancock ponownie zmierzył ich podejrzliwym spojrzeniem, po czym wziął od niej cylinder i podszedł z nim do okna, by mu się lepiej przyjrzeć. W potężnych dłoniach kapitana szklany przedmiot wydawał się jeszcze bardziej kruchy, jego przetrwanie przez osiem stuleci graniczyło z cudem.

Z podziwem podniósł go do światła.

– Jak, na miłość boską, sporządzono coś takiego? Szklana spirala wewnątrz szklanego cylindra? Czemu to miało służyć?

– Nie wiemy – odpowiedziała Sarah. – Dlatego właśnie pojechaliśmy na wykład Shadwella... żeby po jego zakończeniu pokazać mu to i zapytać o opinię. Może być jedynym człowiekiem w Anglii, który zna odpowiedź na te pytania.

– Skąd to masz?

– Henry wykopał to przed wielu laty w pobliżu Czarciego Tronu.

– A więc o tym właśnie dyskutowaliście, kiedy przyjechałem wczoraj do Durston Court?

– Tak.

– Więc dlaczego, na miłość boską, nic mi nie powiedzieliście?

– Poprosiłam o to pana Fairfaxa. Chciałam to zachować w tajemnicy.

– Ale dlaczego?

W tym momencie rozległo się pukanie do drzwi.

– Chwilę! – zawołał Hancock i oddał cylinder Sarah. – Wejść! – polecił, kiedy schowała go z powrotem do sakwy.

Do pokoju wszedł wytatuowany barman z tacą.

– Przyniosłem trochę więcej przekąsek dla jaśnie pani i dla księdza, kapitanie Hancock – powiedział, po czym uklonił się im, postawił tacę na stole i zaczął rozkładać talerze i dzbanki.

– Zostaw to – rozkazał Hancock, wręczając mu garść monet.

Kiedy tylko za barmanem zamknęły się drzwi, wziął do ręki dzbanek z ginem i zaproponował, że im naleje. Oboje odmówili, więc nalał tylko sobie i pociągnął spory łyk. Na jego twarzy pojawił się chytry uśmiech.

– Wiem oczywiście, dlaczego nie chciałaś mi powiedzieć. – Zakołysał ginem w kubku. – To właśnie w okolicy Czarciego Tronu stary Lacy wyciągnął kopyta. Prawda? A teraz domyślam się, że chcesz, żebym ci pomógł. – Wypił do końca gin, otarł usta i wyszczerzył zęby w uśmiechu. – Wrzućmy coś na ząb.

Rozłożył sam talerze i sztucce i napełnił kubki – tym razem nie chciał słyszeć o odmowie – rozcieńczonym wodą ginem dla Sarah i piwem dla Fairfaxa. Wysunął krzesła i nalegał, by zjedli razem z nim. Nakładając im na talerze ozory na zimno i marynowane

karczochy, zasypywał ich jednocześnie pytaniami. Ile szklanych przedmiotów odkrył pułkownik Durston? Kto jeszcze o nich słyszał? Jak dowiedział się o nich Lacy?

Fairfax odłożył sztucce, rozpiął sutannę, wyciągnął z wewnętrznej kieszeni małą oprawną w skórę książkę i wziął głęboki oddech.

– Był pewien człowiek, który nazywał się Morgenstern... – zaczął.

Po tym wstępie wiadomo było, że opowiedzą kapitanowi wszystko, co sami wiedzieli, i w rezultacie sytuacja diametralnie się zmieniła. W tym momencie stało się możliwe wszystko to, co nastąpiło później, bo Sarah Durston mówiła prawdę: kiedy tylko John Hancock wbił sobie coś do głowy, nie istniała na tym świecie siła, która by go od tego odwiodła. A tym, co wbił sobie do głowy przy lunchu, tamtego popołudnia w gospodzie Pod Łabędziem w Axford, była konieczność odkrycia, co leży zakopane w ziemi pod Czarcim Tronem.

Opowiedziawszy, jak doszło do ukrycia kościelnych ksiąg i co wiąże Morgensterna i Durston Court, Fairfax odnalazł w dwudziestym tomie *Protokołów i dokumentów Towarzystwa Antykwarycznego* list Morgensterna i wręczył otwartą książkę Hancockowi. Kapitan usiadł z nią w fotelu, zapalił fajkę i zaczął czytać. W ciągu następnych kilku minut Sarah dziobała dalej widelcem jedzenie, a Fairfax, któremu tym razem nie dopisywał apetyt, gapił się przez okno na giełdę zbożową. Od czasu do czasu jej drzwi się otwierały i wychodzili przez nie zamożni obywatele Axford, pojedynczo lub parami, zawsze jednak szybkim krokiem i ze spuszczonej głowami, nie chcąc, by ktokolwiek był świadkiem ich hańby.

– To jest z pewnością kluczowe zdanie.

Fairfax spojrzał na Hancocka. Kapitan z książką w rękach pochylał się do przodu, opierając łokcie na kolanach. Fajka mu zgasała i odłożył ją na gzyms kominka.

– *Naszym zamiarem nie jest proponowanie środków zaradczych, mających na celu uniknięcie tych potencjalnych katastrof... ale zaplanowanie strategii na dni, miesiące i lata, które nastąpią po takiej klęsce, strategii, która doprowadziłaby do jak najszybszego przywrócenia cywilizacji technicznej.* – Podniósł wzrok. Miał nienaturalnie rozszerzone i błyszczące źrenice. – Przypuśćmy, że jakiś człowiek widzi zbliżającą się straszną katastrofę. Co wtedy robi? Co zrobiłby każdy z nas? Powiem wam, co ja bym zrobił. Zgromadziłbym zapasy wszystkiego, co jest konieczne do przetrwania, zabarykadowałbym drzwi i okna i próbował jakoś przeżyć. I to właśnie zrobił ten Morgenstern. Jestem tego pewien.

Fairfax pokiwał głową. Po wykładzie Shadwella on też zaczynał widzieć to wszystko bardziej wyraźnie, niczym pejzaż wyłaniający się z porannej mgły. Przypomniał sobie werset z Pierwszej Księgi Mojżeszowej.

– *I rzekł Bóg do Noego – wyrecytował go na głos. – Koniec wszelkiego ciała przyszedł przed oblicze moje, bo napelniona jest ziemia nieprawością od oblicza ich; przetoż je wytracę z ziemi. Uczyń sobie korab...*²¹

– Otóż to, korab, arka... dobrze powiedziane... ale nie załadował na nią zwierząt i nie unosiła się na wodzie. Zbudował ją gdzieś w okolicy Czarciego Tronu... zbudował razem z przyjaciółmi i nie zdziwiłbym się, gdyby zakopał ją w ziemi, żeby nikt inny nie zdołał jej znaleźć. – Hancock odchylił się na krzesło i wbił wzrok w sufit. – Tak, dam sobie uciąć głowę, że tak właśnie bym postąpił. Pomyślcie, co tam może być schowane! I czy nie odkryjemy tam między innymi sekretu elektryczności. Nie tylko w formie głupich salonowych gier, ale też w postaci, w jakiej oni z niej korzystali, w postaci, która pozwoli nam na jej ciągle wytwarzanie na dużą skalę, na jej magazynowanie i przesyłanie. *Jak najszybsze przywrócenie cywilizacji technicznej...* Świat może zacząć wszystko od nowa! Czego ja bym nie dał, żeby to się ziściło! – Nagle pochylił się do przodu i zerwał z fotela. – Musimy porozmawiać z Shadwellem.

– Myślisz, że to nam się uda? – spytała Sarah. – Mimo że zamknęli go w areszcie?

– Tym lepiej. To oznacza, że wiemy, gdzie jest. – Hancock zdjął z kołka palto, położył je na podłodze przed komodą, ukląkł na nim i wyciągnął pęk kluczy. – Nie widziałem jeszcze aresztu, którego nie dałoby się sforsować przy użyciu odpowiednich narzędzi – mruknął.

Otworzył kluczem drzwiczki komody, wyciągnął z niej dużą żelazną kasetę, poszukał kolejnego klucza, by ją otworzyć, po czym zaczął wpychać jej zawartość – banknoty, чеки bankowe, garście złotych i srebrnych monet – do kieszeni palta. Po chwili wsunął z powrotem kasetę do komody, z jakichś innych zakamarków mebla wyjął pistolet i zatknął go sobie za pas. Następnie wstał, włożył palto i zapiął je aż pod szyję. Obładowany dziennymi zyskami, bardziej niż kiedykolwiek przypominał występującego na jarmarkach osiłka.

– No i co? Wchodźcie w to czy nie? – zapytał, otwierając drzwi.

Fairfax i Sarah Durston wymienili między sobą spojrzenia. Młody ksiądz miał złe przeczucia. Związaaliśmy się z siłą natury, przez którą zginiemy, pomyślał. Mimo to nie odezwał się ani słowem, kiedy w ślad za kapitanem szli na dół po schodach, mijali bar i wychodzili na rynek.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

Zawarcie znajomości z doktorem Shadwellem

Targowisko przed budynkiem sądu już się zwijało, większość straganów załadowano na wozy i wywieziono. Z bocznych uliczek wychynęli odziani w łachmany biedacy i walcząc z wronami i bezpańskimi psami o odpadki, szukali czegokolwiek, czym mogliby zaspokoić głód – zepsutego mięsa albo owoców czy warzyw, które zaczynały już gnić i nie warto było ich zabierać. Zebranie było zabronione z mocy prawa, lecz nawet obawa przed biczowaniem lub spędzeniem całego dnia w dybach nie odstraszyła kilku śmiałków od naprzykrzania się Hancockowi, Fairfaxowi i Sarah, kiedy przy wejściu do sądu uwiązywali konie do poręczy. Fairfax nie miał już drobnych, ale ze zdziwieniem ujrzał, że Hancock sięga do kieszeni po kilka monet i je rozdaje.

– Wiem, jak to jest, gdy się cierpi biedę – wyjaśnił szorstko kapitan, widząc, że ksiądz mu się przygląda.

Sala rozpraw była pusta, jeśli nie liczyć mężczyzny siedzącego w pierwszej ławce, tuż przed sędziowskim stołem. Kiedy weszli, obejrzał się i wbił w nich wzrok.

– To pan Quyce – szepnął Fairfax. – Sekretarz Shadwella.

– Tak się nazywa? – mruknął Hancock. – Jego też chyba widziałem na pogrzebie Lacy’ego. Panie Quyce, być może pamięta nas pan z dzisiejszego popołudnia?! – zawołał.

Sekretarz Shadwella zerwał się na nogi.

– W rzeczy samej, proszę pana. Był pan na widowni, podobnie jak ta dama i ksiądz, którzy byli tak dobrzy i zgodzili się wziąć udział w pokazie. To tragedia, że nasz nieszkodliwy wykład zakończył się w tak fatalny sposób. – Cichy, afektowany głos Quyce’a dziwnie kontrastował z jego masywną posturą.

– Wstydzę się, że coś takiego zdarzyło się w naszym mieście. Dlatego właśnie tu jesteśmy, mój panie... żeby pomóc doktorowi Shadwellowi. Jestem kapitan John Hancock. A to jest proboszcz, pan Fairfax, oraz lady Durston, która wkrótce zostanie moją żoną.

– Bardzo jestem rad, kapitanie, widząc was wszystkich, bo przysięgam, że w tym momencie doktor Shadwell nie ma prócz nas żadnej bliskiej mu osoby na tym świecie. – Quyce wymienił uścisk dłoni z mężczyznami i pocałował w rękę lady Durston. – To dla mnie zaszczyt, jaśnie pani. Obawiam się, że znaleźliśmy się w fatalnej sytuacji. Doktor Shadwell już wcześniej szwankował na zdrowiu i jestem całkowicie pewien, że nie przeżyje tygodnia w więzieniu.

– Gdzie jest teraz?

– W celi w piwnicy. Czeka na przewiezienie do Exeter, kiedy tylko znajdzie się sędzia, który postawi go w stan oskarżenia.

– Możemy z nim porozmawiać?

– Nie, wszelkie odwiedziny są zabronione.

– Ale chyba nie odwiedziny duchownego? – odezwał się Fairfax. – Nigdy nie słyszałem o więźniu, któremu odmówiono by widzenia z księdzem. Duchowa pociecha przysługuje wszystkim z mocy prawa.

– To prawda, lecz z całym szacunkiem dla księdza jegomości, wątpię, by pan Shadwell zgodził się na pańską wizytę. Kościół jest źródłem wszystkich jego nieszczęść.

– Nie zamierzamy mu prawić kazań, ale zaproponować pomoc – powiedział Hancock.

– Jakiego rodzaju?

– Jestem gotów wpłacić za niego kaucję.

Zaskoczony Quycke odchylił lekko głowę.

– Zrobiłby pan to dla kogoś obcego?

– Chyba słyszał pan, co powiedziałem?

– To szlachetny gest... bardzo szlachetny gest z pańskiej strony. Ale na pewno zrobi pan to pod jakimś warunkiem. Zawsze jest jakiś warunek.

– Tylko jeden. Chcemy, żeby zdradził nam wszystko, co wie o pewnej sprawie.

– A cóż to za sprawa?

– Dotyczy dawno zmarłego mężczyzny o nazwisku Morgenstern.

Efekt był natychmiastowy. Quycke rozejrzał się z niepokojem na boki.

– Choć jego sytuacja jest zaiste tragiczna, pan Shadwell, słysząc nazwisko tego dżentelmena, na pewno odrzuci pańską ofertę.

– A to dlaczego?

– Skoro wiecie o Morgensternie, powinniście również wiedzieć dlaczego.

– Czyż fakt, że wiemy o Morgensternie, nie świadczy o szczerości naszych intencji?

– Wprost przeciwnie. Mówiąc bez ogródek, kapitanie: jaki mam dowód, że nie szpiegujecie dla rządu? Albo dla biskupa? – dodał Quycke, wskazując Fairfaxa. – Wybaczcie, ale życie nauczyło nas nieufności.

W tym momencie rozległ się za nimi jakiś hałas. Na salę rozpraw weszli trzej zakapturzeni mężczyźni, niczym się niewyróżniający, ale dziwnie do siebie podobni. Usiedli na ławce na samym końcu i nie odzywając się, zdjęli z głów kaptury. Quycke postukał się palcami po wargach i uniósł brwi, jakby wejście mężczyzn potwierdzało jego najgorsze obawy.

– Skoro tak się boicie szpiegów, po co w ogóle urządzaliście ten pokaz i ogłaszaliście to w miejscowej ulotce? – zapytał cicho Fairfax.

– Powodem była ta sama co zwykle przykra przypadłość trapiąca uczonego – odparł ze smutkiem Quycke. – Ubóstwo. Jesteśmy winni trzydzieści funtów właścicielowi gospody Pod Łabędziem. Nie wyda nam naszego wozu, dopóki mu nie zapłacimy. Wykłady to nasze

jedyne źródło utrzymania. Co jakiś czas musimy zaryzykować, w przeciwnym razie umrzemy z głodu. Dając wykładowi tytuł „Herezja antycznego świata”, doktor Shadwell zabezpiecza się przed niesprawiedliwymi zarzutami, i na ogół to działa.

Hancock rozpiął palto i pokazał mu kilka banknotów, które wyjął z wewnętrznej kieszeni.

– Jeśli nam pomożecie, przez jakiś czas nie będziecie chodzili głodni – powiedział.

Quycke wbił wzrok w pieniądze i oblizal się po mięsistych wargach.

– Mogę zobaczyć? – zapytał, po czym wziął dwa banknoty i podniósł je do światła. Papierowe pieniądze weszły do obiegu zaledwie kilka lat wcześniej; fałszerstwa były na porządku dziennym. Usatysfakcjonowany Quaycke oddał banknoty Hancockowi. – Cóż, to nadaje tej sprawie całkiem praktyczny wymiar i prawdę mówiąc, jesteśmy w sytuacji, w której nie bardzo możemy wzgardzić tak wspaniałomyślną ofertą. Proszę ze mną, ojcie. Przekażę waszą propozycję panu Shadwellowi i przekonamy się, co nam odpowie. Choć powinienem was uprzedzić, że szanse są niewielkie.

Sarah dała księdzu swoją sakwę.

– Proszę mu to pokazać. Być może to go przekona.

Kiedy Quaycke ruszył w stronę drzwi znajdujących się za sędziowskim stołem, Hancock złapał Fairfaxa za ramię.

– Niech się ksiądz upewni, czy jego obietnica jest szczerą. Nie będę wydawał na darmo swoich pieniędzy. I proszę go uprzedzić, że jeśli spróbuje złamać słowo, osobiście odwiozę go do aresztu.

Fairfax wyrwał mu się – ten człowiek był naprawdę niemożliwy – i pospieszył w ślad za Quaykiem. Ten zapukał do drzwi i po dłuższej chwili ktoś z drugiej strony przekręcił klucz w zamku i je otworzył. W półmroku dostrzegli starszego szeryfa.

– Pan Shadwell pragnie skorzystać ze swojego prawa do wspólnej modlitwy z księdzem – powiedział Quaycke.

Szeryf zmierzył ich podejrzliwym spojrzeniem.

– Jest do tego uprawniony – poinformował go Fairfax. – Heretykowi trzeba dać możliwość okazania skruchy. Tak mówi prawo. Przybyłem do tego okręgu w specjalnej misji zlecanej mi przez biskupa Pole’a – dodał, widząc, że szeryf nadal się waha.

– Cóż, jeśli przysyła księdza sam biskup, nie mam chyba wyjścia. Ale wejdzie tam tylko ksiądz. – Szeryf podniósł rękę i zatrzymał Quaycke’a. – Pan musi tu poczekać.

Mimo protestów sekretarza zamknął mu drzwi przed nosem, przekręcił klucz w zamku i wyjął z uchwytu pochodnię. W dół prowadziły pogrążone w ciemności schody.

– Niech ksiądz uważa! Zejście tutaj jest strome jak droga do piekła.

Szeryf schodził pierwszy, trzymając nisko pochodnię, żeby Fairfax widział, gdzie ma stawiać stopy. Trudno było trzymać sakwę z jej kruchą zawartością, uważając jednocześnie, by nie nabić sobie guza o niski sufit. W pewnym momencie musiał oprzeć się o ścianę, żeby nie upaść, i poczuł pod dłonią wilgoć. Skądś niżej dobiegał uporczywy

kaszel. W końcu dotarli na dół. Przy końcu krótkiego korytarza były potężne drzwi z małym zakratowanym okienkiem. Obok stał taboret, w ściennym uchwycie paliła się pochodnia. W wilgotnym powietrzu płomień co chwila przygasał.

Szeryf zerknął przez okienko na lokatora celi.

– Stary? Masz gościa. – Otworzył kluczem drzwi. – Niech ksiądz wejdzie. Życzę powodzenia. Kiedy już zbawi ksiądz jego duszę, będę czekał za drzwiami. Co jest w tej torbie?

– Rzeczy, których potrzebuję, by udzielić mu komunii. – Fairfax wszedł do środka. W mroku z trudem dostrzegał Shadwella siedzącego na słomie w aksamitnym surducie i czapce. Uczony miał skute z przodu ręce i prawą nogę w obręczy przytwierdzonej łańcuchem do kółka w ścianie. – Nie można go rozkuć? – zapytał ksiądz.

– To wbrew przepisom, ojciec. Ale nie będzie tu długo siedział... sędzia jest już w drodze.

– Czy możemy mieć przynajmniej jakieś światło?

– To akurat mogę zapewnić. – Szeryf wsadził pochodnię w uchwyt i wyszedł, zamykając za sobą drzwi na klucz.

W celi nie było nic poza więźniem i nocnikiem. Shadwell opierał się plecami o ścianę, rękami obejmował kolana. Przez chwilę przyglądał się Fairfaxowi przez swoje zabarwione na niebiesko okulary, a potem odwrócił głowę. Chwilę później dostał kolejnego ataku kaszlu i wyciągnąwszy z rękawa poplamioną na czerwono chustkę, wypluł w nią krew.

Fairfax odczekał, aż minie atak.

– Doktorze Shadwell, nazywam się Christopher Fairfax i naprawdę bardzo mi przykro, że oglądam pana w takim stanie.

Shadwell przyjrzał się swojej chustce.

– Naprawdę? Cóż, to właśnie pański Kościół doprowadził mnie do takiego... do takiego stanu – odparł i znów zaniósł się kaszlem, o wiele gwałtowniejszym niż wcześniej, wprawiającym całe jego ciało w prawdziwe konwulsje. Kiedy atak minął, oparł się z powrotem o ścianę, zdjął okulary i wytarł oczy. – Ponieważ to Kościół mnie prześladowa, przykładam niewielką wagę do pańskiego współczucia – powiedział rżącym głosem, gdy tylko był w stanie znów się odezwać.

– Rozumiem, ale przyszedłem tutaj, by zaproponować coś więcej niż współczucie. Miejscowy zamożny obywatel, kapitan John Hancock, jest gotów wpłacić za pana kaucję.

– Straci tylko czas. Oskarżonych o herezję nigdy nie wypuszczają za kaucję.

– Ten człowiek ma wiele do powiedzenia w tym mieście.

– Więcej niż biskup Pole? Bardzo w to wątpię!

– Tak czy inaczej, chce spróbować.

– Dlaczego miałby to robić?

– Bo podobnie jak my wszyscy wierzy w znaczenie pańskiej pracy. Nie dalej jak wczoraj czytałem *Antiquis Anglia*.

Shadwell po raz pierwszy okazał jakieś zainteresowanie.

– Dziwię się, że istnieje jeszcze jakiś egzemplarz tej pracy – powiedział, przyglądając się bacznie księdzu.

– Otóż istnieje. A dzisiaj rano wybrałem się na wzgórze, by obejrzeć Czarci Tron.

– Z tego, co pamiętam, jest tam pewna dziwna konstrukcja... Zobaczył pan coś interesującego? – zapytał po chwili Shadwell, nie mogąc najwyraźniej opanować ciekawości.

– Ludzkie kości, odsłonięte przez ostatnie deszcze.

– Rozrzucone po całym terenie czy zebrane w jednym miejscu?

– W jednym miejscu.

– To ciekawe. – Shadwell w zadumie wpatrywał się w jakiś punkt. Słoma po drugiej stronie celi zaszeleściła i duży brązowy szczur z ogonem tak długim jak przedramię Fairfaxa przebiegł wzdłuż ściany i zniknął w jakiejś dziurze. Ten widok przypomniał chyba więźniowi o jego położeniu. – Cóż, proszę podziękować w moim imieniu kapitanowi Hancockowi i przekazać mu, że nie mam teraz czasu na tego rodzaju błahostki. Dzieło starego Shadwella dobiegło końca podobnie jak sam stary Shadwell.

Fairfax zerknął przez ramię na drzwi celi.

– Sądzimy, że w ziemi może tam być ukryte coś bardzo cennego – powiedział, ścisząc głos. – Pozwoli pan? – Podszedł do starego i ukląkł przed nim na słomie, odwrócony plecami do drzwi. Jak drobnej postury jest ten stary uczonec, pomyślał, jak bardzo kruchy z tymi swoimi lśniąco podejrzliwie ciemnymi oczami, niczym osaczony ranny ptak, pozostający na czyjejś łasce. Kajdany wisiły luźno na jego nadgarstkach i prawej nodze. – Uważam też, że śmierć ojca Lacy’ego nie była dziełem przypadku... jak słusznie zauważył pan podczas pogrzebu... lecz spotkała go, bo ktoś chciał położyć kres jego poszukiwaniom. – Fairfax rozpiął paski sakwy i wyjął z niej szklany cylinder. – Znalaziono to w tym samym miejscu kilka lat temu – oznajmił, odwijając szal.

Po chwili wahania Shadwell założył z powrotem za uszy stalowe druty okularów. Wziął ostrożnie cylinder w skute kajdanami, podobne do szponów dłonie i wydał z siebie długie, pełne podziwu westchnienie. Wydobywający się z jego piersi dziwny charkot zapowiadał kolejny atak kaszlu.

– Och, mój panie, cóż to za wspaniały obiekt! – Poglądził szkło kościstymi palcami. – Jaka cudowna precyzja! O jak wielkim geniuszu świadczy! Czy jest tego więcej? Moim zdaniem powinno być znacznie więcej.

– Owszem, jest więcej takich przedmiotów... kilka tuzinów, w rękach prywatnego kolekcjonera. Skąd pan wie, że powinno być ich więcej? Co to właściwie jest?

Shadwell nadal wpatrywał się jak urzeczony w cylinder.

– Jeśli o tym właśnie pisał mi Lacy, należały one według mnie do czegoś, co starożytni nazywali „laboratorium”... to kolejne z zapomnianych przez nas słów, od łacińskiego *laborare*, pracować... Te przedmioty zostały przywiezione z Londynu, ze starożytnej skarbnicy wiedzy o nazwie Imperial College.

– Czas się skończył, ojcze! – zawołał strażnik, łomocząc w drzwi.

– Jeszcze tylko chwila, jeśli można! – odkrzyknął Fairfax, usiłując odebrać cylinder Shadwellowi. – Proszę, muszę to schować, zanim wejdzie strażnik.

Ale stary uczoney nie chciał puścić szklanego przedmiotu.

– Szukałem tego prawie przez dwadzieścia lat. Dziwne, że widzę to dopiero teraz... w tak ponurych, można rzec, strasznych okolicznościach. – W końcu oddał niechętnie cylinder Fairfaxowi i patrzył, jak ten zawija go w szal i chowa do sakwy. – Jakie pan proponuje działania?

– W tym momencie jeszcze nie wiem. Chyba dokładne przeszukanie całego terenu. Dlatego potrzebujemy pańskiej pomocy. Kiedy napisał do pana ojciec Lacy?

– Mniej więcej przed dwoma tygodniami. Tego samego dnia, kiedy odkrył te szklane przedmioty. Wyruszyliśmy z Wilton zaraz po przeczytaniu jego listu. Ale po przybyciu do Axford dotarła do nas wiadomość o śmierci Lacy'ego.

– I uważa pan, że ten szklany przedmiot pochodzi z Imperial College... tego samego miejsca, w którym Morgenstern napisał swój list?

Shadwell posłał mu zdumione spojrzenie.

– Skąd pan wie o Morgensternie?

– Przed śmiercią ojciec Lacy zostawił na nocnej szafce jeden z tomów z protokołami Towarzystwa Antykwarycznego.

– Mój Boże, w takim razie jeszcze bardziej panu zazdroszczę! Byłem przekonany, że wszystkie egzemplarze zostały wytropione i spalone. Zabrali mi moją bibliotekę, którą cenilem bardziej od własnego życia, i spalili wszystkie książki na rynku w Exeter.

– Pamiętam to. Byłem tam jako chłopiec. Najwyraźniej jednak nie wszystko zostało spalone, bo na plebanii w Addicott jest komplet protokołów towarzystwa, a także wiele innych tomów.

– To najlepsza wiadomość, jaką usłyszałem od wielu lat. – Shadwell złapał nagle Fairfaxa za nadgarstek i z zaskakującą siłą zacisnął na nim szponiaste palce. – Niech pan mi je da.

– Co takiego?

– Jeśli stąd wyjdę, niech pan mi je da, a ja w zamian za to wam pomogę. Taka jest moja oferta. Po śmierci Lacy'ego nikomu i tak już się nie przydadzą... zresztą nikt nie ośmieli się ich zatrzymać.

– Nie mogę panu ich dać, bo nie są moje.

– A cóż pan z nimi w takim razie zrobi? Odda biskupowi Pole'owi, żeby je spalił? Czy ojciec Lacy chciałby tego?

Fairfax skończył zapinać paski sakwy. Szeryf ponownie załomotał w drzwi.

– Ojcze?

W zakratowanym okienku pojawiła się jego twarz, obracająca się niczym blade wahadło, gdy próbował dojrzeć, co więźni i ksiądz robią w drugim końcu celi.

– Módlmy się – powiedział Fairfax. Shadwell spojrział na niego z odrazą. – Módlmy się – powtórzył ksiądz. – Już! – Stary opuścił po chwili głowę i Fairfax położył na niej dłoń. Pod aksamitną czapką wyczuwał wąską czaszkę. – O Panie – zaczął głośno – usłysz łaskawie, błagamy Cię, nasze modły i oszczędź wszystkich, którzy wyznają Ci swoje grzechy, aby mogli zostać dzięki Twojej łasce rozgrzeszeni. Dam ci książki – rzucił szeptem, po czym dodał głośno: – Przez Chrystusa Pana Naszego, amen.

– Amen – wymruczał Shadwell. – I powiedz swojemu przyjacielowi, że jestem do jego dyspozycji.

* * *

Dopiero po wyjściu z celi, wspinając się za szeryfem po schodach, Fairfax zdał sobie sprawę z ogromu grzechu, jaki przed chwilą popełnił.

Wystarczająco naganne było okłamywanie biskupa; jeszcze bardziej niegodziwe – sprzeciwianie się nauce Kościoła. Ale naruszenie świętości modlitwy pokutnej? Recytowanie jej bez myśli o Bogu, po to tylko, by przekazać szeptem heretykowi nielegalną propozycję? To była śmiertelna zbrodnia przeciwko wierze – co więcej, popełnił ją bez żadnych skrupułów, bez chwili wahania.

Świadomość tego, jak radykalnie zerwał ze swoim poprzednim życiem, sprawiła, że zrobiło mu się słabo. Dotarłszy na parter, musiał oprzeć się o ścianę. Kimże się stałem? Gdyby nie obecność strażnika, otwierającego drzwi na salę sądową, przykucnąłby na piętach i schował głowę w dłoniach. Powinienem gnić tam w lochu razem z Shadwellem, razem z truposzami, razem z truposzami...

Szeryf otworzył w końcu drzwi na oścież i powiedział coś, co umknęło Fairfaxowi. Wchodząc na salę, usłyszał stłumiony gwar i zdał sobie sprawę, że zmieniła się w niej atmosfera, pojawiły się nowe twarze. Sarah Durston i kapitan Hancock siedzieli tam, gdzie ich zostawił, ale puste ławki za nimi zdążyły się zapełnić. Publiczność była mniej wyrafinowana od tej, która brała udział w wykładzie. Po Axford musiały się rozejść wieści, że w budynku jest heretyk. Wyczuwało się nastrój oczekiwania. Najpierw egzekucja, a teraz to! Czekali, aż pojawi się oskarżony i zacznie się przedstawienie. Zamiast tego zobaczyli służbę Bożego – tak im się w każdym razie zdawało – i rozległ się jęk zawodu. Jakież ze mnie zakłamanym człowiekiem, pomyślał Fairfax.

Podszedł do pierwszej ławki i usiadł przy Sarah Durston.

– I jaka jest jego odpowiedź? – zapytał, nachylając się do niego, Hancock.

– Och, zgodził się. Naturalnie, że się zgodził. – W głosie księdza słychać było wzburzenie.

Sarah spojrziała na niego z troską.

– Dobrze się pan czuje, panie Fairfax? – zapytała.

Nie był w stanie jej odpowiedzieć.

– Gdzie się podział Quycke? – zapytał.

– Poszedł zapłacić rachunek w gospodzie Pod Łabędziem, żeby oddali mu wóz i mógł podjechać od razu pod budynek sądu – odparł Hancock. – Musimy zabrać stąd Shadwella, nim ktokolwiek zdoła go zatrzymać.

– Powiedział, że przy oskarżeniach o herezję nigdy jeszcze nie zwolnili kogoś za kaucją.

– To się jeszcze zobaczy. Powiedziano mi, że sprawę będzie rozpatrywał sir William Trickett. Ma tysiąc sztuk owiec w Yarnton i kupuję od niego prawie całą wełnę. Wierzę, że jeśli tylko będzie mógł, odda mi przysługę.

Fairfax spojrział prosto przed siebie. Nad sędziowskim stołem wisiał portret króla w oliwkowozielonym mundurze ze złotymi galonami i rzędem medali, z prostą koroną na głowie; mina władcy była jednocześnie dobrotliwa i surowa. W jego świętej osobie łączyły się powaga państwa i Kościoła – chwała Starej Anglii odrodzonej po chaosie Apokalipsy wraz z całym dawnym wymiarem sprawiedliwości. Pod obrazem była tablica z dewizą prawa zwyczajowego: *Życie za życie, oko za oko, ząb za ząb, ręka za rękę, noga za nogę, rana za ranę, chłosta za chłostę.*

Kościół miał swoje własne trybunały inkwizycji, które sądziły zbrodnie przeciwko religii. Temu właśnie miało służyć to posiedzenie: przekazaniu Shadwella spod władzy szeryfów pod jurysdykcję biskupa. Niech przewiozą go od razu dziś do Exeter, modlił się Fairfax. Niech nie zwalnają go za kaucją i niech cała ta sprawa skończy się tu i teraz. A potem pomyślał o zakutym w kajdany biedaku i zawstydził się własnego tchórzostwa.

Drzwi za sędziowskim stołem w końcu się otworzyły i wyszedł przez nie najpierw woźny sądowy, a potem niezwykle opasły rumiany mężczyzna w czarnej todze i wysokim nakryciu głowy – najprawdopodobniej sędzia Trickett. Wszyscy wstali. Trickett rozsiadł się na krześle z wysokim oparciem. Robił wrażenie zniecierpliwionego i poirytowanego – dokładnie jak ktoś, kogo oderwano nieoczekiwanie od piątkowego obiadu z powodów, których ani nie rozumiał, ani nie uznawał za ważne. Ludzie zajęli z powrotem swoje miejsca.

– Wprowadzić więźnia – zarządził woźny.

Kaszal słyhać było na długo, zanim Shadwell się pojawił. Zdjęto mu kajdany, ale prowadząc go w stronę ławy oskarżonych, szeryf trzymał rękę na jego ramieniu. Stary uczony rozejrzał się dokoła. Był tak niski, że drewniana barierka sięgała mu do piersi.

– Oskarżony ma odsłonić głowę w obecności sędziego – rozkazał woźny i po krótkim wahaniu Shadwell zdjął czapkę i spokojnie ją złożył.

Przez salę przeszedł jęk zachwytu i zgrozy. Uczony miał pośrodku czoła znamię heretyka – literę H, którą wypalono i posypano ciemnym proszkiem, by blizna pozostała wyraźna do końca życia. Fairfax słyszał o tego rodzaju karze, lecz pierwszy raz zobaczył na własne oczy, jak wygląda to znamię. Chciał odwrócić głowę, ale nie był w stanie oderwać od niego wzroku.

– Imię i nazwisko? – zapytał woźny.

- Nicholas Shadwell.
- Adres zamieszkania?
- Wioska Wilton w Wiltshire.

Trickett przyjrzał się z odrazą Shadwellowi, jakby nałożono mu coś wstrętnego na talerz.

– O co jest oskarżony? – zapytał. Nawet jego głos, schrypnięty i zasapany, wydawał się opasły.

– O herezję, sir Williamie – odparł, wstając, starszy nad szeryfami. – Dziś po południu więzień zorganizował publiczne zgromadzenie, na którym w oczywisty sposób podzegał do buntu.

– To nieprawda, proszę sądu – zaprotestował Shadwell. – Było wprost przeciwnie. Mój wykład miał ostrzegać przed złem herezji... – Dalszą część wypowiedzi przerwał mu, niestety, atak kaszlu i musiał pochylić się, by poszukać chusteczki.

– Zakładam, że nie jest waszą intencją osądzenie go przez ten trybunał? – zapytał Trickett, zwracając się do szeryfa.

– Nie, sir Williamie. – Starszy nad szeryfami był młodym brodatym zelotą, który przypominał Fairfaxowi jego fanatycznych kolegów z seminarium. – Prosimy sąd, by przetrzymał go w areszcie w Axford aż do poniedziałku. W tym czasie poczyni się przygotowania, by przewieźć go do Exeter, gdzie stanie przed sądem biskupim.

– Ma pan coś do powiedzenia, panie Shadwell?

– Owszem, proszę sądu. Jestem gotów podjąć się sam swojej obrony, tak jak to czyniłem już wiele razy. Ale jak sąd widzi, szwankuje mi zdrowie – Shadwell podniósł zakrwawioną chusteczkę – i chciałbym prosić o zwolnienie za kaucją, bym mógł sam oddać się w ręce władz kościelnych, gdy się po mnie zgłoszą. W przeciwnym razie przed oblicze biskupa trafią tylko moje zwłoki.

– Czy posiada pan środki finansowe na opłacenie kaucji?

– Nie, proszę sądu. Spędziwszy całe życie w służbie nauki, jestem kompletnie pozbawiony środków. – Shadwell rozejrzał się po sali rozpraw. – Powiedziano mi jednak, że pewna osoba w tym mieście chce wpłacić kaucję w moim imieniu.

– Któż to taki?

– Ja, sir Williamie – powiedział, wstając, Hancock.

Przez salę przeszedł pomruk gniewnego zaskoczenia.

– Kapitan Hancock? – Trickett skrzyżował na piersi swoje krótkie, podobne do schabów ręce. – Stał się pan teraz przyjacielem heretyków?

– Nie, sir Williamie, ale jestem wrogiem okrutników i uważam, że takiego jak ten oto schorowanego biedaka, oskarżonego, lecz jeszcze nieuznanego za winnego, powinno się trzymać w lepszych warunkach niż te, które panują w więzieniu w Axford.

– A gdzie, na Boga, zamierza go pan zakwaterować?

– Pod moim własnym dachem, sir Williamie. W Przędzalni Wełny Addicott.

– Czy nie jest on dla pana kimś obcym?

– Owszem. Bóg mi świadkiem, że muszę z nim jeszcze zamienić kilka słów, ale byłem na jego wykładzie i nie usłyszałem tam nic, co ocierałoby się o herezję.

– No cóż, nigdy nie słyszałem o takiej szczodroblewości... zwłaszcza ze strony właściciela Przędzalni Wełny Addicott... Co pan na to, szeryfie?

– Absolutnie się sprzeciwiam, sir Williamie. Zwolnienie za kaucją nie przysługuje przy tak poważnych oskarżeniach. Z całym szacunkiem dla kapitana Hancocka, mamy zeznania świadków, którzy przysięgną, że rzeczywiście doszło do herezji i że wywoływano diabelskie duchy. Shadwell jest przebiegłym i wprawnym bluźniercą... proszę zwrócić uwagę na znamię na jego czole... i nie mam wątpliwości, że przy pierwszej sposobności zbiegnie, by nie stanąć przed sądem w Exeter.

– Stawiam tysiąc funtów, że tego nie zrobi – oświadczył Hancock.

Jego słowa powitano okrzykami zdumienia i gwizdami. Trickett wydawał się urażony.

– To jest sąd, kapitanie Hancock, a nie walka kogutów.

– Tak czy inaczej, tyle za niego daję.

– Przegra przez te swoje głupie przechwałki – szepnęła Sarah do Fairfaxesa.

– I może pan złożyć do depozytu sądowego taką sumę już dzisiaj? – zapytał z niedowierzaniem Trickett.

– Tak jest, sir Williamie. Czy mogę podejść?

Hancock wstał z ławki, zbliżył się do stołu sędziowskiego i zaczął opróżniać kieszenie. Wszyscy obecni na sali, łącznie z Shadwellem, wpatrywali się jak urzeczeni w rosnące sterty banknotów i monet. Skończywszy, Hancock przesunął je w stronę woźnego sądowego.

– Oto tysiąc funtów. Jeśli pan chce, można je przeliczyć, ale zapewniam, że to pełna suma – powiedział, po czym wrócił na miejsce, zostawiając na stole swoje pieniądze, jakby ta olbrzymia kwota, której zarobienie zajęłoby każdemu z jego tkaczy ponad dziesięć lat, nic dla niego nie znaczyła.

Trickett dał znak woźnemu, by do niego podszedł. Wezwał również starszego nad szeryfami. Rozprawiając ze sobą, co jakiś czas zerkali na Hancocka. W końcu Trickett odwrócił się do więźnia.

– Nicholasie Shadwell, jest pan oskarżony o najbardziej haniebną zbrodnię przeciwko Bogu i miłościwie nam panującemu królowi, zwierzchnikowi Kościoła Anglii. Dlatego zasądzamy, by został pan przekazany do Exeter, gdzie czeka pana proces. Niemniej jednak – dodał sędzia, krzywiąc się, jakby wypowiedzenie tych słów sprawiało mu fizyczny ból – ze względu na pańskie zdrowie, dobrze znany charakter kapitana Hancocka oraz fakt, że pragnie on wpłacić tak dużą sumę jako gwarancję pańskiego dobrego zachowania, jesteśmy skłonni zwolnić pana za kaucją... – ktoś na sali krzyknął „Nie!” – pod warunkiem że wróci pan tu przed godziną dwunastą w poniedziałek piętnastego kwietnia i odda się w ręce sądu. – Trickett musiał podnieść głos, by zagłuszyć coraz głośniejszy rejwach. – Do

tego czasu ma pan pozostawać pod dachem kapitana Hancocka z wyjątkiem niedzieli, kiedy to nakazuję panu wziąć udział w nabożeństwie naszej świętej chrześcijańskiej wiary, okazać stosowną skruchę i przyjąć Przenajświętszy Sakrament. Czy akceptuje pan te warunki?

– Tak jest, panie sędzio.

– A pan, kapitanie Hancock, niech pamięta, że jeśli Shadwell nie pojawi się tu w przyszłym tygodniu, nie tylko straci pan kaucję w wysokości tysiąca funtów, ale też może zostać oskarżony o pomoc w ucieczce osoby, za którą rozpisano list gończy. Jest pod pańską kuratelą.

– Rozumiem, sir Williamie.

– Proszę wstać, panie Shadwell. Na tym zamykam rozprawę i proszę... – Trickett musiał krzyknąć, żeby ktokolwiek go usłyszał – proszę o zachowanie porządku!

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Powrót do Czarciego Tronu

Było już za późno na apele o spokój. Obywatele Axford zobaczyli na czole oskarżonego znamię heretyka i to wystarczało im za cały proces. W powietrzu – niczym błękitne światło podczas pokazu Shadwella – iskrzyły złe emocje.

– Niech ojciec mi pomoże! – zawołał Hancock do Fairfaxa i kiedy uczony, wyraźnie zaskoczony biegiem wypadków, wyszedł zza barierki, złapał go za ramię z jednej, a ksiądz z drugiej strony.

Ale nawet ich połączone siły i autorytet nie zapobiegły napaściom na oskarżonego. Ludzie próbowali go przewrócić, wymierzali mu kuksańce, szydzili z niego i opluwali. Szeryfowie nie mieli zamiaru interweniować; sir William Trickett wyszedł już z sali rozpraw. Hancock złapał za kurtkę jednego z napastników – właściwie jeszcze chłopca, który prychał i pluł śliną niczym kot – i cisnął go na ławkę, jakby był szmacianą lalką. Inni napastnicy nieco się cofnęli i trzech mężczyźni zdołali się jakoś przecisnąć przez drzwi i wyjść na plac.

Zaprzężony w cztery muły, kryty brezentem wóz Shadwella czekał już dokładnie na wprost wejścia. Siedzący na koźle Quayce wyciągnął rękę, by pomóc się dostać uczonemu na górę; Hancock podsadził go od tyłu.

– Nie miałem jeszcze sposobności, by panu podziękować, panie... – zaczął stary, sadowiąc się na koźle.

– Niech pan jedzie prosto do miejskiej bramy, panie Quayce! – zawołał Hancock, nie dając skończyć Shadwellowi. – Dogonimy was po drodze. – Klepnął najbliższego muła po zadzie i wóz potoczył się rażno do przodu. Kiedy odjechał, Hancock wyciągnął zza pasa pistolet i odwrócił się, by stawić czoło kilkunastu mężczyznom, którzy wybiegli za nimi z sali rozpraw. – Macie zostawić ich w spokoju, zrozumiano?! – krzyknął, wymachując w ich stronę pistoletem. – W przeciwnym razie będziecie mieli do czynienia ze mną! Żaden z was już nigdy nie sprzeda mi ani krztyny wełny!

Chłopak, którego rzucił na ławkę, krwawił z rozciętego policzka.

– Powinieneś się wstydzić, Johnie Hancock, za to, że wyciągnąłeś z aresztu heretyka! – zawołał jego towarzysz, sądząc z wyglądu, starszy brat. – Na Boga, wcale się ciebie nie boję! – wrzasnął, przepychając się do przodu.

Hancock odbezpieczył pistolet, wziął go na muszkę i nagle cała gromada poruszyła się i zafalowała niczym strome zbocza nad Axford. Lada chwila mogli się na nich rzucić.

– Tak, on jest grzesznikiem! – zawołał Fairfax, odnajdując w sobie niespodziewanie głos i stając między Hancockiem i napastnikami. – Ja też jestem grzesznikiem. – Rozpostarł szeroko ramiona. – W oczach Boga wszyscy jesteśmy grzesznikami. Zapamiętajcie słowa Chrystusa: *Kto z was jest bez grzechu, niech pierwszy kamieniem rzuci*²². Każdy, kto ośmieli się podnieść rękę na Shadwella lub kogokolwiek innego, odpowie przed Wszechmogącym. Chcecie poddać się pod Jego osąd? – Nikt się nie poruszył. – W takim razie wracajcie do domów – powiedział, z całą surowością, na jaką było go stać – i módlcie się o wybaczenie.

Przez chwilę zdawało się, że ludzie go zdeptają. Ale choć byli wściekli, nie odważyli się podnieść ręki na księdza. Powstrzymywał ich rozpostartymi rękami, jakby miał w sobie niewidzialną siłę.

Hancock zatknął pistolet za pas, odwiązał klacz Sarah i przytrzymał jej wodze, a lady Durston przytroczyła sakwę do siodła. Kiedy tylko dosiadła wierzchowca, odwiązał swojego. Fairfax omiół ostatnim spojrzeniem tłum, po czym zaryzykował i odwrócił się do niego plecami. Chwilę trwało, nim odwiązał i dosiadł May – w każdym momencie spodziewając się napaści – a potem pogalopował w ślad za pozostałymi, przez bramę i zwodzony most. Po raz kolejny zdał sobie sprawę, że wykorzystał Słowo Boże, by pomóc heretykowi.

Mijając mury więzienia, podniósł wzrok. W swojej żelaznej klatce wisiał tam teraz czwarty trup – grabieżcy grobów Jacka Porlocka. Jego białe nagie ciało osłaniała wirująca opończa czarnych wron.

* * *

Wóz Shadwella mijał akurat najdalszy skraj miejskich błoni, kiedy go dogonili. Był to niezgrabny ciężki pojazd z rozpiętym na metalowych obręczach brezentowym białym dachem, przytroczonymi z tyłu beczułkami z wodą i skrzyniami na narzędzia oraz dyndającymi po bokach garnkami, patelniami, wiadrami i szpadlami, które szczękały za każdym razem, gdy któreś z kół najechało na kamień lub wybój.

Fairfax ściągnął wodze, stanął w siodle i obejrzał się w stronę miasta. Hancock zrobił to samo. Najwyraźniej nikt ich nie ścigał. Ruch odbywał się raczej w przeciwną stronę: ludzie wracali do Axford, by zdążyć przed zmierzchem. Uznawszy, że na razie są bezpieczni, Hancock siadł z powrotem w siodle, spiął swoją kasztankę i podjechał do wozu, żeby porozmawiać z siedzącym na koźle Shadwellem.

Sarah zwolniła, by zrównać się z Fairfaxem.

– Dzielnie pan tam przemawiał – pochwaliła go.

– Pozwoliło nam to jakoś przetrwać trudny moment, ale wątpię, by ta sama sztuczka udała się dwa razy. – Ksiądz wyteżał wzrok i próbował dosłyszeć, co mówił Hancock. Brezentowy dach wozu zasłaniał mu Shadwella. – Ciekawe, jaki jeszcze wariacki plan przyjdzie mu do głowy – mruknął, wskazując kapitana.

– Kto to może wiedzieć z Johnem? Ostrzegalam pana, co się wydarzy, jeśli się z nim sprzymierzimy.

– Owszem. To moja wina. Sami zastawiliśmy na siebie pułapkę. Gdybym opuszczając trzy dni temu Axford, wiedział, co los trzyma dla mnie w zanadrzu, nigdy nie wyruszyłbym w tę podróż.

– A ja cieszę się, że pan to zrobił.

– Tak, ale pani nic nie grozi bez względu na to, co się wydarzy. Ma pani zamożnego narzeczonego, który panią ochroni. Skoro Hancock ma takie wpływy, że potrafi wyciągnąć z więzienia heretyka, jestem pewien, że jemu też nic nie zagraża. Ale czy nie widzi pani, że ja kompletnie się zatraciłem? Wyrzekłem się swojej przeszłości i zniszczyłem przyszłość, utraciłem Boga i Kościół... I dlaczego? By zaspokoić bezbożną ciekawość!

Sarah przez dłuższą chwilę milczała.

– Cóż, jedno muszę przyznać kapitanowi – odezwała się w końcu. – Przynajmniej nie brakuje mu odwagi! – Spięła konia, minęła wóz Shadwella i zwolniła dopiero, gdy od reszty dzieliło ją sto jardów.

Niech ją diabli, pomyślał Fairfax, ale żałował swojego ostrego tonu i musiał się powstrzymywać, by za nią nie pojechać i nie przeprosić.

Po jakimś czasie Hancock zakończył swoją rozmowę z Shadwellem i ściągnął wodze, by młody ksiądz mógł się z nim zrównać.

– Stary mówił mi, że odwiedził pan dzisiaj Czarci Tron i znalazł tam ludzkie kości – powiedział.

– Byłem tam. I co z tego?

– Nie zauważył pan koloru nieba?

– Koloru nieba? – Fairfax był zbyt zaabsorbowany, by zwracać na to uwagę. Ale teraz zobaczył, że niebo jest takie samo jak w dniu, kiedy po raz pierwszy jechał z Axford do doliny – zupełnie ołowiane, bez jednego promienia słońca, i że otacza ich taka sama złowieszcza cisza.

– Zaraz zacznie się kolejna burza – oznajmił Hancock. – A zdaniem Shadwella powinniśmy odnaleźć kości i oznakować teren, dopóki grunt jest nadal stabilny. W przeciwnym razie deszcz zmyje wszelkie ślady.

– Ale czy bezpiecznie będzie szukać ich przy takim słabym świetle?

– Do zmroku zostały nam jeszcze trzy godziny, a jeśli chodzi o diabły, będziemy się wzajemnie chronić. – Hancock wyszczerzył zęby w uśmiechu. – Myśli pan, że uda mu się odnaleźć to miejsce?

– Prędko go nie zapomnę.

– Zuch chłopak. – Po raz pierwszy Hancock spojrział na niego z czymś w rodzaju szacunku. – Znam drogę przez las, która doprowadzi nas blisko wieży i oszczędzi przejazdu przez wioskę – dodał, po czym spiął konia i podjechał do wozu, żeby dalej rozmawiać z Shadwellem.

Quycke strzelił z bata i muły przyspieszyły do kłusa. Po bokach stopniowo kończyły się wszelkie uprawy. Droga prowadziła w dół i wkrótce znaleźli się zupełnie sami na dzikim bezludnym terenie, z ciemnozielonymi pofalowanymi wrzosowiskami i przecinającymi je żółtymi pasmami kolcolistów, bez śladu życia ani ruchu oprócz galopujących obok od czasu do czasu dzikich kuców rasy Wessex. W odległości wielu mil przed sobą Fairfax widział wał niskich chmur, z których jakby stalowymi cepami młóciły ziemię szare szkwały. Żałował, że nie zabrał peleryny. Próbował wyobrazić sobie mityczny krajobraz przedstawiony przez Shadwella w *Antiquis Anglia*, miejsce, w którym roilo się od wysokich budowli, ale nie potrafił. Ta ziemia była zbyt odwieczna. Nawet starożytni, z całą swoją zmyślnością, zdołaliby co najwyżej przeciąć ją kreską drogi.

W końcu wyłoniła się przed nimi z mroku linia wzgórz. Droga zaczęła się wznosić i z wrzosowisk wjechali w lasy. Kiedy tylko minęli pierwsze drzewa, Hancock precyzyjnie się obok wozu i ruszył do przodu, by zrównać się z Sarah Durston. Fairfax widział, jak żywo gestykuje, przedstawiając jej zapewne swój plan. Wydawał mu się bardzo ryzykowny. Zastanawiał się, czy Sarah okaże dość zdrowego rozsądku, by zostawić ich i wrócić do Addicott. Ale wkrótce minęli rozwidlenie, którego nie zauważył we wtorek, a ona jechała dalej z Hancockiem. Odwrót nie leżał w jej naturze.

Muły z trudem ciągnęły wóz pod ostre wzniesienie i wyraźnie zwolniły kroku. Fairfax zsiadł z kłaczy i szedł obok niej. Zorientował się, że to ta sama droga, na której spotkał Keefera popychającego ręczny wózek. W zalegającym w lesie półmroku trudno było określić kierunek, w jakim podążali. Najprawdopodobniej zataczali szeroki łuk z zachodu na północ. Fairfax domyślił się, że omijają od zewnętrznej strony wzgórza okalające dolinę. W leśnej gęstwinie szeleściły niewidoczne stworzenia. Słyszał głucho stukanie dzięcioła. Gdzieś w pobliżu zaskrzeczały papużki aleksandretty i zaraz potem umilkły. Zapadła głęboka cisza. I nagle przerwał ją głośny wybuch w kamieniołomie, od którego niemal zatrzęsała się ziemia. Przestraszona May przysiadła na zadzie i szarpnęła uzdą, wykręcając Fairfaxowi ramię. Starając się ją uspokoić, zobaczył, że siwa kłacz Sarah Durston stanęła dęba, a jej właścicielka poleciała do tyłu. Puścił uzdę May i pobiegł w tamtą stronę.

Sarah leżała bez ruchu, skulona na boku tuż przy drodze. Podczas gdy Hancock zsiadał z konia, Fairfax dobiegł do niej i padł na kolana.

– Sarah?

Miała bladą jak płótno twarz i chyba nie oddychała. Miłosierny Boże, zaczął się modlić, ocal ją, ocal, a ja zaniecham tych przeklętych poszukiwań i będę odtąd wierny nauczaniu Kościoła. Wsunął rękę pod jej ramiona i podniósł ją do pozycji siedzącej. Głowa opadła jej do tyłu. Bał się, że skręciła kark. Wziął w dłoń podbródek Sarah i obrócił ku sobie jej twarz. Wbijając w niego przerażony półprzytomny wzrok. Poruszając ustami, próbowała złapać oddech. Objął ją i przyciągnął do siebie. Zarzuciła mu ramiona na szyję. Czuł, jak przez jej ciało przechodzą dreszcze, spazm po spazmie, aż w końcu z przypominającym charkot dźwiękiem zaczerpnęła powietrza.

Poczuł zaciskającą się mocno na jego ramieniu rękę.

– Dość tego, Fairfax. Pozwól, że ja się nią zajmę.

Hancock przysiadł na piętach i odsunął na bok księdza. Ale kiedy wyciągnął ramiona i chciał ją wziąć na ręce, powstrzymała go gestem dłoni.

– Nie, John – wychrypiąła, odwracając się. – Daj mi odetchnąć.

Po chwili Hancock wstał z kucek. Widać było, że nie może patrzeć na Fairfaxesa.

– Z tego, co było słyhać, nie ma żadnych złamań – powiedział grubym głosem. – Wróci do siebie, kiedy tylko złapie oddech. Zostanę tu z nią przez chwilę. Możesz przyprzewodzić jej konia, Fairfax?

Kiedy ksiądz mijiał wóz, Shadwell schodził akurat z kozła.

– Jest ranna, ojcze Fairfax?

– Nie, doktorze Shadwell. Dzięki Bogu, doznała tylko wstrząsu.

Siwa klacz Sarah spokojnie skubała trawę. Wyciągnął do niej rękę i zaczął wydawać kojące dźwięki. Zwierzę spojrzało na niego bez większego zainteresowania. W tym momencie jego wzrok padł na leżącą w rowie sakwę. Podnosząc ją, usłyszał w środku brzęk rozbitego szkła. Rozpiął paski i wysypał okruchy na pobocze drogi. Żaden z kawałków nie był większy od jego małego palca.

– Cóż za katastrofa! – zawołał za nim Shadwell.

– Lepsze rozbite szkło niż połamane kości – mruknął Fairfax.

– Myli się ksiądz. Kości można złożyć. Taki szklany obiekt jest nie do odtworzenia.

– W Durston Court jest tego o wiele więcej. – Fairfax zaczął strącać butem szkło do rowu.

– Niech pan zaczeka! – zawołał Shadwell. – Nie mogę patrzeć, jak pan to robi. – Opadł na czworaki i zabrał się za zbieranie okruchów; układał je skrupulatnie na szalu. – Pomóż mi, Oliver.

Quycke zszedł z kozła, ukląkł obok niego i zaczęli razem zbierać wszystkie szczątki, nawet te bardzo małe. Fairfax obserwował ich ze zdumieniem. Po co to robili? Tej rzeczy i tak przecież nie da się naprawić. Shadwell jest kompletnie szalony, pomyślał, i wszystkich nas zaraził swoim szaleństwem.

– Co tu się dzieje, Fairfax?

Odwróciwszy się, zobaczył kapitana wraz z Sarah. Chwiała się na nogach, twarz miała bladą jak trup, a jej strój do jazdy był cały w błocie, ale poruszała się o własnych siłach.

– Lady Durston... powinna pani odpocząć!

– Nic mi nie jest, Christopher – odparła cienkim głosem. – Kręci mi się tylko trochę w głowie... to wszystko.

– Dlaczego oni klęczą? – zapytał Hancock.

– Należący do lady Durston szklany przedmiot potłukł się, kiedy spadła z konia.

– To bez znaczenia – rzuciła. – Odegrał już swoją rolę.

– Otóż to – mruknął Hancock. – Dzięki niemu dotarliśmy aż tutaj. Niech pan to, na litość boską, zostawi, panie Shadwell. Musimy ruszać dalej. Jesteśmy już prawie na miejscu. – Wyjął z kieszeni zegarek. – Jest dopiero kilka minut po siódmej. Słońce zajdzie dopiero za godzinę.

Fairfax podniósł zniecierpliwiony rękę.

– Słońca w ogóle nie widać! – zawołał. – Lady Durston powinna wrócić do domu i położyć się do łóżka. Z tego, co wiemy, mogła sobie coś uszkodzić. To wszystko nie jest warte aż takiego ryzyka.

– Czuję się dość dobrze – mruknęła. – Ruszajmy dalej.

– To jakiś obłąd! Kiedy znajdziemy wieżę, będzie już całkiem ciemno.

– Nie, mój panie – wtrącił się Shadwell, który skończył zbierać okruchy szkła i trzymał je zawinięte w szal. – Niech pan spojrzy. – Wskazał drzewa po prawej stronie.

Wszyscy obrócili się w tamtym kierunku. Nad najwyższymi gałęziami, dość daleko, ale całkiem wyraźnie widać było charakterystyczną białą betonową krawędź Czarciego Tronu.

* * *

Pozostałą część drogi pokonali na piechotę. Hancock szedł pierwszy, prowadząc swojego konia, za nim Sarah, lekko utykając i trzymając się klaczy, potem Fairfax, który szedł tuż za nią, by podtrzymać ją, gdyby się potknęła, a na końcu Shadwell i Quycke, obok swoich mułów. Czasami szczyt wieży był widoczny, przeważnie jednak krył się za drzewami. W ogóle ze sobą nie rozmawiali. Ptaki przestały śpiewać. Wieża rzucała jakiś rodzaj uroku, który tłumiał wszelkie dźwięki.

Po jakimś czasie doszli do kolejnego rozwidlenia dróg. Hancock podniósł rękę, dając znak, by się zatrzymali, po czym wskazał na prawo. Posłusznie tam skręcili, ale trakt zrobił się wkrótce zbyt stromy i kamienisty, by muły dały radę pociągnąć wóz dalej. Uwiązali zwierzęta przy drzewach. Quycke dyskutował przez chwilę z Shadwellem, nalegając, by włożył ceratową pelerynę z kapturem, a potem otworzył skrzynki z tyłu wozu i wyjął z nich różne narzędzia: cztery szpadle z długimi trzonkami, tyle samo rydli, wiadra, worki, sito oraz tuzin bambusowych tyczek z przywiązanymi na górze podartymi czerwonymi chustkami. Rozdzielił to wszystko sprawiedliwie – Fairfax dostał szpadel i wiadro z kilkoma rydlami – i prowadzeni przez Hancocka, znowu ruszyli pod górę.

Między drzewami widzieli stopniowo coraz większą część wieży i po kilku minutach wspinaczki dotarli na szczyt, w miejscu, które było prawą poręczą tronu. Grań biegła dalej, tworząc oparcie i lewą poręcz, a pośrodku, dokładnie u ich stóp, wznosiła się wieża, którą można by wziąć za ozdobioną powojami pogańską świątynię. Przez chwilę podziwiali w milczeniu ten widok. Nawet Hancock wydawał się nim urzeczony. Wkrótce jednak przypomniał sobie, po co tu przyszli.

– Pamiętasz, gdzie widziałeś te kości, Fairfax? – zapytał.

– Owszem, dość dobrze. Pięćdziesiąt kroków za wieżą, tam gdzie teren zaczyna się wznosić – odparł ksiądz, wskazując kierunek szpadlem.

Zamiast posuwać się dokoła granią, łatwiej było zejść między drzewami na równy teren. Gdy byli w połowie drogi, zaczęło padać. Słyszeli nad głowami szmer kapiącego na liście deszczu, a kiedy wyszli na polanę, nie było przed nim ucieczki – dokładnie taka sama rześnista ulewa zmoczyła Fairfaxa pierwszego dnia w dolinie. Obeszli podstawę wieży i ksiądz poprowadził ich ścieżką, którą zapamiętał, między paprociami, grzybami i leżącymi na ziemi omszałymi gałęziami. Grunt robił się coraz bardziej grząski. Fairfax zatrzymał się i rozejrzał.

– To było gdzieś tutaj. – Przeszedł jeszcze kilka kroków i wbił łopatę w poszycie lasu. Nie był już tego taki pewien. Zbocze wszędzie wyglądało tak samo. – Chyba nikt tu nie przyszedł i ich nie zabrał?

– Może tylko się panu zdawało – mruknął ze sceptycyzmem Hancock.

– Trzeba zawsze oznaczać znaleziska – odezwał się zrzędlawie Shadwell. – To pierwsza zasada antykwariusza.

– Ojciec Fairfax nie jest antykwariuszem – zwróciła mu uwagę Sarah.

– Tracimy tylko czas – stwierdził Hancock. – Niech każdy przeszuka część terenu.

Rozdzielili się i przez kilka następnych minut słychać było tylko odgłos wbijanych w ziemię łopat i spazmatyczny kaszel Shadwella. Ta wilgoć i deszcz go zabijają, pomyślał Fairfax. Sam też nie czuł się najlepiej; grzął w błocie przy zacinającym w oczy deszczu, a łopata, którą okładał paprocie, wyslizgiwała mu się z rąk.

– Tutaj! – zawołała nagle Sarah.

Stała w odległości pięćdziesięciu kroków, znacznie od niego wyżej na zboczu. Szukał w złym miejscu. Ruszyli w jej stronę przez mokre zarośla. Sarah wpatrywała się w coś, co leżało u jej stóp. Shadwell, który wspinał się wolniej od innych, zawołał, by niczego nie dotykała. W niewielkim zagłębieniu terenu, na brązowej ziemi, leżały odsłonięte blade żebra.

Shadwell podszedł i wbił w to miejsce jedną ze swoich bambusowych tyczek. Z trudem przykucnął, podniósł kość i oczyścił ją z ziemi.

– To ludzka kość? – zapytał Fairfax. Wyglądała bardziej na psią. – Wydaje się zbyt mała.

– Owszem, ludzka. To kość dziecka. Widzi pan? Tu jest więcej szczątków. – Przyjrząwszy się uważniej, zobaczyli również inne kości. – To miejsce jest kostnicą.

Shadwell podał kilka żeber Fairfaxowi; ten wziął je ostrożnie do ręki. Były bardzo kruche; bał się, że rozsypią mu się między palcami. Tymczasem antykwariusz zaczął wodzić rękami po ziemi i naciągnawszy z powrotem kaptur, zbliżył do niej nos. Przypominał węszącego myśliwskiego psa.

– Sądził pan, zdaje się, że to deszcze odsłoniły te kości, panie Fairfax? – powiedział.

– Owszem, uznałem to za najbardziej prawdopodobną przyczynę.

– I tu się pan pomylił! – Shadwell odwrócił się do księdza z dziwnie triumfalnym wyrazem twarzy. – Kości nie zostały odsłonięte w wyniku działania sił natury. Ten dół został wykopany ludzką ręką. Widzi pan tutaj, przy skraju... ślady ostrego narzędzia? Ktoś był tutaj przed nami.

Fairfax pokiwał głową.

– Ojciec Lacy.

– Nie możemy tego wiedzieć na pewno – mruknął Hancock.

– Któż inny mógłby tu trafić?

– Woda zmyła większość śladów jego pracy – zauważył Shadwell. – Pomóż mi, Oliver – poprosił, wyciągając rękę. Quayce podał mu dłoń i stary antykwariusz, krzywiąc się z bólu, dźwignął się na nogi. – Musimy wykopać rów – oznajmił, pokazując, o co mu chodzi. – Prostopadle do wieży aż do tego miejsca, o długości mniej więcej dwudziestu kroków.

– W jakim celu? – zapytała Sarah.

– Lacy był człowiekiem o naukowym umyśle. Skoro tu kopał, możemy być pewni, że miał ku temu ważny powód. – Shadwell odebrał żebra Fairfaxowi i odłożył je dokładnie tam, gdzie zostały znalezione. – Mógłbyś być tak dobry, Oliver, i sporządzić rysunek tego miejsca? – Popatrzył na pozostałych. – No? Musimy się pospieszyć. Kopcie!

Fairfax odmierzył dwadzieścia kroków w dół zbocza, zakasał rękawy i wbił ostrze łopaty w ziemię. W kopaniu miał już pewną wprawę. Przy katedrze mieli ogród warzywny i oczekiwano, że młodszy księża będą tam pracowali. Ale ziemia w katedralnym ogrodzie była dobrze rozdrobniona, a tutaj pokrywały ją bluszcz i podagrycznik, których korzenie musiał jeden po drugim przecinać, a potem, gdy już się z tym uporał, okazało się, że niżej jest pełno kamieni. Niemniej jednak poczucie misji – chęć przysłużenia się wyższej sprawie, którą wpojono mu jako księdzu – dodało Fairfaxowi sił i pot, jaki wystąpił mu na czoło, zmieszał się wkrótce z zimnymi kroplami deszczu.

Po jakimś czasie zrobił sobie krótką przerwę i rozejrzał się. Zobaczył machającego wściekle łopata Hancocka, Sarah i Quayce'a, którzy także kopali, a także Shadwella, chodzącego między nimi i co jakiś czas pochylającego się, by zbadać nowe znalezisko. W ziemię wetknięte były cztery tyczki.

Ignorując ból ramion, Fairfax wrócił do pracy. Na głębokości około dwóch stóp łopata trafiła w coś bardziej miękkiego niż kamień. Wyjął z wiadra rydel, ukląkł i nachylił się nad dołem. Odgarnąwszy luźną ziemię, zaczął oddzielać palcami błoto od kości i stopniowo, niczym wykuwana w kamiennym bloku rzeźba, z ziemi wyłonił się szkielet, a w każdym razie jego górna połowa, od podstawy klatki piersiowej aż do czaszki. Leżał na wznak, okryty od pasa w dół kołderką ziemi, wpatrując się w zasnuite deszczem niebo. Szkielet należał do wysokiej, znacznie wyższej od niego osoby, takie przynajmniej odniósł wrażenie. Ogarnęła go szczególna nieśmiałość, jakby zbudził z długiego snu kogoś, kto nie życzył sobie, by mu przeszkadzano. Dotknął mokrym palcem chłodnego czoła czaszki i nakreślił na nim znak krzyża.

– Kim jesteś? – zapytał cicho.

* * *

Wkrótce zrobiło się zbyt ciemno, by mogli kopać dalej. Poza tym byli przemoczeni do suchej nitki. Shadwell – jedyny z nich miał jakąś ochronę przed deszczem – oznajmił, że zrobili już dosyć. Hancock, który sam jeden miał chyba tyle siły co cała reszta, wykopał drugi rów, prostopadły do pierwszego, i odsłonił dwa kolejne leżące obok siebie szkielety.

Stojąc pośród ludzkich kości, ocenili efekty swojej pracy. Quycke wręczył Shadwellowi swój szkic.

– Bardzo dobrze oddane – stwierdził, oceniając go, stary uczonec. – Tych ludzi nie pozostawiono, by zgnili tam, gdzie umarli, ale porządnie pogrzebano. Według mojej rachuby, znaleźliśmy dziesięć szkieletów. Jestem przekonany, że gdybyśmy kopali dłużej, znaleźlibyśmy ich jeszcze więcej.

– Więc to był cmentarz? – zapytała Sarah.

– Tak... a tym samym dowód, że były tu ludzkie siedziby, bo nikt nie wspinałby się tutaj z doliny, żeby pogrzebać zmarłych. Ludzie musieli mieszkać gdzieś w pobliżu.

– W wieży?

– Nie, moja pani, jest w niej za mało miejsca. A poza tym gdzie są w niej drzwi i okna? – Shadwell wskazał polaną. – Zauważyliście, że w pewnej odległości od wieży nie rosną już żadne drzewa? Coś nie daje im się zakorzenić. Jestem pewien, że pod ziemią jest jakaś konstrukcja.

– Powinniśmy tu jutro wrócić i zacząć kopać bliżej wieży – powiedział Hancock.

– Takie przedsięwzięcie będzie wymagało udziału wielu ludzi.

– Mam ludzi.

– Oczywiście, że ich masz, ale czy będą tu chcieli przyjść? – zapytała Sarah.

– Przyjdą.

– Podobno większość nie chciała tu nawet szukać zwłok Lacy’ego – wtrącił Fairfax.

– Och, na pewno przyjdą, jeśli im odpowiednio zapłacę – upierał się kapitan. – Ilu mężczyzn będziemy potrzebować?

– Z mojego doświadczenia wynika, że jeden robotnik może wykopać trzy jardy sześciennej ziemi w ciągu godziny – odparł Shadwell. – Ale mamy tutaj twardy grunt. Powiedzmy, że jeden mężczyzna wykopie dwadzieścia jardów sześciennych w ciągu dnia. A zatem jeśli chcemy osiągnąć znaczące rezultaty, będziemy potrzebowali co najmniej dwudziestu ludzi.

– Mogę tylu znaleźć.

– Jak zdoła pan sprowadzić tu dwudziestu ludzi i zachować to w tajemnicy? – zapytał Fairfax. – W wiosce zaczną gadać. Nim się obejrzymy, wieści dotrą do Axford. – Rozejrzał się. Wyobraził sobie Lacy’ego, który kopał w tym odludnym miejscu, próbując dokonać

czegoś, co było absolutnie niewykonalne w pojedynkę. Poczuł, jak budzi się w nim podejrzenie. – Gdzie odnaleziono ciało ojca Lacy’ego? – zapytał. – Nie widzieliśmy tu żadnego jaru.

– Tam, na górze – odparł Hancock, wskazując głową oparcie Czarciego Tronu. – Tuż za grzbietem wzgórza. – Przez chwilę przyglądał się Fairfaxowi. – Jeśli pan chce, mogę panu pokazać.

– Teraz?

– Czemu nie? I tak jesteśmy już w połowie drogi. To na szczycie tego zbocza.

– Jeśli zostaniemy dłużej na tym zimnie i deszczu, obawiam się o zdrowie pana Shadwella – wtrącił Quycke. – Musimy mu znaleźć jakieś suche miejsce.

– W takim razie wy możecie już schodzić w dół – powiedział Hancock. – Zostawcie Fairfaxowi i mnie część narzędzi i spotkamy się przy wozie.

– Przy tak słabym świetle to może być niebezpieczne – zaniepokoiła się Sarah. – Odłóżmy to do jutra, John.

– To zajmie najwyżej dziesięć minut. Chodź, Fairfax. Pokażę ci to miejsce.

Hancock, ucinając wszelkie dyskusje, ruszył zdecydowanym krokiem pod górę i po chwili wahania – bo w nagłej gorliwości kapitana było coś niepokojącego – Fairfax podążył w ślad za nim. Jak na tak potężnie zbudowanego mężczyznę Hancock poruszał się bardzo szybko; zwinny jak kozica, omijał gałęzy i leżące na ziemi konary, łapał się za gałęzie i pędy bluszczu i przeskakiwał liczne strumyczki, które pojawiły się po deszczu. Fairfaxa ponownie uderzyło podobieństwo zbocza do wystającego czoła, to jak w niektórych miejscach zwisało wprost nad polaną. Teren był niestabilny i niebezpieczny.

Po kilku minutach dotarli na szczyt; Hancock odwrócił się i wyciągnął rękę, by pomóc księdzu pokonać ostatni odcinek.

– Leżał za tamtymi drzewami. Spójrz. Przytrzymam cię – powiedział, łapiąc go w pasie i popychając lekko do przodu.

Fairfax poczuł, jak ziemia ugina się pod jego stopami. Słyszał gdzieś w pobliżu wodospad, spadający z hukiem na leżące niżej skały. Dał krok do przodu, rozchylił gałęzie i znalazł się na samym skraju przepaści. W zimie część zbocza musiała się osunąć, zostawiając niemal pionowy klif wznoszący się na wysokość prawie stu stóp nad dnem wąskiej doliny. W gasnącym świetle dnia trudno było cokolwiek zobaczyć.

– Gdzie dokładnie leżało ciało?

– Zaraz za tym głazem, blisko strumienia. Nie widzisz?

– Nie.

Fairfax zaryzykował jeszcze jeden mały krok do przodu i nagle poczuł, że grunt usuwa mu się spod nóg. Kamienie i luźna ziemia poleciały w dół i przez chwilę miał pewność, że sam też spadnie w przepaść. Odwrócił się, złapał oburącz wyciągniętą dłoń Hancocka i na sekundę albo dwie zawisł w powietrzu. Przemknęło mu przez głowę, że kapitan chce go zamordować. Ale potem Hancock wyszczerzył zęby w uśmiechu i wciągnął go na górę.

- Mam cię, ojczy.
 - Dobry Boże! – zawołał Fairfax, cofając się od krawędzi. – Cóż to za okropne miejsce!
 - Ano – potwierdził Hancock. – Widzi pan teraz, dlaczego ludzie boją się tu przychodzić.
 - Wydawał się bardzo zadowolony z tego, że napędził młodemu księdzu stracha. – I co? Zaspokoił pan swoją ciekawość?
 - Prawie.
 - Prawie? – Hancock uniósł brwi. – Cóż jeszcze chciałby pan wiedzieć?
 - Tamtego dnia, kiedy odkryliście ciało... rozumiem, że nie doszliście do samego Czarciego Tronu?
 - Nie, nie było takiej potrzeby... szliśmy traktem tam, na dole, i znaleźliśmy go obok głazu. Skąd ksiądz o tym wie?
 - Bo gdybyście szli od wieży... jeszcze przed burzą... trafilibyście na świeży rów, który tam wykopał.
- Hancock pokiwał głową.
- To prawda.
 - Nie rozumie pan tego? On nie przyszedł tamtego dnia pod Czarciego Tron bez powodu. Miał do wykonania zadanie: chciał wykopać kości. Więc po co zapuścił się tu, nad to urwisko? Coś musiało sprawić, że porzucił to, co robił, i wspiął się aż tutaj... Nie zdziwiłbym się, gdyby ktoś go ścigał. Nie wiem, czy to był wypadek, czy morderstwo, ale sądzę, że był śmiertelnie przerażony. I dlatego zginął.

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

W którym pan Shadwell opowiada o Apokalipsie

W trakcie ich rozmowy niebo pociemniało – tak że kiedy zaczęli schodzić, nie bardzo widzieli, gdzie stawiają stopy. Zanim dotarli do otwartych grobów, kilka razy zjechali po prostu w dół po mokrej ziemi. Rowy przypominały wycięte w poszyciu świeże rany. Starożytne szkielety, z kośćmi tylko trochę jaśniejszymi od ziemi, były prawie niewidoczne w półmroku. Pozostawienie ich na deszczu przez całą noc wydawało się niedopuszczalne. Fairfax pochylił głowę w modlitwie. *A choć ta skóra moja roztoczona będzie, przecież w ciele mojem oglądam Boga*²³.

Hancock, który poszedł dalej i zbierał łopaty, odwrócił się, by sprawdzić, co dzieje się z księdzem.

– Och, daj spokój, Fairfax, na litość boską! Nie mamy na to czasu!

– Nie ma pan duszy, kapitanie Hancock?

– Mam, ale te szczątki leżały przez osiemset lat w niepoświęconej ziemi i kolejna noc nie zrobi im różnicy.

Fairfax zignorował go, skończył odmawiać modlitwę, przeżegnał się znakiem krzyża, po czym wziął na ramię swoją część narzędzi i ruszyli razem w dół.

Wiatr, który nagle się zerwał, szeleścił gałęziami i przeczesywał oplatający wieżę bluszcz, zupełnie jakby wszędzie wokół wirowały duchy zmarłych. Kim byli ci ludzie, żyjący aż tak bardzo długo, opływający w niewyobrażalne luksusy, mający do dyspozycji cudowne urządzenia? Jak to się stało, że zginęli w tak odludnym miejscu?

Sarah, Shadwell i Quyce schronili się z tyłu wozu. W środku paliła się latarnia, na deskach leżał dywan. Były tam poduszki, dwa sienniki, kufry i półka z książkami. Do brezentowych ścian przyklejono kilkadziesiąt rysunków Quyce'a, przedstawiających cmentarzyska, artefakty, ruiny budynków. Było jasne, że w podróży ten wóz był dla obu mężczyzn domem. Shadwell kulił się w kącie, owinięty starym dywanem.

Hancock odchylił brezentową klapę.

– Jeśli nie macie nic przeciwko, proponuję, żebyśmy spędzili noc w moim domu. Jest do niego bliżej niż do wioski – powiedział.

– Nocujmy gdziekolwiek, byle schronić się przed tym deszczem – odparł Quyce.

Shadwell zaczął kasłać.

– W takim razie załatwione – rzucił kapitan. – Zostań tu, w suchym miejscu, Sarah. Poprowadzę twoją klacz.

– Nie, pojedę konno.

Przez chwilę Hancock gotów był się z nią spierać, ale potem zmienił zdanie.

– Jak sobie życzysz. Pożyczę od was, jeśli wolno, latarnię.

Dosiadł swojego konia i podniósł wysoko latarnię, żeby go widzieli, po czym doprowadził ich z powrotem do traktu, skręcił ponownie w prawo i ruszyli w tym samym kierunku, w jakim podążali wcześniej.

Przez następne pół godziny świat Fairfaxa ograniczał się do mroku i deszczu, niewyraźnego świętojańskiego robaczka majaczącej przed nim latarni, stukotu końskich podków, hurgotu rozchlapujących kałuże obitych żelazem kół wozu, szumiącego w drzewach wiatru i pohukiwania sów. Po jakimś czasie poczuł, że znów jadą w dół, i niedługo potem latarnia zakołysała się, skręciła w prawo i wjechali na dobrze utrzymany podjazd. Słyszał płynącą w pobliżu wodę i w ciemności rozpoznał kształty dużego domu i rysującego się na tle nieba komina. Z przodu pojawiło się oświetlone okno i zaczął szczekać pies. Kiedy otworzyły się drzwi, kreska żółtego światła zmieniła się w prostokąt.

– To ty, John? – rozległ się niespokojny kobiecy głos.

* * *

Dom właściciela Przędzalni Wełny Addicott był podobnie jak kapitan Hancock wielki, solidny i ostentacyjnie pozbawiony wszystkiego, co mogłoby kojarzyć się z blichtrzem lub przepychem. Na gołych bielonych ścianach wisiały tylko mosiężne ozdoby końskiej uprzęży. Wypolerowana podłoga z jasnego dębu i proste dębowe meble wydzierały silny zapach wosku. W bawialni był wielkopański kominek ze świeżo ociosanego, niepokrytego jeszcze sadzą kamienia, w którym tlił się żar. Hancock dołożył do niego podpałkę i kilka ciężkich szczap, tak że wkrótce ogień buchnął w górę. Zdjęli mokre płaszcze i stanęli z wyciągniętymi rękami przed kominkiem, podczas gdy gospodarz wydawał dyspozycje – przynieść ginu, piwa i czegoś do jedzenia, przysunąć fotel dla doktora Shadwella, ustawić stół przed kominkiem, zamknąć okiennice, ogrzać łóżka – skierowane w większości do masywnej siwej kobiety, która przywitała ich w progu i którą przedstawił, po pewnym namyśle, jako swoją siostrę Marthę.

– Pozwól, że ci pomogę, Martho – zaproponowała uprzejmie Sarah.

– Proszę sobie oszczędzić fatygi, jaśnie pani – odparła siwowłosa kobieta. – Nie jesteś jeszcze panią tego domu.

Fairfax zauważył, jak Sarah tężeją rysy twarzy.

– To naprawdę żaden kłopot – rzuciła.

– Bardzo pani łaskawa, ale wiem, co do mnie należy – odburknęła Martha i wyszła z triumfalną miną.

– Zostaw ją, Sarah. Lubi robić wszystko sama – mruknął Hancock, po czym tupnął zdenerwowany nogą i wyszedł w ślad za siostrą. – Martho! – usłyszeli, jak za nią woła.

Do bawialni weszli starszy lokaj i pokojówka, niosąc stół. Ustawili go przed kominkiem, wyszli i po chwili lokaj wrócił z krzesłami, a pokojówka z dzbankami i szklankami.

Sarah wydeła wargi.

– Aż wstydę się o to prosić, Christopher. Mógłbyś nam nalać?

Fairfax nalał każdemu po miarce ginu i usiedli przy stole, żeby się napić – wszyscy z wyjątkiem Shadwella, który wciąż zawinięty w swój dywan, siedział blisko kominka, zaciskając ręce na szklance i wpatrując się w ogień.

W końcu pojawił się Hancock z wielką wazą zupy.

– Martha źle się poczuła i położyła do łóżka. Prosiła, żebym przeprosił was w jej imieniu.

Pokojówka przyniosła miski i sztucce, a lokaj deskę z chlebem i serami, a potem dwa kapłony na zimno i pikle. Gospodarz uniósł pokrywę wazy i wciągnął w nozdrza zapach zupy.

– Cebulowa. Znakomicie. Wszystkich nas ogrzeje. Zmówi ksiądz modlitwę?

– Myślałem, że nie jest pan wierzący, kapitanie?

– Nie wierzę tylko w wasz Kościół, mój panie. Waszego Boga traktuję z szacunkiem.

Fairfax pochylił głowę.

– Pobłogosław, Panie, te dary – powiedział machinalnie – które z Twojej dobroci spożywać mamy, i spraw, byśmy zawsze pamiętali o potrzebach i pragnieniach innych. Amen.

– Amen. – Hancock zaczął rozlewać chochlą zupę. – Nie dołączy pan do nas, doktorze Shadwell? Może przyprowadzi go pan do stołu, panie Quycke?

Sekretarz nachylił się i zaczął szeptać coś do ucha starego uczonego. Ten niechętnie wstał z jego pomocą z fotela przy kominku i pozwolił się usadzić u szczytu stołu. Jego twarz była niezdrowo zaczerwieniona – Fairfax nie wiedział, czy pod wpływem ognia, czy choroby. Kiedy Shadwell nachylił się nad miską, jego łyżka zabrzączała, uderzając o jej skraj, a potem ułała się z niej prawie cała zawartość. Mimo to zjadł zupę do końca i zaraz potem poprosił o kolejną szklankę ginu. Zrzucił z ramion dywan, a zawsze czujny Quycke poderwał się, by zawiesić go na oparciu krzesła.

– A więc co, pana zdaniem, doktorze Shadwell, uda nam się odkryć, kiedy zaczniemy kopać? – zapytał Hancock.

– Nie sposób tego przewidzieć, mój panie.

– Ale musi tam być jakiegoś rodzaju podziemna komora?

– Kto to może wiedzieć? To, co tam kiedyś było, mogło się już dawno temu zawalić z upływem czasu bądź pod naporem ziemi. Może też się okazać, że nic tam nie ma. Albo że jest tam skarbnica świata starożytnych. – Shadwell machnął z rezygnacją łyżką. – Nie mogę tego przewidzieć.

– A co ma pan nadzieję znaleźć?

Shadwell westchnął i odłożył łyżkę.

– W moich marzeniach? – Wytarł usta serwetką i z przyzwyczajenia poszukał na niej śladów krwi, choć Fairfax widział, że są na niej tylko resztki zupy. Usatysfakcjonowany uczony odłożył ją na kolana. – Czytaliście, co proponował Morgenstern. To mogą być po prostu rzeczy, które pozwoliłyby któregoś dnia przywrócić styl życia starożytnych. Taki był jego cel, wyłożony w liście, i świadczyłyby o tym szklane wyroby, choć to, dlaczego znalazły się bezpośrednio w ziemi, jest zagadką. Lady Durston – zwrócił się do Sarah – szkło mimo swojej kruchości jest niczym złoto. Nie ulega rozkładowi. Być może reszta się rozpadła. Kopiąc, możemy odkryć... bo w ziemi są często ślady drewna i metalu widoczne tylko dla wprawnego oka... rzeczy, których nie spostrzegł pani mąż.

– Naprawdę uważa pan, że może tam być złoto? – zapytała, nie będąc w stanie ukryć ekscytacji.

– To całkiem możliwe. – Shadwell pokiwał głową. – Większość transakcji starożytnych odbywała się nie z wykorzystaniem monet czy nawet banknotów, ale poprzez elektryczne impulsy pieniężne, które przekazywano sobie specjalnymi urządzeniami drogą powietrzną. Kiedy nastąpiła Apokalipsa, te urządzenia przestały działać i bogactwo starożytnych się ulotniło. Człowiek tak zapobiegliwy jak Morgenstern przewidział prawdopodobnie to zagrożenie i miał dość zdrowego rozsądku, by zgromadzić odpowiednie ilości złota... które od zamierzchłych czasów jest jedynym bezpiecznym pieniądzem. Czy mógłbym pana prosić o kapeńkę ginu, kapitanie?

Hancock nachylił się i napełnił jego szklanekę.

– Skoro starożytni byli dość głupi, by handlować ulotnymi impulsami, nic dziwnego, że upadli – powiedział.

– Ta metoda umożliwiała im handel na wielką skalę, ale też, kiedy zawiodła, uczyniła z nich żebraków. Proszę sobie wyobrazić, że budzicie się państwo któregoś ranka pozbawieni wszelkich środków do życia, z umiejętnościami, które są zupełnie bezwartościowe, nieprzydatne w walce o byt! Ich świat był oparty na sile wyobraźni... przypominał zamki na lodzie. Powiał cieplejszy wiatr i wszystko zniknęło.

Fairfax poczuł się zmuszony zaprotestować.

– Ależ, doktorze, ludzie mogą przecież żyć bez pieniędzy.

– My, z naszym prostszym sposobem życia, być może. Trawa rośnie. Owce się pasą. Kołowrotki się obracają. Kapitan Hancock zabiera swoje sukno na rynek i wymienia je na jedzenie. Ja dzielę się z nim swoją wiedzą i dostaję w zamian zupę cebulową. Ale weźcie choćby pod uwagę Londyn... miasto, które tuż przed Apokalipsą liczyło podobno osiem milionów mieszkańców. Wiemy ze starożytnych źródeł, że było tam wiele otwartych terenów: parków i ogrodów. Ale z tego, co nam wiadomo, nigdzie tam nie uprawiano ziemi ani nie hodowano zwierząt. Jak miało się wyżywić te osiem milionów ludzi? Pamiętajcie, co pisał w swoim liście Morgenstern: mieszkańców Londynu, w dowolnym momencie, dzieli tylko sześć posiłków od klęski głodu. Każdy kęs jedzenia trzeba było sprowadzić i kiedy ich urządzenia zawiodły, ustały również dostawy żywności, bo w jaki sposób można było za

nią płacić? Kto miał ją przywieźć? Kiedy zawiodła jedna rzecz, posypały się i inne. Z każdym mijającym dniem coraz trudniej było przywrócić ład i społeczny porządek. Był niczym statek, który urwał się z kotwicy i odpłynął, zostawiając na brzegu bezradną załogę. Wtedy właśnie zaczął się Wielki Exodus... tyle że był to Exodus bez Mojżesza, który mógłby go poprowadzić.

– Osiem milionów wygłodzonych ludzi uciekających ze swoich domów! – Sarah przeszedł dreszcz. – Przedstawia nam pan straszną wizję.

– Jest straszna. Czasami żałuję, że nie znalazłem sobie mniej posępnego przedmiotu badań. A jednak jest w nim coś urzekającego... tak jak urzekające są majestatyczne ruiny ich budowli. – Shadwell powiódł wzrokiem po swoich słuchaczach. Ciepło kominka i pełny brzuch przywróciły mu siły. Widać było, że jest człowiekiem, który uwielbia występować publicznie. – Ile rzeczy udało nam się zobaczyć, moja pani! Widzieliśmy wielkie masowe groby przy drogach wychodzących z Londynu: w Redhill, St Albans, Chertsey, Dartfordzie... kości nadal leżą tam rozrzucone na polach niczym kamienie. Oliver i ja skopiowaliśmy napisy na ścianach kościołów sporządzone przez tych, którzy przed ośmioma wiekami szukali utraconych bliskich... Cóż to były za żalosne komunikaty! W tamtych czasach członkowie rodzin żyli daleko od siebie i jeśli katastrofa zastała ich w różnych miejscach i nie mogli się już ze sobą komunikować, skąd mieli wiedzieć, gdzie się ponownie spotkać? Ci przebywający za granicą przepadli na zawsze. Jestem pewien, że w historii świata nigdy nie przydarzyła się większa klęska. Lepiej było nigdy się nie urodzić niż przeżyć coś takiego. Większość zginęła z głodu. Resztę przetrzebiły w olbrzymim stopniu masakry i choroby.

– A co było przyczyną katastrofy? – zapytał Fairfax.

– Nikt nie wie tego na pewno. Ja uważam, że najbardziej prawdopodobną przyczyną było to, co Morgenstern przedstawił w piątym punkcie swojej analizy: *Generalne załamanie się technologii komputerowej w wyniku cyberwojny, zastosowania niekontrolowanego wirusa lub wskutek aktywności Słońca*. Biorąc pod uwagę naturę ludzką, skłaniałbym się raczej ku wojnie.

– A jednak kraj podźwignął się z upadku – zauważył Hancock.

– W rzeczy samej, po długim czasie życie stopniowo zaczęło toczyć się dalej. Człowiek jest upartym, przebiegłym stworzeniem. I tutaj, panie Fairfax, muszę przyznać, że kluczowa była rola waszego Kościoła, bo pośród chaosu, nawet jeśli wszystko inne obróciło się wniwecz, w każdej wiosce ocalał wzniesiony z kamienia kościół. Wiemy ze starożytnych źródeł, że nawet w tamtych bezbożnych czasach w Anglii było około trzydziestu siedmiu tysięcy kościołów. Tam właśnie gromadzili się ci, którzy przeżyli Exodus... Na początku bez wątplenia szukali w kościołach bezpieczeństwa, później poczucia wspólnoty, opieki, słów pociechy. I w tych samych świątyniach, pokolenie lub dwa później, kiedy wszyscy, którzy pamiętali poprzedni świat, wymarli, ich potomkowie znaleźli w Biblii prostą odpowiedź na pytanie, co zniszczyło świat. Dla ich zatrwożonych

i odrętwiałych umysłów mogła to być tylko Apokalipsa, przepowiedziany w Objawieniu świętego Jana Armagedon. Na tym przekonaniu opiera się nasz obecny porządek.

– Ale pan w to nie wierzy?

– Nie, proszę pana. Nie jestem w stanie z całkowitą pewnością powiedzieć, co spowodowało zagładę ich świata, lecz wiem, że miało to związek z nauką i zjawiskami naturalnymi, a nie z pojawieniem się bestii noszącej numer sześćset sześćdziesiąt sześć! To bujdy, które Kościół powtarza, by trzymać ludzi w karbach. W mojej ocenie nie wierzy w nie połowa biskupów, do której, mógłbym dodać, zalicza się biskup Pole.

Fairfax roześmiał się.

– Biskup Pole miałby nie wierzyć, że Bóg zesłał Apokalipsę? Co, pana zdaniem, o tym świadczy?

– To, co słyszałem na własne uszy, panie Fairfax! – Shadwell wypił jeszcze trochę ginu. – Kiedy Towarzystwo Antykwaryczne zostało zakazane, a jego kierownictwo aresztowane, biskup odwiedził mnie kilka razy w celi. Był bardzo zainteresowany naszą pracą. Szczególnie dokładnie wypytywał mnie o Morgensterna: kim był, czego szukał, co się z nim mogło stać. Nie próbował nawet podważać autentyczności jego listu. Wprost przeciwnie: czerpał przyjemność z tego, że może porozmawiać szczerze z kimś, kto nie mógł uciec. Stwierdził, że właśnie dlatego, że ta historia brzmi tak autentycznie, trzeba zatrzeć po niej wszelki ślad. Kościół nie może pozwolić, by tak bezczelnie podważano jego nauczanie. „Zbyt dokładne badanie przeszłości to najprostsza droga do piekła. Opowieść o Apokalipsie jest zamkniętą bramą, która stoi w poprzek tej drogi. Nie wolno dopuścić, by kiedykolwiek została otwarta”. To jego słowa. W więzieniu miałem pięć lat, by je dobrze zapamiętać.

– Dziwię się, że nie kazał spalić pana na stosie jako heretyka – powiedział Hancock.

– „Stosy tylko przysparzają męczenników”. To kolejne z jego powiedzonek. Dlatego kazał mnie jedynie napiętnować i spalić moje książki. Miałem zdychać zapomniany w lochu. Och, biskup Pole to subtelny, światowy człowiek, nieprawdaż, ojciec Fairfax?

Książdz był zbyt oszołomiony, by na to odpowiedzieć.

– Jeśli to, co pan o nim mówi, panie Shadwell, jest prawdą – odezwał się w końcu – to nie wiem już, co mam o nim sądzić. Ale ma pan rację, to światowy człowiek.

– A pan, panie Quycke? – zapytała Sarah, zwracając się do sekretarza. – Też trafił pan za kratki?

– Uznano, że nie odegrałem tak znaczącej roli, moja pani. Biedny pan Berkeley i pułkownik Denny zmarli obaj w więzieniu. A pan Shirley nigdy się nie pozbierał i wpadł w głęboką melancholię.

– Teraz niech pan nam opowie o Morgensternie – poprosił Hancock starego uczonego.

Shadwell zerknął na stół.

– Mógłbym spróbować najpierw trochę pańskiego kapłona? Zgłodniałem od tego gadania.

Przy stole zapadło milczenie. Hancock pokroił dwa tłuste ptaki, nałożył na talerze mięso i pikle i posłał pokojówkę po kolejny dzbanek ginu. Nie zwracając sobie głowy sztucami, Shadwell rozerwał swoją porcję palcami, po czym zaczął wkładać do ust kawałki kapłona i obgryzać kości, co jakiś czas zerkając ukradkiem na boki, jakby się bał, że ktoś zabierze mu talerz – dokładnie jak człowiek, który spędził pięć lat o chlebie i wodzie, pomyślał Fairfax. Stary uczoney skończył jeść hałaśliwie, oblizując z tłuszczu kolejno każdy palec, a potem wytarł je serwetą, napił się ginu, westchnął i odchylił się na oparcie krzesła.

– Teraz mi lepiej – stwierdził.

– Niech pan nam opowie o Morgensternie – przypomniał mu Hancock, opierając ręce na stole.

– Powiem wam wszystko, co wiem, choć jest tego, niestety, niewiele. Po Imperial College... miejscu, gdzie napisał list, pozostał tylko fragment kamiennej tablicy, na którym wyryte są nazwiska wszystkich członków tego kolegium uhonorowanych tak zwaną Nagrodą Nobla. Tablica była prawdopodobnie umieszczona w holu wejściowym albo podobnym miejscu. Przy nazwisku Morgensterna widnieje słowo *Fizyka*. Nie widziałem tej tablicy na własne oczy, ale pewien mój nieżyjący już przyjaciel, który zbierał takie artefakty, przysłał mi jej rysunek. Możemy więc zakładać, że Morgenstern był uczonym o wielkiej renomie. Możemy również określić w przybliżeniu jego wiek. Jego córka Julia wyszła za mąż trzy lata przed Apokalipsą. Kobiety w tamtej epoce brały na ogół ślub w późniejszym wieku... w wieku, kiedy nasze kobiety mają już okres rozrodczy prawie za sobą. Najczęściej robiły to w okolicy trzydziestki. A zatem jeśli przyjmiemy tę najbardziej prawdopodobną możliwość i założymy, że sam Morgenstern miał około trzydziestu lat, gdy urodziła mu się córka, możemy uznać, że w chwili Apokalipsy miał mniej więcej sześćdziesiąt pięć lat. Nie wiemy nic o rodzinie jego zięcia, który nazywał się Singh. W Anglii w tamtym czasie mieszkało wielu cudzoziemców. Nazwisko Singh pochodzi z Indii. Być może Morgenstern miał wnuka. Najprawdopodobniej żyła jeszcze jego żona. Wszystko, co ponadto wiemy o nim, zawdzięczamy staraniom pana Thomasa Howe'a, którego Oliver z pewnością dobrze pamięta.

Quycke pokiwał głową.

– Tak, świetnie pamiętam Toma Howe'a.

– Zakładam, że nikt z państwa nie słyszał nigdy o *Corpus Inscriptionum Angliarum* jego autorstwa? – zapytał Shadwell.

Popatrzyli na niego pustym wzrokiem.

– Jest dokładnie tak, jak się tego obawiałem, Oliverze. Trafiliśmy między barbarzyńców. – Shadwell pozwolił sobie na lekki uśmiech, lecz szybko spoważniał. – Podobnie jak ja wziąłem na siebie zadanie przedstawienia wszystkich ocalałych betonowych monumentów, tak pan Howe podjął się spisania wszystkich inskrypcji powstałych w czasie Exodusu... zaiste herkulesowej pracy, której nie udało mu się skończyć przed śmiercią.

Jeździł od kościoła do kościoła, odwiedzając niekiedy dziesięć w ciągu jednego dnia i kopiując wyryte na ich ścianach żalosne wiadomości. W ten sposób sporządził olbrzymi katalog zawierający ponad pięćdziesiąt tysięcy nazwisk. Indeks dołączony do tego imponującego dzieła pozwala w rzadkich przypadkach prześledzić losy jakiejś osoby lub rodziny aż do chwili, kiedy zniknęły. Po raz pierwszy ich historie wyłoniły się na chwilę z mroku niepamięci. Nazwisko Morgensterna pojawia się tam dwa razy. Raz na ścianie kościoła Świętych Piotra i Pawła w Thruxton w Hampshire. Wiadomość jest od jego siostrzenicy; pozostawiono ją tydzień po rozpoczęciu Exodusu. Szukam mojego wuja, Petera Morgensterna. Będę tu wracać codziennie w południe. Coś w tym rodzaju... nie pamiętam dokładnie słów. A ty, Olly?

Quycke pokręcił głową.

– Drugą wiadomość zostawiono dalej na północ – ciągnął Shadwell. – W Pewsey, w kościele Świętego Jana Chrzciciela. Nazwisko autora jest nie do odczytania, ale Morgensterna dosyć wyraźne. Charakter pisma wskazuje na to, że wiadomość została napisana przez inną osobę. Ma podobną treść i zostawiono ją tego samego dnia.

Hancock, który słuchał go z wielką uwagą, zrobił zawiedzioną minę.

– To nie mówi nam zbyt wiele, panie Shadwell – zauważył.

– Wprost przeciwnie, kapitanie. Antykwariuszowi mówi to bardzo dużo. Thruxton i Pewsey leżą na zachód od Londynu, a zatem ci, którzy szukali Morgensterna, sądzili, że kieruje się w tamtym kierunku. Pamiętajcie, że jego list odkryto przy zwłokach mężczyzny, do którego prawdopodobnie go wysłał: profesora Chandlera z Cambridge. Chandler został pochowany w Winchester... również na zachód od Londynu. Wszystkie szkielety w grobie Chandlerów noszą ślady przemocy. Nie znaleziono przy nich nic wartościowego. Wydaje się całkiem możliwe, że jadąc na spotkanie z Morgensternem, on i jego rodzina zostali obrabowani i zamordowani.

Głos Shadwella od jakiegoś czasu stawał się coraz bardziej świszczący i w końcu uczony zaniósł się kaszlem. Quaycke wstał, by mu pomóc, ale Shadwell powstrzymał go gestem dłoni.

– Według naszej dość mocno ugruntowanej opinii – podjął, gdy atak minął – Morgenstern przygotował sobie bezpieczną kryjówkę w Czarcim Tronie. Być może nawet przebywał w niej, kiedy zaczęła się Apokalipsa. Lub, co bardziej prawdopodobne, wyruszył tam z Londynu, kiedy tylko zdał sobie sprawę, że to, przed czym od dawna ostrzegał, stało się faktem. Miał dzień przewagi nad innymi, zanim zapanowała powszechna trwoga. Wiedział lepiej od kogokolwiek, jakie rozpętają się bezprawie i chaos. Wydaje mi się niemożliwe, by w pierwszym rzędzie nie chciał chronić swojej najbliższej rodziny. Taka jest ludzka natura. Musieli wyjechać razem z nim podobnie jak rodziny innych, którzy pomagali przygotować ich arkę.

– *Onegoż dnia wszedł Noe i Sem i Cham i Jafet, synowie Noego, i żona Noego, i trzy żony synów jego z nim do korabia*²⁴ – powiedział Fairfax.

- Owszem – zgodził się Shadwell – ale jak mówi Biblia, nie wszedł tam nikt poza nimi.
- To prawda – przyznał Fairfax. Nigdy wcześniej nie patrzył na to w ten sposób.
- Dlatego opowieść o arce zawsze wydawała mi się najokrutniejsza w całej Biblii, bo Noe musiał mieć wielu innych krewnych, których chciałby ocalić, podobnie zresztą jak żony jego synów... one straciły wszystkich. Ale liczba tych, których można uratować, jest ograniczona. Siostrzenica szukająca swojego wuja w Thruyton, nieznana inna osoba w Pewsey... Pytał pan, co nam to mówi, kapitanie Hancock? Moim zdaniem to członkowie rodziny Morgensterna, których trzeba było zostawić, by utonęli w wezbranych wodach.

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

Dwa sny w Przędzalni Wełny Addicott

Shadwell umilkł, odwrócił się od stołu i zapatrzył w ogień. Quycke dał za jego plecami znak Hancockowi, że pora już, by doktor udał się na spoczynek. Kapitan pokiwał głową.

– Zrobiło się późno – rzucił. – Mamy jutro dużo do zrobienia.

– Chce pan powiedzieć, że już jutro wracamy na wzgórze? – zapytał Fairfax.

– W rzeczy samej. A kiedy mamy to zrobić? W poniedziałek pan Shadwell ma się zgłosić w sądzie. Nie możemy stracić ani jednego dnia.

– Ale pojutrze jest dzień święty. Mam wygłosić kazanie w Addicott. Muszę je przygotować.

– Skoro pan musi, proszę bardzo. Choć moim zdaniem to cholerna strata czasu.

– Czy nie możecie tego przedyskutować jutro rano, panowie? – odezwała się Sarah. – Ja na przykład chciałabym już iść do łóżka. – Odłożyła serwetkę i wstała.

Hancock, Fairfax i Quycke zerwali się uprzejmie z krzeseł.

Fairfax cieszył się, że kolacja dobiegła końca. Miał powyżej uszu teorii i rewelacji Shadwella. Musiał je wszystkie przetrwać i uporządkować myśli przed niedzielą.

– Czy mogę pana prosić, kapitanie, o pióro i papier? – zwrócił się do gospodarza. – Muszę zacząć pracować nad kazaniem... choćby to i była strata czasu.

– Oczywiście. Proszę nie przejmować się moimi zgryźliwymi uwagami. Każę pokojówce przynieść je do pańskiego pokoju.

Quycke pomógł Shadwellowi wstać. Hancock podszedł do czekających przy drzwiach służących, zamienił z nimi kilka słów, po czym wziął świecę i poprowadził swoich gości przez hol na górę. W bawialni zaczęto sprzątać po kolacji.

Dom był o wiele większy od plebanii – zbudowany, o czym kapitan poinformował ich z dumą, dokładnie według jego własnego projektu. Pokazał im wysokie sufity, a zwłaszcza dębowe listwy przysufitowe.

– Wysokie listwy przysufitowe zawsze świadczą o dużej wartości domu, a te mają pół jarda.

W szerokim korytarzu było kilkoro masywnych kasetonowych drzwi. Hancock otwierał je jedno po drugim. Pierwszą izbę przeznaczył dla Shadwella i Quycke'a.

– Chyba nie macie nic przeciwko, żeby nocować razem, panowie. Łóżko jest dość duże na dwie osoby. Świece są już zapalone, pościel ogrzana.

W następnym pokoju zakwaterował Fairfaxesa.

– To też piękna izba. Któregoś dnia chcę tu urządzić pokój dziecięcy. – Hancock mrugnął porozumiewawczo do Sarah. – Niech się panu dobrze pisze.

– Dobranoc, kapitanie. Dobranoc, lady Durston. – Ksiądz po raz pierwszy pocałował Sarah w rękę.

– Dobranoc, Christopher.

Fairfax został jeszcze chwilę na korytarzu, by zobaczyć, jak Hancock otwiera ostatnie drzwi.

– A to komnata w sam raz dla jaśnie pani! – rzucił kapitan i oboje zniknęli w środku.

Ksiądz przekroczył próg swojego pokoju, przystanął i zaczął nasłuchiwać dźwięków dobiegających zza ściany. Sam się za to strofował. Po co się dręczył, próbując ich podsłuchać w intymnej sytuacji? Mimo to nie mógł się powstrzymać. Rozmowa była na szczęście krótka. Usłyszał wyraźnie tylko ostatnie słowa, kiedy Hancock wyszedł już na korytarz.

– Cóż, w takim razie dobranoc. – Z tonu jego głosu wynikało, że wolałby zostać. Język plątał mu się pod wpływem ginu.

– Dobranoc, John.

Drzwi się zamknęły i po chwili rozległy się ciężkie kroki oddalającego się w głąb domu Hancocka.

Fairfax zamknął drzwi i rozejrzał się po pokoju. Zobaczył bielone ściany, ochrowe w świetle świecy; drżące cienie na deskach podłogi, migoczący płomyk na małym stoliku przy oknie z zamkniętymi okiennicami. Na nocnej szafce stały dzbanek z wodą i kubek. Łóżko było olbrzymie. Spod narzuty wystawała długa mosiężna rękojeść szkandeli. Fairfax złożył koce, zabrał szkandelę, położył ją na podłodze obok nocnika, po czym wygładził ręką ciepłe prześcieradło. Martha Hancock prowadziła dom żelazną ręką; trudno było się dziwić, że patrzyła niechętnym okiem na pojawienie się nowej gospodyni. Fairfax położył się, uważając, by nie pobrudzić butami czystej pościeli, i przez chwilę rozkoszował się ciepłem.

Zerwał się z łóżka na dźwięk cichego pukania do drzwi. Za progiem stała pokojówka. Podała mu papier, pióro i inkaust, dygnęła grzecznie i się ulotniła. Kiedy ucichł stukot jej obcasów, w domu zapadła cisza. Fairfax zamknął ponownie drzwi.

Zbyt pobudzony, by zasnąć, usiadł przy biurku i wbił wzrok w pustą kartkę. Żałował, że zadeklarował w ogóle chęć odprawienia nabożeństwa. Jego umysł zaprzętały teraz zupełnie inne sprawy. Umoczył pióro w kałamarzu, napisał w nagłówku: *Kazanie, Addicott St George, niedziela, 14 kwietnia 1468*, lecz nic więcej nie przychodziło mu do głowy. Miał wrażenie, że w jego umyśle stanęła bariera stworzona z obrazów kości i ziemi. Normalnie przetrząsnąłby pamięć, wyłowił z niej całe rozdziały Biblii i wyrecytowałby je z ambony. Teraz poszczególne wersy umykały gdzieś w nicość, wydawały się przypadkowe i pozbawione znaczenia.

Minęła godzina i do głowy nie przyszedł mu nawet ślad idei – zupełnie jakby Bóg wejrzał w jego serce, poznał stan jego wiary i postanowił go ukarać. Ta myśl wprawiła go w panikę. Zaczął mieć trudności z oddychaniem. Otworzył okiennice i przesunął w górę ramę okna.

Od nagłego przeciągu płomień świecy o mało nie zgasł. Zakołysały się wielkie cienie. Słyszał płynącą gdzieś w pobliżu rzekę. Jej szum trudno było odróżnić od szumu wiatru chłoszczącego deszczem potężne drzewa i w tym momencie wyobraził sobie, jak to musiało wyglądać przed ośmiuset laty, dla ludzi wyrwanych z bezpiecznych enklaw poprzedniego życia i rzuconych w taką noc jak ta: gdzie nie było nic do jedzenia poza tym, co mogli znaleźć w lesie, nic do ogrzania poza tym, co mogli rozpalić, i gdzie w ciemności czaiły się drapieżniki. Wizja była tak wyraźna, że zatrzaskało okno, by ją odpędzić. A potem zamknął okiennice i ukląkł przy łóżku. Nie usłyszał jednak głosu Boga, tylko głos Shadwella: *Nie jestem w stanie z całkowitą pewnością powiedzieć, co spowodowało zagładę ich świata, lecz wiem, że miało to związek z nauką i zjawiskami naturalnymi, a nie z pojawieniem się bestii noszącej numer sześćset sześćdziesiąt sześć!*

W końcu krzyknął głośno i walnął pięściami w ciężką drewnianą ramę łóżka. A potem wstał, złapał leżącą na stole kartkę i podarł ją na strzępy. Skoro nie wierzył w to biskup Pole, dlaczego on miał w to wierzyć? Powinien napisać całkiem inne kazanie. Kazanie, w którym każde słowo byłoby prawdą. Przemierzając pokój, zaczął je układać w głowie. Powinien im powiedzieć, że nie było bestii o głosie smoka, nie było babilońskiej ladacznicy, jeziora ognia i krwawego deszczu; że nie żyli w Erze Zmartwychwstałego Chrystusa, że czas się nie zatrzymał i nie zaczął płynąć od początku. Powinien powiedzieć, że żyją na ruinach starożytnej cywilizacji, która upadła nie z woli Boga, lecz z przyczyn, które można poznać, i że badanie tych przyczyn nie jest herezją, lecz obowiązkiem wnikliwego umysłu.

Tupiąc głośno, nadal chodził po pokoju i w pewnym momencie, gdy był w połowie drogi między stołem i drzwiami, usłyszał za plecami jakiś dźwięk. Zatrzymał się i odwrócił. Dźwięk rozległ się ponownie: ciche pukanie. Po krótkim wahaniu uchylił lekko drzwi. Na korytarzu stała Sarah Durston w długiej nocnej koszuli, którą pożyczyła pewnie od Marthy Hancock i która sięgała jej aż do bosych stóp. Na ramiona zarzuciła czarny jeździecki żakiet, rude włosy miała rozpuszczone. W dłoni trzymała świecę, której płomień osłaniała drugą ręką. W jej szeroko otwartych oczach malował się niepokój.

– Dobrze pan się czuje? – zapytała szeptem.

– Owszem – wyszeptał. – Proszę mi wybaczyć.

– Jest pan sam? – Sarah zerknęła do środka nad jego ramieniem.

– Naturalnie. – Fairfax otworzył szerzej drzwi, by mogła się sama przekonać. – Któż miałby tu ze mną być?

– Myślałam, że z kimś pan się kłóci... tyle było łomotania i gniewnych głosów.

– Próbowałem po prostu ułożyć kazanie. Przepraszam, że panią obudziłem.

– Wcale mnie pan nie obudził. Jestem zbyt podminowana, by zasnąć.

– Ja też nie mogę spać. – Fairfax spojrział w głąb korytarza, tam gdzie musiała się znajdować sypialnia Hancocka. – Rozmawiając tutaj, zbudzimy kapitana. Jeśli ma pani ochotę, proszę wejść do środka.

– Mogę? Miło będzie pobyc w czyimś towarzystwie.

Cofnął się, by ją przepuścić. Przechodząc, lekko go musnęła. Zamknął drzwi, a ona postawiła świecę na nocnej szafce, zsunęła z ramion żakiet, powiesiła go na słupku łóżka, położyła się na prześcieradle i przykryła kocem.

– Niech pan nie zwraca na mnie uwagi i zajmie się swoim kazaniem – powiedziała.

Usiadł przy stole odwrócony do niej plecami. Ale jeśli zadanie, które sobie postawił, już wcześniej wydawało się trudne, teraz okazało się czystą niemożliwością. Wpatrywał się bezradnie w białą kartkę. Słyszając, jak Sarah oddycha cicho za jego plecami, potrafił myśleć tylko o niej. Po chwili poruszyła się pod kocem.

– O czym myślisz, Christopher? – zapytała cicho.

– Rzecz w tym, że nie potrafię na niczym skupić myśli, moja pani. Mam w głowie kompletny mętlik. – Odwrócił się i na nią spojrział. Leżała na boku, opierając się na prawym łokciu i go obserwując. – Nie rozumiem, co ja w ogóle robię.

– W swoim kazaniu?

– W moim kazaniu, we wszystkim: w tej dolinie, wypełniając obowiązki księdza, przebywając w tym pokoju razem z tobą.

Sarah wyciągnęła nagle lewą rękę spod koca i się odkryła.

– Położysz się koło mnie?

Nie przyszło mu do głowy, żeby jej odmówić. Pochylił się po prostu, rozwiązał sznurowadła i zaczął ściągać buty. Później miał się dziwić łatwości, z jaką mu to przyszło: zrobienie tego ostatniego i najważniejszego kroku, który kończył jego dawne życie i wynikał w naturalny sposób ze wszystkich poprzednich. Sarah odsunęła się na bok, robiąc mu miejsce. Fairfax usiadł na skraju łóżka, obrócił się i położył na nim stopy. Roześmiała się i pociągnęła go za rękaw sutanny.

– Zawsze kładziesz się do łóżka w tak obcisłych szatach? – szepnęła.

Wtedy wstał i zdjął ją na jej oczach, a potem – ponieważ nie było sensu się wstydzić, choć nigdy wcześniej nie rozbierał się przed kobietą – ściągnął również bieliznę. Nagi wślizgnął się pod koc i obrócił do niej twarzą.

Objął ją, a potem pogładził po twarzy i pocałował w usta. Sarah przesunęła dłonią wzdłuż jego ciała. Zdumiewało go, jaka jest cudowna w dotyku, jak ciało może być jednocześnie takie miękkie i takie jędrne. Nagle odepchnęła go i usiadła. Przez chwilę obawiał się, że zrobił coś nie tak. Ale ona chciała tylko podciągnąć do bioder nocną koszulę, zebrać ją w pasie i zdjąć przez głowę. Popatrzył na jej obnażone w blasku świecy, wygięte w łuk ciało. Sarah odrzuciła do tyłu włosy, cisnęła na podłogę zwiniętą w kłębek nocną koszulę, położyła się z powrotem na łóżku i dała znak, by się do niej zbliżył.

* * *

W pierwszym śnie spleli się ramionami. W jej słodkich ciepłych objęciach nie śnił o niczym; ani o szukaniu drzwi do świata jawy, ani nawet o kościach w ich płytkich grobach. Wszystko tonęło w czerni.

I nagle...

– Christopher!

Niespokojny przesywający szept.

Wciąż śpiąc, wsunął twarz w jej ramię.

– Christopher! – powtórzyła i nim potrząsnęła. – Słuchaj!

– Co, moja kochana?

– Ktoś jest za drzwiami!

To go od razu obudziło. Usiadł prosto na łóżku.

– Fairfax! – zawołał z korytarza Hancock. – Nie śpisz?

– Nie odpowiadaj mu! – Jej słowa były ciche jak oddech, ale uścisk dłoni łamał mu palce.

– Fairfax! – Kolejna seria dobijania się... prawie walenia w drzwi.

Zdał sobie sprawę, jak bardzo są bezbronni i nadzy. Skręci nam karki jak pisklakom, pomyślał. Rozejrzał się za jakąś bronią, której mógłby użyć. Nie widział nic dość mocnego.

– Niech to szlag! – zaklął Hancock. Tupnął kilka razy w podłogę swoim ciężkim buciorom, a potem usłyszeli, jak odchodzi korytarzem.

– Na pewno nie spodziewał się mnie tu zastać – szepnęła. – W przeciwnym razie od razu by tu wpadł. Powinnaś pójść do swojego pokoju, nim wróci.

– Zaczekaj! – Fairfax podniósł ostrzegawczo palec. – Słyszałaś, żeby schodził po schodach?

– Nie.

Wyobraził sobie kapitana, który czai się przy końcu korytarza, żeby sprawdzić, czy nikt nie wychodzi z tej sypialni.

– Zaczekaj tutaj.

Ściągnął z siebie koc i zaczął się ubierać. Trzęsły mu się ręce.

– Dokąd idziesz?

– Zobaczyć, czego chciał, cokolwiek to było.

Usiadł na skraju łóżka i wciągnął buty. Uklękła za nim i objęła go ramionami.

– Nie wychodź.

– Zajmę go czymś i wtedy będziesz mogła wyjść.

– Bądź ostrożny, Christopher. Jeśli zacznie nas podejrzewać, jest zdolny posunąć się do morderstwa. A szczyli się tym, że potrafi zajrzeć ludziom w duszę.

– Mnie nie zajrzy. – Pochylił się i pocałował ją w rękę. – Sam tego nie potrafię.

Wziął świecę ze stołu i przy samych drzwiach się obejrzał. W półmroku nie dostrzegł wyrazu twarzy Sarah. Choć właściwie nie musiał jej widzieć. Czuł jej zapach na swojej

skórce, rękach i włosach, jej smak na ustach. Wszedłem tutaj, będąc jedną osobą, a wychodzę jako ktoś inny, pomyślał. Skinął jej głową z miną sugerującą pewność siebie, której wcale nie odczuwał, po czym wyszedł na korytarz i zamknął za sobą cicho drzwi.

Zerknął w obie strony. Nie było śladu po Hancocku. Podszedł do schodów i ruszył na dół. Niosąc przed sobą świecę, mocno trzymał się balustrady. Skądś z dołu dobiegł go jakiś hałas, skrobanie metalu o kamień. Dotarł do holu. W pokoju, w którym wcześniej jedli, pokojówka tak drobna, że prawie nie różniła się od dziecka, klęczała przed kominkiem, z szufelką w jednej i wiadrem w drugiej ręce. Słyszając go, zerwała się na równe nogi.

– Dziwna pora na sprzątanie! – skomentował.

– Pani chce, żeby przed drugim snem paleniska były wygaszone i czyste.

Biedna służka, pomyślał.

– Gdzie twój pan?

– Wyszedł na dwór, proszę pana.

– Dokąd?

– Pewnie do przędzalni. Często sprawdza ją w nocy.

– Możesz mi dać jakąś latarnię?

Przyniosła mu ją i odprowadziła go do frontowych drzwi. Fairfax wyszedł na dziedziniec. Deszcz przestał padać, ale wciąż mocno wiało. Wiatr poszarpał chmury na posrebrzone księżycową poświatą strzępy i gnał je przed sobą, zapewniając dość światła, by można było dostrzec zarys potężnego budynku, w którym, jak domyślał się Fairfax, mieściła się przędzalnia. Skreślił w jej kierunku. W połowie drogi obrócił się i spojrzał na dom. Okiennice na pierwszym piętrze były zamknięte. Nie przepuszczały żadnego światła. Przypuszczał, że Sarah leży już w swoim łóżku.

Ruszył dalej. Drzwi do przędzalni były lekko uchylone. Uniósł latarnię i wszedł do środka. Przestronne wnętrze przypominało nawę katedry, tyle że zamiast ławek stały tutaj w rzędach wrzeciona, oświetlone bladymi promieniami księżycy wpadającymi przez pochyły szklany dach, pod którym był skomplikowany system wałków i bloczków z przymocowanymi do nich skórzanymi pasami maszynami. Zamiast podłogi miał pod nogami mokre klepisko. Powietrze było wilgotne i unosił się w nim zapach wełny. Z zewnątrz dobiegał odgłos płynącej wartko rzeki.

– Kapitanie! – zawołał i obrócił latarnię na wszystkie strony, próbując wypatrzeć właściciela. Upewniwszy się, że nie ma go w szopie, wyszedł z powrotem na zewnątrz. Do przędzalni przylegały pod kątem prostym inne zabudowania – najprawdopodobniej magazyny – i ruszył teraz w ich stronę, stawiając ostrożnie stopy na nierównym bruku. Zorientowawszy się lepiej w układzie budynków, widział, że ma przed sobą potężne przedsiębiorstwo niepodobne do niczego, co widział do tej pory. Nagle dojrzał przed sobą ruchome światło.

– Kapitanie! – zawołał ponownie.

Z budynku, głośno ujadając, wyskoczył natychmiast chart i już po chwili go dopadł. Jego niewielkie rozmiary kompensował istic diabelski wygląd – wyszczerzone w wąskim pysku kły, położone na płask uszy i wylupiaste oczy.

Fairfax skulił się przy ścianie przędzalni, bojąc się wykonać jakikolwiek ruch.

– Kto tam? – dobiegł z ciemności głos Hancocka.

– Fairfax!

– To pan? Mucha, do nogi! – zawołał kapitan. Suka wróciła posłusznie do swojego pana.

– Niech pan podejdzie bliżej, panie Fairfax, żebyśmy mógł pana zobaczyć.

Hancock podniósł latarnię do swojej twarzy, żeby wskazać mu drogę, i kiedy ksiądz się zbliżył, wyciągnął ją na długość ręki i zaświecił mu prosto w oczy, jakby chciał go skontrolować. Wyczuje na mnie jej zapach, pomyślał Fairfax. Zobaczy w jasnym świetle jakiś jej rudy włos. Pozna, że się inaczej zachowuję. Jest niczym zwierzę obdarzone szóstym zmysłem.

– Pukałem do pańskich drzwi i kilka razy pana wołałem, ale nie doczekałem się odpowiedzi – powiedział Hancock. – Gdzie pan był?

– W łóżku, spałem kamiennym snem. Słyszałem krzyki, ale myślałem, że to część snu.

– Krzyki we śnie? W takim razie to nie był sen, ale koszmar.

– Czemu nie miałyby mnie dręczyć koszmary po tym, co zobaczyłem na Czarcim Tronie i co usłyszałem przy kolacji od Shadwella?

– Koszmary! – prychnął ze wzgardą Hancock. – Będzie pan potrzebował silniejszych nerwów, żeby doprowadzić nasze przedsięwzięcie do owocnego końca. – Wyjaśnienia księdza chyba go jednak usatysfakcjonowały i opuścił latarnię. – Chcę panu coś pokazać.

Wprowadził Fairfaxa do magazynu, gdzie paliła się już kolejna latarnia. W środku było dużo materiałów budowlanych: deski, dachówki, cegły, ramy okienne i worki z piaskiem. Pół tuzina ciężkich brezentowych worków, każdy mniej więcej dwa razy mniejszy od dorosłego mężczyzny, wyciągnięto z rzędu i ułożono tuż przy drzwiach.

– To namioty – oznajmił Hancock, wskazując je latarnią. – Żeby zbudować przędzalnię, musiałem sprowadzić robotników aż z Exeter. Mieszkali w nich tu, na miejscu. Myślałem o tym, co pan mówił... że trzeba zachować w sekrecie fakt, że tam kopiemy. Ma pan rację: jeżeli ludzie będą łązili z wieży do wioski i z powrotem, wiadomość szybko się rozejdzie. Jeśli jednak rozbijemy obóz i będziemy ich tam trzymali, nikt nie puści pary z gęby aż do zakończenia robót.

– Ale kiedy już wrócą do domu, na pewno zaczną gadać.

– Tak, tylko że wtedy będzie już za późno, żeby nas powstrzymać. A kiedy wykopiemy to, co tam jest... jeśli w ogóle cokolwiek tam jest... będziemy mogli to ukryć w jakimś znanym tylko nam miejscu. I w dogodnym dla nas momencie poznamy tajemnice starożytnych.

Cały plan wydał się Fairfaxowi mało realny. Kościół i władze świeckie miały szpiegów w każdym okręgu. Wiadomość o tak sensacyjnym odkryciu musiałaby się odbić głośnym

echem. Nie mógł jednak nie podziwiać kapitana za odwagę.

– To jest jakiś pomysł – przyznał. – A w tym momencie na pewno nie mam lepszego. Wątpię tylko, czy ludzie, którzy nawet za dnia boją się zbliżyć do Czarciemu Tronu, zgodzą się spędzić tam całą noc.

– Mogą się zgodzić, jeśli będzie im towarzyszył ksiądz – odparł Hancock, po czym zawiesił znacząco głos.

– No tak! – Fairfax uśmiechnął się w ciemności. – Dlatego wołał mnie pan po nocy. Z plebana może być jednak jakiś pożytek. – Popatrzył na Hancocka i na namioty. Mimo złych przeczuć poczuł, jak ogarnia go podniecenie. – Dobrze, pobłogosławię pańskiej ekspedycji... choć uważam, że to czyste szaleństwo.

– Naprawdę pan to zrobi? – Hancocka najwyraźniej zdziwiło, że ksiądz tak łatwo się zgodził.

– Czemu nie? Zależy mi tak samo jak panu na rozwikłaniu tej tajemnicy.

– A co z pańską wiarą?

– Wiara, która nie może znieść świadectwa prawdy, nie jest warta tego, by ją zachować.

Hancock przechylił w bok głowę i wyszczerzył zęby w uśmiechu. W świetle latarni błysnął jego złoty ząb.

– Nie doceniłem pana. – Nagle wyciągnął do niego rękę. – Od tej pory będziemy współnikami. Przypieczętuźmy to uściskiem dłoni. – Jego ręka była guzowata i twarda jak pałka. – Zatem sprawa jest załatwiona. – Odchylił do tyłu głowę i ziewnął głośno niczym wilk, który ma zawyc do księżycy. – Do rana nic więcej nie zdziałamy. Pójdę zażyć drugiego snu.

Z latarniami w rękach przeszli w milczeniu z powrotem przez dziedziniec. Charcica dreptała w ślad za nimi. W domu położyła się w swoim koszu, a Fairfax wszedł za Hancockiem po schodach.

– Dobranoc, plebanie. Mam nadzieję, że pańskie poranne sny będą słodsze.

– Dobranoc, kapitanie. – Fairfax odczekał, aż Hancock się oddali, i dopiero wtedy z ulgą odetchnął.

Jego pokój był pusty. Choć właściwie się tego spodziewał, poczuł, jak ogarnia go rozczarowanie. Postawił latarnię na nocnej szafce, rozebrał się i położył z powrotem do łóżka. W miejscu, w którym leżała Sarah, prześcieradło było nadal ciepłe. Musiała wyjść zaledwie przed paroma minutami. Fairfax przycisnął policzek do poduszki. Miał nadzieję, że może wróci, ale z jej pokoju nie dochodził żaden dźwięk, drzwi były zamknięte i po jakimś czasie, mimo wszystkiego, co się wydarzyło, a może właśnie z tego powodu, po raz kolejny pogrążył się we śnie.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

Sobota, 13 kwietnia: organizowana jest ekspedycja

Obudziło go niewyraźne wrażenie, że ktoś przechodzi obok jego łóżka, a potem odgłos stawianego na stole ciężkiego przedmiotu. Zastukały otwierane okiennice. Podniósł głowę. W świetle poranka stała służąca, z którą rozmawiał w nocy.

– Tak, dziecko?

– Dzień dobry, ojcie. – Dziewczyna dygnęła, odwracając w bok głowę. – Kapitan kazał powtórzyć, że jest siódma rano i na dole podano śniadanie – powiedziała i wyszła z pokoju. Na stole zostawiła ręcznik, kostkę czarnego mydła i dzbanek z wodą tak gorącą, że zaparowały od niej szyby.

Fairfax przyglądał im się przez chwilę, a potem opadł z powrotem na poduszkę. Nie był już tak bojowo nastawiony jak poprzedniej nocy. Mimo to wysiłkiem woli ściągnął z siebie koc i ukląkł przy łóżku. *Ojcie, który jesteś w niebie, usłysz moją modlitwę i wybacz mi grzechy, którymi wielce Cię zasmuciłem...* Znajome słowa przychodziły mu z łatwością, ale były martwe i szybko odmówił pacierz do końca. *Proszę o siłę, bym mógł służyć Twojej chwale. Przez Chrystusa Pana Naszego, amen.*

Stojąc nagi przed stołem, nalał wody do miednicy, zanurzył w niej mydło i zaczął się myć. Pod śliskimi palcami jego żebra i mięśnie, boki i łędźwie, ze swoimi zagięciami i płaskimi powierzchniami, wydawały mu się obce i nieznane. W seminarium, by przyszli księża nie mieli nieczystych myśli, uczono ich ignorować swoje ciała. Teraz jednak odkrył, że zaczyna świadomie poznawać tę nieznaną krainę, i wróciła do niego pamięć tego, co stało się w nocy. Pragnienie jej ujrzenia graniczyło z fizycznym bólem, lecz myśl o tym, że będzie przebywał w jej towarzystwie – i udawał, że nic między nimi nie zaszło – napęniała go przerażeniem. Nabrał rękami wody, wylał ją na siebie i sięgnął po ręcznik. Kilka minut później, wytarty i ubrany, zamknął za sobą drzwi i zszedł na parter.

W pokoju, w którym spożywali posiłek poprzedniego wieczoru, znów rozpalono ogień w kominku i podano jedzenie. Nad stołem pochylała się odwrócona do niego plecami kobieta i serce skoczyło mu w piersi, gdy pomyślał, że to może być Sarah i będą mieli dla siebie krótką chwilę. Ale kiedy się odwróciła, zobaczył, że to Martha Hancock. Z trudem ukrył rozczarowanie.

– Dzień dobry, ojcie. – Jej kanciasta duża twarz była zacięta i nieprzyjazna.

– Dzień dobry, panno Hancock.

– Ufam, że spędził pan przyjemnie noc? – Sarkastyczny ton jej głosu sprawił, że zaczął się mieć na baczności.

– Spało mi się bardzo wygodnie, dziękuję. Mam nadzieję, że pani także.

– Nie, ojcze, wprost przeciwnie.

– Przykro mi to słyszeć.

– W nocy tyle było wchodzenia i wychodzenia... Nigdy wcześniej nie słyszałam czegoś podobnego. Kilka razy musiałam wyrzucić ze swojego pokoju.

Wyraz jej twarzy się nie zmienił, lecz coś drgnęło w jej matowych brązowych oczach – triumf, szyderstwo, odraza? – i Fairfax poczuł, że zasycha mu w gardle.

– Musi ojciec być głodny po całym tym wysiłku – dodała z zabójczą uprzejmością. – Zje coś ojciec na śniadanie?

– Nie. Dziękuję. Muszę iść znaleźć kapitana, jeśli z łaski swojej powie mi pani, gdzie go mogę zastać. – Słyszał, jak serce wali mu w piersi i krew szumi w uszach.

– Niech go sobie ojciec sam szuka. – Martha Hancock odwróciła się do niego plecami i rozkładała dalej talerze. Jej figura była kobiecą wersją postury brata.

Fairfax wpatrywał się przez chwilę w jej szerokie ramiona i biodra.

– Obawiam się, że musiała sobie pani wyobrazić coś niestosownego... – zaczął.

Nie uznała za właściwe nawet się do niego odwrócić.

– I to z osobą duchowną! – parsknęła z pogardą. – Niech ksiądz powie jaśnie pani, że te zaręczyny muszą być zerwane przed północą, w przeciwnym razie powiem Johnowi, że widziałam, jak wchodziła do pokoju księdza. I proszę jej powiedzieć, że nie dam się wyrugować kurwie z mojego domu.

– Nie, pani, ona z pewnością nią nie jest. – Wydawało mu się bezcelowe zaprzeczanie, a tym bardziej usprawiedliwianie tego, co najwyraźniej widziała na własne oczy. Nie miał też ochoty kłamać. Dlatego niewiele więcej zostało mu do powiedzenia. – Z pewnością nią nie jest – powtórzył i wyszedł z jadalni.

Kiedy tylko znalazł się poza zasięgiem jej wzroku, wbiegł szybko, pokonując po dwa albo trzy stopnie naraz, z powrotem na piętro i ruszył korytarzem do pokoju Sarah. Zapukał cicho do drzwi. Bez odpowiedzi. Ostrożnie je otworzył.

– Sarah?

W środku nie było nikogo. Okiennice były otwarte. Na łóżku, schludnie złożona, leżała pożyczona nocna koszula.

Kiedy wracał, Quycke wyrzwał z pokoju, który dzielił z Shadwellem. Zza jego pleców dobiegał kaszel doktora.

– Dzień dobry, ojcze.

– Dzień dobry, panie Quycke. – Fairfax próbował się uśmiechnąć. – Jak się dziś czuje doktor Shadwell?

– Niedobrze, mój panie... bardzo niedobrze. Przez całą noc obficie się pocił. – Na tle bladej twarzy Quycke'a tym bardziej widać było podkrążone oczy. Włosy miał w nieładzie. Wyglądał, jakby w ogóle nie spał. – Pomyślałem, że przyniosę mu coś do jedzenia. Powinien się posilić, nim wstanie.

– Powinien chyba zostać w pokoju i odpocząć, skoro jego stan się pogorszył?
– Ależ oczywiście. Próbowałem ze wszystkich sił go do tego przekonać. Oświadczył jednak, że woli umrzeć na zboczu wzgórza aniżeli w cudzym łóżku.
– Chciałem przywitać się z lady Durston i zapukałem do jej drzwi, ale najwyraźniej już wyszła – powiedział Fairfax, kiedy schodzili razem po schodach. – To możliwe?
– Teraz, kiedy pan o tym wspomniał, wydaje mi się, że słyszałem, jak mijają nasze drzwi jeszcze przed świtem. – U stóp schodów Quyce położył dłoń na ramieniu Fairfaxa. – Czy jest jakiś sposób, żeby zatrzymać to wszystko? Żyliśmy szczęśliwie i spokojnie w naszej chacie w Wilton. Sądziłem, że nic nam nie grozi. I nagle dostaliśmy list od Lacy’ego i widzi pan, w jakim znaleźliśmy się niebezpieczeństwie. – W jego głosie słychać było autentyczną desperację.

Fairfax poklepał go po ręce.

– Nie mogę tego zatrzymać, nawet gdybym chciał. Kapitan Hancock naprawdę mocno się zaangażował. Ale czy musi pan brać w tym udział, panie Quyce? Nie może pan po prostu się wycofać? Doktor Shadwell z pewnością nie chce pana narażać.

– Kilka razy mi to powiedział. Ale byłem jego sekretarzem i towarzyszem od szesnastego roku życia. Uratował mnie w bardzo trudnych okolicznościach. Wykształcił mnie i pokazał cały świat. Jak mógłbym go teraz opuścić?

– Pana lojalność dobrze o panu świadczy, panie Quyce. Ale niech pan się tak nie martwi. Kapitan Hancock to człowiek, który ma tutaj wiele do powiedzenia. Wymyślił plan, który pozwoli nam wszystko bezpiecznie przeprowadzić. – Fairfax delikatnie wyzwolił się z uścisku sekretarza. – Zobaczymy, co przyniesie nam nowy dzień.

* * *

Wymknął się szybko z domu, by nie trafić znów na Marthę Hancock.

Dopiero w świetle dnia można było w pełni ocenić rozmiary przedsiębiorstwa Hancocka – wielką przędzalnię, wzniesione z nowej jasnoczerwonej cegły magazyny i pociemniały od sadzy wysoki komin wyrastający z oddzielnego budynku. Za zakładem rzeka była szersza i płytsza, niż wyobrażał sobie w nocy. Woda spadała w dół i płynęła przez skomplikowany układ jazów i upustów. Przy bocznej ścianie przędzalni zamontowane były dwa wielkie koła wodne; kolejny zestaw łopatek obracających się na łodzi zacumowanej pośrodku nurtu świadczył o pomysłowości i determinacji, z jakimi Hancock starał się ujarzmić naturalną energię rzeki.

Przy wejściu do przędzalni gromadzili się już pierwsi robotnicy; kolejni nadchodzili drogą. Panująca w zakładzie cisza chyba ich zdeprymowała i kiedy Fairfax przecinał dziedziniec, wodzili za nim wzrokiem. Rozpoznał kilku mężczyzn z pogrzebu Lacy’ego. Przypuszczał, że widok księdza w takim miejscu i o takiej porze wzbudził w nich niepokój, zwłaszcza że maszyny były wyłączone.

Trzasnęły otwierane drzwi i z jednego z magazynów wyłonił się zgięty wpół Hancock, ciągnąc wraz z Keeferem worek z brezentowym namiotem. Oparłszy go o ścianę, kapitan wyprostował się, zobaczył Fairfaxa i uniósł rękę w geście pozdrowienia.

– Dzień dobry, ojczu! Dzień dobry, chłopaki! Podejdźcie do mnie tutaj wszyscy. Jest coś, co muszę wam powiedzieć.

Robotnicy, zerkając jeden na drugiego, zbliżyli się i ustawili w półkręgu wokół kapitana. Fairfax dołączył do nich i stanął na szarym końcu. Poczucie winy wlokło się za nim niczym cień. Hancock zaczekał, aż podejda do nich ostatni maruderzy, i zdjął z głowy kapelusz.

– Nie będziemy dzisiaj przędli wełny – oświadczył. – Zamiast tego jest inna praca... i lepsza zapłata... dla tych, którzy się na nią piszą. Nie lubię dużo gadać. Byłem z wami zawsze szczerzy i będę szczerzy i teraz. Praca polega na kopaniu rowów, a miejsce, w którym będziemy to robić, to Czarci Tron.

Kiedy tylko wymienił tę nazwę, ludzie zaczęli się krzywić i kręcić głowami. W tłumie dał się słyszeć pomruk niezadowolenia.

– Słuchajcie mnie uważnie! – kontynuował, przekrzykując ich, Hancock. – Znam równie dobrze jak wy te wszystkie stare bajdy. Dowiedziałem się jednak, że jest tam zakopane coś, co może przydać się firmie, i dlatego zamierzam wyjaśnić to raz na zawsze. Roboty nie powinna potrwać dłużej niż dzień lub dwa, pod warunkiem że się przyłożymy. Za każdy dzień zapłacę wam pełną tygodniówkę. A jeśli znajdziemy to, co tam leży, dostaniecie dodatkowo dwadzieścia funtów na głowę.

To ich uciszyło. Ktoś z podziwem zagwizdał.

– Dobra, szefie, na czym polega haczyk? – zapytał ktoś inny i mężczyźni wybuchli śmiechem.

– Nie ma żadnego haczyka, Paulu Fisher, ale są dwa warunki. Po pierwsze, zostaniemy tam, aż skończymy... jeśli zajdzie taka potrzeba, będziemy spali w namiotach. Po drugie, nikt nie puści pary z gęby o tym, co tam robimy... ani swojej żoncy, ani matce, ani nawet swojemu psu. Jeśli dowiem się, że to zrobił, nie wypłacę mu pieniędzy.

– To dlatego, że kopanie tam jest sprzeczne z prawem!

– Mamy pozwolenie. Ziemia należy do lady Durston, która udzieliła mi wszelkich niezbędnych pełnomocnictw.

– Ziemia może i do niej należy, ale nie to, co jest w niej zakopane!

– Ja zajmę się kwestiami prawnymi. Was proszę tylko, żebyście dla mnie pracowali.

– Mogę zadać pytanie jako zakrystian, kapitanie? – odezwał się Keefer.

– Jeśli musisz – odparł, krzywiąc się, Hancock.

– Dlaczego jest z nami ksiądz?

– Jest z nami z własnej woli, bo chce pobłogosławić nasze zbożne dzieło. Prawda, ojczu Fairfax? Niech ksiądz podejdzie tu do mnie, jeśli łaska, i powie ludziom, co o tym sądzi.

Mężczyźni rozstąpili się, by przepuścić Fairfaxa. Stając przed nimi, zdał sobie sprawę, że nigdy wcześniej nie miał takiej publiczności. Przez chwilę nie bardzo wiedział, co ma im

powiedzieć.

– Dzień dobry, panowie – zaczął w końcu i w odpowiedzi usłyszał nierówny chór pozdrawiających go głosów. – Zainteresowałem się tą sprawą z prostych powodów. Ojciec Lacy... nieżyjący pleban, wasz kapłan od ponad trzydziestu lat... oddał życie, albowiem chciał poznać prawdę o Czarcim Tronie. Dlatego ja też chcę ją poznać. Powinniśmy podjąć się tego zadania, by uczcić jego pamięć. W tym, co mamy zrobić, nie widzę nic grzesznego, a skoro tak, nie jest to żadną zbrodnią, przynajmniej w oczach Pana. Dał nam ręce, byśmy mogli kopać, i rozum, byśmy czynili z niego użytek. Nic w Piśmie Świętym nie sugeruje, że jest inaczej.

– Ale to miejsce jest przeklęte – odezwał się jeden z mężczyzn. – Dlatego zginął pleban. Mieszka tam jakiś zły duch, który zabija każdego, kto zakłóci mu spokój.

– Nie wierzę w żadne złe duchy. A nawet jeśli istnieją, Bóg na pewno nas przed nimi obroni.

– Plebana nie obronił!

– Bóg nie wybawi nas przed naszą własną nieostrożnością, przyjacielu. Ojciec Lacy spadł z urwiska, bo osunęła się pod nim ziemia, a nie z powodu jakiegoś złego ducha.

– Ksiądz będzie kopał razem z nami? – zapytał ktoś kpiącym tonem.

– Tak, będę kopał.

To zrobiło na nich chyba większe wrażenie niż wszystko, co powiedział wcześniej.

– Nawet w dzień święty? – zapytał Keefer.

– Nie wiemy jeszcze, czy będziemy pracowali w niedzielę. Zobaczymy, jaka będzie sytuacja o zmierzchu, panie Keefer.

– Ale czyż nie jest napisane *dnia siódmego odpoczniesz*²⁵? – nie dawał za wygraną zakrystian.

– Zdaje mi się, że ksiądz zna się na bożym prawie lepiej niż zakrystian, Keefer – wtrącił Hancock. Jego słowa wywołały salwę śmiechu. Fairfax zauważył, że zakrystian nie jest zbyt lubiany. – No dobrze, dość tego gadania. Kto idzie ze mną?

Uniosło się kilkanaście rąk: zgłosiła się mniej więcej jedna trzecia obecnych.

Paul Fisher rozejrzał się dokoła.

– A ci, którzy nie zechcą panu towarzyszyć, kapitanie... co będzie z nami? – zapytał.

– Skoro tak wam zależy, żeby odpocząć, możecie wrócić do domu i leżeć do góry brzuchem.

– A nasza zapłata?

– Jaka zapłata? Dopóki tam nie skończymy, na dole nie ma żadnej roboty. A za żadną robotę nie będzie żadnej zapłaty. – Hancock podniósł rękę, by stłumić protesty. – Dlaczego miałbym płacić ludziom za to, że nic nie robią? Chodźcie z nami albo wracajcie do domów... mnie jest wszystko jedno. Rodzinom tych, którzy pójdą z nami, wyślę wiadomość, że przędzalnia będzie pracowała przez całą noc, żeby zrealizować specjalne zamówienie,

i że nie będzie ich przez parę dni. W porządku? W takim razie sprawa jest załatwiona. Ci z was, którzy mają odwagę iść ze mną, niech ładują wozy. Reszta może wracać do domów.

Hancock włożył na głowę kapelusz i precyzyjnie przeszedł między ludźmi. Po krótkim wahaniu większość ruszyła za nim. Fairfax przyspieszył kroku, by go dogonić.

– Dlaczego tak ostro ich pan potraktował? – zapytał cicho.

– Ludźmi trzeba umieć pokierować. Czasami trzeba ich łagodnie wziąć za rękę, czasami czymś postraszyć, a kiedy indziej... tak jak dzisiaj... skuteczne okazują się obie metody.

– Ale spowodował pan konflikt.

– I co z tego? Mamy wystarczająco dużo robotników. Tylko to się dla mnie liczy.

I rzeczywiście za Hancockiem podążyły teraz ponad dwa tuziny ludzi. Pozostali stanęli wokół Keefera i Fishera i debatowali, co robić. Ostro gestykulując, spoglądali w stronę właściciela przedzalni i księdza. W końcu Keefer odłączył się od grupy i podszedł do nich.

– Postanowiliśmy do pana dołączyć, kapitanie, ale jeśli wolno, pod jednym warunkiem.

– To znaczy?

– Że jeśli w dzień święty nadal będziemy na Czarcim Tronie, ojciec udzieli nam wszystkim komunii.

Hancock wzruszył ramionami.

– To dla mnie żaden problem. Co ksiądz na to?

Fairfax instynktownie się zjeżył. Jak mógł, sam będąc w tym momencie w stanie grzechu śmiertelnego, udzielać sakramentu komunii, na dodatek w takim miejscu?

– Nie jestem na to przygotowany – wyjąkał. – Potrzebowałbym szat liturgicznych, modlitewnika, wina, opłatków...

– Można je tu chyba dostarczyć?

Ksiądz miał ochotę kategorycznie odmówić. Ale nie mógł raczej tego zrobić, nie ujawniając przy tym stojących za tą decyzją powodów. Być może było coś głęboko słusznego w tym, że ostatnia posługa, jakiej dokona jako ksiądz, odbędzie się na Czarcim Tronie? Niechętnie pokiwał głową.

– Dobrze. Jeśli okaże się to konieczne, zrobię to.

* * *

Niebo nadal było zasnuwane szarymi chmurami, ale robiło się coraz cieplej; nieruchome powietrze zapowiadało kolejną burzę. Fairfax zakasał rękawy sutanny i pracował wraz z innymi. Przygotowania zajęły im większą część poranka. Kryte wozy, którymi Hancock przewoził gotowe sukno, zaprzężono w woły i wciągnięto na dziedziniec, żeby załadować na nie namioty, narzędzia, wiadra, koce, jedzenie, przybory kuchenne, taczki, a także beczki z piwem i wodą. Wysilek fizyczny pomagał księdzu zapomnieć o sytuacji, w jakiej się znalazł. Wkrótce zaczął się obficie pocić. Wypatrywał Sarah, ale się nie pojawiła.

Musiała wrócić do Durston Court. Wolał nie pytać o nią Hancocka, żeby nie wzbudzać podejrzeń.

O godzinie dziesiątej z domu, wspierając się o ramię Quayce'a, wyszedł i zbliżył się do nich Shadwell, by ocenić stan przygotowań. W świetle dnia, poza salą wykładową, sprawiał jeszcze dziwniejsze wrażenie w swoim ciemnym aksamitnym stroju, czapce i barwionych okularach. Kilku mężczyzn przestało pracować i zaczęło się na niego gapić, a Fairfaxowi przyszło do głowy, że to dobrze, że stary uczonec nie pojawił się wcześniej, bo wtedy więcej ludzi mogło się sprzeciwić ekspedycji do Czarciego Tronu.

– Doskonale – ocenił Shadwell, przyjrzawszy się ładunkowi na czterech wozach. – Gratuluje, kapitanie Hancock. Dotrzymał pan słowa. Nie sądzę, by w ciągu ubiegłych dziesięciu lat zorganizowano w Anglii lepiej wyposażoną ekspedycję badającą ślady starożytnych.

Hancock pokraśniał, słysząc tę pochwałę.

– Czy jest coś jeszcze, czego moglibyśmy potrzebować?

– W rzeczy samej, mój panie. Grunt jest rozmokły po zimie i może się osuwać. Dlatego potrzebujemy drewna: długich mocnych desek, żeby obudować rowy, i palików, żeby je podeprzeć. Worków z piaskiem na wypadek zalania. I lin... Z mojego doświadczenia wynika, że lin nigdy nie jest za mało. A także drabin, na wypadek gdybyśmy musieli kopać głębiej. Kołków, żeby oznakować teren. Kozłów i blatu stołu, jeśli pan takowy posiada.

– Słyszałeś, co powiedział pan Shadwell – zwrócił się Hancock do Keefera. – Drewno, worki z piaskiem, liny, sznurek, drabiny, kołki... wszystko, co mamy... tyle, ile się da załadować na wozy.

Keefe zmierzył podejrzliwym spojrzeniem starego uczonego i odszedł.

– A gdzie jest lady Durston? – zapytał Shadwell. – Nie dołączy do nas?

– Wyjechała stąd o pierwszym brzasku, nie zwierając się nikomu ze swoich planów – odparł Hancock. – Była w dziwnym nastroju... ale przecież często jej się to zdarza, prawda, ojcze?

– Czyżby? – Fairfax poczuł, że się rumieni. – Nie zauważyłem tego.

– Naprawdę? – Hancock udał, że go to dziwi. – Choć właściwie nie zna pan jej tak dobrze jak ja! – dodał po chwili.

Shadwell odwrócił się do Fairfaksa.

– Na pewno pamięta ksiądz, że w zamian za moją pomoc obiecał mi książki Lacy'ego – powiedział. – Chyba najwyższa pora, żeby spełnił ksiądz swoją obietnicę.

– Już teraz? W tym momencie?

– A kiedy? Zostały mi tylko dwa dni wolności. Poza tym zawarte w tych księgach informacje mogą nam pomóc w poszukiwaniach.

– Ksiądz może je przywieźć z plebanii i dołączyć do nas przy Czarcim Tronie – wtrącił się Hancock. – Do wioski można stąd dojechać na skróty.

Godzinę później byli gotowi i kapitan dał rozkaz wymarszu. Jechał pierwszy na swojej wielkiej brązowej klaczy, wyprostowany w siodle niczym prowadzący pospolite ruszenie generał. Za nim toczyły się ciągnięty przez muły wóz Shadwella i Quycke'a, cztery zaprzężone w woły furgony z prowiantem i sprzętem, a dalej gwarzący między sobą wesoło robotnicy, z których wielu trzymało na ramionach kilofy i łopaty. Mimo ponurych legend otaczających cel ich wędrówki w ludziach wyczuwało się ducha przygody.

Konwój zamykał Fairfax. Kiedy May mijała powoli drzwi wejściowe, zobaczył Marthę Hancock stojącą w progu ze skrzyżowanymi na piersi rękami. Wolał na nią nie patrzeć, ale czuł, że przez cały czas śledzi go wzrokiem. Miał wrażenie, że jej wściekłe spojrzenie wypala mu dziurę w plecach, i poczuł ulgę, gdy wjechali do lasu i dom zniknął z pola widzenia.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

Tajemnica plebanii Addicott

Konwój skręcił w drogę prowadzącą w lewo. Tuż za bramą wjazdową Fairfax ściągnął wodze, patrzył przez chwilę, jak się oddalają, a potem, zgodnie ze wskazówkami Hancocka, ruszył w drugą stronę. Biorąc pod uwagę, w jak trudnej znalazł się sytuacji, zdumiewał go własny spokój. Nie miał wątpliwości, że Martha spełni swoją groźbę i poinformuje brata o tym, czego była świadkiem. Złamał poza tym śluby czystości. Jego życie w roli księdza – jedyne życie, jakie sobie kiedykolwiek wyobrażał – dobiegło końca. A jednak wszystkie te katastrofy dawały mu dziwne poczucie swobody: pewne decyzje zapadły poza jego udziałem, z ramion zdjęto mu ciężkie brzemię. W nocy otworzył się przed nim całkiem nowy świat, a teraz, biorąc udział w ekspedycji, miał odkryć następny.

Kołysząc się w siodle, słuchał z zadowoleniem śpiewu ptaków i wdychał przesycone zapachem dzikich ziół powietrze, wilgotne po nocnym deszczu. Błotnisty trakt skręcił, zwęził się i zaczął opadać w dół. Za żywopłotem zobaczył jasne szmaragdowe pastwisko i pasące się na nim owce. Po zboczach wspinał się z kosturem w ręce pasterz z dwoma psami. Widząc księdza, pozdrowił go uniesioną dłonią, a Fairfax pomachał mu w odpowiedzi. Po kilku kolejnych minutach między drzewami ukazała się kwadratowa kościelna wieża z flagą świętego Jerzego, połyskującą niczym wojenny sztandar na tle szarego nieba.

Fairfax podążał dalej drogą i w końcu rozpoznał tyły plebanii z jej sadem, kurnikiem, wybiegiem oraz stajnią. Mijając okno gabinetu Lacy'ego, zerknął przez szybki do mrocznego wnętrza. Zastanawiał się, jak zabierze stamtąd książki. Przy frontowej bramie zsiadł z kłaczy, przywiązał ją do słupka i przeszedł krótką alejką do drzwi. Nie zawracał sobie głowy pukaniem.

Zamiast przerywanej tykaniem zegara ciszy wewnątrz powitały go dobiegające z kuchni odgłosy sprzeczki. Dwie kobiety rozmawiały ze sobą podniesionymi głosami. Było jasne, że go nie usłyszały. W pierwszej chwili poczuł ulgę, że nie będzie musiał znów odpowiadać na dociekliwe pytania pani Budd. Zdecydował, że zanim stawi jej czoło, weźmie z góry swoje rzeczy, i był już w połowie schodów, gdy coś kazało mu się zatrzymać i nadstawić uszu. Kłótnia toczyła się w najlepsze. Nie rozróżniał poszczególnych słów, wyłącznie dwa różne głosy. Jeden należał do pani Budd, drugiego – młodszego i wyższego – nie rozpoznawał.

To było chyba niemożliwe...?

Cicho i z poczuciem winy – bo wcześniej nie miał w zwyczaju nikogo podsłuchiwać, a teraz zdarzało mu się to co najmniej dwa razy dziennie – zszedł na dół po schodach

i ruszył korytarzem. Głosy nagle ucichły – najwyraźniej odkryto jego obecność. Nacisnął klamkę i najpierw uchylił drzwi, a potem otworzył je na oścież.

Pani Budd siedziała przy stole, opierając czoło na dłoniach. Rose stała odwrócona plecami do serwantki, z rozpaloną twarzą i falującymi piersiami. Widząc go, zakryła ręką usta. Jej ciotka podniosła wzrok, jęknęła i opuściła z powrotem głowę.

– Ty mówisz, Rose? – wyjąkał Fairfax. Dziewczyna nadal zakrywała dłonią usta. Jej przyspieszony gniewny oddech przeszedł w stłumiony szloch. – Ależ nie denerwuj się, droga Rose! Cieszę się, słysząc twój głos. To coś cudownego.

Wyciągnął do niej rękę, ale ona wyskoczyła jak z procy, minęła go i wybiegła na korytarz, a potem na zewnątrz. Trzasnęły zamykane frontowe drzwi.

Fairfax wpatrywał się ze zdumieniem w opuszczoną głowę gospodyni.

– O co tu chodzi, pani Budd?

Milczała.

Wysunął krzesło i usiadł naprzeciwko niej. Widział, jak trzęsą jej się wąskie ramiona.

– Może mi to pani wyjaśnić albo nic nie mówić, to zależy od pani – powiedział. – Wróciłem tu tylko po kilka rzeczy i zaraz wyjeżdżam. Wątpię, byśmy się jeszcze kiedykolwiek spotkali. Zapewniam panią, że nikomu o tym nie powiem. – Agnes mruknęła coś pod nosem. – Słucham? – zapytał. – Obawiam się, że musi pani mówić głośniej.

Podniosła w końcu głowę. Jej zażawione i przekrwione oczy przypomniały mu okruchy szkła na poboczu drogi.

– Po co ksiądz tu wrócił? – zapytała gorzkim tonem. – Myślałam, że ksiądz jest nadal w Axford.

– Jechaliśmy przez wrzosowiska, kiedy zaczęła się ulewa, i zdecydowaliśmy, że spędzę noc u kapitana Hancocka. – Fairfax nachylił się do niej bliżej. – A więc ona zawsze mówiła?

Agnes Budd patrzyła na niego wyzywająco jeszcze przez dłuższą chwilę, a potem coś w niej chyba pękło i pokiwała głową.

– Jak udało się wam tak długo wszystkim oszukiwać? – nie mógł uwierzyć Fairfax. – I po co to robiłyście?

– To moja córka – odparła po prostu. – Moja i ojca Lacy’ego.

Zaczęła znów płakać i tym razem nie próbował jej uspokajać. Wiadomość o tym, że Rose jest nieślubnym dzieckiem, niespecjalnie nim wstrząsnęła. Teraz, kiedy Agnes Budd już mu to wyznała, dostrzegł, że było to oczywiste od samego początku. Domyślał się, że w Anglii jest wiele plebanii, w których ukrywano z konieczności podobne sekrety. Ale bajeczka o tym, że Rose nie mówi, wydała mu się dowodem wyjątkowej dwulicowości.

– Nadal nie rozumiem – odezwał się, kiedy gospodyni przestała ronić łzy – jak dziecko mogło przez osiemnaście lat udawać niemowę.

– Nie przez osiemnaście, tylko przez dziesięć lat – odparła, ocierając oczy rękawem.

– Mówiła pani, że Rose była niema od urodzenia.

– Owszem. Tak wszystkim mówiliśmy. – Agnes Budd westchnęła, pokręciła głową i po kilku delikatnych zachętach z jego strony zaczęła opowiadać swoją historię, z początku z wahaniem, lecz potem całkiem składnie, jakby czuła ulgę, mogąc w końcu wyznać prawdę. – Wyszłam za mąż za pewnego mężczyznę w Nethercombe. Kiedy umarł, zatrudniłam się na plebanii u ojca Lacy’ego... Którejś nocy pleban przyszedł do mnie do łóżka... Wiedziałam, że to grzech, ale byłam samotną młodą wdową i potrzebowałam kogoś bliskiego... Kiedy okazało się, że jestem w ciąży, wróciłam do Nethercombe, do siostry i jej męża, i spędziłam cały ten okres w ich chacie. Sami nie mieli dzieci, więc chętnie zgodzili się wziąć Rose i udawać, że to ich córka... Często ją odwiedzałam... myślała, że jestem jej ciotką... ale pewnego dnia usłyszała, jak rozmawiam z siostrą, i dowiedziała się prawdy. Kiedy febra zabrała moją siostrę i jej męża, ubłagałam Toma... to znaczy ojca Lacy’ego... żeby wziąć małą. Z początku nie chciał o tym słyszeć, mówił, że wszystko wyjdzie na jaw i straci źródło utrzymania. W końcu się zgodził, pod warunkiem że za jego życia Rose nigdy nie odezwie się do nikogo w wiosce.

– Ale kontynuowanie tak długo tego oszustwa wydaje się czymś niemożliwym.

– Och, nie było to takie trudne, jak się księdzu wydaje. Rose jest z natury nieśmiała. Poza tym po przyjeździe tutaj gorączkowała i nikt z wioski się do niej nie zbliżał, żeby się nie zarazić. Przez rok nie wychodziła z domu. Z nikim się nie zaprzyjaźniła. Z czasem przestała mówić nawet na plebanii.

– I wszystko dlatego, że ojciec Lacy nie chciał opuścić tego miejsca. – Okrucieństwo tego czynu nie mieściło mu się w głowie. Kolejny raz ujrzał w nowym świetle postać starego plebana.

– Tak. Te jego wykopaliska były dla niego zawsze ważniejsze niż cokolwiek innego... bardziej niż my... i pewnie bardziej niż sam Pan Bóg. Mówił, że jeśli chodzi o przedmioty z antycznych czasów, na całej ziemi nie ma drugiego takiego miejsca. Nie wyobrażał sobie, żeby odebrano mu dochody i kazano żyć w innym miejscu.

– A teraz, kiedy on nie żyje, domyślałam się, że Rose nie chce dłużej uchodzić za niemowę. Kobieta posłała mu oskarżycielskie spojrzenie.

– To obecność księdza tak ją odmieniła.

– Moja obecność?

– Mówiłam już o tym wcześniej... zawrócił jej ksiądz w głowie.

– Cóż, naprawdę mi przykro, jeśli wytrąciłem ją z równowagi, ale teraz będzie mogła przynajmniej przestać udawać. Jestem pewien, pani Budd, że wielu kawalerów będzie starało się o jej rękę. Obu wam nie stanie się krzywda.

Agnes Budd nie była tego taka pewna.

– Tylko gdzie my się podziemy?

– Dlaczego miałybyście stąd odchodzić? Nowy pleban będzie na pewno potrzebował gospodyni. Może pani też zająć się tkactwem jak inne kobiety.

– A co będzie, jeśli po tylu latach spędzonych w milczeniu Rose zacznie się odzywać do ludzi z wioski?

– Zdarza się, że ktoś traci mowę, gdy dotknie go nieszczęście. Dlaczego nie miałyby być odwrotnie?

– Ludzie w to nie uwierzą!

– Zdziwiłaby się pani, w co potrafią uwierzyć ludzie.

– I będzie nadal utrzymywać, że jest moją siostrzenicą?

– Nie, powinna powiedzieć prawdę.

– Ale to przecież hańba!

– Jaka hańba? – Przez chwilę korciło go, by wyznać jej własny grzech. – Nic, co uczyniła Rose, nie okryło jej hańbą w oczach Boga.

Rozejrzył się po schludnej nieskazitelnej kuchni – z paleniskiem, na którym gotowała się w czajniku woda, wiszącymi na hakach miedzianymi garnkami, prostymi białymi talerzami w serwantce, kredensem i drzwiami z nowym ciężkim zamkiem. Trudno było mu sobie wyobrazić, jak wyglądało tutaj życie.

– Muszę już iść – powiedział, wstając. Ona zrobiła to samo, po czym wygładziła spódnice i wyprostowała ramiona. Moment słabości minął. Wyraźnie chciała się go jak najszybciej pozbyć. Z pewnością da sobie radę, pomyślał. – Zastanawiałem się, pani Budd, czy mogę prosić panią o przysługę. Chodzi o książki z gabinetu ojca Lacy’ego... nie te religijne, ale inne, dotyczące starożytnych... Trzymanie ich w domu nie jest zbyt rozropne. Są zakazane przez prawo. Chciałbym je zabrać, jeśli można.

Nie wahala się ani chwili.

– Dobrze, niech ksiądz je weźmie... i co tylko jeszcze ksiądz chce. Ściągnęły na niego same kłopoty. Na niego i na nas. Bóg mi świadkiem, wolałabym ich nigdy nie widzieć na oczy.

* * *

Przyniosła mu jutowy worek i załadował do niego dziewiętnaście tomów *Protokołów i dokumentów Towarzystwa Antykwarycznego*. Dorzucił do nich masywny tom *Antiquis Anglia* Shadwella oraz różne inne książki o artefaktach i inskrypcjach, aż w końcu uznał, że zebrał je wszystkie. W bagażach jednej osoby wydawało się to niebezpiecznym nagromadzeniem herezji. Jeśli nie zachowa ostrożności, wypalą mu literę H na czole.

Z biurka zabrał scyzoryk i teleskop, a potem stanął przed serwantką z jej kolekcją monet, plastikowych słomek i butelek oraz pozbawioną oczu plastikową lalką – pamiątkami trwającej całe życie obsesji. Po krótkim wahaniu zabrał stamtąd lśniąca czarne urządzenie z symbolem nadgryzionego jabłka i wsunął je do wewnętrznej kieszeni sutanny. Na górze jego torba była już spakowana i leżała na łóżku. Kiedy zszedł na dół do frontowych drzwi, po Agnes Budd nie było ani śladu. Chciał zapytać ją, gdzie może znaleźć

wino i hostię. Musiały być w kościele. Pamiętał, że widział je gdzieś w zakrystii, kiedy Keefer szukał kościelnych ksiąg.

Związał razem torbę i worek i przymocował je do siodła, a potem poprowadził May błotnistą alejką do bramy cmentarza. Zbierało się na kolejną burzę. Żadna z kobiet w chatach naprzeciwko nie siedziała na przyzbie i nie przędła. Wioska wydawała się opuszczona. Przywiązał klacz do żelaznego kółka, otworzył furtkę, przeszedł obok grobu ojca Lacy'ego – nadal nieoznaczonego nawet prowizorycznym krzyżem – i wspiął się na ganek.

Kościół nie był zamknięty. Przy ścianach migotały płomyki. Keefer musiał tu zejść wcześniej i zapalić wotywnie świece. Fairfax zatrzymał się pośrodku nawy. Poza tym, że niektórych posągów nie sposób było rozpoznać, kościół Świętego Jerzego nie wyróżniał się niczym szczególnym. Mimo to po raz kolejny miał wrażenie, jakby widział wszystko po raz pierwszy, odmienione przez historię, o której nie przestawał myśleć. Shadwell mówił, że dla tych, którzy przeżyli Apokalipsę, kościoły stały się głównym miejscem schronienia. Próbował wyobrazić ich sobie, tłoczących się przed ołtarzem – oszołomionych tym, jak potoczyło się ich życie. Córka Morgensterna brała tutaj ślub. Może profesor był wierzący? W zimnym szarym wnętrzu zaroilo się nagle od duchów – ich obecność wyczuwał zaledwie przez okamgnienie, ale zanim zdążył pojąć, co się dzieje, wszystkie zniknęły.

Skłonił głowę przed ołtarzem, przeżegnał się i ruszył szybkim krokiem do zakrystii. Uklęknął przed szafką i między świecami i modlitewnikami znalazł w końcu butelkę z winem i mały słoik z hostią. Chwilę później wyszedł z kościoła i zamknął za sobą drzwi. Dopiero po zejściu z ganku zauważył szczupłą postać stojącą przy kopczyku nad grobem ojca Lacy'ego i wzdrygnął się na ten widok.

– Rose! – zawołał. – Zaskoczyłaś mnie! – Patrzyła na niego, nie ruszając się z miejsca. Czuł się jak złodziej, z butelką w jednej i słoikiem w drugiej ręce. – Muszę już jechać – dodał, podnosząc je, jakby to cokolwiek tłumaczyło. – Pożegnasz się ze mną, zanim odjadę? Powiniennem usłyszeć, jak mówisz.

Rozejrzała się, by sprawdzić, czy nikt ich nie podsłuchuje. Jej głos, kiedy się w końcu odezwała, nie różnił się od szeptu.

– Już cię nie zobaczę? – spytała.

– Nie. Obawiam się, że tu nie wrócę. Ale dziękuję ci serdecznie za wszystko, co dla mnie zrobiłaś. Nigdy cię nie zapomnę. – Zrobił krok w jej stronę. – Musisz mówić, Rose. Bóg dał ci głos. Używaj go.

– Ale ja chcę mówić tylko do ciebie!

Spojrzał na nią. Jakim nieopierzonym głupcem się okazał, zwodząc ją w sposób, który wydawał mu się niewinnym flirtem. Wyrzucał sobie gorzko własną bezmyślność.

– Przepraszam. To niemożliwe. Niech cię Bóg błogosławi – powiedział, po czym odwrócił się i ruszył ścieżką.

– Nie chcesz, żebym opowiedziała ci o nieznajomym, który tu przyjechał?! – zawołała za nim.

Zatrzymał się w pół kroku. W chatach po drugiej stronie drogi nadal nie widać było śladu życia. Obrócił się na pięcie i wrócił do dziewczyny.

– A cóż to był za nieznajomy?

– Myślałam, że tak ci spieszo wyjechać. – W jej głosie, choć tak rzadko go używała, słychać było wyraźny sarkazm.

– Mówisz o człowieku, którego widziałas w wiosce tego ranka, kiedy zginął twój ojciec?

– Nazywasz go moim ojcem – mruknęła z goryczą, zerkając na kopczyk ziemi. – Za życia nigdy tak o sobie nie mówił.

– Musisz mi powiedzieć, co widziałas, Rose. To bardzo ważne.

– Nie, nie chcę cię zatrzymywać...

Sfrustrowany, przecesał palcami włosy, z trudem opanowując niecierpliwość.

– To prawda, był twoim ojcem. Masz wszelkie powody się gniewać. Ale teraz nie jest na to odpowiednia pora. Wierz mi, jego śmierć wyglądała zupełnie inaczej, niż myślimy. Musisz mi opowiedzieć o tym nieznajomym. Jak się zachowywał? Był wysoki? Stary? Młody?

Jego nagły ton najwyraźniej ją zaskoczył. Zmarszczyła brwi, po czym podniosła dłoń wysoko nad głowę. Nadal chętnie komunikowała się za pomocą gestów.

– Wysoki – powiedziała i rozpostarła ramiona. – I postawny.

– Gruby?

– Nie. Nie gruby. Duży.

– W jakim wieku?

– Gdzieś pośrodku między tobą i moim ojcem.

– Gdzie go widziałas?

Wskazała za siebie.

– Przy drzwiach kościoła. Rozmawiał z moim ojcem.

– Słyszałaś, co mówili? – Rose pokręciła głową. – Kłócili się ze sobą?

– Nie.

– Jak długo rozmawiali? – Wzruszyła ramionami. Poczł, że znów rośnie w nim irytacja.

– Zastanów się, Rose. Musiałaś zauważyć coś więcej. Jak to się skończyło? Kto pierwszy odszedł?

– Mój ojciec wszedł z powrotem do kościoła. Mężczyzna wrócił tą ścieżką do swojego muła.

– Dosiadał muła?

– Wyglądało to całkiem zabawnie: taki wielki mężczyzna na mule. – Wbrew wszystkiemu uśmiechnęła się na to wspomnienie. – O mało nie złamał grzbietu biednemu zwierzęciu. – Spojrzała ponownie na grób, a potem na Fairfaxa. – Myślisz, że ten człowiek przyczynił się do śmierci mojego ojca?

– Niewykluczone.

Rose przygryzła wargę.

– W takim razie musisz na siebie uważać.

– Będę uważać. Nie martw się o mnie.

Nagle skoczyła do przodu i pocałowała go lekko w policzek. Zaczerwienił się tak samo jak ona.

– Do widzenia, Rose. – Skinął jej głową, uśmiechnął się i odszedł. Tym razem się nie obejrzał.

Wyjeżdżając z wioski drogą, którą przybył tu godzinę wcześniej, miał w głowie zamęt. Nie mógł bowiem nie spostrzec, że opisany przez Rose nieznajomy bardzo przypomina pana Quayke'a – jedyne poza Shadwellem mężczyznę, którego widział w tej okolicy i który dosiadał muła.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

Pan Quycke wyjaśnia zagadkę

Zbliżało się południe, gdy młody ksiądz dołączył w końcu do innych, którzy parę godzin wcześniej skręcili z traktu w las i dojechali wozami tam, dokąd poprzedniego wieczoru Hancock zaprowadził Fairfaxa, Sarah, Shadwella i Quycke'a i skąd nad wierzchołkami drzew widać było Czarci Tron. Wozy były rozładowywane, muły pomagały transportować narzędzia i namioty na szczyt wzgórza. Kilkunastu dźwigających sprzęt mężczyzn wspinało się po zboczu, inni schodzili w dół z pustymi rękami po kolejny ładunek. Mijającego wozy Fairfaxa uderzyło to, jak szybko i w jakim milczeniu wszystko robili. Żaden z nich się nie odzywał. Teraz, kiedy zdawali sobie sprawę, jakie czeka ich zadanie, wcześniejszy pogodny nastrój szybko się ulotnił. Najwyraźniej chcieli wykonać robotę, zarobić pieniądze i jak najprędzej się stąd wynieść.

Przywiązał May do gałęzi w pobliżu wołów. Tuż obok stała klacz Hancocka. Poszycie lasu skubał jeszcze jeden uwiązany nieopodal koń. To była klacz, która zrzuciła z siodła lady Durston. A więc Sarah była tutaj! Poczul, jak żołądek podchodzi mu do gardła. Zdjął z siodła torbę i worek, zarzucił je sobie na szyję, podkasał sutannę, zacisnął pas i ruszył różnym krokiem pod górę.

Nocny deszcz rozmiękczył ziemię. Buty zapadały mu się w błoto i ciężko było je z niego wyciągać. Sznurek, którym obwiązał torbę i worek, wrzynał mu się w szyję, a jedna z książek – podejrzewał, że była to *Antiquis Anglia* Shadwella – wbijała mu się w plecy niczym nóż. Niektórzy ze schodzących mężczyzn rzucali mu ukradkowe spojrzenia, lecz on patrzył prosto przed siebie i wspinał się dalej. W końcu dotarł do grzbietu wzgórza, ściągnął z karku swoje brzemie i opierając dłonie na kolanach, pochylił się, by złapać oddech. Na płaskim terenie poniżej rozbijano już dwa namioty. Brzęk wbijanych w ziemię metalowych śledzi rozchodził się echem po naturalnym amfiteatrze. Rozpalono ognisko; w stojącym powietrzu dym unosił się prosto do góry. A nad tym wszystkim górowała wieża – złowroga, niedostępna w swoim całunie z bluszczu, gardząca całą tą krzątaniną, która zakłócała jej spokój.

Fairfax zarzucił ponownie na kark swoje brzemie i zaczął schodzić. Po zboczu wspinał się w jego kierunku szereg mężczyzn. Za nimi zobaczył kilka grup ludzi i kiedy się zbliżył, rozpoznał stojącego przy jednym z namiotów Hancocka, który żywo gestykułując, rozmawiał z Keeferem. Trochę dalej stał Shadwell, podpierając się pod boki i przyglądając masowemu grobowi, a obok niego Quycke. Zauważył Sarah, dopiero gdy pojawiła się tuż obok. Wyszła zza wieży, trzymając na ramieniu łopatę, ubrana w męski strój, który miała

na sobie, kiedy zastał ją w ogrodzie – wsuniętą w bryczesy białą koszulę i wysokie buty. Włosy związała i schowała pod czapkę.

Zatrzymała się i grzecznie ukloniła, jakby pozdrawiała po prostu przechodzącego ulicą księdza.

– Dzień dobry, ojciec Fairfax.

– Lady Durston. Nie poznałem pani w roboczym ubraniu – powiedział, odwzajemniając jej ukłon.

– A co miałam włożyć? Suknię balową? – Zdjęła z ramienia łopatę i oparła się na niej. – Ma ksiądz zmartwioną minę – dodała trochę ciszej, ale tak, jakby nadal chciała się z nim droczyć. – O co chodzi? Powiedz: masz mi za złe, że sprowadziłam cię na złą drogę?

Nie było sensu dłużej tego ukrywać.

– Martha Hancock widziała w nocy, jak wchodzisz do mojego pokoju.

Po jej beztrące nie zostało ani śladu. Odchyliła się do tyłu, wykrzywiając usta w pogardliwym grymasie.

– Ta jędza!

– Zagroziła, że powie wszystko bratu, jeśli nie zerwiesz z nim przed północą.

– Dobrze, niech mu powie. Oszczędzi mi fatygi. – Nagle zmarszczyła brwi i uderzyła kilka razy ostrzem łopaty o ziemię. – A może wolałbyś, żebym wszystkiemu zaprzeczyła? Z nas dwojga ty masz więcej do stracenia.

– Nie. Prawda musi wyjść na jaw – odparł bez wahania.

– Wiesz, że on może zareagować w gwałtowny sposób?

– Bardziej boję się gniewu Boga niż kapitana Hancocka. – Fairfax zerknął w stronę kapitana, który bacznie im się przypatrywał i widząc, że ksiądz go zauważył, ruszył różnym krokiem w ich kierunku. – Uważaj. Idzie do nas.

– Powiem mu, ale jeszcze nie teraz – szepnęła cicho. – Poczekam na odpowiedni moment.

– A wy dwoje jak zwykle Igniecie do siebie. – Hancock podszedł do nich i stanął na szeroko rozstawionych nogach. – Mogę włączyć się do rozmowy?

– Powtarzałem lady Durston, czego dowiedziałem się dziś w wiosce – powiedział Fairfax.

– To znaczy?

– Pamięta pan, że kiedy rozmawialiśmy w gospodzie Pod Łabędziem, wspomniałem, że ojciec Lacy ukrył kościelne księgi w stajni na plebanii.

– Pamiętam.

– Powziął takie środki bezpieczeństwa rankiem, w dniu swojej śmierci, po wizycie nieznanego. Dziś dowiedziałem się, że ów nieznanomy wyraźnie przypominał z wyglądu pana Quycke'a i podobnie jak on dosiadał muła.

– I co z tego?

– Dlaczego pan Quycke nigdy nie wspomniał o tym spotkaniu?

– I dlaczego jego wizyta skłoniła ojca Lacy’ego do ukrycia ksiąg? – dodała Sarah, przejmując pałeczkę od Fairfaxa.

Hancock przyglądał się przez chwilę to jej, to jemu.

– No cóż, można to szybko ustalić. Zapytajmy go – zaproponował i ruszył w kierunku miejsca, w którym kopali poprzedniego dnia.

Shadwell podniósł właśnie jedną z czaszek do światła i pokazywał na niej różne ślady. Quyce trzymał w ręce szkicownik i ją rysował. Nikt im nie towarzyszył – Fairfax domyślił się, że ludzie Hancocka omijają grób szerokim łukiem. Wymienił za plecami kapitana szybkie spojrzenie z Sarah.

– Panie Quyce, jeśli łaska! – zawołał Hancock, kiedy miał do niego jeszcze kilkanaście kroków. – Czy mógłby pan nam odpowiedzieć na pewne pytanie?

Quyce przestał rysować.

– Ależ oczywiście, kapitanie, jeśli tylko zdołam.

– Czy spotkał się pan z ojcem Lacym w Addicott St George w dniu, kiedy poniósł on śmierć w wyniku upadku?

– Owszem, kapitanie – odparł z niewinną miną Quyce. – I co z tego?

– Dlaczego nie wspomniał pan o tym wcześniej?

– Czyżbym o tym nie mówił?

– Nie, mój panie. Z pewnością bym to zapamiętał – wtrącił Fairfax, po czym położył na ziemi swoje bagaże i skrzyżował ręce na piersi.

– Cóż, widać nie przywiązywałem do tego większego znaczenia. Tamtego dnia z samego rana pojechałem na mule z Axford do Addicott St George, żeby przygotować spotkanie ojca Lacy’ego i doktora Shadwella. Ze względu na szwankujące zdrowie doktora nie wydawało się wskazane, by sam odbył tę podróż.

– I umówił pan to spotkanie?

– Owszem, ustaliliśmy, że następnego dnia ojciec Lacy zje z nami śniadanie w gospodzie Pod Łabędziem. Czekaliśmy na niego, ale się nie pojawił, a nazajutrz... to był chyba czwartek... dotarła do nas wiadomość o jego tragicznej śmierci.

– Pan również tak to zapamiętał, doktorze? – zapytał Hancock.

Shadwell, który wciąż badał czaszkę, zerknął na Fairfaxa.

– Tak – odparł poirytowany tym, że ktoś mu przeszkadza.

– Pańska rozmowa z ojcem Lacym toczyła się w przyjaznej atmosferze? – zapytał Fairfax, zwracając się ponownie do Quyce’a.

– Oczywiście.

– Czy nie wydawał się czymś skrzepowany?

– Nie.

– Zastanawiam się w takim razie, dlaczego zadał sobie tyle trudu i zaraz po pańskim odjeździe ukrył kościelne księgi.

Quycke rozłożył ręce – zdaniem Fairfaxa zdecydowanie przesadnym gestem, jakby był występującym na scenie aktorem, który chce przekonać wszystkich o swojej szczerości.

– Któż to może wiedzieć? Może zrobił to z konspiracyjnego nawyku, wiedząc, jak surowo prawo traktuje antykwariuszy. Albo żeby się zabezpieczyć, zważywszy, co spodziewał się znaleźć. Mogę tylko powiedzieć, że bardzo cieszył się na spotkanie z doktorem Shadwellem i był mu niezmiernie wdzięczny za to, że przejechał szmat drogi z Wiltshire do Axford, żeby się z nim spotkać.

– Był pan zatem ostatnią osobą, która widziała go żywego. Czy wspominał, że ma zamiar odwiedzić Czarci Tron?

– Nie.

– Czy po umówieniu spotkania wrócił pan od razu do gospody?

– Tak jest.

– Pan też tak to zapamiętał, panie Shadwell?

Stary uczony westchnął i opuścił rękę, w której trzymał czaszkę.

– Oliver wrócił do gospody przed zmierzchem. Nie mogę podać dokładnej godziny. Chciałbym wiedzieć, dlaczego wypytujecie go w ten sposób? Czy kryje się za tym sugestia, że mógł maczać palce w śmierci Lacy’ego? Jeśli tak, możecie kopać dalej sami. Wolę trafić wcześniej do więzienia niż wysłuchiwać takich bredni.

– W żadnym razie – zapewnił go szybko Hancock, wykrzywając usta w ponurym uśmiechu. – Pytania nasunęły nam się wyłącznie dlatego, że pan Quayce, z pewnością wskutek roztargnienia, zapomniał poinformować nas o odwiedzinach, jakie złożył ojcu Lacy’emu. Ale wszelkie wątpliwości w tej kwestii zostały już wyjaśnione, prawda, Fairfax? – dodał, rzucając księdzu znaczące spojrzenie. Ten, choć nie do końca przekonany, pokiwał głową. – Świetnie. Nie będziemy o tym więcej mówić – uciął dalsze dyskusje Hancock. – Wróćmy do tego, co nas w tej chwili interesuje. Spędził pan sporo czasu, badając czaszkę tego biedaka! – zagadnął uczonego.

– Należała do kobiety – uściślił Shadwell. – I ma pan rację: dokładnie ją zbadałem, bo nie zginęła naturalną śmiercią. Widzi pan? – Włożył mały palec w idealnie okrągły otwór z tyłu czaszki. – Wczoraj w półmroku tego nie zauważyłem. Albo ktoś wywiercił tę dziurę *post mortem*, albo, co bardziej prawdopodobne, kobieta została zabita strzałem w tył głowy. To tłumaczyłoby również uszkodzenia oczodołu, przez który kula wyszła z czaszki. Widziałem już takie rany.

Wyciągnął w ich stronę czaszkę. W środku niczym robak wił się jego biały mały palec. Fairfax poczuł, jak żółć podchodzi mu do gardła.

– Biedaczka... zamordowano ją w takim miejscu – szepnęła Sarah.

– Lepiej nie mówić o tym ludziom – ostrzegł Hancock. – I tak już trzęsą portkami.

– Tego rodzaju zabójstwa nie były oczywiście w tamtym czasie rzadkością – podjął Shadwell. – Być może oddaliła się za bardzo od swoich i została zamordowana, a potem odnaleziona, przewieziona tutaj i pochowana. Albo była bardzo chora i oszczędzono jej

w ten sposób cierpień. Dalsze wykopaliska pozwolą nam być może poznać odpowiedź. – Nagle przerwał i spojrzał na worek Fairfaxes. – Widzę, że dotrzymał ojciec obietnicy i przywiózł mi książki.

– Tak, doktorze. Wszystkie, które zdołałem znaleźć.

Shadwell odłożył czaszkę na ziemię i nie odrywając wzroku od księdza, patrzył, jak ten rozwiązuje węzeł i otwiera worek. Przyłożył dłoń do ust, jakby chciał opanować podniecenie, a potem wyciągnął rękę do Fairfaxes. Ten wyjął z worka i podał mu jeden z tomów *Protokołów i dokumentów Towarzystwa Antykwarycznego*. Starszy mężczyzna ucałował jego okładkę i pokazał go Quycyke'owi, jakby nie mógł uwierzyć, że ocalał jakiś egzemplarz. Drżącymi rękami zaczął przewracać kartki. Żaden ojciec, pomyślał Fairfax, nie ścisnął tak czule utraconego przed laty dziecka, jak Shadwell obejmował tę książkę. Ale kiedy ją kartkował, wyraz zachwytu na twarzy uczonego ustąpił zaskoczeniu. W końcu zdjął okulary i przysunął stronę do oczu. Gdy ją odsunął, na jego twarzy malowało się skrajne zdumienie.

– To jest moja książka! – oświadczył.

– Oczywiście – potwierdził Fairfax. – To pan ją wydał.

– Nie, mój panie, to książka, która do mnie należała. Pochodzi z mojej własnej biblioteki. Te zapiski wyszły spod mojej ręki. Czyż nie mam racji, Oliverze?

Podał tom Quycyke'owi, a ten pokiwał głową.

– Wszystkie zapiski na marginesach są autorstwa doktora Shadwella – powiedział.

– Sądziłem, że pozostawił je ojciec Lacy – przyznał Fairfax.

– Nie. Będzie pan tak łaskaw? – Shadwell rozprostował kościste palce, domagając się kolejnego tomu. Fairfax pogrzebał w worku i wyciągnął *Antiquis Anglia*. Shadwell oparł ciężką księgę w zagięciu łokcia i szybko ją przekartkował. – Tak samo! Tu... widzi pan? I tutaj! – Podniósł głowę i zaczął wodzić dokoła rozgorączkowanym wzrokiem. – Biskup Pole powiedział, że moje książki spalono na publicznym placu, ale to było kłamstwo. Musiał je spakować i odesłać ojcu Lacy'emu.

– Wydawało mi się dziwne, że wiejski pleban ma w posiadaniu taką kolekcję – przyznał Fairfax. Im dłużej się nad tym zastanawiał, tym bardziej wprawiało go to w konfuzję. – Ale dlaczego biskup miałby zrobić coś takiego? Musiał świetnie znać ojca Lacy'ego, żeby do tego stopnia mu zaufać. Studiowali razem w seminarium. Łączyła ich chyba jakaś więź.

Shadwell nie posiadał się z radości.

– Czyż nie jest to potwierdzenie tego, co mówiłem wczoraj wieczorem o biskupie, panie Fairfax? Kiedy kazał mnie aresztować, spróbował zakazanego owocu i w nim zasmakował. Najwyraźniej nie mógł się rozstać z tym heretyckim księgozbiorem. Ale zamiast trzymać go w katedrze, gdzie ktoś mógł go zobaczyć, wolał odesłać go daleko, na plebanię mało znanego księdza.

Hancock przysłuchiwał się temu z rosnącym zniecierpliwieniem, jak zawsze, gdy czuł się wyłączony z rozmowy.

– Jakie to ma znaczenie? – prychnął w końcu. – Jak większość klechów biskup Pole jest hipokrytą. Przyznaje sobie prawo korzystania z wszelkiego rodzaju przyjemności, których odmawia innym, udając pobożnego. Ale nie mamy czasu, by to roztrząsać. Chciał pan dostać te książki, panie Shadwell, a teraz, skoro do pana wróciły, powinniśmy zacząć kopać. Niech pan nam powie, gdzie zacząć.

Kiedy z niższego obozu przeniesione zostały wszystkie zapasy i sprzęt, Hancock zebrał ludzi u stóp wieży. Fairfax miał wrażenie, że jest ich mniej, niż kiedy wyruszali. Tych najbardziej przesądnych wystraszył chyba widok odsłoniętych grobów i wrócili cichaczem do wioski, gdzie już w tej chwili opowiadali pewnie niestworzone historie o tym, co zobaczyli. Do zachodu słońca o wyprawie dowie się cała dolina. I co wtedy? Nie uległo wątpliwości, że ich ekspedycja jest skazana na zgubę podobnie jak on sam i Sarah. Zauważyła, że na nią patrzy, i uśmiechnęła się. Odwzajemnił uśmiech, starając się dodać jej odwagi, lecz w głębi duszy próbował już obmyślić dla nich jakiś plan ucieczki.

– Posłuchajcie mnie, ludzie – odezwał się Hancock. – Ten dżentelmen to doktor Nicholas Shadwell, najznakomitszy uczony badający świat starożytnych, a to jest jego sekretarz, pan Quayce. Mają wielkie doświadczenie w tych sprawach i będą kierowali naszymi pracami. Może pan dać nam instrukcje, doktorze Shadwell?

Uczony stanął obok niego.

– Dziękuję, kapitanie Hancock. – Miał świszczący głos. – Po pierwsze, gratuluje wszystkim, że się tu znaleźliście. To ekspedycja naukowa o niezwyklej wadze i jestem przekonany, że pewnego dnia będziecie mogli z dumą opowiadać swoim dzieciom i wnukom o pracy, jaką tu dziś wykonaliście.

Wysiłek, jakiego wymagało przemawianie do kilkudziesięciu mężczyzn, zaszkodził chyba jego płucom, podobnie jak to się stało w budynku giełdy zbożowej. Świst przeszedł w kaszel, kaszel w konwulsje. Nagle zgiął się wpool, jakby ktoś uderzył go w brzuch, i zaczął szukać w rękawie chusteczki. Po chwili wyciągnął ją i odpluł krew. Quayce wziął go pod ramię. Robotnicy spoglądali niepewnie jeden na drugiego. Musiała minąć co najmniej minuta, zanim Shadwell był w stanie kontynuować, i mówił tak rzęzącym głosem, że trzeba było podejść bliżej, by go usłyszeć.

– Zapytacie pewnie, czemu służyła ta wieża. Nie potrafię wam na to odpowiedzieć. Jej funkcja ginie w pomroce dziejów. Ale zaręczam, że gdzieś tutaj pod ziemią znajduje się inna konstrukcja i naszym zadaniem będzie dokopać się do niej i ją odsłonić. Widzę, że są was trzy tuziny, więc mój plan jest następujący: podzielicie się na cztery drużyny po dziewięć osób i wykopiecie cztery rowy odchodzące od wieży na północ, południe, wschód i zachód. Każdy rów powinien mieć dwa kroki szerokości i trzydzieści kroków długości. Na głębokości sześciu stóp musi być oszalowany deskami, żeby się nie zawalił. I jeszcze jedno. Podczas kopania możecie trafić na różne artefakty. W takim wypadku pošlijcie po mnie albo pana Quayce'a, żebyśmy mogli opisać te przedmioty i miejsca, w których zostały znalezione. Następnie zabierzemy je stąd i ułożymy, biorąc pod uwagę, po której stronie

wieży się znajdowały, dzięki temu będziemy mogli obaj ocenić, jak wyglądała osada i gdzie kopać dalej.

Przemowę przerwał kolejny atak kaszlu. Hancock przyglądał się przez chwilę Shadwellowi z mieszaniną troski i niesmaku, po czym sam zwrócił się do ludzi:

– Podzielcie się na dziewięcioosobowe grupy i wybierzcie, gdzie będziecie kopali. Ojcie Fairfax, czy mógłby ojciec tu podejść i pobłogosławić nasze zbożne dzieło?

– Oczywiście. – Była to ostatnia rzecz, jaką Fairfax miał ochotę zrobić. Ludzie rozstąpili się, by go przepuścić. – Módlmy się. – Spodziewał się, że pochylą tylko głowy, ale ku jego zaskoczeniu uklękli; zrobili to również Hancock, Sarah, Quycke, a nawet, z pewnym trudem, Shadwell. Panującą wokół Czarciego Tronu ciszę zakłócał tylko szumiący w gałęziach drzew wiatr. To miejsce miało w sobie coś nadprzyrodzonego.

Spoglądając na pochylone głowy, poszukał w pamięci odpowiednich słów z *Modlitewnika powszechnego* i nagle je odnalazł, zupełnie jakby Duch Święty nawiedził jego grzeszną duszę.

– *O Panie, który z natury swej zawsze wybaczasz i okazujesz łaskę, przyjmij nasze pokorne błagania; i choć przygniata nas do ziemi jarzmo naszych grzechów, uwolnij nas od niego w swojej szczodrości i miłosierdziu; ku chwale Jezusa Chrystusa, Naszego Rozjemcy i obrońcy. Amen.*

– Amen.

Później, kiedy ludzie podzielili się na drużyny i pobrali narzędzia, Hancock wziął Fairfaxa na bok.

– Piękną ksiądz odmówił modlitwę.

– Dziękuję.

– Im bardziej uda nam się ich przekonać, że realizujemy Bożą wolę, tym więcej ich tu zostanie. Oceniam, że dziesięciu już dało nogę. Co sądzi ksiądz o historyjce Quycke’a?

– Nie bardzo mnie przekonał.

– Mnie też nie. Wie ksiądz, że wyczuwam na odległość kłamców? Na mój gust jest w nim za dużo z kobiety... mimo że to wielki i raczej silny mężczyzna. Powinniśmy mieć na oku sekretarza Shadwella.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

W którym zaczyna się kopanie

Keefer kierował drużyną, która miała wykopać rów po zachodniej stronie wieży. Fairfax dołączył do nich. Zakrystian uśmiechnął się kpiąco na widok zgłaszającego się do pracy duchownego.

– Ręce księdza są białe i miękkie.

– Pracowałem sporo w katedralnym ogrodzie, panie Keefer.

– W ogrodzie? Praca tutaj jest o wiele cięższa niż w ogrodzie!

Kilku mężczyzn wybuchło śmiechem.

– Wiem o tym, ale nie chcę się od niej uchylać – odparł Fairfax, zakasując rękawy. – Nasz Zbawiciel pracował w pocie czoła. Jest dla mnie wzorem.

– To powinno cię przekonać, George! – odezwał się mały chudy jegomość z czyrakiem na policzku, wręczając księdzu maczetę.

Fairfax zabrał się do roboty od razu, jeszcze przed innymi; wycinał zarośla i odciągał na bok splątane gałęzie jeżyn i dzikiego bzu. Robił to z zimną furią, z radością zatracając się w ciężkiej pracy. Jeśli chodziło o jego ręce, Keefer miał oczywiście rację: wkrótce pokryły się krwawymi zadrapaniami.

Szare upalne popołudnie zapowiadało burzę. W ciężkim powietrzu tańczyły chmary muszek. Sutanna Fairfaksa przesiąkła potem. Komary brzęczały mu nad uszami i cięły w kark. Objął ramionami wielką stertę mokrej roślinności, przeniósł ją pięćdziesiąt jardów dalej do wielkiego ogniska i cisnął w płomienie. Przez kłęby dymu widział Sarah Durston, która grabiła liście i gałązki w stronę żarzącego się stosu. *Powiem mu, ale jeszcze nie teraz*, powiedziała. *Poczekam na odpowiedni moment*. Wiatr dmuchnął mu w twarz dymem i zapiekły go oczy. Jego włosy i ubranie cuchnęły kopciem. Otarł twarz rękawem i wrócił do pracy.

Po godzinie, kiedy oczyścili wskazany przez Shadwella odcinek gruntu, Fairfax poszedł tam, gdzie zgromadzili sprzęt, wziął paliki, sznurek i młotek i zaczął wyznaczać linie, wzdłuż których mieli kopać. Zanim skończył, Keefer rozdał wszystkie oskardy i łopaty, a potem wzruszył przepaszając ramionami. Fairfax poszedł szukać wolnego narzędzia.

Inne drużyny też zaczęły kopać. Po Czarcim Tronie niósł się niemal bezustanny brzęk uderzającego w kamień i w ziemię metalu. Hancock pracował w północnym rowie. On także zdjął koszulę. Potężne mięśnie na jego plecach i barkach prężyły się, gdy podnosił oskard lekko niczym laskę. Fairfax zauważył tatuaże na jego ramionach: armatę na jednym i skrzyżowane miecze na drugim.

– Robimy chyba szybkie postępy, kapitanie – powiedział.

– Owszem. – Hancock podniósł oskard. – I ludzie są szczęśliwsi, kiedy mają się czym zająć.

Opuścił po raz kolejny ostrze oskarda z siłą, od której zatrzęsała się ziemia, i wbił je aż po rękojeść.

– Kapitanie! – rozległ się nagle krzyk, gdy zaczął wyciągać narzędzie.

Jeden z mężczyzn kopiących najdalej od wieży podniósł rękę. Hancock rzucił oskard na ziemię i wytarł ręce o spodnie. Fairfax ruszył za nim wzdłuż wykopu. Pół tuzina ludzi wpatrywało się w leżący w ziemi przedmiot. Był to fragment szyby, tylko częściowo odsłonięty. Ale nawet to, co widzieli, miało prawie jard długości i dwie stopy szerokości. Hancock ukląkł i odgarnął z szyby mokrą ziemię.

– Nigdy nie widziałem tak wielkiego fragmentu – przyznał Fairfax. – Sprowadzę Shadwella.

– Czy to konieczne?

– Bardzo na to nalegał.

– Dobrze, niech panu będzie – mruknął Hancock. – Ale proszę mu powiedzieć, żeby się pospieszył. Nie możemy wstrzymywać prac przy każdym odnalezionym kawałku szkła.

– To nie jest jakiś tam kawałek, kapitanie! – zaprotestował mężczyzna, który go odnalazł. – Walnąłem w niego łopatą i nawet się nie zarysował!

Fairfax wspiął się szybko do miejsca, gdzie poprzedniego dnia odkryli ludzkie kości. Nad płytkim wykopem widać było tylko czubek głowy Quycke'a, który na czworakach kopał ziemię rydlem. Na skraju wykopu stało w rzędzie pół tuzina czaszek, jakby nieboszczycy zasiedli razem i oglądali swój grób. Siódmą czaszkę trzymał w ręce Shadwell i przyglądał jej się przez szkło powiększające.

– Doktorze! – zawołał ksiądz.

– Niech pan na to spojrzy, panie Fairfax! – Shadwell pokazał mu czaszkę i wsadził palec w otwór z tyłu, blisko podstawy. – Kolejna ofiara... tym razem mężczyzna. – Wskazał ręką rząd czaszek. – Wszyscy uśmierceni w ten sam sposób. Przyczyną ich śmierci nie były choroby ani głód. To było morderstwo... a właściwie masakra.

Fairfax przeżegnał się.

– Biedaczyska. Niech odpoczywają w pokoju.

– Być może odpoczywają w pokoju, ale w tym, jak stracili życie, nie było nic pokojowego. – Shadwell zerknął w stronę wieży. – W związku z tym mam pewne wątpliwości co do naszych wykopalisk.

– To znaczy?

– Bo jeśli mamy tu do czynienia z masową egzekucją więźniów... a z całą pewnością na to wygląda... to jest bardzo prawdopodobne, że ich sanktuarium zostało splądrowane albo zniszczone przez napastników. To z kolei oznacza, że możemy tu kopać jeszcze przez wiele dni i odkryć same szczątki.

– Tak się składa, że odkryliśmy coś właśnie teraz. To szkło: duża i odporna na stłuczenie tafla. Kapitan Hancock uznał, że pewnie zechce ją pan zobaczyć.

– Oczywiście, jak najbardziej. Oliver, weź pióro i papier.

Kiedy dotarli do północnego rowu, z szyby odgarnięto ziemię i właśnie ją czyszczono. Lekko zakrzywiona, miała prawie sześć stóp długości i ponad dwie szerokości. Szkło było ciężkie, grubości mniej więcej połowy małego palca, i kiedy dwaj mężczyźni podnieśli je, by Shadwell mógł mu się lepiej przyjrzeć, widać było, że jest lekko przyciemnione i ma wtopione wewnątrz delikatne metalowe nitki.

– Tak duże okno musiało się znajdować w jakimś budynku – ocenił Hancock.

Shadwell milczał. Nasunął okulary na czoło, chuchnął na szybę i zaczął wodzić palcami po jej zaparowanej powierzchni, jakby potrafił wywoływać duchy.

– To szkło leżało tutaj przez osiem stuleci, czekając, aż je odkopimy – powiedział cicho.

– Zgadza się, ale jaką pełniło funkcję?

– To przednia szyba jednego z ich mechanicznych pojazdów. Chroniła kierującego przed działaniem żywiołów. Choć pochodzą z zamierzchłych czasów, widziałem, że w Londynie montują je teraz w oknach domów. Szkło jest bardzo mocne.

– Dzięki tym metalowym nitkom? – zapytał Fairfax.

– Nie, moim zdaniem nitki przewodziły elektryczność.

– W jakim celu?

– Żeby, jak sądzą niektórzy, ogrzewać szkło.

– Cóż to za ludzie, którzy używali szkła, by się ogrzewać? – prychnął Hancock.

– Dekadenci – odparł Shadwell. – I to moim zdaniem przyczyniło się do ich klęski, tak jak to się działo zawsze w historii cywilizacji. Rzymianie polegali na niewolnikach, starożytni na nauce. Ich życie stało się zbyt wygodne i ostatecznie okazali się bezradni. – Niechętnie uniósł dłonie znad szkła i nasunął na nos okulary. – Kopiając – zwrócił się do robotników – znajdziecie niechybnie pozostałości tego samego pojazdu: mniejsze kawałki szkła, plastikowe przedmioty, a może jakieś większe zardzewiałe metalowe części. Niewykluczone, że odkryjecie nawet ślady drogi, która tu kiedyś biegła.

– Mam nadzieję, że nie chce pan, żebyśmy wstrzymywali prace przy każdej takiej okazji? – wszedł mu w słowo Hancock.

– Nie, mój panie. Kiedy indziej odpowiedziałbym twierdząco, ale teraz przyświecają nam ważniejsze cele. To znalezisko odpowiednio zabezpieczymy, oznaczając miejsce jego odkrycia. Może nam pan pomóc, panie Fairfax?

Książd ujął szybę z jednej strony, a Quycke z drugiej i przenieśli ją razem do namiotu, w którym zgodnie z żądaniem Shadwella mieli magazynować artefakty. Ustawiono tam na kozłach stół, a doktor rozłożył na nim swoje książki, arkusze papieru, pióro, inkaust i ołówki. Oparli szybę o stół, a doktor starannie opisał znalezisko w wielkiej księdze.

– Widzicie, jak to miejsce zaczyna zdradzać swoje sekrety? – powiedział, podnosząc po chwili wzrok. – Być może wiodła tędy jakaś droga. Pojazd prawdopodobnie porzucono,

kiedy nie można było go naprawić albo zabrakło mu paliwa. A piętnaście albo więcej osób zamordowano z zimną krwią. – Przerwał i zerknął przez uniesioną klapę namiotu na wieżę. – Mógłbym pana ponownie poprosić o pomoc, panie Fairfax? – zapytał.

Wszyscy trzej wyszli z namiotu i podeszli pod samą wieżę. Shadwell, podpierając się pod boki, stanął między północnym i zachodnim rowem i przyjrzał się bacznie powierzchni betonu, a potem zaczął zrywać oplatające go pędy bluszczu.

– Zechciałby pan teraz uklęknąć twarzą do wieży?

Fairfax spełnił jego prośbę i zorientował się, że ma przed sobą linię małych stożkowatych otworów, którymi usiany był ten fragment betonu. Poczuł, jak Shadwell wciska dwa palce w tył jego głowy.

– Tak to się odbyło. Widzisz, Ollie? – Podekscytowany uczoney podniósł głos. – Tu właśnie ustawiono ich w rzędzie i zamordowano jednego po drugim, kulą w łeb. Tak jak myślałem: to była masakra.

Fairfax obrócił się z niepokojem.

– Proszę, doktorze... niech pan mówi ciszej!

Ale było za późno. Kilku mężczyzn w pobliskich rowach już wcześniej przerwało pracę, żeby obserwować tę dziwną rekonstrukcję wydarzeń.

– Masakra?! – zawołał jeden z nich. – Mówicie o jakiejś masakrze?

– Nic podobnego – zapewnił go szybko Fairfax, gramoląc się na nogi. – Doktor Shadwell napomknął tylko o teoretycznej możliwości.

– Ale powiedział „masakra”. Wyraźnie słyszałem to słowo!

– Zgadza się – potwierdził stojący obok kopacz. – Ja też je słyszałem.

Mężczyźni porzucili narzędzia, wyleźli z rowu i podeszli do swoich znajomych pracujących w sąsiednich rowach. Shadwell, nie zwracając w ogóle uwagi na zamieszanie, jakie wywołał, w dalszym ciągu badał beton i dyktował spostrzeżenia sekretarzowi. W miarę jak wiadomość rozchodziła się wśród robotników, odgłosy kopania i piłowania desek stopniowo cichły, aż w końcu zupełnie ustały. Niektórzy z mężczyzn kopających po drugiej stronie wieży podeszli, żeby zobaczyć, co się dzieje. Inni zostali tam, gdzie byli, opierając się na oskardach i łopatach.

Hancock wyskoczył ze swojego rowu i podszedł do nich.

– Cóż to za opowieści o masakrze, panie Shadwell? – zapytał.

Stary uczoney udał, że dziwi go gniewny ton kapitana.

– Taka jest prawda. – Rozejrzał się po wpatrzonych w niego twarzach. – Kim oni są? Mężczyznami czy dziećmi?

– To są mężczyźni, którym od najmłodszych lat powtarzano, że to miejsce jest nawiedzane przez złe duchy.

– W takim razie prawda powinna ich uspokoić. – Shadwell podniósł głos, żeby wszyscy go usłyszeli. – To nie jest sprawka złych duchów, lecz istot ludzkich... ludzi takich jak my.

Na litość boską! Diabły nie strzelają z broni palnej! – Roześmiał się szyderczo i nagle zaniósł się ochrypłym kaszlem.

– Łatwo panu mówić! – zawołał ktoś. – Samżeś już jedną nogą w grobie!

– Powiedziano nam, że będziemy tu odkopywać ukryte w ziemi przedmioty – odezwał się ponownie w imieniu tkaczy Keefer. – Nie było mowy o żadnych trupach i masakrach. Ale popatrzcie wyżej, na ten cmentarz! – Zakrystian złożył ręce jak do modlitwy. – Ta ziemia jest uświęcona krwią zabitych. Nie powinno się zakłócać ich spokoju.

Wśród mężczyzn rozległ się pomruk aprobaty.

– Nie proszę was, żebyście kopali tam, gdzie pochowano zmarłych – oświadczył Hancock. – Niech odpoczywają w pokoju. Czy którykolwiek z was znalazł tutaj choć jedną ludzką kość? – Nikt się nie odezwał. – Dobrze. W takim razie zapomnijcie o tych głupotach i wracajcie do pracy. – Nikt nawet nie drgnął. Kapitan walnął pięścią w wieżę. – Ruszajcie, do jasnej cholery!

– Nie jesteśmy twoimi niewolnikami, Johnie Hancock...

– Oszukałeś nas...

– Ta ziemia należała do mojego męża!

To ostatnie zdanie padło z ust kobiety – co w takim jak to miejscu zabrzmiało tak nieoczekiwanie, że wszyscy odwrócili się w jej stronę. Choć w tym momencie Sarah Durston trudno było akurat odróżnić od mężczyzny. Włosy miała schowane pod czapką, a rękawy zawinięte. Jej piegowate przedramiona i męska biała koszula były pobrudzone kopciem, a spocona twarz lśniła od żaru ogniska.

– Ta ziemia należała do mojego męża – powtórzyła, podchodząc do wieży. – Kopał tu przez wiele lat, szukając skarbu, który mógłby przywrócić splendor naszej rodzinie. Stracił przy tym zdrowie. – Umilkła i rozejrzała się dokoła. – Zналиście wszyscy sir Henry'ego. Był jednym z najlepszych i najdzielniejszych ludzi, jakich nosiła ta ziemia, i ja na przykład nie boję się kopać w tym miejscu, choćby po to, by uczcić jego pamięć.

Powiedziawszy to, zeskoczyła do rowu, odebrała łopatę najbliższemu robotnikowi, wbiła ją raz i drugi w ziemię i cisnęła niezbyt celnie urobek do stojącej nieopodal taczki. Po jakimś czasie, dysząc ciężko, przerwała i spojrzała na otaczających ją ludzi.

– I co? Pozwolicie, żeby harowała za was kobieta?

Zwracała się w szczególności do półnagiego przystojnego młodzieńca, który ze smutnym uśmiechem skinął w odpowiedzi głową, splunął w dłonie, podniósł oskard i opuścił go w dół. Pozostali przez chwilę mu się przyglądali, a potem jeden po drugim zaczęli wracać w milczeniu do swoich rowów. Po kilku minutach zewsząd znowu zaczęły dobiegać odgłosy kopania, bunt został uśmierzony, a Sarah wróciła do swojego ogniska.

* * *

Mijały godziny. Niebo pociemniało. Sterty wykopanej ziemi i kamieni rosły w górę, rowy były coraz głębsze. Zgodnie z sugestią mającego wieloletnie doświadczenie Shadwella kopano je tak, by przypominały rampę, najgłębszą przy samej wieży, dzięki czemu urobek mógł być łatwiej wywożony taczkami.

Fairfax pracował w najniższym fragmencie wykopu, tam gdzie kopać było najtrudniej. Musiał zdjąć sutannę i pracował w samej bieliźnie. Zimna woda zalewała mu buty aż do kostek; każda łopata ociekającej czarnej ziemi była dwukrotnie cięższa. Rąbek szarego nieba nad jego głową wydawał się bardzo odległy i choć boki wykopu były ze względów bezpieczeństwa oszalowane, czuł, jak ziemia napiera na grube deski, i cały czas dręczył go lęk, że zostanie zasypany. Za każdym razem, gdy potraçał go pracujący obok mężczyzna, ksiądz wyobrażał sobie, że leżą pogrzebani żywcem w tym okropnym miejscu, szamocząc się i szarpiąc w próbach ucieczki.

Na każdym poziomie ziemia ujawniała ślady pochodzącej sprzed wielu stuleci ludzkiej działalności, głównie w postaci plastiku – przezroczyste strzępy plastikowych torebek, które przylegały do rąk niczym zdarta skóra; kawałki piankowego białego polistyrenu; najróżniejszych rozmiarów butelki, przezroczyste i kolorowe; odlane z plastiku obudowy różnych cudownych urządzeń starożytnych. Czerwonawe smugi w ziemi wskazywały kształty obiektów, które obróciły się całe w rdzę; oprócz kilku monet i trudnych do zidentyfikowania, rozpadających się w palcach łusek nie ocalało nic, co było zrobione z metalu. Po drewnie zostało tylko czarne próchno. Dużo było szkła – fragmenty butelek, okrągłych delikatnych baniek i potłuczone kawałki bardziej skomplikowanych szklanych przedmiotów, które mogły pochodzić z tego samego miejsca co kolekcja pułkownika Durstona. Najciekawszego znaleziska dokonał pracujący w płytkim końcu rowu mężczyzna, który wykopał znakomicie zachowane okulary, z nienaruszonymi soczewkami i oprawkami z brązowego plastiku. Wytarł je rękawem i mężczyźni przekazywali je sobie kolejno z rąk do rąk i przymierzali. Ktoś oznajmił, że przywróciły mu idealnie ostrość widzenia, ale kiedy Fairfax włożył je na nos, obraz był rozmazany, jakby patrzył na świat przez łyżę.

– Powinienem je zanieść doktorowi Shadwellowi – odezwał się. – Mogą mieć duże znaczenie.

Pracujący obok niego mężczyzna charknął i splunął.

– Gdyby ksiądz mnie pytał, to cholerna strata czasu i wysiłku! – powiedział. – Harujemy tutaj jak górnicy, rozkopaliśmy połowę zbocza i wszystko to dla pary okularów!

Fairfax ustąpił miejsca pracującemu za nim mężczyźnie i ruszył do góry po rampie do miejsca, gdzie zostawił sutannę. Nastrój kopaczy pogarszał się, w miarę jak mijało popołudnie; ludzie byli wystraszeni, przygnębieni i zniechęceni. Poznawał to po ich twarzach i pochylonych ramionach, po tym, jak udawali tylko, że pracują. Krajobraz wokół wieży – zasnuty dymem, zryty rowami i oszpecony stertami ziemi – przypominał kopalnię odkrywczą. Z oddali dobiegł jakiś łoskot, który w pierwszej chwili wziął za odgłos

wybuchu w kamieniołomach, ale tak naprawdę był to grzmot – zbliżała się burza. Zastanawiał się, ile jeszcze zostało im dziennego światła. Dwie, może trzy godziny, nie więcej.

Shadwell siedział przy stole w namiocie i pisał w swojej księdze. Quycke rysował coś w szkicowniku. Na stole i na ziemi piętrzyły się pobrudzone ziemią znaleźiska; Hancock brał je do ręki z miną człowieka, który przejechał szmat drogi w nadziei, że zrobi na targu udane zakupy, i znalazł tam wyłącznie szmelc. Fairfax wręczył Shadwellowi okulary.

– Znaleziono w zachodnim wykopie, dwadzieścia pięć kroków od wieży.

– Na jakiej głębokości?

– Dwóch albo trzech stóp, nie więcej.

Uczony odnotował to w księdze i włożył okulary na nos.

– Zrobiono je dla kogoś krótkowzrocznego. Prawdopodobnie dla jednego z kolegów Morgensterna – stwierdził i podał je Hancockowi, ale ten machnął tylko ręką.

– Nie wydałem fortuny na takie błyskotki. Szukam arki. Gdzie ona jest, doktorze Shadwell? Wczoraj wieczorem wydawał się pan tak bardzo pewny siebie.

– Nie, mój panie. Nigdy nie byłem pewny. Zgadywałem, że to, co znajduje się pod ziemią... jeśli w ogóle cokolwiek się znajduje... musi być połączone z wieżą. Ale być może kopujemy w zupełnie złym miejscu. Nie sposób tego wiedzieć.

– Nie tak zapamiętałem naszą rozmowę. Do jakiej głębokości powinniśmy kopać?

– Powiedziałbym, że do dwudziestu stóp.

– Dwudziestu stóp! Wkrótce zapadnie zmierzch. A co będzie, jeśli nie znajdziemy niczego na głębokości dwudziestu stóp?

– Będziemy kopać jutro, ale tym razem dalej od wieży. I rowy będą biegle równoległe do siebie.

– A jeśli nadal nie znajdziemy nic znaczącego?

– Wtedy sam ten fakt będzie znaczący. Dziś, na przykład, nie znaleźliśmy żadnych narzędzi rolniczych... dowodów na to, że uprawiano tu ziemię. Jeśli nie będzie ich również jutro, pozwoli nam to stwierdzić, że ludzie, którzy tu byli, po jakimś czasie odeszli. Żeby wyżywić jedną osobę przez rok, potrzebne są dwa akry ziemi. Gdzie, jeśli nie tutaj, mieli uprawiać ziemię ludzie z kolonii Morgensterna?

– Być może nie przetrwali tu dość długo, by zacząć uprawiać ziemię? – zasugerował Fairfax. – Może ustawiono ich wszystkich pod ścianą i rozstrzelano wkrótce po tym, jak tu przybyli?

– Całkiem możliwe – przyznał Shadwell.

– W takim razie kopujemy na próżno – stwierdził Hancock. – Bo wszystko, co ewentualnie przywieźli, zostało im ukradzione.

– To prawda.

– „To prawda” – powtórzył, przedrzeźniając go, Hancock. – „To całkiem możliwe”. Zaczynam dochodzić do wniosku, że wie pan bardzo niewiele, panie Shadwell.

Na uczonym nie zrobiło to większego wrażenia.

– W rzeczy samej – zgodził się. – To również jest możliwe. I jest prawdą.

W tym momencie uchyliła się kłapa namiotu i w szparze pojawiła się głowa Sarah Durston.

– Doktorze, panowie. Możecie udać się natychmiast do wykopu? Ludzie coś odkryli.

* * *

Odkrycia dokonano przy końcu zachodniego rowu, w miejscu, w którym Fairfax pracował zaledwie kilka minut wcześniej. Mężczyźni rozstąpili się, by ich przepuścić. Hancock schodził pierwszą wąską rampą, za nim szli Shadwell, Quycke, Fairfax i Sarah. Wyżej, znad krawędzi wykopu, wychylały się głowy ludzi pragnących zobaczyć, co jest powodem całego zamieszania. Ale na dole nie było nic do zobaczenia, wyłącznie kałuża brudnej wody, w której odbijało się szare niebo.

Hancock wpatrywał się w nią rozczarowany.

– No? – zapytał mężczyznę, który podniósł alarm. – Co to takiego?

– Tego nie wiem, kapitanie. Niech pan posłucha. – Robotnik zanurzył energicznie łopatę w wodzie. Metalowe ostrze uderzyło o kamień. – Myślałem z początku, że to może być skała, ale jest bardzo duża i całkiem płaska. Słyszysz pan? – Zademonstrował, o co mu chodzi, stukając łopatą w innych miejscach. Za każdym razem słyszeli taki sam odgłos. Cokolwiek znajdowało się pod wodą, wypełniało całą szerokość wykopu i ciągnęło się na długości trzech albo czterech stóp od wieży.

– Musimy osuszyć dno wykopu – stwierdził Hancock. – Spuśćcie kilka wiader, żebyśmy mogli zobaczyć, co tu mamy. I podajcie pochodnię! – zawołał do przyglądających im się z góry mężczyzn, po czym wziął od robotnika łopatę i uderzył kilka razy jej ostrzem w płaską powierzchnię. – Czy to może być droga, o której pan mówił? – zapytał Shadwella.

Uczony pokręcił głową.

– Drogi starożytnych były nietrwałe. Żadna nie zachowała się w tak dobrym stanie. Poza tym ten obiekt znajduje się zbyt głęboko.

Z góry spuszczone dwa duże wiadra. Hancock wybrał wodę jednym, Fairfax drugim. Zanim jednak zdążyli je opróżnić, dno rowu znów zalała woda.

– Worki z piaskiem! – zarządził Hancock. – I światło, żebyśmy coś widzieli!

Pracujący w rowie ludzie podawali sobie szybko z rąk do rąk pochodnię. Kiedy trafiła do Quycke'a, podniósł ją wyżej. W taki sam sposób dotarły do nich worki z piaskiem; ułożono je niczym cegły w poprzek wykopu, tworząc wysoką na stopę zaporę. Hancock i Fairfax zaczęli znów wybierać wodę. Kiedy jej poziom nie przekraczał dwóch cali, Hancock przesunął obcasem po błocie. Zanim jego ślad ponownie zalała czarna woda, widzieli przez moment płaską, gładką szarą powierzchnię.

– Jaka jest pańska opinia, doktorze?

Shadwell nachylił się do przodu.

– To prawie na pewno strop podziemnej betonowej komory. Moim zdaniem znaleźliśmy to, czego szukaliśmy, kapitanie.

Ktoś głośno gwizdnął.

– Dajcie mi oskard – zakomenderował Hancock. – Odsuńcie się, panowie.

Fairfax cofnął się za worki z piaskiem. Hancock stanął na szeroko rozstawionych nogach, podniósł oskard i oparł go na prawym ramieniu. Przez chwilę zbierał siły, a potem cały jakby urósł i prężąc mięśnie, ze wszystkich sił zamachnął się oskardem. Zaostrzony czubek trafił w beton i odbił się od niego, a trzonek o mało nie wypadł mu z rąk. Hancock odrzucił oskard, wziął pochodnię od Quayce'a i nachylił się, by zbadać rezultat.

– Niech to szlag! – mruknął.

Oddał pochodnię i spróbował ponownie, a potem po raz trzeci, czwarty, piąty i szósty; potężne, zadawane z pełną zaciekłością uderzenia pozbawiały go tchu i musiał oprzeć się o bok wykopu, żeby dość do siebie.

Fairfax wziął do ręki pochodnię, przybliżył ją do wody, po czym pochylił się i przesunął lewą dłońią po betonie.

– Tylko mała rysa – skwitował.

Spojrzeli na Shadwella, a ten uniósł ręce.

– Dlatego właśnie ta konstrukcja przetrwała prawie tysiąc lat. Obawiam się, że będziemy musieli kopać na zewnątrz od wieży, aż znajdziemy wejście.

Hancock przyjrzał się stromym ścianom wykopu.

– Nie możemy przemieścić tysięcy ton ziemi. To zajęłoby nam całe tygodnie. Musimy wykopać tunel.

– Czy to nie jest niebezpieczne? – zapytał Fairfax.

– Nie, jeśli oszalujemy boki i założymy stemple. Mamy dość drewna, jeśli zabierzemy je z innych wykopów. Rozumiem, że możemy porzucić pracę w innych miejscach. Doktorze Shadwell?

– Owszem, kapitanie. Musimy skoncentrować wszystkie nasze wysiłki na tym wykopie.

Hancock wyjął z kieszeni zegarek.

– Jest kilka minut po szóstej. Zostały nam jeszcze dwie godziny do zmierzchu. Choć właściwie, jeśli mamy kopać tunel, możemy pracować przez całą noc w świetle pochodni. Jest tu Keefer?

– Tak, kapitanie! – Zakrystian przecisnął się obok Fairfaksa i Shadwella.

– Ilu zostało nam ludzi?

– Koło trzydziestki.

– Niech pan ich podzieli, jeśli łaska, na trzy dziesięcioosobowe drużyny. Ci, którzy są najmniej zmęczeni, będą pracowali od teraz do dziesiątej, następni w porze pierwszego snu, od dziesiątej do drugiej, a ostatnia zmiana w porze drugiego snu, od drugiej do szóstej.

– Tak jest, kapitanie.

Pół tuzina ludzi już się wykruszyło, pomyślał Fairfax. Ilu zostanie do rana?

– Wykopiemy cztery wysokie na jard tunele – podjął Hancock. – Dwa prostopadle na lewo i na prawo od tego miejsca, dwa kolejne piętnaście kroków stąd. Szalujcie każdy kolejny jard, żeby się zabezpieczyć. Czy odległość piętnastu jardów wydaje się panu właściwa, doktorze Shadwell?

– Owszem, tyle wystarczy. Chociaż kopanie tuneli w nocy nie jest całkiem bezpieczne.

– Jesteśmy ludźmi z Wessex, a nie strachajłami z waszego Wiltshire. Dobrze. Nie traćmy więcej czasu. Ci, którzy nie wchodzą w skład pierwszej zmiany, powinni teraz coś zjeść i się napić.

Kiedy wychodzili z wykopu, zaczęło padać.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY

Kapitan Hancock odkrywa prawdę

– Popracuje ksiądz na pierwszej zmianie? – zapytał, szczerząc zęby, Keefer. – A może delikatne ręce księdza są zbyt obolałe?

– Moje ręce są w porządku, panie Keefer. Chętnie spełnię swój obowiązek.

Prawdę mówiąc, bolało go całe ciało, a najbardziej dłonie – spuchnięte i podrapane. Nie mógł jednak pozwolić, by zakrystian odniósł nad nim choćby symboliczne zwycięstwo. Po raz kolejny zdjął sutannę i dał ją jednemu z mężczyzn, który wkładał ubrania do brezentowego worka po namiocie, żeby nie zmoczył ich deszcz. Następnie Fairfax pomógł usunąć szalowanie i podać wyżej długie deski, które przycinano teraz do długości jednego jarda.

Pozbawione szalunku ściany wykopu zaczęły się osypywać. Razem z kroplami deszczu na głowę i ramiona spadały mu grudki ziemi. Pochylił się, jakby zaatakowała go chmara owadów, i energicznie strząsnął je z włosów. Ktoś mruknął, że odgłos piłowanych desek brzmi, jakby szykowano im trumny. Nikt się nie roześmiał. Po jakimś czasie do wykopu zszedł cieśla, ciągnąc za sobą dwie solidne drewniane ramy. Fairfax, odwrócony plecami do mężczyzny, który drążył ziemię po przeciwnej stronie, wykopał oskardem kwadratowe, wysokie na jard wejście do tunelu. Cieśla zamocował tam ramy i ściany ponownie zabezpieczono szalunkiem. Nie uśmierzyło to jednak wcale obaw księdza. Deski wydawały się w bardzo nikłym stopniu chronić ich przed masami ziemi.

Cieśla wrócił na powierzchnię, a Fairfax ukląkł w płytkiej wodzie i poczuł pod kolanami zimny beton. Oparł obok siebie pochodnię, żeby widzieć, co robi, po czym wziął do ręki oskard i w świetle płonącej smoły zaczął drążyć tunel.

To była ciężka, powolna, niewygodna praca. W ziemi było mnóstwo odłamków skał i korzeni zbyt grubych, by je rozerwać. Kiedy złapał jeden z nich i próbował wyciągnąć, na głowę spadły mu kolejne grudy ziemi. Przestrzeń była zbyt ograniczona, by mógł porządnie zamachnąć się oskardem. Musiał trzymać trzonek blisko metalowego ostrza, odłupywać kawałki skały, obluźowywać je, a potem wyciągać gołymi rękami. Przenosząc na kłęczkach urobek do taczki, stojącej za workami z piaskiem, obtarł sobie kolana o beton. Im więcej wydobywał ziemi, tym dalej był od wykopu i tym większy dręczył go lęk, że tunel się zawali, zalepiając mu usta i nozdrza ziemią i przygniatając tak mocno, że nie będzie w stanie ruszyć ręką ani nogą.

Po przeszło godzinie, kiedy zdołał już wykopać cztery, może pięć stóp tunelu, cieśla kazał mu wyjść, bo trzeba było podstemplować strop. Fairfax wypelzł tyłem do otwartego

wykopu, z ulgą się wyprostował i podniósł nad głowę zeszywniałe ręce. Zapadał już zmrok i zrobiło się chłodniej. Z zachmurzonego nieba nie przestawał siąpić deszcz. Mężczyzna, który wywoził urobek taczka, zaproponował, że się zamienia: on popracuje w tunelu, a ksiądz będzie woził ziemię. Fairfax natychmiast się zgodził i zanim tamten zdążył zmienić zdanie, złapał za rączki taczki i zaczął ją pchać po deskach ułożonych na dnie wykopu. Minął drugą parę tuneli, kolejną zaporę z worków z piaskiem i dotarł na powierzchnię.

Podjechał taczka do najbliższego stosu ziemi, opróżnił ją i rozejrzał się dokoła. Cóż to był za widok – czarne hałdy urobku wznosiły się niczym kurhany między porzuconymi rowami, bliżej linii drzew rozbito białe brezentowe namioty, a pod osłaniającym przed deszczem baldachimem liści płonęło pół tuzina ognisk. Jedno z nich było większe od innych. Widział sylwetki poruszających się wokół niego mężczyzn. Zapach pieczonego mięsa sprawił, że zaburczało mu w brzuchu. Nie mógł nie podziwiać emanującej z Hancocka energii, siły jego woli, która wszystkich ich tutaj przywiodła i dzięki której całe przedsięwzięcie doszło do skutku. Ale myśl o Hancocku przypomniawszy mu o Sarah i czekającej go konfrontacji. Złapał za rączki taczki i krzywiąc się z bólu, który poczuł w dłoniach, zacisnął zęby i wrócił do wykopu.

O dziesiątej skończyła się jego zmiana i do wykopu wmaszerowała świeża drużyna mężczyzn, śmiejących się i żartujących, choć czekały ich cztery godziny taplania się w błocie. Powód tego dobrego humoru dało się wyczuć w ich oddechach – cuchnęli piwem, winem i ginem – i Fairfax zdał sobie sprawę, że prawie tak samo mocno jak o gorącej strawie i odpoczynku marzy o tym, by wypić coś mocniejszego.

– Mam nadzieję, że zostawiliście dość dla nas! – zwrócił się do mężczyzny, który przyszedł go złuzować.

– Niech się ojciec nie martwi. Kobieta kapitana przygotowała tyle, że starczy dla całej armii.

Fairfax oddał mu łopatę, wytoczył się z wykopu i ruszył na poszukiwanie brezentowego worka, w którym schowana była jego sutanna. *Kobieta kapitana!* Z zazdrości zrobiło mu się niemal niedobrze. Ubrał się i wraz z innymi podążył przez skąpany w deszczu mrok ku wielkiemu ognisku. Na rożnie obracało się pół świni, obok bulgotała woda w saganie, w żarze piekły się ziemniaki. Na ustawionym na kozłach stole stały beczułki z piwem i winem oraz dzbanki z ginem, a trochę dalej cynowe talerze, kubki, noże i widelce. Sarah Durston zmywała naczynia w wannie pod drzewem. Widząc, że się zbliżają, wytarła ręce i podeszła, by podać im jedzenie.

Fairfax stanął na końcu kolejki i patrzył, jak dzieli mięso. Robiła to z wprawą; nie marnowała ani jednego kawałka, odcinając równe płyty i żartując z mężczyznami. Nie wyobrażał jej sobie w roli kucharki, ale wychowała się w prostym domu, czemu więc miałyby nie umieć gotować i nie czuć się swobodnie w obecności robotników? Zdał sobie

sprawę, jak mało ją zna. Kiedy nadeszła jego kolej, była wciąż w nastroju do żartów i roześmiała się, widząc, jak wygląda.

– Och, ojciec Fairfax, jesteś czarny jak sam Szatan! – Nałożyła mu na talerz sporo mięsa i dorzuciła ziemniaka. Inni mężczyźni się oddalili. – Nie są to, niestety, żadne frykasy, ale nic lepszego nie udało się zorganizować.

– Gdzie jest Hancock? – zapytał.

– Poszedł pogadać z Shadwellem. Stary i jego sekretarz śpią w swoim wozie. – Sarah spoważniała. – Dobrze się czujesz, Christopher? Wydajesz się jakiś nieswój.

– Jestem po prostu zmęczony. I dręczy mnie ta historia z kapitanem... jak widzę, bardziej niż ciebie.

Wziął talerz, nalał sobie do kubka miejscowego wina, wypił je, dolał jeszcze jedną porcję, po czym podszedł do drzewa, siadł na ziemi w pewnej odległości od innych, oparł się plecami o pień i zaczął jeść. Po chwili Sarah podeszła i usiadła obok niego.

– Jeśli ta zwłoka cię niepokoi, pójdę i zaraz mu powiem – powiedziała.

– Nie, jeszcze nie teraz. Zaczekaj z tym do rana.

– Przysięgam, że mam zamiar mu wszystko wyjaśnić. To ciągle oszukiwanie jest nie do zniesienia.

– Jesteś tego pewna? – Mówił z gorzką pasją, żeby ją zranić. – Jeśli zaprzeczysz słowom tej kobiety i ja zrobię to samo, jaki będzie dowód naszej zdrady?

– I tak jej uwierzy.

– Być może w głębi ducha. Ale wiesz równie dobrze jak ja, że za bardzo cię kocha, by się z tym pogodzić. Nie chcąc cię stracić, będzie wmawiał sobie, że wszystko jest w porządku.

– I tego właśnie chcesz?

– To może być dla nas najlepsze wyjście. – Mówił cicho, nie patrząc na nią i gardząc sobą. Miał wrażenie, że przejął nad nim władzę inny mężczyzna... właściwie nie mężczyzna, lecz żalosny, strachliwy młokos. Ku swojemu wstydu poczuł w oczach palące łzy. Nadal nie mógł jej spojrzeć prosto w oczy. – Wybacz mi – wyjąkał. – Jestem bardzo zmęczony.

– Boisz się go.

– To prawda. Boję się.

– Nie mogę kochać tchórza.

Sarah podniosła się i odeszła. Patrzył, jak obchodzi ognisko i kieruje się do namiotu po drugiej stronie obozowiska. Uchyliła klapę i wślizgnęła się do środka. Pół minuty później odłożył talerz i ruszył w ślad za nią. Miał świadomość, że mężczyźni śledzą w świetle ognisk ich prywatny dramat. Pochylił się i wszedł do namiotu.

Stała w świetle świecy, odwrócona do niego plecami. Zauważył kilka szczegółów – rozłożony na macie koc, ciężki gliniany dzban, miednicę z wodą i leżącą w kącie skórzaną torbę – jego torbę. Ten widok i świadomość, że pamiętała, by ją zabrać i przechować

w bezpiecznym miejscu, poruszyły go bardziej niż cokolwiek innego. Stanął za nią i objął ją ramionami.

– To ja powinienem mu powiedzieć.

Poczuł, jak jej ramiona sztywnieją, a potem się rozluźniają. Kiedy się odwróciła, na jej twarzy malował się spokój – nie dojrzał śladu strachu w tych przejrzystych zielonych oczach. Wprost przeciwnie, zdawała się przesywać go nimi na wskroś. Jej usta poszukały nagle jego ust. Po chwili odsunęła go od siebie.

– Jesteś brudny.

– Wiem.

– Ściągnij sutannę – powiedziała, wskazując miednicę.

Zrobił to, o co prosiła, i ukląkł na kocu. Sarah wzięła do rąk dzbanek i przechyliła go nad jego głowę. Woda w miednicy, którą trzymał przy twarzy, zrobiła się czarna. Nabral ją rękami i spryskał twarz. Sarah polewała go dalej, przeczesując mu palcami włosy i wypłukując z nich glinę.

– Masz na sobie połowę wzgórza! – zawołała ze śmiechem.

Woda była zimna i spływała mu po karku. Elektryzował go dotyk jej palców.

– Cóż za scena – rozległ się nagle za nimi głos Hancocka.

Fairfax obrócił głowę tak szybko, że o mało nie wytrącił jej z rąk dzbanka. Kapitan wszedł do namiotu. Uchylona przez niego kłapa opadła w dół.

Książd poszukał dłonią ręcznika. Nie mógł go znaleźć, więc wstał, ociekając wodą i mało co widząc. Otarł oczy wierzchem dłoni. Stojąc tam w brudnej mokrej bieliźnie, czuł się straszliwie obnażony. Sarah zastygła w bezruchu z dzbankiem w ręce.

Hancock zerkał to na niego, to na nią. Usta miał wykrzywione w koszmarnym uśmiechu.

– To nie jest to, na co wygląda – odezwał się i pokiwał głową, jakby próbował utwierdzić się w tym przekonaniu. – Nie musicie nic mówić. Wiem, że to nie jest to, na co wygląda.

– Nie, kapitanie – odparł Fairfax. Własny głos wydawał mu się drżący i nieprzekonujący. Ale nadszedł w końcu ten moment i cieszył się z tego. – Obawiam się, że to jest dokładnie to, na co wygląda.

Hancock udał niedowierzanie.

– Daj spokój, Fairfax! To nieprawda!

– Przykro mi. Musi pan poznać prawdę. Minionej nocy Sarah przyszła do mnie do łóżka.

– Nie. – Kapitan znieruchomiał i pokręcił z przekonaniem głową, jakby odrzucał zbyt niską jego zdaniem ofertę cenową. – Nie, nie.

– Widziała ją pańska siostra. Na pewno to potwierdzi. Zdecydowała się panu powiedzieć.

Ta informacja też chyba w pierwszej chwili nie dotarła do Hancocka. Ale potem zmienił się na twarzy, jakby coś w nim pękło, i ruszył powoli w stronę Fairfaxa. Ten obserwował go z dziwnym dystansem, jakby akt przemocy, do którego miało zaraz dojść, groził nie jemu,

lecz komuś zupełnie innemu. Hancock stanął przed nim, dotknął prawą ręką jego twarzy i ją pogładził. Jego palce odnalazły ucho Fairfaxa, wykręciły je – nie sam płatek, ale całe – i nagle zacisnęły się jak imadło, całkowicie go unieruchamiając. Lewa ręka zatoczyła łuk i zadała mu straszliwy cios z drugiej strony. Namiot zakołysał się, pociemniał i zniknął.

Kiedy Fairfax odzyskał przytomność, klęczał na kolanach, a Hancock trzymał go za gardło i wbijał kciuki w jego tchawicę, szarpiąc go i ciągnąc w górę, niczym wieśniak, który chce ukręcić łeb kurczakowi. Ból w szyi był gorszy od braku powietrza. Tłukąc bezradnie Hancocka po ramionach, usłyszał krzyk Sarah. Świat znowu pociemniał. Coś błysnęło w powietrzu, rozległ się głośny trzask i wokół głowy kapitana eksplodowały fragmenty dzbanka. Uścisk palców na jego szyi zelżał i Fairfax przewrócił się na bok.

A potem coś głucho łupnęło i zatrzęsała się ziemia. Z początku myślał, że uderzenie musiało zbić Hancocka z nóg. Ale kiedy oparł się z trudem na łokciu, kapitan wciąż stał, kołysząc się i trzymając za ranę na głowie. Sarah dzierżyła w ręce ucho dzbanka – wszystko, co z niego zostało. I było w tym coś dziwnego, pomyślał: wszyscy troje milczeli, dysząc ciężko z wysiłku, a mimo to słychać było krzyki.

Hancock obrócił się, krwawiąc i zataczając się jak pijany, a potem skoczył w stronę wyjścia i zniknął. Sarah podała rękę Fairfaxowi i pomogła mu dźwignąć się na nogi. Próbował się odezwać, ale dała mu znak, by nic nie mówił.

– Ludzie są czymś poruszeni – powiedziała i w ślad za kapitanem wyszli na zewnątrz.

Przy podstawie wieży widać było poruszające się pochodnie i długie cienie robotników biegnących w panice w stronę zachodniego wykopu. Kolejni wybiegali z namiotów. Fairfax i Sarah szli, potykając się w ciemności. Blisko wykopu osunął się wąski fragment gruntu i powstała głęboka na jard i długa na trzy jardy szczelina. Mężczyźni stali w niej, gorączkowo kopiąc ziemię oskardami i łopatami. Niektórzy klęczeli, odgarniając ją gołymi rękami. Inni byli w wykopie.

– Tutaj! – krzyczeli jeden do drugiego. – Chodźcie tutaj!

Fairfax wziął pochodnię i zszedł po deskach ułożonych na dnie wykopu. Przed sobą widział tylko plecy kopaczy. Hancock był w samym środku grupy i krzyczał, żeby się odsunęli. Chwilę później zniknął księdzu z oczu. Kiedy pojawił się ponownie, trzymał za ramiona ciało mężczyzny. Przecisnął się z nim i powlókł za sobą. Dwaj inni kopacze trzymali stopy. Fairfax stanął tuż przy szalowaniu, by ich przepuścić. Zobaczył zwisającą bezwładnie głowę, bladą twarz, wytrzeszczone oczy, czarne od ziemi usta i nozdrza.

Ruszył za nimi na górę. Ciało położono na ziemi. Fairfax stanął nad nim z pochodnią. Hancock wygrzebał palcami ziemię z ust mężczyzny, przystawił do nich własne usta i wdmuchnął mu w płuca powietrze. Potem zaczerpnął oddech i zrobił to ponownie. Z nozdrzy posypała się ziemia. Ktoś polał twarz wodą. Nie widać było oznak życia. Hancock siadł okrakiem na mężczyźnie i zaczął ugniatać otwartymi dłońmi jego pierś. Teraz, kiedy widać było lepiej jego twarz, Fairfax rozpoznał w nim przystojnego

młodzieńca, który pierwszy odpowiedział na apel Sarah o ponowne podjęcie pracy. Patrząc na próby przywrócenia go do życia, przyciskała dłonie do twarzy.

– Możesz przynieść mi stulę i modlitewnik? – poprosił ją cicho.

Jakiś czas później, kiedy wróciła i było już jasne, że chłopak nie żyje, Fairfax oddał jej pochodnię i położył rękę na ramieniu Hancocka. Ten jednak nie przestawał ugniatać piersi i wdmuchiwać powietrza do płuc młodego człowieka, jakby samą tylko siłą woli potrafił wskrzeszać umarłych.

– Zostaw go, kapitanie – powiedział w końcu Keefer. – Niech ksiądz zrobi, co do niego należy.

– Nie, można go jeszcze uratować.

Dwaj mężczyźni musieli odciągać Hancocka od trupa.

Fairfax ukląkł, zamknął oczy zmarłemu i wziął go za rękę. Była wciąż ciepła. Deszcz padał na kartki otwartego modlitewnika.

– *Wszchemogący wiekuisty Boże – zaczął i zaczął, aż wszyscy uklękną. – Powierzamy pokornie duszę tego oto Twojego sługi, naszego drogiego brata, w Twoje ręce, w ręce naszego Stwórcy i miłosiernego Zbawiciela... – Wiatr przygasił pochodnię i zatrzepotał kartką modlitewnika. Fairfax przytrzymał ją kciukiem. – Obmyj ją, błagamy, w krwi niepokalanego Baranka, która gładzi grzechy świata... I naucz nas, którzy przeżyliśmy, dostrzegać w tym i w innych codziennych zgonach, jak kruche i nietrwałe jest nasze życie, i liczyć nasze dni, byśmy, póki żyjemy, przywiedli nasze serca do mądrości przez Chrystusa syna Twojego jedyne, amen.*

– Amen.

Ciało zawinięto w koc i obwiązano sznurem. Dwaj mężczyźni złapali je za ramiona, a dwaj inni za stopy. Kolejny ruszył przodem, trzymając w ręce pochodnię. Hancock siedział na jednej z hałd, z pochyloną zakrwawioną głową i łokciami opartymi na kolanach, i patrzył, jak wspinają się po zboczu, kierując się w stronę niższego obozu. Inni robotnicy wyszli z namiotów i dołączyli z pochodniami i latarniami do pochodu. Kapitan przyglądał im się z rosnącym niedowierzaniem. Nagle zerwał się na nogi.

– Czekaście! – zawołał za nimi. – Chyba nie chcecie stąd nagle wszyscy odejść?

Puścił się za nimi w pogoń, wyprzedził ich i stanął na drodze, rozkładając szeroko ręce, żeby ich powstrzymać.

– Czterech może zanieść go do wioski. Reszta zostaje tutaj. – W jego głosie brzmiała desperacja. Ze zlepionymi krwią i ziemią włosami wyglądał jak szaleniec. – Żeby uczcić jego pamięć, nie będziemy już kopać dziś w nocy. Zaczniemy znów dopiero o świcie.

Ludzie nic na to nie odpowiedzieli, ominęli go tylko szerokim łukiem. Obrócił się i patrzył w ślad za oddalającym się konduktem. Ręce opadły mu wzdłuż boków.

– Nie będzie zapłaty za nieskończoną robotę! – zawołał.

– Zostaw ich, Hancock – powiedział Fairfax. – Już tu nie wrócą.

Kapitan spojrział przez ramię na niego i na Sarah. Można było odnieść wrażenie, że nie bardzo wie, kim są, a tym bardziej co między nimi zaszło.

– Gdybyśmy użyli więcej desek, tunele byłyby bezpieczne. Popełniliśmy błąd, pracując w nocy – stwierdził i popatrzył ponownie na kroczącą w świetle pochodni procesję, która dotarła już do linii drzew. – Sprowadzę ich z powrotem. Głupotą jest wracać po ciemku do wioski.

Patrzyli, jak odchodził, starając się dogonić mężczyzn. Przez jakiś czas słyszeli, jak woła, żeby zaczekali – błagając, grożąc i mnożąc obietnice – a potem korowód latarni dotarł do grzbietu wzgórza i kiedy ludzie schodzili na drugą stronę, światła zaczęły znikać jedno po drugim i słychać już było tylko szum deszczu i wiatru.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY

Niedziela, 14 kwietnia: ojciec Fairfax i lady Durston spędzają noc na Czarcim Tronie

Siedzieli w milczeniu przy ognisku, czekając na powrót Hancocka. Fairfax na wszelki wypadek trzymał przy sobie oskard.

Po godzinie, kiedy kapitan nadal się nie pojawiał, uznali, że musiał wrócić do domu. Albo czai się tu gdzieś w ciemności między drzewami i nas obserwuje, pomyślał Fairfax.

– Czy nie powinniśmy poinformować doktora Shadwella i pana Quycke’a o tym, co się stało? – zapytała Sarah.

– Chyba o tym wiedzą, nie sądzisz? Mężczyźni niosący ciało musieli przejść bezpośrednio obok ich wozu.

– Być może. Ich dalszy pobyt tutaj nie ma większego sensu. Na miejscu Shadwella próbowałabym się stąd ulotnić, nie oglądając się na Hancocka i jego tysiąc funtów.

Przez chwilę wpatrywali się w ogień. Krople deszczu syczały w płomieniach.

– Moglibyśmy wrócić do Durston Court i spędzić tam noc – zaproponowała Sarah.

– Dobrze, jeśli sobie tego życzysz.

Ale żadne z nich nie potrafiło wykrzesać z siebie dość energii, by się ruszyć, i w końcu sprawę rozstrzygnęło za nich zmęczenie. Najpierw zaczęła przysypiać ona, potem on. Ostatecznie dorzucili drew do ogniska w nadziei, że będzie się paliło aż do rana, i wycofali się do namiotu; położyli się razem na kocu i trzymając się w objęciach, słuchali kropel deszczu kapiących na brezent.

W którymś momencie w nocy Fairfaxa obudził jakiś dźwięk. Sarah trzymała rękę na jego piersi. Świeca zgasła. Ciemności w namiocie rozjaśnił niewyraźny błękitny błysk. Kiedy Fairfax uniósł jej rękę, mruknęła coś, poruszyła się we śnie i obróciła na bok. Wstał cicho, żeby jej nie budzić. Po trudach poprzedniego dnia i leżeniu na mokrej twardej ziemi zeszywniałe mięśnie bolały go przy każdym ruchu. Uchylił klapę namiotu i wyrzwał na zewnątrz. Nad drzewami znów błysnęło niebieskie światło, rzucając ostre cienie i oświetlając wieżę i porzucone obozowisko. W oddali zabrzmiał łoskot gromu. Zdawało mu się, że za żarzącym się ogniskiem usłyszał jakiś ruch, i gdy znowu błysnęło, zobaczył wysoką postać, która stała przy pustych namiotach i najwyraźniej go obserwowała. Kiedy niebo przecięła kolejna błyskawica, postać zniknęła.

Znużonym krokiem podszedł do ogniska. Na stole, pośród porzuconych resztek posiłku, znalazł nóż, którym Sarah kroić pieczoną świnie. Usłyszał szelest i trzaśnięcie gałązki.

– Jest tam kto?! – zawołał, wymachując nożem w ciemności.

Nikt nie odpowiedział. Zerknął na namiot, w którym spała Sarah. Wycofać się czy ruszyć w pogoń i zostawić ją bez ochrony? Uznał, że nie może jej opuścić. Zaczekał, aż następna błyskawica oświetli mu drogę powrotną do namiotu; podchodząc do niego, usłyszał łoskot gromu, głośniejszy i bliższy niż wcześniej.

Wziął do ręki swoją torbę, postawił ją przy kocu i opierając się o nią plecami, usiadł z nożem na kolanach, zdecydowany czuwać aż do świtu. Wciąż siedział w tej pozycji, kiedy Sarah obudziła go rano.

* * *

– Christopher? – Delikatnie potrząsała jego ramieniem.

– Co jest? – mruknął, otwierając oczy. Przez chwilę wydawało mu się, że śni dalej, ale w świetle dnia koszmar się ulotnił.

– Mamrotałeś przez sen. Po co ten nóż?

– W nocy słyszałem, jak ktoś chodzi po obozie.

– Kto to był?

– Nie widziałem.

– John Hancock. To musiał być on. – Po raz pierwszy, odkąd ją poznał, robiła wrażenie wystraszonej. – Na dworze dnieje. – Podała mu rękę. – Czy możemy wreszcie opuścić to przeklęte miejsce?

Nie trzeba było go do tego namawiać. Z pomocą Sarah wstał i zarzucił sobie torbę na ramię. Z nożem w ręce uchylił klapę i dał jej znak, żeby poczekała, aż sprawdzi, czy są bezpieczni. Wszędzie panował bezruch. Nie było porannego chóru ptaków. Kiedy upewnił się, że nic im nie grozi, wyszli razem na zewnątrz.

Deszcz przestał padać, ale powietrze było wilgotne. Chmury wisiały tak nisko, że nie widać było wierzchołków drzew rosnących nad Czarcim Tronem. W nocy osunęła się część zbocza. Zastanawiał się, czy nie to właśnie go obudziło. Brązowa kupa błota, wąska na górze i szeroka u podstawy, zakryła zielony las niczym rozłożona do wyschnięcia spódnica.

Nie można było wykluczyć, że Hancock śpi w jednym z namiotów. Fairfax przystawił palec do ust. Ostrożnie stąpając, starali się nie robić hałasu. Dopiero kiedy dotarli do lesistego zbocza, za którym był niższy obóz, ciszę zakłócił dobiegający z oddali znajomy kaszel. Podnieśli wzrok. Shadwell schodził z trudem w dół, podpierając się laską. W pewnym momencie zgiął się wpół i splunął na ziemię. Widząc ich, pomachał laską.

– Zaczekajcie! – krzyknął i zaczął schodzić najszybciej, jak mógł, krzywiąc się z bólu i wysiłku i ześlizgując co chwila po błotnistym stoku. Już z daleka widać było, że jest czymś bardzo poruszony. – Czy Oliver jest z wami?! – zawołał.

– Nie, doktorze – odparł Fairfax. – Myśleliśmy, że jest razem z panem.

– Wczoraj wieczorem oczywiście ze mną był. – Shadwell dołączył do nich nieogolony i podenerwowany. – Ale dziś rano, kiedy się obudziłem, przepadł po nim wszelki ślad.

Myslałem, że jest tutaj. Olly! – zawołał, przykładając dłonie do ust i rozglądając się półprzytomnie po porzuconym obozowisku. – Co za katastrofa! Olly! – zawołał ponownie. Imię jego sekretarza odbiło się żalonym echem od wzgórz.

– Wydaje mi się, że widziałem go w nocy – powiedział Fairfax. Teraz, kiedy się nad tym zastanowił, był tego pewien. Postać, którą widział, wydawała się wyższa od Hancocka. Choć był skrajnie wyczerpany, natychmiast zdał sobie sprawę, co to może oznaczać. – Obawiam się, że mógł uciec.

– Uciec? Nic mi nie mówiąc? Dlaczego miałyby zrobić coś takiego? – Shadwell zaczął kręcić laską kółka w powietrzu, jakby mógł wyczarować swojego sekretarza z nicości. – Musi tu gdzieś być. Gdzie pan go widział?

– Tam, przy ognisku.

– Może poszedł do namiotu, w którym pan wczoraj pracował? – zasugerowała Sarah.

– Tak. Oczywiście. Na pewno tam jest – odparł Shadwell, z ulgą się do niej uśmiechając.

Ruszyli we trójkę w stronę wieży. W porannym świetle teren wykopalisk sprawiał koszmarnie wrażenie. Robotnicy zniszczyli oryginalne piękno tego miejsca. Shadwell przystanął, żeby przyjrzeć się zawałonemu tunelowi.

– To tu zginął ten młody chłopak?

Fairfax pokiwał głową.

– Biedak... utonął w ziemi! Ostrzegałem kapitana Hancocka o zagrożeniach – powiedział uczony. – Nie chciał mnie słuchać. Żeby kopać tunel w błocie, podczas ulewy, po zmroku, i zlecić to ludziom bez żadnego doświadczenia... to kompletne szaleństwo.

Oderwał w końcu wzrok od miejsca katastrofy i poszli dalej. W namiocie nie było śladu po Quayce'u, wyłącznie znaleziska z poprzedniego dnia, starannie posortowane według użytego materiału: plastik, szkło, metal. O stół oparta była wielka szyba z zatopionymi w środku drucikami. Ale sam stół był pusty.

– Moje zapiski zniknęły – wyjąkał Shadwell. – I moje książki! – Z niedowierzaniem przesunął dłonią po blacie, mrugając za niebieskimi okularami. – Ktoś je zabrał. Ale to przecież nie mógł być Olly? Na pewno by mnie zapytał.

– Obawiam się, doktorze Shadwell, że pan Quayce nie był z panem do końca szczery – odezwał się łagodnym tonem Fairfax. – Nie potrafię dokładnie powiedzieć, jakiego rodzaju podwójną rolę tu odegrał, ale jest coś, czego z pewnością o nim nie wiemy. Domyślam się, że jako sekretarz miał dostęp do całej pańskiej korespondencji?

– Oczywiście.

– Pamięta pan, kiedy dokładnie przyszedł do pana list, w którym ojciec Lacy opisywał swoje odkrycia i prosił o pomoc... list, który skłonił pana do przyjazdu do Axford?

Shadwell rozłożył bezradnie ręce.

– Nie. Musiałbym zajrzeć do swoich papierów. A one zniknęły.

– Powiedział pan, że wyjechał z Wilton natychmiast po jego otrzymaniu?

– Po południu tego samego dnia. Tak?

– Lady Durston twierdzi, że ojciec Lacy widział u niej szklane przedmioty w niedzielę, dwudziestego czwartego marca. Mówił pan, że od razu do pana napisał. Mimo to od wysłania przez niego listu do pańskiego przyjazdu do gospody Pod Łabędziem minęło osiem dni. Ta zwłoka od początku mnie niepokoiła. Kto otworzył list od ojca Lacy’ego: pan czy Quycke?

Shadwell spojrział na księdza pustym wzrokiem i lekko opadła mu szczęka.

– Olly. Zajmuje się całą moją korespondencją.

– Skoro tak, to czy miał możliwość sporządzenia kopii i wysłania jej biskupowi Pole’owi, zanim jeszcze pokazał panu ten list?

– Przypuszczam, że tak... Ostatnio był jakiś rozkojarzony. – Shadwell potrząsnął głową, jakby oddalał od siebie taką możliwość. – Nie, nie. To niemożliwe. Olly nie mógł tego zrobić.

– W takim razie gdzie on się podziewa, doktorze Shadwell? I dlaczego zabrał pańskie prace? Czy to nie jest dowód, że przez cały czas szpiegował dla biskupa?

Przygnębiony Shadwell poruszał bezgłośnie szczęką, a potem złapał się stołu, jakby miał się zaraz przewrócić. Sarah wzięła go pod rękę i zaprowadziła do składanego krzesła; usiadł na nim ciężko i wbił przed siebie wzrok. Nagle straszliwie zacharczał, pochylił się i wymiotował krwią.

Sarah objęła go ramieniem.

– Przynieś koce – zwróciła się do Fairfaxa. – I trochę wody. Pospiesz się!

Wychodząc z namiotu, zerknął w stronę wieży.

Między hałdami przemykała barczysta zwałista postać. Kapitan Hancock zmierzał w stronę zachodniego wykopu, zataczając się lekko pod ciężarem dwóch baryłek, które dźwigał po jednej pod każdą pachą.

* * *

Fairfax zdał sobie później sprawę, że Hancock nie wróciłby przecież potulnie do domu, że nigdy by się nie poddał, że musiał doprowadzić tę sprawę do końca, nawet jeśli miałyby zniszczyć to, czego szukał, i siebie przy okazji. Był w kamieniołomach i kupił tam lub ukradł czarny proch, którym wysadzali skały, a teraz umieszczał wypełnione nim baryłki w tunelu, który Fairfax pomagał poprzedniego dnia kopać, tuż przy podstawie wieży.

Ksiądz stał za nim w wykopie i przemawiał do jego szerokich pleców:

– Kapitanie Hancock, to obłąd.

– A to dlaczego?

– Naprawdę mam panu tłumaczyć dlaczego? Skutek tej eksplozji... zniszczenia, jakie może spowodować...

– Nie możemy odkopać tego cholerstwa... ludzie już tu nie wrócą, bez względu na to, ile bym im zapłacił. Dlatego albo to wysadzimy, albo nic z tego nie będzie. – Hancock wycofał

się z tunelu i odwrócił twarzą do Fairfaxesa. W jego dzikich oczach i dziwnym uśmiechu było coś niezdrowego. – No i jak, plebanie, pomożesz mi? – zapytał.

– Pomóc panu? Jak?

– Przenosząc kolejne baryłki.

– Jest ich więcej?

– Oczywiście. W wozie mam jeszcze dziesięć. – Widząc minę Fairfaxesa, Hancock roześmiał się i klepnął go po ramieniu. – Potrzeba więcej niż dwóch baryłek, żeby osiągnąć właściwy efekt. Nawet dwanaście może nie wystarczyć. – Rozejrzał się po wykopie i pokiwał głową. – Ale w wąskiej przestrzeni, pod dziesięcioma stopami ziemi, większość energii będzie skierowana w dół. Gra jest warta świeczki.

– Mówi pan o „grze”? Nie ma pan pojęcia, co szykuje!

– Nieprawda, mój panie. W trakcie ostatniej wojny z Francuzami wysadziliśmy w powietrze jeden z ich najpotężniejszych fortów przy zastosowaniu dokładnie takiej samej metody. Więc jak będzie? Nie pokonaliśmy chyba całej tej drogi, żeby wycofać się w ostatniej chwili?

– Sytuacja całkowicie się zmieniła. Pan Quycke zdezerterował.

– Quycke? Bardzo dobrze. Do niczego nie jest nam potrzebny.

– Nie opuścił nas ze strachu. Obawiam się raczej, że przez cały czas informował biskupa Pole'a. Podejrzewam, że daliśmy się złapać w pułapkę.

Ta wiadomość ostudziła nieco zapał Hancocka. Ale nie na długo.

– W takim razie powinniśmy się pośpieszyć, póki mamy jeszcze czas. Pomożesz mi czy nie? – Kiedy Fairfax nie odpowiedział, kapitan wzruszył ramionami. – Jak chcesz. Zrobię wszystko sam.

Powiedziawszy to, wyszedł z tunelu i omijając porzucone poprzedniej nocy narzędzia, pognął po rampie na górę.

Fairfax przykucnął na piętach i zajrzał w głąb tunelu. Na samym końcu dostrzegł niewyraźny zarys pękatych baryłek. Sprawiały na nim złowrogi wrażenie. Czy dwanaście wystarczy, by wysadzić wieżę? Te baryłki ucieleśniały ambicje Hancocka – siłę, bez której nie da się zbudować i nie da się obrócić w gruzy żadnego miasta. Wyszedł na powierzchnię i pośpieszył do Sarah i Shadwella.

Sarah zdążyła już przynieść z ich namiotu koce i miskę. Stary uczoney leżał na boku, co jakiś czas słabo pokaszując. Miska była do połowy wypełniona krwią.

– Myślałam, że ty też nas opuściłeś – powiedziała z przyganą w głosie.

– Wrócił Hancock z czarnym prochem z kamieniołomów. Chce dostać się do podziemnej komory, wysadzając w powietrze jej strop.

– Kiedy?

– Kiedy tylko przytarga tu ze swojego wozu wszystkie baryłki z prochem.

– Wie o zniknięciu Quycke'a?

– Powiedziałem mu. Zbyttno się tym nie przejął.

– Nie wolno mu niczego wysadzać! Eksplozję będzie słycać w promieniu wielu mil! Ta ziemia należy do mnie. Nie pozwolę na to.

– Możesz mu nie pozwalać, ile chcesz. I tak cię nie posłucha.

– W takim razie musimy stąd odejść, zanim wcieli w życie swój plan.

– A co z panem Shadwellem? Nie możemy go tu zostawić i nie damy rady znieść go tylko we dwoje. Tylko Hancock może nam pomóc.

Shadwell uniósł głowę i przysłuchiwał się ich rozmowie.

– O co chodzi? – zapytał słabym głosem. – Mówicie, że kapitan chce wysadzić wejście do podziemnej komory?

– Tak, doktorze, obawiam się, że zupełnie zwariował – odparł Fairfax.

– Nie, dlaczego? To jedyny sposób.

– Chyba pan tego nie aprobuje? – wtrąciła Sarah.

– Owszem, jak najbardziej.

– Nie boi się pan ryzyka?

– Wiele lat czekałem na ten moment, lady Durston. Teraz, kiedy moje życie dobiega końca... i jak się zdaje, nie mam już żadnych przyjaciół... jestem skłonny podjąć pewne ryzyko.

* * *

I to sprawiło, że jednak zostali.

Sarah przekonała Shadwella, by coś zjadł. Wydawało się, że odzyskał nieco sił, choć Fairfax podejrzewał, że więcej miało to wspólnego z oczekiwaniem na eksplozję niż z czerstwym chlebem i zimnym plastrem wieprzowiny, który Sarah ukroiła i wcisnęła mu do ust jak pisklęciu. Co jakiś czas wychodził z namiotu, by popatrzeć na Hancocka, który schodził ze wzgórze, dźwigając pod pachami kolejne baryłki prochu. Nie ruszył nawet małym palcem, żeby mu pomóc. Nie chciał brać w tym udziału.

Po godzinie albo dwóch, kiedy Hancock przeniósł wszystkie baryłki i umieścił je w tunelu, zobaczyli, jak rozwija lont wzdłuż wykopu. Skończywszy to robić, podszedł do ich namiotu.

– Musicie stąd odejść na bezpieczną odległość – oświadczył.

– Nie masz prawa robić tego na mojej ziemi, John – powiedziała Sarah. – Nie dam ci na to pozwolenia.

Hancock nawet na nią nie spojrział.

– Uczciwie was wszystkich ostrzegam. – Nie zwracał się do nikogo w szczególności. – Jeśli tu zostanieie, możecie uciepnieć. Możecie odejść albo zostać... mnie jest wszystko jedno.

– Pomoże mi pan chociaż przenieść doktora Shadwella w bezpieczniejsze miejsce? – zapytał Fairfax.

– Owszem, skoro o to prosisz.

Podnieśli z kozłów blat stołu, położyli na nim Shadwella, przykryli go kocem i wynieśli z namiotu. Sarah szła obok prowizorycznych noszy, trzymając starego za rękę.

– Widzisz, plebanie, jakim jestem człowiekiem? – wydyszał Hancock. – Pomagam ci, choć ty mi nie pomogłeś!

Minąwszy odkopany masowy grób, wspięli się na wzniesienie i zatrzymali mniej więcej dwieście jardów od wieży. Kiedy tylko Shadwell legł na ziemi, Hancock ruszył z powrotem na dół, do zachodniego wykopu.

Fairfax wyjął z kieszeni składany teleskop Lacy’ego, rozłożył go i przystawił do oka. Hancock majstrował przy czymś, kucając u szczytu rampy. Na tle wielkiej panoramy Wessex wydawał się bardzo mały. Pastwiska i lasy opadały stopniowo w dół, a dalej, za zieloną doliną, niczym wielkie płaskie morze ciągnęły się aż po horyzont puste bezkresne wrzosowiska, których monotonię zakłócała tylko wieża kościoła w Axford. Na drodze można było dostrzec grupkę podróżnych, kilka filigranowych jadących konno postaci. Fairfax pokręcił obiektywem, ale byli zbyt daleko, by zdołał zobaczyć jakieś szczegóły. Wycelował teleskop ponownie w Hancocka. Kapitan wyprostował się i patrzył w głąb wykopu. Jego głowa obracała się z lewej na prawą stronę, jakby śledził sunącą wzdłuż lontu iskrę. Przyglądał się jej bardzo długo – zdaniem Fairfaksa stanowczo zbyt długo, by było to bezpieczne – a potem ruszył w stronę księdza i jego towarzyszy.

Pokonał tylko połowę dystansu, gdy grunt u podstawy wieży zatrzęsł się i zwały ziemi wzbily się w górę niczym wirująca czarna fontanna, wyższa od samej betonowej budowli. Powierzchnia kotliny zmarszczyła się niczym woda w jeziorze i w ich stronę ruszyła potężna podziemna fala. Hancock, który w tym momencie już biegł, został przez nią zbity z nóg i poleciał głową naprzód, jakby nurkował z urwiska. Fairfax poczuł ciśnienie w uszach; fala uderzeniowa cisnęła go do tyłu. Z nieba spadały kamienie, pył zasłaniał światło. Przestał cokolwiek słyszeć. Ucichły wszystkie dźwięki.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY

Komora grzebalna

Kiedy otworzył oczy, wszystko wyglądało inaczej. Obok wieży pojawił się krater wielkości rybnego stawu. Budowla przechyliła się lekko na południe, dalej od wzgórz, których ukształtowanie też się zmieniło. Drzewa najbliższej krateru zostały wyrwane z korzeniami, które sterczały teraz w górę. Wyżej na stoku mogło się zdawać, że wróciła zima. Z gałęzi spadły wszystkie liście; strumienie płynęły z nowych miejsc na zboczu.

Fairfax strząsnął ziemię z włosów i rozejrzał się za Sarah i Shadwellem. Ich także wybuch odrzucił do tyłu i siedzieli oszołomieni na ziemi. Mniej więcej pięćdziesiąt jardów dalej leżał na brzuchu nieruchomy Hancock, częściowo przysypany ziemią i ludzkimi kośćmi, które fala uderzeniowa porwała ze wspólnego grobu i przeniosła na zachód.

Ksiądz ukląkł i z trudem podniósł się na nogi. Sarah też już wstała i otrzepywała się z błota i pyłu. Ani ona, ani Shadwell nie odnieśli chyba większych obrażeń, ale żadne się nie odzywało. Po chwili Fairfax zorientował się jednak, że wszyscy, łącznie z nim, coś mówią i że nikt nikogo nie słyszy. Sarah przystawiła dłonie do ucha. Jej głos wydawał się dobiegać z wielkiej odległości.

– Jesteś ranny?!

– Nie. A ty?! – zawołał jej prosto do ucha.

Pokręciła głową.

Kiedy odwrócili się, żeby zapytać o to samo Shadwella, okazało się, że już wstał i podąża dziwnym powolnym krokiem lunatyka w stronę krateru. Fairfax wziął za rękę Sarah i pokuśtykali w ślad za nim.

Stary minął Hancocka, w ogóle na niego nie patrząc. Fairfax był przekonany, że kapitan wyzionął ducha. Podchodząc do niego, zobaczyli jednak, że się porusza i nie może wstać, bo przysypały go kawałki skał i fragmenty kości. Razem zaczęli je odgarniać. Leżąca obok czaszka szczyrzyła zęby, szydząc z ich wysiłków. Tylna część płaszcza Hancocka była porwana na strzępy, zakrwawiona i umazana błotem. W kilku miejscach widać było jego gołe ciało. Mimo to znalazł w sobie dość siły, by dźwignąć się na nogi. Podobnie jak wieża, stał niezupełnie prosto i miał błędne spojrzenie. Podeszli, by go podeprzeć, lecz on odtrącił ich, popatrzył na swoje dzieło i ruszył chwiejnym krokiem w stronę wieży.

Kiedy dogonili Shadwella, ten dotarł już do skraju krateru. Wszyscy czworo spojrzeli w dół. Dół, w kształcie odwróconego stożka, miał dziesięć stóp głębokości. W odsłoniętym betonie ziała szeroka na dwie stopy szczelina. Jej nierówne brzegi zwrócone były lekko w górę i połączone zardzewiałymi metalowymi prętami.

Fairfax zorientował się, że wraca mu słuch. W lesie ćwierkały ptaki. Wciąż jednak żadne z nich się nie odzywało. Wpatrywali się jak urzeczeni w szczelinę i ciemność, która się pod nią kryła. Hancock pierwszy ruszył się z miejsca. Siadł na skraju krateru i odpychając się dłońmi, zjechał po osypującej się ziemi w dół, aż jego buty dotknęły betonu. Podparł się ręką i pochylił nad dziurą.

– Co pan tam widzi?! – zawołał do niego Fairfax.

Nie doczekawszy się odpowiedzi, poszedł za jego przykładem i zjechał na poślaskach na dach podziemnej komory. Metalowe pręty, każdy o średnicy pół cala, wystawały z betonu w odstępach o szerokości dłoni. Wygięte pośrodku, tworzyły barierę podobną do zakratowanego okna. Niżej, w ciemności, nie sposób było niczego dostrzec. Beton miał kilka stóp grubości. Siła, która go skruszyła, musiała być kolosalna, pomyślał Fairfax. Nigdy nie przyszłoby mu do głowy, że nawet dwanaście baryłek prochu może spowodować takie zniszczenia. Poszukał wokół siebie małego kamyka i cisnął go w otchłań. Usłyszeli, jak uderza o twarde podłoże.

– Możesz nam znaleźć jakąś piłę?! – zawołał do Sarah.

– I drabinę – dodał Hancock. – I pochodnie. I sznur.

* * *

Piła, kiedy rzuciła im ją na dół, początkowo słabo sobie radziła z metalem. Fairfax bał się, że nędzne pół cala zardzewiałej stali pozbawi ich na samym końcu zasłużonej nagrody. Ale Hancock był zdeterminowany i po kilku minutach przeciął jeden z prętów bardzo blisko skraju betonu. Kopnął go, ale pręt w ogóle się nie zgiął. Zaczął więc piłować po drugiej stronie. Kiedy Fairfax zaproponował, że go zmieni, kapitan pokręcił tylko głową. Ostatni skrawek stali ustąpił i pręt wylądował z brzękiem na dole. Hancock natychmiast zabrał się za następny.

W oddali uderzył grom. Znowu zaczęło padać.

Piła robiła się coraz bardziej tępa. Przecięcie następnego pręta trwało dłużej. Ale kiedy w końcu spadł na dół, otwór miał dwie stopy długości i osiemnaście cali szerokości: dość, by można się przez niego precyzyjnie przecisnąć.

Sarah podała im drabinę. Hancock wsunął ją w otwór i nachylił się nad nim. Fairfax zabezpieczał kapitana, trzymając go za pasek. Drabina była ciężka i nieporęczna, długa na siedem albo osiem stóp, a mimo to okazała się za krótka, a może Hancock był zbyt zmęczony, by ją odpowiednio ustawić. Kręcił nią i obracał, stękając z wysiłku, i nagle wyslizgnęła mu się z rąk. Fairfax usłyszał trzask i siarczyste przekleństwo kapitana. Przyciągnął go do siebie.

– Nieważne – burknął Hancock. – Użyjemy sznura.

Rozwiązał zwój, spuścił dłuższy odcinek przez otwór i przywiązał końcówkę do jednego z prętów. Sprawdził węzeł, wsadził do środka nogi, a potem złapał sznur nad głową

i opuścił się w dół. Fairfax miał wrażenie, że otwór jest dla niego za wąski, i przez jakieś dwie minuty Hancock rzeczywiście tkwił w nim zaklinowany, wierząc się jak ktoś, kto utkwiał w ruchomych piaskach. Ale potem zaczął powoli zjeżdżać w dół. Przez otwór przeszły jego pierś, ramiona, a potem bardzo szybko głowa i ręce. Sznur napiął się i zaraz potem usłyszeli odgłos twardego lądowania i okrzyk bólu.

Fairfax nachylił się nad otworem. Z wnętrza dochodził silny odór pleśni i wapna. Ledwie widział kucającego na dole kapitana.

– Nic się panu nie stało, Hancock?

– Wszystko w porządku. – Głos kapitana odbijał się głuchym echem od betonowych ścian. – Skręciłem sobie tylko kostkę. Rzućcie mi pochodnię.

– Jest cały i zdrowy?! – zawołała Sarah.

– Tak mówi.

Ześlizgnęła się do Fairfaksa po ścianie krateru i to samo zrobił Shadwell; zatrzymali się oboje w kałuży błota. Padało coraz mocniej. Woda spływała po pochyłości i lała się do środka podziemnej komory.

Hancock złapał rzuconą przez Fairfaksa pochodnię. Usłyszeli trzask zapalki, cichy szum, gdy smoła zajęła się ogniem, i stłumiony okrzyk zaskoczenia. Wykręcali, jak mogli, szyje, ale gruby betonowy strop ograniczał ich pole widzenia. Dostrzegali tylko niewyraźny pomarańczowy blask.

– Co pan widzi?! – zawołał Fairfax. Nie było odpowiedzi. – Kapitanie Hancock? Widzi pan coś?

– Brakuje mi słów, żeby to opisać – usłyszeli po długim milczeniu.

Popatrzyli na siebie.

– Schodzę na dół – powiedział Fairfax.

– Ja też – odparła Sarah i spojrzeli oboje na Shadwella.

Ten pokiwał głową.

– Jeśli to będzie ostatnia rzecz, jakiej w życiu dokonam, odejdę szczęśliwy z tego świata – oświadczył.

– Schodzimy wszyscy! – zawołał Fairfax, pochylając się nad otworem.

Sprawdził sznur i wsunął się w szczelinę. Okazała się ciasna nawet dla niego. Ostre krawędzie szorowały go po plecach i brzuchu. Uniósłszy ramiona, zacisnął dłonie na sznurze i zjeżdżając w dół, wpadł nagle w panikę. Był zbyt ciężki; nie dał rady utrzymać sznura. W ułamku sekundy przypomniał sobie grabarzy, którzy upuścili do grobu trumnę Lacy'ego, a potem puścił sznur i spadł z wysokości sześciu stóp na posadzkę. Nogi ugięły się pod nim i wyłożył się jak długi.

Pod dłońmi poczuł najpierw ziemię, potem beton. Leżał na brzuchu na szerokim pęknięciu, które stanowiło lustrzane odbicie szczeliny w stropie, jakby ziemia pod fundamentami przesunęła się pod wpływem eksplozji i cała podziemna konstrukcja przełamała się na pół. Podniósł się na nogi. Pomieszczenie było duże, kwadratowe, o boku

mniej więcej pięciu jardów. Szczelina w stropie znajdowała się w jednym z jego rogów. W przeciwległym rogu były metalowe drzwi. Z początku, zanim jego oczy przywykły do półmroku, wydawało mu się, że ściany są pomalowane – upstrzone plamami czerwieni, ochry i jasnego brązu – i że pod wpływem czasu lub wilgoci farby uległy zniszczeniu. Ale kiedy Hancock zbliżył do nich pochodnię, zobaczył, że różnokolorowe plamy są tak naprawdę setkami odcisków dłoni z rozpostartymi szeroko palcami. Tam gdzie kończyła się jedna, zaczynała się druga. Ich nagromadzenie dawało wrażenie przeraźliwej paniki – tłumy walczących o powietrze i światło ludzi, których pochłaniało inferno.

– To przypomina obraz piekła – powiedział.

– Zgadza się – odparł Hancock. – Co to za diabelstwo, jak myślisz?

Stał przy niewielkim stole pośrodku pomieszczenia – jedynym meblu, który się tam znajdował. Postawiono na nim po bokach dwa świeczniki, jak na ołtarzu. Krople żółtawego wosku rozpuściły się na czymś, co musiało być kiedyś kawałkiem tkaniny, lecz teraz obróciło się w pył i kilka bezbarwnych nitek. Między świecznikami była pusta zaśnieżona rama oparta o grubszy kawałek zbutwiałej tkaniny, z której zostało tylko trochę pierza przypominającego martwego ptaka. Leżało na niej coś, co Fairfax wziął z początku za dużą monetę, ale było w rzeczywistości medalem, o średnicy prawie trzech cali, z doczepionymi resztkami wstążki. Hancock najwyraźniej nie chciał go dotykać, więc ksiądz zrobił to za niego.

Jak na swoje niewielkie rozmiary medal był zaskakująco ciężki: mógł ważyć nawet pół funta. Kiedy go potarł, spod warstwy brudu błysnęło złoto. Hancock przysunął bliżej pochodnię. Po jednej stronie był wizerunek pogańskiej bogini, po drugiej profil brodatego mężczyzny. Wzdłuż skraju medalu biegła łacińska inskrypcja. Fairfax obrócił go, żeby ją przeczytać: *Inventas vitam iuvat excoluisse per artes*, a dalej: *REG. ACAD. SCIENT. SUEC.* Pod profilem brodatego mężczyzny widniały nazwisko i data: *ALFR. NOBEL NAT. MDCCCXXXIII OB. MDCCCXCVI.* Obok wyryto kolejne nazwisko: *P. MORGENSTERN MMXIX.*

– Możemy do was dołączyć?! – zawołała z góry Sarah.

Hancock skrzywił się na dźwięk jej głosu.

Fairfax wziął leżącą na posadzce drabinę i z pewnym trudem, bo była ciężka, ustawił ją w pionie. Jej szczyt sięgał akurat do szczeliny.

– Zrzuć nam więcej pochodni! – zawołał, osłaniając twarz przed deszczem. Po krótkiej chwili zrzuciła trzy, a on złapał je jedną po drugiej. – Trzymaj się sznura – poradził Sarah.

Wsunęła się w szczelinę i postawiła stopę na pierwszym szczeblu, zasłaniając na chwilę padające z góry światło. Fairfax przytrzymał drabinę, a Hancock wziął na bok pochodnię i zaczął je zapalać. Sarah schodziła dość powoli. Na odcinku kilku ostatnich stóp Fairfax podał jej rękę, jakby pomagał jej wysiąść z powozu, po czym ponownie zerknął w górę.

– Da pan radę, doktorze?

W otworze pojawiła się najpierw głowa Shadwella, a potem jego drobne stopy. Przez chwilę poruszał nimi na oślep, próbując znaleźć szczebel. W końcu mu się to udało i zaczął schodzić. W połowie drogi stracił równowagę i zaciskając rozpaczliwie dłonie na sznurze, odchylił się na bok. Fairfax był przekonany, że stary uczoney spadnie. Ten jednak zdołał się jakimś cudem wyprostować i z bólem i determinacją pokonał resztę drogi. Ksiądz nie miał pojęcia, jak go stąd wydostaną. Shadwell raczej się tym nie przejmował. Wziął pochodnię od Hancocka i zaczął się przyglądać ścianom.

Fairfax również wziął do ręki pochodnię. Teraz paliły się cztery i w pomieszczeniu zrobiło się jaśniej. Ściany widać było wyraźniej.

– I co pan o tym sądzi, doktorze Shadwell? – spytał ksiądz.

– Coś niezwykłego... Coś niezwykłego...

– Jak zbudowali to miejsce?

– Nie oni je zbudowali. Takie komory były budowane przez państwo, w celach obronnych. Musieli ją zająć.

– A te dłonie?

– Widziałem podobne malunki w książce opisującej prymitywne ludy, które mieszkały w jaskiniach dziesięć tysięcy lat przed starożytnymi. – Shadwell przyłożył własną dłoń do jednego z rysunków. – To w większości lewe ręce, widzicie? Przykładali pomalowaną lewą dłoń do ściany, a potem, trzymając w prawej ręce rurkę, wydmuchiwali z niej więcej farby, tworząc taki efekt.

– W jakim celu?

– Kto to może wiedzieć? W świecie, w którym nie było już inkaustu i papieru, chcieli pewnie przekazać w ten sposób przyszłym pokoleniom, że istnieli. I w końcu się tu pojawiliśmy. – Shadwell przyjrzał się ponownie ścianom. – To była chyba całkiem liczna kolonia. Z dziećmi. – Zerknął na Hancocka, który czyścił medal. – A to co takiego?

Kapitan przygryzł złoto, zbadał ślady zębów, po czym oddał go Shadwellowi.

– To leżało na stole – wyjaśnił Fairfax. – Na wyściółce z piór... która kiedyś była pewnie poduszką... ze świecami i pustą ramką na obraz.

– Jest z czystego złota – stwierdził Hancock. – Wart około pięciu tysięcy funtów. Masz to, po co tu przysłaś, Sarah Durston. Skarb, dzięki któremu odzyskasz swoją fortunę.

Shadwell zdjął okulary i zbliżył medal do pochodni, by przetłumaczyć łacińską inskrypcję.

– „Uczyńmy życie lepszym przez naukę i sztukę”... To nagroda w dziedzinie fizyki, którą dostał Morgenstern. Ten brodaty mężczyzna to na pewno Nobel, który ją przyznawał. Pani odwaga została nagrodzona, jaśnie pani – dodał, wręczając medal Sarah. – Błagam tylko, niech go pani nie przetapia. Jest na to zbyt unikalny. Pokażcie mi tę ramkę na obraz.

Wziął ją od Hancocka i zbadał tak samo uważnie jak medal. Obrócił ją, przez chwilę przy niej majstrował, po czym podważył dno i wyjął arkusz błyszczącego sztywnego papieru.

– Kartka wydaje się czysta, panie Fairfax, lecz wcale nie jest. Starożytni rejestrowali na takim papierze realistyczne obrazy, ale mogły one przetrwać tylko przez dwa stulecia. Potem zupełnie blakły. Mimo to zdaje mi się, że wciąż widać tutaj cień twarzy.

Podał kartkę księdzu, a ten, przyjrawszy się jej uważnie w świetle pochodni, zobaczył, że rzeczywiście można na niej rozpoznać mglisty zarys głowy. Rysy twarzy całkowicie jednak zniknęły.

– To Morgenstern? – zapytał.

– Zapewne. To nam o czymś mówi. Ci, którzy urządzili to wnętrze, nie wkładaliby w ramkę czystego papieru, zatem stało się to najpóźniej dwieście lat po Apokalipsie... a prawdopodobnie o wiele wcześniej. Wygląda na to, że czcili człowieka, który przywiódł ich w bezpieczne miejsce. Był w końcu ich Mojżeszem. Możliwe, że to jego komora grzebalna.

– Gdzie jest w takim razie jego ciało? – zainteresowała się Sarah.

– Ten przedsionek mógł pełnić funkcję kaplicy. Ciało jest najprawdopodobniej za tymi drzwiami.

Po raz pierwszy zwrócili uwagę na drzwi: ciężkie i zardzewiałe, z obracającym się kołem zamiast zamka. Żółtą farbą namalowano na nich wyblakłe, ledwie dające się odczytać słowa POMIESZCZENIE GAZOSZCZELNE. Na betonowym nadprożu również wyryto jakieś słowa. Fairfax uniósł pochodnię.

– Jest tu coś napisane, po łacinie. *Mal...* – Czytał powoli, starając się odcyfrować litery. – *Maledictus...*

– Przeklęty – przetłumaczył szybko Shadwell.

– *Maledictus... qui... intrare... hic.*

– „Przeklęty, kto tu wejdzie”. To napis z okresu o wiele wcześniejszego niż epoka starożytnych. Umieszczano go na grobowcach władców.

Przez chwilę wszyscy milczeli.

– Może powinniśmy wziąć sobie do serca to ostrzeżenie – odezwała się w końcu Sarah.

– Cóż za nonsens! – zaprotestował Hancock. – Zaszliśmy tak daleko. Zginął człowiek. Chyba nie powstrzymają nas w ostatniej chwili jakieś dziecinne przesady? Shadwell, Fairfax? Zgadza się ze mną?

– Oczywiście – odparł Shadwell. – Nie wierzę w przesady.

– Fairfax?

– Zgadzam się – odparł ksiądz, zerkając na drzwi.

– W takim razie załatwione.

Hancock splunął w dłonie, złapał za koło i próbował je obrócić. Nawet nie drgnęło. Hancock zamruczał przez zaciśnięte zęby i spróbował ponownie. Kark poczerwieniał mu z wysiłku. Pomruk przeszedł w ryk. Rozległ się metaliczny brzęk. Kapitan zdjął płaszcz, owinął nim koło, żeby mieć lepszy uchwyt, i ponownie je złapał. Stopniowo, cal po calu,

zaczęło się obracać. Kiedy nie dało się go przekręcić dalej, włożył płaszcz i pchnął drzwi ramieniem. Bez skutku.

– Przerdzewiało na amen – stwierdził. – Odsuńcie się.

Cofnął się o kilka kroków, podbiegł i znów pchnął je ramieniem. Mieli wrażenie, że zatrzęsł się cały przedsionek. Fairfax zastanawiał się, jak Hancockowi udało się nie połamać kości. Kapitan cofnął się i znów zaatakował.

– Mój Boże, John, naruszyłeś strop! – zawołała nagle Sarah.

Spojrzeli wszyscy w górę. Przez sufit biegła wąska czarna rysa.

– To pęknięcie musiało tam być wcześniej – powiedział Fairfax. Wydawało mu się jednak, że cała konstrukcja lekko się poruszyła.

– Ja go nie widziałem – oświadczył Shadwell.

– Ten strop ma dwie stopy grubości! – wyśmiał ich Hancock. – Myślicie, że jestem Samsonem, który zburzył świątynię?

Tym razem wziął jeszcze dłuższy rozbieg i kiedy rąbnął ramieniem w drzwi, lekko się uchyliły. Ze stropu posypała się ziemia. Pęknięcie poszerzyło się do jednego cala.

– Tu nie jest bezpiecznie – powiedziała Sarah. – Powinniśmy stąd wyjść.

Wzięła za ramię Fairfaxa i próbowała go odciągnąć w stronę drabiny, lecz on wyraźnie się opierał.

– Chcę zobaczyć, co jest za tymi drzwiami. Wyjdź sama – odparł.

– Nie wyjdę bez ciebie. – Spojrzała zdesperowana na sufit, a potem na drabinę. – Proszę cię, Christopher. To nie jest tego warte.

Coś przesłoniło światło padające przez otwór i oparta o jego skraj drabina nagle zadrżała. W szczelinie pojawiły się dwa czarne buty – ostrożnie szukały szczebla. Fairfax chciał podbiec i odciągnąć drabinę, ale nie był w stanie ruszyć się z miejsca. Zobaczyli czarny mundur i gruby skórzany pas z przytroczonymi kajdankami i pałką. Potem zaciśniętą na szczeblu rękę w czarnej skórzanej rękawiczce i drugą trzymającą pistolet. Na koniec zaś brodate oblicze starszego nad szeryfami z Axford.

– Nie ruszać się! – zawołał przenikliwym głosem, w którym pobrzmiwał strach.

Kiedy zszedł na dół i wziął ich na muszkę, na górze pojawiła się kolejna para butów i dołączyli do nich drugi, a potem trzeci i czwarty szeryf. Wyciągnęli broń i ustawili się w szeregu, nie dając Fairfaxowi i jego towarzyszom żadnych szans ucieczki. Następny zszedł po drabinie Quayce; wbijał wzrok w ziemię i trząsł się z przerażenia.

– Och, Olly, Olly! – zawołał Shadwell. – Coś ty najlepszego uczynił?

– Cisza! – Starszy nad szeryfami uderzył go w twarz lufą pistoletu i stary uczyony jęknął z bólu. Nie spuszczać oczu z więźniów, szeryf cofnął się kilka kroków. – Panujemy nad sytuacją, wasza miłość! – zawołał w górę, przytrzymując drabinę.

Zabłocony elegancki but wymacał szczebel. A potem pojawiły się długa czarna sutanna, ręka, na której lśnił duży biskupi pierścień, i zaraz potem pociągła melancholijna twarz Richarda Pole'a, biskupa Exeter.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SIÓDMY

W którym poszukiwania dobiegają końca

Fairfax poczuł, jak Sarah bierze go za rękę. Zerknął na nią. Wpatrywała się szeroko otwartymi oczami w biskupa. Zastanawiał się, czy kiedykolwiek jeszcze pozwoli mu się z nią zobaczyć. Ta myśl była nie do zniesienia. Po chwili puściła jego dłoń.

W przedsionku, który jeszcze niedawno robił wrażenie opustoszałego, zaroilo się nagle od ludzi. Szeryfowie tupali energicznie, strząsając z butów błoto. Z góry nadal padał deszcz.

Nikt się nie odzywał, kiedy biskup obchodził z pochodnią w ręce pomieszczenie i przyglądał się malunkom na ścianach. W końcu zatrzymał się przed Fairfaxem, a ten powściągnął wpajany mu przez lata odruch, by przyklęknąć i ucałować jego pierścień. Przypomniawszy sobie, co opowiadał Shadwell o wizytach w więzieniu składanych mu przez Pole'a. To było coś, co biskup lubił. Igrać ze swoimi ofiarami.

– Cóż, Christopherze, widzę, że nie klękasz – przemówił słodkim głosem. – Doktorze Shadwell. – Skinął głową antykwariuszowi, który trzymał się za zakrwawiony policzek. – Minęło dużo czasu od naszej ostatniej rozmowy. Kapitanie Hancock. Lady Durston. – Ukłonił się. – Jak widzicie, wszystkich was świetnie znam. – Wskazał dłonią pomieszczenie. – No dobrze. Co my tutaj mamy, doktorze?

Shadwell opuścił rękę i udało mu się w jakiś sposób wysunąć wojowniczo podbródek.

– Arkę Morgensterna, wasza ekscelencjo. W której istnienie od dawna wierzone, której od dawna szukano i która teraz została odkryta.

– I to, co tu widać, to wszystko? Niemożliwe!

– Obok jest kolejne pomieszczenie. Najpewniej więcej niż jedno.

– Przed chwilą udało mi się właśnie otworzyć do niego drzwi, wasza miłość – odezwał się Hancock. Mówił w nietypowy dla niego uniżony sposób, jakby biskup był kupcem, z którym można dobić targu i załatwić wszystko polubownie. Obrócił się i dotknął ręką koła.

– Nie dotykaj tego! – rozkazał biskup. Starszy nad szeryfami wycelował z pistoletu w Hancocka i kapitan natychmiast cofnął dłoń. – Nie wolno wam zrobić ani jednego kroku dalej... i tak już posunęliście się za daleko! Ja sam zbadam to pomieszczenie i ocenię, co należy z niego zabrać. A potem zostanie zapieczętowane i na zawsze zaszypane. Wydaje mi się, że skorzystamy z pańskiej metody, kapitanie, i użyjemy materiałów wybuchowych. A wy staniecie wszyscy przed sądem w Exeter pod zarzutem herezji. I tym razem, doktorze

Shadwell, zostaniecie ukarani z całą surowością. – Biskup nagle obrócił się i podniósł rękę.
– Gdzie jest pan Quycke? – zapytał.

– Tutaj, wasza miłość.

– Niech pan wyjdzie z cienia, panie Quycke, i pokaże się przyjacielom.

Sekretarz Shadwella niechętnie podszedł bliżej. Nadal nawet nie próbował spojrzeć im w oczy. Biskup położył mu dłoń na ramieniu.

– Nigdy nie zadałeś sobie pytania, doktorze Shadwell, dlaczego tego oto skruszonego pokutnika zwolniono z więzienia już po roku, podczas gdy inni prominentni członkowie pańskiego towarzystwa odsiedzieli pięć lat i dłużej?

Shadwell wpatrywał się w Quycke'a z rozczarowaniem i niesmakiem, jakby jego sekretarz był odkopanym z ziemi artefaktem, który wydawał się cenny, lecz okazał się nic niewart.

– Powiem ci dlaczego – podjął biskup. – W zamian za wolność zgodził się złożyć przysięgę lojalności i wrócić na ścieżkę prawdy. Pracował dla mnie przez osiem lat, informując o niegodziwościach i szaleństwach, do których przywiodła cię twoja obsesja.

Uczony nadal wbijał wzrok w Quycke'a. Miał świszczący oddech. Drżącą dłonią ściągnął z głowy czapkę i odgarnął włosy z czoła, żeby pokazać biskupowi wypaloną na nim literę H. Pole lekko się cofnął.

– Obsesja na punkcie starożytnych, jak ją nazywasz... której piętno wypalono na twój rozkaz na moim ciele... to grzech obciążający w równej mierze twoje i moje sumienie. Różnica polega na tym, że ja się nim szczycę. „Niegodziwości i szaleństwa”? Zachowałeś moje książki, wasza miłość. Wbrew temu, co mówiłeś, wcale ich nie spaliłeś. Jesteś hipokrytą.

– Z szacunkiem do jego ekscelencji! – Starszy nad szeryfami podniósł rękę, chcąc znów uderzyć Shadwella, ale biskup powstrzymał go gestem dłoni.

– Wiedzy się nie pali! – oświadczył. – To spektakl dla maluczkich. Wiedzę się ukrywa... zachowuje się ją dla siebie. W kościelnych bibliotekach są informacje, o których nawet ci się nie śniło, Shadwell. Nie, oczywiście, że nie spaliłem twoich książek. Dałem je na przechowanie dawnemu koledze. Myślałem, że można mu ufać. Jak się okazało, niesłusznie. Ale nie miało to większego znaczenia. Tu obecny Quycke przesłał mi kopię listu, który napisał do ciebie Lacy. Poznałem jego treść na dwa dni przed tobą. Pozwoliłem ci przyjechać do Axford w nadziei, że mnie tu doprowadzisz. I nie myliłem się. Naprawdę sądziłeś, że zwolniono by cię po wpłaceniu kaucji, gdyby nie moje instrukcje? A teraz to ja, a nie ty, poznam tajemnicę tego miejsca. Więc ostatecznie który z nas jest odnoszącym większe sukcesy uczonym? – Pole uśmiechnął się i zerknął na sufit. Z pęknięcia sączyła się wąska strużka błota. Biskup spoważniał i dał znak szeryfowi. – Zabierzcie ich na górę i zwiążcie.

– Jego ekscelencja kazał zabić ojca Lacy'ego! – zawołał Fairfax. – Jeśli staniemy przed sądem, wskażę księdza biskupa jako mordercę!

Pole zmierzył go pogardliwym wzrokiem.

– Posłałem cię, żebyś pochował Lacy’ego, bo miałem cię za młodego ambitnego głupca, który robi, co mu się każe. Ale jesteś jeszcze większym głupcem, niż myślałem, jeśli sądzisz, że mógłbym zlecić zabójstwo księdza.

– To nie było zabójstwo – odezwał się Quycke. – To prawda, śledziłem Lacy’ego z kościoła aż do Czarciego Tronu. Kiedy mnie zobaczył, rzucił się do ucieczki i spadł z urwiska. To wszystko... przysięgam. – Popatrzył bezradnie na Shadwella. – Przykro mi, Nick. Bóg wie, że zawsze cię kochałem. Błagałem, żebyś nie wyjeżdżał z Wilton. Nigdy nie sądziłem...

Nagle przerwał. Gdzieś z góry dobiegł głośny łoskot. Kolejna burza z piorunami, pomyślał Fairfax. Chwilę później zatrzęsa się podłoga.

– To lawina błotna – powiedział Hancock.

Łoskot spotęźniał. To, co nastąpiło potem, działo się jakby w zwolnionym tempie. Biskup Pole spojrział na poszerzające się pęknięcie i wpatrując się jak urzeczonego w strop, zaczął się cofać. W pewnym momencie odwrócił się, przecisnął między szeryfami i podbiegł do drabiny. Kiedy postawił stopę na pierwszym szczeblu, posadzka zapadła się i zniknęła bez słowa. A może i coś krzyknęła, ale wszystkie dźwięki pochłonęła sunąca przez komorę ściana betonu i błota. Fairfax poczuł, że ktoś łapie go z tyłu. Widział, jak szeryfowie spadają pierwsi; za nimi runęli w dół Hancock, Quycke i Shadwell. Pociągnięty mocno przez Sarah, stracił równowagę. Wywracając się, uderzyli plecami o metalowe drzwi i wpadli, ona pierwsza, a on za nią, do sąsiedniego pomieszczenia. Sparzyła go płonąca smoła. Chwilę później zawalił się strop przedsionka.

* * *

Wydawało się, że nad ich głowami przetoczyło się całe zbocze – straszliwy ogłuszający miażdżący odgłos przywodził na myśl młyny boże – i nawet kiedy lawina zeszła, ciszę, która po niej nastąpiła, przerywały stłumione trzaski i hurgot ustępujących pod naporem ziemi pustych przestrzeni. Fairfax poczuł, że leży na Sarah. W ogóle się nie poruszała. Bał się, że lada chwila strop runie i zgniecie ich na miazgę. Miał nadzieję, że ochroni jakoś Sarah własnym ciałem. Nie otwierając oczu, usiłował odmówić w myślach modlitwę popielcową, ale pamiętał tylko pierwszą linijkę, którą w kółko powtarzał – *Wszechmogący Boże, litościwy Panie, który okazujesz miłosierdzie wszystkim ludziom...* Po minucie, kiedy ucichły stuki i trzaski, odważył się otworzyć oczy. Pył, gęsty jak dym, kłębił się w pomarańczowym blasku leżącej nieopodal pochodni.

– Sarah?

W ustach czuł smak betonu i chemii. Kiedy się podniósł i dotknął dłonią jej twarzy, jęknęła. Wziął do ręki pochodnię. Skórę i włosy miała przysypane pyłem; otaczająca ją ciemna plama przypominała cień. Podłożył delikatnie dłoń pod jej głowę i poczuł, że palce

lepią mu się od krwi. Nachylił się, pocałował ją w czoło i wtedy otworzyła oczy. Pogładził ją po włosach. Próbowła coś powiedzieć, ale przystawił jej palec do ust.

– Ćśśś. – Odłożył pochodnię, zdjął sutannę, zwinął ją i podłożył pod głowę Sarah niczym poduszkę. – Znajdę stąd jakieś wyjście – powiedział i poczuł, jak ściska lekko jego palce. – Leż spokojnie. Nie zostawię cię tutaj.

Podniósł pochodnię i wstał. Sarah sięgała stopami drzwi. Za nimi była zbita masa betonu, skał i ziemi. Oświetlił ją pochodnią, a potem obrócił się i spojrzał w głąb pomieszczenia. W tumanie pyłu trudno było coś spostrzec. Światło po prostu się od niego odbijało. Przesunął ręką po ścianie; była pokryta prymitywnymi malunkami, w większości w tych samych barwach co dłonie w przedsionku – czerwonej i brązowej, ze smugami bieli i czerni. Przedstawiały ludzkie postaci, budynki, schematy dziwnych urządzeń. Strzałki wiodły od jednej ilustracji do drugiej.

Macając ściany, ale dokładnie im się nie przyglądając, ruszył do przodu, żeby znaleźć kolejne drzwi. Próbował liczyć kroki. Trzy, cztery, pięć... Po dziesięciu dotarł do rogu. Pomieszczenie było nieduże. Może służyło jako magazyn. Skręcił i ruszył wzdłuż kolejnej ściany. Ją także zdobiły malunki. Przy następnym rogu znalazł drugie metalowe drzwi, takie same jak pierwsze, z kołowym zamkiem. Odłożył pochodnię i próbował obrócić koło, ale nie dał rady. Potrzebował czegoś, czego użyłby jako dźwigni.

Odwracając się w stronę środka pomieszczenia, na coś nadepnął i podniósł to z posadzki. Kolejne urządzenie z symbolem nadgryzionego jabłka, ale większe i cięższe, choć również nie grubsze od palca. Otwierało się jak książka. Po jednej stronie była szklana tafla, po drugiej kwadratowe plastikowe płytki z wrytymi literami alfabetu. Wydawały dziwne dźwięki, kiedy je naciskał. Dookoła leżały na podłodze inne urządzenia. Przybliżając do nich pochodnię, zorientował się, że są ich dziesiątki – niektóre podobne do tego, które widział w kolekcji Lacy'ego, niektóre zupełnie inne. Były tam skrzynie z metalu i plastiku, szklane ekrany, gładkie białe plastikowe przedmioty ze stalowymi podstawkami, które miały chyba pasować do dłoni... Przyglądając się im, odkrył, że są ułożone w coś na kształt gwiazdy. W jej środku stała na podwyższeniu biała stalowa skrzynia wielkości człowieka. Była wyższa od trumny – mogła mieć głębokość trzech stóp – ale był pewien, że pełniła funkcję sarkofagu. Wieko było ciężkie, zamocowane na zawiasach, ale uniosło się lekko – ciągnąc za sobą nitki kurzu – i dzięki jakiemuś mechanizmowi, którego nie rozumiał, pozostało otwarte. Wewnątrz leżała zmumifikowana postać, z rękami złożonymi na piersi i twarzą, której rysy trudno było dostrzec – szlachetną, z szerokim czołem i wyrazistymi kośćmi policzkowymi i nosem. Widać było nawet trochę długich siwych włosów. Opuścił z powrotem wieko.

Kurz zaczął opadać. Fairfax zorientował się teraz, co to za pomieszczenie. Zgodnie z tym, co mówił Shadwell, znajdowali się w komorze grzebalnej. Instrumenty starożytnych złożono tu w charakterze darów, które miały towarzyszyć zmarłemu w drodze w zaświaty. Nigdzie nie widział narzędzia, którym mógłby otworzyć drzwi. Urządzenia były zbyt

kruche, by uczynić z nich jakiś praktyczny użytek. Bez ożywiającej je tajemnej energii elektryczności były tak samo martwe jak człowiek, któremu oddano cześć, składając je tutaj. Większą wartość miałyby narzędzia z epoki kamienia łupanego.

Fairfax podszedł z powrotem do ściany.

Zorientował się, że malowidła zaaranżowano tak, by opowiadały pewną historię, która zaczynała się przy zamkniętych drzwiach, od obrazu ciała niebieskiego – prawdopodobnie Ziemi – opasanego jasnymi liniami światła. Na następnym obrazku linii było dwa razy mniej. Na trzecim znów dwa razy mniej i w końcu, na siódmym, planeta była pogrążona w mroku i tkwiła w szponach Bestii Apokalipsy, z jej siedmioma głowami i dziesięcioma ukoronowanymi rogami. Dalej namalowano urządzenie z nadgryzionym jabłkiem, na którym szybka była czarna, i kolejne z widniejącą na niej podobną do czaszki twarzą, z rękami przyciśniętymi do policzków i szeroko otwartymi z przerażenia ustami i oczami. Pozostałą część ściany zajmowało malowidło przedstawiające długą nieregularną kolumnę ludzi – zgarbione, wychudłe postaci kroczące w niekończącym się pochodzie. Dołączone mniejsze ilustracje przedstawiały incydenty, które przytrafiały im się po drodze. Budynki, z których okien buchały płomienie. Przewrócone na dach pojazdy. Wbita w ziemię latająca maszyna, podobna do tych, którymi bawiły się dzieci w Piggeries. Sceny gwałtów i walk. Wieszania. Stosy płonących ciał.

Odwrócił wzrok.

Na przeciwległej ścianie rozpoznał na malowidle Czarci Tron, kamienną wieżę kościoła w Addicott St George i wiszącą przed kuźnią plastikową żółtą muszlę. Obok był dziwny, mrozący krew w żyłach obraz przedstawiający grupę około dwudziestu więźniów ze skrępowanymi z tyłu rękami, połączonych przywiązaną do ich karków liną. Pośrodku obrazkowej opowieści była wielka twarz mężczyzny, z którego głowy wychodziły niebiańskie promienie. Niżej widniał napis MORGENSTERN, a dookoła były inne mniejsze twarze, jakby jego uczniów, podpisane KIEFER, FISCHER, SINGH. Przyjrzał im się uważnie i nagle coś sobie uświadomił. Twarze były podobne do podobizn zapomnianych świętych w nawie kościoła. A ludzie o tych nazwiskach – Keefer, Fisher, Singer – nadal żyli w dolinie. Kowal Gann... czy to nazwisko również było przekręcone? Czy był potomkiem samego Morgensterna?

W tym momencie Fairfax zdał sobie w końcu sprawę, co tu się naprawdę zdarzyło. To nie uchodźców z Londynu zmasakrowano przy ścianie wieży. Ofiarami byli wieśniacy. Koloniści zajęli ich ziemię, żeby przetrwać. A później, kiedy to miejsce nie było już potrzebne, zostało przekształcone w kaplicę ku czci założyciela kolonii. Domyślał się, że stało się to nie od razu, ale po jakimś czasie, w ciągu stu pięćdziesięciu lat bezprawia, w Mrocznym Wieku, kiedy zaginęła dawna wiedza i jej miejsce zajęły przesady. Uświęcone miejsce, którego pochodzenie zatarło się w zbiorowej pamięci i do którego nikt się nie zbliżał.

Nagle zachwiał się i o mało nie wywrócił. Zaczęło mu się kręcić w głowie, nie mógł zebrać myśli. Domyślał się, że zaczyna mu brakować powietrza. Podeszedł do miejsca, gdzie leżała Sarah, oparł pochodnię o ścianę i położył się koło niej. Nadal nie spała. Uśmiechnęła się do niego, a on pocałował ją i wziął w ramiona. Zauważył, że światło pochodni jest coraz słabsze: paliła się jasnożółtym płomieniem. Mimo to nie czuł lęku, wyłącznie wielki spokój i odprężenie.

– Są tu drugie drzwi – powiedział. – Wyjdziemy przez nie rano.

Zamknął oczy i przysunął policzek do jej policzka. Pochodnia zamigotała, rozbłysła na chwilę jaśniejszym płomieniem i zgasła, kiedy zasnęli.

PRZYPISY

- ¹ Biblia Gdańska, Pierwsza Księga Mojżeszowa, 1, 2.
- ² Ibid., Objawienie Jana 16, 16–19.
- ³ Ibid., Pierwszy List do Koryntian, 15, 51.
- ⁴ Ibid., Ewangelia Jana, 11, 25.
- ⁵ Ibid., Pierwszy List do Tymoteusza, 6, 7.
- ⁶ Ibid., Księga Ijobowa, 1, 21.
- ⁷ Ibid., Księga Psalmów, psalm 90, 1–4.
- ⁸ Ibid., Pierwszy List do Koryntian, 15, 51–52.
- ⁹ Ibid., Księga Psalmów, 90, 12.
- ¹⁰ Ibid., Księga Ijobowa, 14, 1.
- ¹¹ Ibid., Księga Przypowieści Salomonowych, 25, 11.
- ¹² Ibid., Pierwsza Księga Mojżeszowa, 3, 3.
- ¹³ Na podstawie *Modlitewnika powszechnego oraz sprawowania Sakramentów świętych i innych obrzędów i ceremonij kościelnych według rytuału kościoła anglikańskiego*, Warszawa 1931.
- ¹⁴ Biblia Gdańska, List Jakuba, 1, 27.
- ¹⁵ Na podstawie *Modlitewnika powszechnego oraz sprawowania Sakramentów świętych i innych obrzędów i ceremonij kościelnych według rytuału kościoła anglikańskiego w Polsce*, Warszawa 1931.
- ¹⁶ Biblia Gdańska, Objawienie Jana, 13, 18.
- ¹⁷ Ibid., Ewangelia Mateusza 7, 14.
- ¹⁸ Ibid., Ewangelia Mateusza, 6, 28.
- ¹⁹ Ibid., Objawienie Jana, 9, 6.
- ²⁰ Ibid., Ewangelia Mateusza, 7, 1.
- ²¹ Ibid., Pierwsza Księga Mojżeszowa, 6, 13.
- ²² Ibid., Ewangelia Jana, 8, 7.
- ²³ Ibid., Księga Ijobowa, 19, 26.
- ²⁴ Ibid., Pierwsza Księga Mojżeszowa, 7, 13.
- ²⁵ Biblia Gdańska, Druga Księga Mojżeszowa, 34, 21.